U. L. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

twórczość

LISTOPAD 1959

Bolesław Ożóg · Juliusz
len-Bandrowski · Ta-
sz Kotarbiński · Stani-
v Piętak · Jerzy Zagór-
· Włodzimierz Maciąg

twórczość

LISTOPAD 1959 ROK

11

twórczość

ROK XV LISTOPAD 1959 NR 11

SPIS TREŚCI

Jan Bolesław Ożóg
PAMIĘTLIWI TO IMIĘ LIŚCIA — PRAWA
str. 5

Juliusz Kaden-Bandrowski
JEDWABNY WĘZEŁ
(tekst opracowały *Romana Bandrowska* i *Irena Szypowska*, wstęp *Ireny Szypowskiej*)
str. 7

Tadeusz Kotarbiński
CONSUETUDO
str. 77

Stanisław Piętak
O CZECHOWICZU
str. 78

Jerzy Zagórski
PRECEPTOR
str. 82

Juliusz Żuławski
W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU
str. 84

Włodzimierz Maciąg
STANISŁAW BRZOZOWSKI
str. 85

Książka miesiąca

Andrzej Kijowski
AKT ZNISZCZENIA
str. 107

Wśród książek

NIEPOGODZENI Z BEZSENSEM ISTNIENIA — *Juliusz Żuławski*
str. 116

„POETA POWIEŚCI" CZYLI OBSESJA CZASU PRZESZŁEGO — *Arnold Słucki*
str. 117

AFORYZMY, FRASZKI, LIRYKI — *Michał Głowiński*
str. 121

WE WŁASNYM ŚWIECIE — *Henryk Bereza*
str. 128

KSIĘGI PIELGRZYMSTWA I LOSU LUDZKIEGO — *Ryszard Zengel*
str. 130

KSIĄŻKA O DOMU — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 135

„ZA DUŻO SŁOŃCA" — *Bożena Danek*
str. 137

NOWOŚĆ — *Tomasz Łubieński*
str. 139

PORTRETOWANIE PISARZA — *Zbigniew Pędziński*
str. 140

OUTSIDER Z NASZEJ DZIELNICY — *Zygmunt Greń*
str. 143

Na widnokręgu

POWSZECHNY POKÓJ — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 148

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 149

KILKA UWAG O BIBLIOTECE POWSZECHNEJ — *Tomasz Jodełko*
str. 152

W AUSTRII O POLSCE — *Jan Koprowski*
str. 155

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 158

Noty
str. 170

Korespondencja
str. 177

Książki nadesłane
str. 178

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Jan Bolesław Ożóg

PAMIĘTLIWI

Wrogowie śledzą cmentarz pilnie
i pilnie z rana zaglądają
w nasze grobowce, jeszcze próżne.

Wrogowie nogi mają zdrowe,
wrogowie na piechotę chodzą
i pod bombami kiosków
kronik szukają w szpaltach gazet.

Wrogowie nasi zapomniani
nazwiska nasze pamiętają.

Po społu cisi i skupieni
co dzień w kościele praktykują.

Oni chleb żywy spożywają,
wodą święconą się żegnają
i wyczytują — z krwią na twarzach —
świeże klepsydry pod kościołem

i kiedy na czczo stoją jeszcze
grobowce nasze na cmentarzu,
gęby im blado posępnieją

i żal do kamiennego Boga
zamienia ich w purchawki białe.

TO IMIĘ LIŚCIA

To imię liścia z młotem spadło,
to młody liść, przecinający kraty.
Zielony kuję taki liść. Kowadło
od tego jest, by rzadkie zeń płakały kwiaty.

To liść. Zielony liść się do kowadła klei,
to znaczy — ach, co znaczy, nie wiem.
To wiśnia w lesie, białość w głębi kniei,
to drozda krzyk, to jastrząb nad modrzewiem.

PRAWA

Obie muzy jeszcze prawa kują:
palą pola i góry, i morze,
palą ptaki i wołu w komorze
i nas palą, i róż nie żałują.

To co ładne, to tylko blask dymu,
słowo „Jasiu", gdy matka płakała,
i jabłonka zza chmur, jeśli biała,
i krzyk żalu od rymu do rymu.

Jan Bolesław Ożóg

Juliusz Kaden-Bandrowski

JEDWABNY WĘZEŁ

Juliusz Kaden-Bandrowski (pseud.: Grot, J. K. B. i Juliusz Kaden) urodził się w Rzeszowie 24 lutego 1885 roku. Pochodził z rodziny inteligenckiej o dużej kulturze, przede wszystkim muzycznej. Ojciec, Juliusz, z zawodu lekarz, miał artystyczne zamiłowania i aspiracje, matka, Helena Kaden, była pianistką, brat ojca, Aleksander Bandrowski, był słynnym śpiewakiem, a starszy brat pisarza, Jerzy, autorem kilku powieści, m. in. *Zolojki* (1928) — ukazującej życie Kaszubów, *Wsi mojej matki* — mającej uzupełnić znacznie jednak lepsze *Miasto...*, oraz bardzo interesującego pamiętnika literata ze szpitala dla umysłowo chorych, *Pałac połamanych lalek*.

Dzieciństwo spędził młody Juliusz w Krakowie, a później we Lwowie. W Krakowie kończył szkołę średnią i uczył się muzyki.

W latach 1903—4 przebywał na Kaukazie udzielając lekcji muzyki. Zebrane fundusze ułatwiły mu wyjazd na studia muzyczne do Lipska, a potem do Brukseli. Tam kształcił się na Uniwersytecie i w Konserwatorium, które skończył z odznaczeniem. Myślał o tym, by zostać pianistą, porzucił jednak te zamiary, gdy okazało się, że następstwa dwukrotnego złamania w dzieciństwie ręki utrudniłyby mu karierę wirtuoza.

W Brukseli należy Bandrowski do Koła Filareckiego im. Joachima Lelewela, przygotowującego młodzież emigracyjną do zbrojnej walki o niepodległość.

W Belgii rozpoczął Kaden działalność publicystyczną, która polegała początkowo na pisaniu sprawozdań z życia artystycznego Brukseli, a przede wszystkim z koncertów. Artykuły te ukazywały się głównie w lwowskim *Słowie*, warszawskim *Świecie* i *Tygodniku Ilustrowanym*.

Pierwszym utworem literackim były *Słowa* (pisane prozą poetycką), wydrukowane w 1909 r. w warszawskim *Kurierze Polskim*. W Brukseli także powstała pierwsza powieść Kadena *Niezguła*, oparta na przeżyciach kaukaskich autora, oraz druga powieść *Proch*, przedstawiająca życie studenckie w Brukseli. Na obczyźnie powstały także pierwsze tomy nowel: *Zawody* i *Zbytki*. Utwory te zostały wydane w kraju w 1912 r.

W 1913 r. Kaden, udekorowany za działalność dla Belgii orderem Leopolda II, opuszcza ten kraj, przekonany, że aby być polskim pisarzem, trzeba mieszkać w kraju.

Mieszka teraz w Krakowie, gdzie w dalszym ciągu uprawia publicystykę, pisze nowele. Zaczyna także wtedy działalność odczytową, którą z takim powodzeniem rozwinie po wojnie.

6 sierpnia 1914 r., po wybuchu wojny, wstępuje do Legionów. Mimo pełnienia służby wojskowej (jest adiutantem Piłsudskiego) nie zaniedbuje twórczości. Literackim dokumentem tego okresu są liczne tomy nowel-wspomnień, m. in. *Piłsudczycy, Iskry, Bitwa pod Konarami.*

W 1917 r., będąc w szpitalu w Krynicy, pisze powieść *Łuk*, obrazującą życie cywilnej ludności na tyłach i przemiany, jakim ludzie pod wpływem wojny ulegają.

W 1918 r. jedzie do Warszawy, a stamtąd na front. Potem prowadzi w stolicy Biuro Prasowe Wojska Polskiego i wydaje pismo *Żołnierz Polski.* Dzieje się to w latach 1919—21.

W 1920 r. z ramienia gazety *Naród* jedzie do Ameryki, gdzie wygłasza w ciągu czterech miesięcy ponad sto odczytów o wojsku polskim. Odczyty te cieszyły się wielką popularnością m. in. dlatego, że Kaden był doskonałym mówcą. Odczyty „wybornego prelegenta" (określenie St. Papée), wygłaszane za granicą i w kraju w związku z różnymi okazjami, obejmowały różne problemy, wrażenia z podróży, zagadnienia literackie i inne. Zostały zebrane i ogłoszone drukiem w tomach *Rzymianie Wschodu, Europa zbiera siano, Pióro, miłość i kobieta, Za stołem i na rynku* i w kilku innych.

Obok działalności odczytowej po powrocie do kraju uprawia publicystykę. Jest członkiem pierwszego komitetu redakcyjnego *Skamandra*, redaguje też niedzielny dodatek literacki *Gazety Polskiej* udostępniając jego łamy początkującym pisarzom i udzielając im życzliwych porad.

W 1923 r. ukazuje się pierwsze wydanie powieści *Generał Barcz*, traktującej o formowaniu się władzy w niepodległej Polsce. Potem pięć lat trwa praca autora nad cyklem *Czarne skrzydła.* W rezultacie powstają pierwsze dwa tomy: *Lenora* i *Tadeusz* (1929).

W 1928 roku otrzymuje Kaden nagrodę państwową za cykl *Miasto mojej matki* (druga część: *W cieniu zapomnianej olszyny*). Są to nowele, których temat zaczerpnięty jest ze wspomnień dzieciństwa. Autor pisał także utwory o dzieciństwie swych synów. Są to *Wakacje moich dzieci* (1924) oraz *Aciaki z I a* (1932).

W tych latach prowadzi Kaden żywą działalność. Odgrywa dużą rolę w zorganizowaniu Polskiej Akademii Literatury i w 1933 r. zostaje jej sekretarzem generalnym. (Prezesem był Sieroszewski, wice-prezesem Staff.) Od tej chwili Kaden jest inicjatorem wielu poczynań Akademii. Prowadzi także ożywioną działalność społeczną. Uczestniczy w posiedzeniach Rady Miejskiej Warszawy domagając się zwiększenia dotacji na cele kulturalno-oświatowe, proponując zmiany w polityce wydawniczej itp. Wespół z Arnoldem Szyfmanem organizuje Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce.

Mimo pochłaniającej wiele czasu pracy organizacyjnej Kaden nie zaprzestaje działalności twórczej. Pracuje nad wydanym w 1933 r. cyklem *Mateusz Bigda*, składającym się z tomów: *Masło, Grunt* i *Spiżarnia.* Występuje tu wiele postaci z *Czarnych skrzydeł*, ale akcja toczy się nie w Zagłębiu, lecz w Warszawie, i bohaterami jej są ludzie stojący u władzy.

Do wybuchu wojny Kaden wydaje tomy nowelistyki legionowej, w której dokonał wielu zmian stylistycznych i konstrukcyjnych (*Piłsudczycy*, 1936, *Droga wol-*

ności, 1936, *Wspomnienia i nadzieje*, 1938). Mimo namowy ministra Zaleskiego Kaden nie wyjechał z kraju w 1939 r. i w latach okupacji niemieckiej przebywał w Warszawie zajmując się pracą literacką. Prawdopodobnie jesienią 1939 zaczął pisać powieść, której miał dać tytuł *Jedwabny węzeł* lub *Medalion* (od postaci jednej z bohaterek — Stanisławy Kostryniowej). Zdaniem Jana Gebethnera, który przechowywał jeden z maszynopisów i dobrze pamięta swoje rozmowy z Kadenem dotyczące tej powieści, był to czwarty i zarazem ostatni tom *Mateusza Bigdy*.

Ponieważ powieść ta zdecydowanie odbiegała swoją formą literacką od poprzednich tomów, autor zabrał się do przerabiania ich. W rezultacie powstała nowa wersja *Masła* i *Gruntu*, wolna od „baroku", pisana podobnie jak *Jedwabny węzeł*.

Nie dość na tym. Krytycznie nastawiony do dawniej stosowanej formy literackiej, ogarnięty pasją zmieniania kształtu artystycznego utworów, przerabia Kaden jeszcze *Generała Barcza* i *Łuk*.

Zarówno *Jedwabny węzeł*, jak i nowe wersje *Masła*, *Gruntu*, *Generała Barcza* i *Łuku*, a także napisany wówczas tom nowel opartych na tematyce legionowej składa Kaden w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa. (*Jedwabny węzeł* był ukończony już w 1942 r.) Niestety wszystko zginęło, gdy uległ zniszczeniu gmach wydawnictwa przy ul. Zgoda w Warszawie.

Zdaniem żony pisarza, p. Romany Bandrowskiej, *Jedwabny węzeł* nie jest ostatnią częścią *Mateusza Bigdy*, lecz pierwszą nowego cyklu *Białe skrzydła*. Jednak zakończenie powieści, co do którego pani Bandrowska i p. Gebethner są ogólnie biorąc zgodni, wskazuje raczej na to, że *Jedwabny węzeł* jest zakończeniem *Mateusza Bigdy*.

Pani Bandrowska potwierdza zdanie p. J. Gebethnera o przerobieniu przez Kadena poprzednich tomów cyklu, dodaje także informację, że mąż napisał w czasie okupacji dramat, którego finał rozgrywał się w momencie wkraczania wojsk hitlerowskich do Warszawy.

W ilu egzemplarzach sporządził Kaden maszynopis nowej powieści? Prawdopodobnie w trzech i żaden z nich się nie zachował. Egzemplarz, na podstawie którego przygotowano niniejsze wydanie, znaleziono w styczniu 1945 r. w kotłowni domu, w którym mieszkał Kaden. Jest to maszynopis z licznymi poprawkami autora. Często skreślane są duże fragmenty, a nawet całe strony. Czasem autor dopisuje nowy tekst lub wprowadza drobne zmiany. Przy odczytywaniu tych uzupełnień i uwag, pisanych przeważnie atramentem, ale często i kolorowym, źle zaostrzonym ołówkiem, zawsze gęstym „maczkiem", trzeba się było nieraz uciekać do pomocy szkła powiększającego. Przy tym stan tych kart utrudnia bardzo odczytanie tekstu. Są one żółte, zmieszane z błotem i szkłem, często podarte. Jest tych kart tylko 120, a ostatnia strona odnalezionego tekstu nosi numer 379. To, co drukujemy, można więc traktować jedynie jako fragmenty dzieła. Egzemplarz, o którym mowa, jest to albo czwarty maszynopis — identyczny z oddanymi Gebethnerowi i dwóm innym przyjaciołom Kadena, albo, do czego raczej przychyla się Jan Gebethner i co jest raczej słuszniejsze — tekst pierwotny, który autor później w trzech egzemplarzach przepisał.

Kaden podzielił swoją powieść na rozdziały. Podziału tego nie udało się jednak zachować. Zaznaczamy tylko koniec rozdziału gwiazdką, w odróżnieniu od urwanego końca fragmentu, po którym następuje większy odstęp. W obrębie rozdziałów Kaden wprowadził jeszcze numerację podrozdziałów. Odręcznie atramentem wpisał tam tytuły biorąc je jednak w nawiasy. Należy przypuszczać, że miały one charakter

roboczy, ułatwiały autorowi pracę nad tekstem, nie były jednak przeznaczone do druku. Zachowało się kilka tytułów podrozdziałów:

Panna Zuzanna Kostryniówna. Odpowiedni podrozdział zaczyna się od słów: „Nie słuchała tego wszystkiego, co jej opowiadał w restauracji...".

Tadeusz pisze tylko z życia, żadnych teoryj — to tytuł podrozdziału zaczynającego się słowami: „Czekała, że się Tadeusz odezwie, przyjdzie".

Następny tytuł:

Pomiędzy władzą a sumieniem — zaczyna się od: „Tych parę dni do ukazania się *Głosu Sumienia!*".

Tytuł:

Kwiaty i przeprosiny — zaczyna zdanie: „Stanisław Mieniewski liczył, że podczas absencji premiera zdoła pchnąć prędzej naprzód sprawę swojego domku...".

I ostatni tytuł:

Za Kostrynia modli się cały Rząd — który zaczynają słowa: „W pobliżu kościoła św. Krzyża zrozumiała Stanisława, że zwyciężyła".

Dla orientacji podaję, ile stron brakuje między drukowanymi fragmentami:

Brak pierwszych dwóch stron maszynopisu autora.

Po: „Jakby go nagle wyniosło na szczyty" — brak 3 stron.

Po: „— Robię ci pewnie nowe zmartwienie, zostałem redaktorem" — brak 3 stron.

Po: „...i znowu drży nad głową Tadeusza pośród lamp elektrycznych błyszczących na bocznej ścianie restauracji" — brak 9 stron.

Po: „...jak to z tego, że święci ryby łowili w jeziorze, wynikało, aby szyb nie wybijać" — brak 1 strony.

Po: „...— zobaczysz, co za praca!" — brak 4 stron.

Po: „Też się przyczyni w końcu do formowania »epoki«, do jakiejś wypadkowej" — brak 6 stron.

Po: „...i zbiegł na dół w kilka sekund" — brak 42 stron. Włączyłyśmy tu tekst z dolnej połowy kartki (bez numeru), ponieważ wiąże się logicznie z poprzednimi fragmentami.

Po: „Może by delikatnie: »Moje uwagi«" — brak 2 stron.

Po: „...ale wewnętrznie czyż zrzuciła żałobę?!" — brak 1 strony.

Po: „Jaka odwaga, jaka śmiałość, porywczość!" — brak 19 stron.

Po: „Teraz już mówił »li tylko« w zaufaniu" — brak 3 stron.

Przed: „Psy narzeczonej na dwór kazał sprowadzać!" — brak 1 strony, rozpoczynającej rozdział.

Po: „(nadarzał ich Deptuła, mieli to umówione) wszystko znaczyło ciągle" — brak 4 stron.

Po: „...że sobie o tamtym wszystkim myśleć zakazała" — brak 7 stron.

Po: „Dlaczego ja znalazłam, skąd zdobyłam pieniądze?! Bo pracuję" — brak 18 stron.

Po: „Zastępczynię tam pani wprowadza" — brak 8 stron.

Po: „...nakłuwany ostrożnie, zagadywał kłopotami resortu" — brak 13 stron.

Po: „Cóż ci znaczą doliny, góry, wąwozy czy równiny, jeśli cię nie zajmują" — brak 2 stron.

Po: „Co ci jest? powiedz, powiedz?!" — brak 2 stron.

Po: „Odtupuje rzekomy powrót i mówi do słuchawki:" — brak 13 stron.

Po: „Nie o ojca tu chodzi. O nas" — brak 6 stron.

Po: „Nareszcie w łóżku" — brak 2 stron.

Po: „Kto był ministrem, nie może później uchodzić za łajdaka" — brak 19 stron.

Po: „...i przeszła do łazienki" — brak 13 stron.

Po: „Modelując postać premiera ratujesz pani idee chłopstwa" — brak 2 stron.

Po: „...w której blaskiem brylantu świeciła pani domu" — brak 2 stron.

Po: „Nie mogę nic zarzucić" — brak 1 strony.

Następne dwa krótkie fragmenty pochodzą z dwóch bardzo zniszczonych kart.

Po: „...że nie grałem i nie gram w życiu żadnej »roli«" — brak 2 stron.

Przed: „Czytacie wytłuszczone grubym pismem nazwiska polityków..." — brak 30 stron.

Po: „...teraz o świcie dźwiga znów tego sługę" — brak 11 stron.

Po: „...wraz z przeróżnymi drobnymi pożytkami nosił zawsze przy sobie" — brak 5 stron.

Po: „...ziewnęła po kryjomu" — brak 8 stron.

Ostatnia strona, która zachowała się, oznaczona jest liczbą 379. Nie jest to jednak zakończenie powieści.

Akcja *Jedwabnego węzła* kończyła się w czasie zamieszek majowych, podczas których (jak wynika z relacji J. Gebethnera) ginie główny bohater — Tadeusz. Ostatnia scena powieści łączyła w sobie obraz wschodzącego słońca, nowonarodzonego dziecka Tadeusza i Zuzy — kończyły ją rozmyślania leadera Mieniewskiego.

Ostatnie lata okupacji były głęboką tragedią rodziny pisarza. Zginęli wówczas dwaj synowie. Jeden w czasie akcji na placu Napoleona w czerwcu 1943 r., drugi w czasie powstania na Czerniakowie we wrześniu 1944 roku. Juliusz Kaden-Bandrowski 6 sierpnia 1944 r. został ranny w brzuch odłamkiem granatu i pozbawiony natychmiastowej pomocy lekarskiej zmarł dwa dni później, 8 sierpnia tegoż roku.

Irena Szypowska

Zakończony rozdział maślany. Lecz żeby sobie stary wojak, Tadek Mieniewski, nie pogadał z ugniecionym człowiekiem warsztatu pracy, z zacnym, biednym Kuberą?! Stróżem, ochmistrzem, duszą serowarni? Jeden wieczór i drugi przegwarzyli o niczym, czyli właśnie o wszystkim. Tyle żaru, tyle serca było w tym; nie takiego, co się trzęsie jak flak, ale jakby kto nożem ciął: nóż na nóż, szczerość na szczerość.

W serowarni, wieczorkiem, dusznym od zapachu serów, które jak ciemne głowy tkwiły na półkach wysoko aż pod sufit — istne amfiteatrum gomuł — Masz tu do kogo gadać, patrzno, jak nas słuchają! — śmiał się Tadeusz i przeskakiwał przed Kuberą z miejsca na miejsce. Na podłodze bowiem rozlana była woda gwoli odpowiedniej wilgoci dla serów.

Kubera, żółty, wymokły, zawiedziony we wszystkim, w obywatelskich, bohaterskich, małżeńskich i wszelkich sprawach, jak to Kubera: prasuje paluchami gomuły, na drugi bok przewraca, przypomina, że wszystko nic, tylko doskonałość w zawodzie, w fachu, to jedno pozostanie, tego ci nie zabiorą. Palce Ku-

bery lgną z mlaskotem do serów, a tu znów bez powodu tenże Kubera powiada niewstrzymanie o starej wierze, o Normanach, czyli tych nas!... Jak to nas gnają teraz ze wszystkich stron, jak to nas obtłukują i obijają, nas, pokolenie, które jeszcze niedawno ratowało ojczyznę.

Gadają, chodzą, nie chodzą, a brodzą w wodzie serom przychylnej, a kiedy padło słowo o obijaniu, Tadeusz woła: — Więc się przypatrzcie mnie! Serdeczny palec, którego nie ma już, uchyla się spod wglądu, a ten mały, to kuciup, co mi go na garbusa przerobili? Tak to nas obijają. Zęby, nos, palce, łydy, żebra, na wszystko przyjdzie kolej. Struli się tak raz, drugi psychicznie, a potem poszli truć się fizjologicznie. Ludzie pracujący w przetworach mlecznych muszą koniecznie popić. Popili w pewnym barze, który się tym odznaczał, że potrawy zaprawiał jednym ogólnym sosem, z listeczkami kwaśnymi, od których język kołkiem po prostu stawał.

O czymże mówić, gdy się trawiącym sosem polewa rzecz, jeżeli nie o ojczyźnie? O ojczyźnie zaczyna się od poskąpionych groszy na godziwą podwyżkę małego pracownika, kończy się zaś, że wszyscy wielcy kradną. Człowiek sam przez się nie da rady przemocy. Tu trzeba mieć oparcie. Całą sforą zagarniać, jak szczury, czyli partie. Doskonale gadało się w ogromnym zgiełku baru, tym bardziej że obok siedział jakiś gruby, wąsaty prowincjał z rudą dziewczyną, spoił ją dokumentnie, mówiła mu, że chce na stronę iść, z krzesła się podrywała, ale jej skąpił paru groszy na garderobę. Takie flirty! — O ojczyźnie. Więc partie. Gdy partie, to leaderzy. Gdzie, który i co kradnie. Właściwie chyba wszyscy. Choćby nie chcieli, muszą. Taki system. Teraz przy nowym gabinecie, przy personalnych zmianach. A tu jeszcze ten nowy traktat. Nowy traktat handlowy. Wielka przemiana. Bigda! Jego ludzie. Nazwiska leaderów każdy obywatel ma w głowie, jak nagniotki na mózgu. Bigda, Lachowski, Strzęgorz, Stachowski, Ciarach, Kos, Domański, cholera ich tam wie. Jeśli łaska Rosławski.

Tadeusz w stół uderza zdrową lewą pięścią i powiada: — A gdzieżeście podzieli wśród leaderów mojego ojca, leadera Mieniewskiego? — Patrzy w oczy Kuberze przenikliwym spojrzeniem i dodaje: — Nie lubię nieszczerości.

Jeszcze dwie wódki. Kubera prycha, bo gdzie się ma pomieścić nowy kieliszek w takim wątłym wymoczku. Ale łyka, jakby kamienie łykał, uśmiecha się i mówi: — Macie drapieżną fizys, całkiem jak stary wasz, kiedy gada z trybuny. Ja to, muszę powiedzieć, lubię. Ale gdy się śmiejecie, Mieniewski, o, jak teraz, no, to muszę powiedzieć, że tego znów nie lubię. Fałsz w tym jest.

— Nie ma fałszu — tłumaczy Tadek — możecie sobie pozwolić także o moim ojcu, bo ja za ojca mojego płacę krwią. I teraz zapłaciłem zmarnowanymi dwoma palcami. — Zwierzył się, jak to było szczegółowo: leader Mieniewski przychylał się do kompromisu z Bigdą. — No, wiecie, do cholery! Chcę przeszkodzić. Chcę dostać się do Sejmu. Po drodze auto hrabiego Lachowskiego, tłum przy aucie. Wskakuję, brat mi podbija nogi, padam, brat miażdży mi dwa palce drzwiczkami samochodu. Brat, Stanisław, dzisiejszy sekretarz pana premiera Bigdy. Tłum mnie bije, ale to jeszcze nic. Patrzcie na tego garbatego kuciupa. — Pokazał mały palec i mówił dalej śmiejąc się ptasim głosem: — Wdała się ropa w ten interes. „Trzeba paznokieć zdjąć" — powiada mi pan chirurg. Więc nożyce, potężny szpic. Wbija mi do korzenia, przeciął, a potem wam wyrywa obie połówki paznokcia, żywcem, jakby wyrywał z zawiasów drzwi. Jedną połowę, drugą.

— Nie śmiejcie się! — krzyczy Kubera.

— Muszę się śmiać. Bo tak samo trzeba postąpić teraz: nożem aż do korzenia zerwać lewą i prawą stronę, żeby od razu chrast! — Zgodzili się radośnie na ten chrast: wywalić, niby drzwi. Tylko kto ma to zrobić? Zbliżyli się do siebie, omal czołami nie zderzyli i tak dyszeli, że się drobniejsze kruszki z obrusu podrywały. Kto to zrobi? Czyż potrzeba wymieniać nazwisko? Zobaczyli je w swym rozognionym wzroku. Wiadomo kto! Zawsze ten sam: Piłsudski.

Tadeusz żachnął się: — Niech się dziad martwi sam, skoro kiedyś sam zaczął. Ja zgłaszam moją szanowną nieobecność. Posady se poszukam i nic mnie nie obchodzi. Likwidacja, mój drogi.

Za posadą kręcił się najprzód pomiędzy tak zwanymi „swoimi ludźmi". Gdy otrzyma posadę, zmieni mieszkanie, ubranie sobie sprawi i nowy, piękny raglan i rozrastać się pocznie „w powadze wpływów", jak starszy brat, Stanisław. Jeszcze przedtem do Zuzy zajdzie, do Kostryniówny, no i powie: Nie sądź mnie źle, chcę się teraz ożenić z tobą, a wiesz i tak, że kogoż mam na świecie oprócz ciebie?... Byleby ta posada! Nigdzie nic. Cóż mam zaofiarować? Umiał poprowadzić baterię, wąchać i lizać masło. A może by na geometrę?

Kubera mówi: — Nie przyjmą cię, wyleją. Wy nie możecie, Mieniewski, nigdzie pracować oficjalnie, bo wam się zaraz robota skruszy w ręku i już zaraz po mordzie, albo wy, albo was. Wy musicie mieć bezprzestrzenne zajęcie. Bez miejsca, bez przydziału prawomocnego. Jak tylko prawomocny, to już was wylewają. Taki macie życiowy skład. Pośredniczyć możecie na przykład! To możecie. Tylko gdzie, tylko w czym? Tadeusz szukał w kręgu obtłuczonych ludzi, „Normanów", dawnych wojskowych, wycirusów wojennych. Same dziady na półposadach. Potem szukał wśród wyższych, zasobniejszych, którzy jak gdyby jedną stroną do obtłuczonych przylegali, a inne swoje, polerowniejsze części na blask bogactwa czy choćby zamożności wystawiać śmiało mogli: że to niby się poświęcają dla dobrych miejsc, ażeby je zachować na wypadek pomyślniejszej przyszłości, dla szerszego ogółu.

Wstęp miał wszędzie dość łatwy, jako że legionista (kto się, gdy już minęło wszystko, nie potarł o legiony) oraz dzięki nazwisku ojca. Pałędał się tak pomiędzy ludźmi, do ważnych dyrektorów nawet dotarł, aż tu znowu pojawia się Kubera, któregoś tam wieczora w tym samym barze i powiada:

— Mam dla was myśl. Redakcja taka jest, niby demokratyczna: *Społeczeństwo*. Szukają tam akwizytorów, bo w ogóle zdychają. Więc na akwizytora przystańcie do ogłoszeń. Legitymację dostaniecie z fotografią. Kto się tam na tym zna? Legitymacja, więc już prawie redaktor. Co zarobicie, wasze. Zarobicie ogromną forsę. Z waszym nazwiskiem?! Jest co sprzedać, nazwisko bardzo dobre. Będziecie se sączyli przez to nazwisko kaloszyki, krawatki, opony czy grzebienie, mydło albo też cukier. Powiecie w jakiejś firmie czy centrali: „Jestem Mieniewski" — i już interes płynie, już sam wodę rozgarnia! Pomyślcie se, Mieniewski: nazwisko kontrastowe. Jak gdyby krzywda ludu kapitałowi miseczkę chciała trzymać, gdy się kapitałowi na mdłości lekko zbierze. Przyznajcie, że to interes...

Przed drzwiami *Społeczeństwa* w godzinach urzędowych, czyli w godzinach przyjęć, spostrzegł Tadeusz, że mu niełatwo pójdzie. Co za redakcja dzika? Nie ma dzwonka, drzwi nie zamknięte, w przedpokoju nikogo. Przedpokój

czerpie światło ze szklanych drzwi, prowadzących do komnat redakcyjnych. Tupiesz, chrząkasz — nikogo. Nasłuchujesz: chroniczna woda z dalekiego klozetu ciurka miarowym pluskiem, a jakaś inna woda gotuje się w pobliżu.

Za którym głosem iść: wody lanej czy gotowanej? Gotowany głos bliżej. Spostrzegłszy szparę elektrycznego w ścianie, uchylił drzwi do nyży, czyli raczej schowanka. Pośród szpargałów śmieci stał sobie tam człeczyna i na półeczce z gazem obok niebieskiego imbryka wycierał szklanki.

Tadeusz jak to zawsze wojskowi: w prostych pytaniach wszystkiego się dowiedzieć. A co tutaj robicie, jakże się nazywacie, zaprowadźcież do jakiejś poczekalni.

Poczekalnia: samego siebie mógłby tu człowiek nie dosłyszeć, o sobie samym zdołałby zapomnieć, taka przykra konura. Ściany aż po sam sufit wyłożone blokami gazet, z przeróżnych dat, tak zwane „zwroty". Całe miesiące czy całe lata zwrotów związane czarnym drutem. Nagłówki artykułów wielkimi literami, jeden łączy się z drugim, czytasz wzdłuż ścian od ostatniego roku ku dawniejszym, jak gdyby świat odkręcał znów z powrotem wszystkie swe wydarzenia.

Tadeusz obczytał pokój dookoła i ciągle nic, nikogo jeszcze. W pośrodku biurko damskie, z galeryjkami i z wyszarpanym suknem. Jedyne tutaj krzesło. Usiąść na nim, a zaraz mole wylatują z siedzenia. Zasłuchany w czekanie, przejęty gwałtem niespodziewanych przeczuć, Tadeusz jakby drętwiał pośród tych ścian obrzękłych. Czekał, czekał, aż oto usłyszał w papierowej ciszy wyraźny rytm swojego serca. Nie lubił, bał się słuchać natury własnej. Myśli zaczęły się układać pod ten rytm w takim sensie: że miejsce to jest dostatecznie nędzne, aby się powiązało z życiem Tadeusza, bo jego los wystrzela przecież zawsze w jakiejś przydrożnej nędzy. Takie biurko i ściany, brudne, więzienne okno.

„Tu będę pracował..."

„Wyjść stąd jak najprędzej do głównej sali". Przy biurkach i przy stołach nikogo. Na ścianach kalendarze. Telefony dzwoniły nadaremno. Zgiełk uliczny szumiał w pustych pokojach. Tadeusz obrał sobie stanowisko przy drzwiach, na których wywieszony był druczek nadobny o godzinach przyjęć naczelnego redaktora. Widać, że nic nie znaczy taki druczek. Mieniewski odczytał kilka stronic książki telefonicznej, sprawdził czystość paznokci, zbadał słoje drzewne stołu, przy którym siedział, w szklanej podstawce poprzekładał ołówki, wyczynił łódkę z kalendarzowej kartki. Nie przeszkadzano mu w tych niewinnych zajęciach. Trzy postacie, które rozsiadły się przy oknie w drugim końcu sali, nie zwracały na Mieniewskiego żadnej uwagi. Rozmawiali o wielkim świecie, polityce, jak o domowym drobnym gospodarstwie. Nie słuchał. Rzucił na czystą kartkę kilka punktów. Połączyć teraz punkty liniami prostymi. Teraz łączyć przecięcia linii. Wyrysowało się z tego coś jakby kryształ. Pod tym kryształem wykaligrafował Mieniewski starannie słowo: społeczeństwo.

Wtedy to drzwi wejściowe jęknęły i przez salę przeszli panowie dwaj, krępy człowieczek w letnim szarym palcie, z łysą, okrągłą głową, oraz drugi dżentelmen, blondyn w zieloną kratkę, istne cudo żurnalu. Tadeusz znał łysego pana chyba że osobiście. Czy nie ze swego procesu z Zagłębia? Tak, tak, były adwokat, działacz, chciał mieć interwiew z Tadeuszem zaraz po rozprawie, ale mu opowiadał o ostrygach i nie zdążył rozpocząć interwiewu. Mieniewski słyszał przez drzwi fragmenty konwersacji obu panów. Spierali się o weksle. Wobec

czego napisał pod słowem „społeczeństwo” trzy razy słowo „weksel”. Pisząc patrzył na swoją chromą rękę osiadającą nisko na bibule.

Poprawił się na krześle i wykaligrafował: „Dopiero kiedy ci urwą kawałek ręki, działaj tą ręką”. Takie tam głupstwo pisane dla samego siebie. I zaraz drugie spłoszyło mu się z pióra: „Dopiero kiedy ci powybijają zęby, możesz gadać do ludzi”. Mróz przejął Tadeusza. Jakby go nagle wyniosło na szczyty.

Pod wpływem spojrzenia Mieniewskiego oderwała Zuzanna oczy znad lektury. Spostrzegła Tadeusza nagłym rozbłyskiem źrenic spod opuszczonych powiek. Ten błysk przeniósł młodego redaktora w świat Osady Górniczej do dźwięczącego hutą domu Kostryniów.

„Zawsze mi będzie obca” — pomyślał nagle. Nie zauważył, że czerwone światło nad drzwiami zgasło. Zuzanna zerwała się od stołu, zamknęła kontakt, studio pochłonął mrok. Już była przy Mieniewskim, już mu ramię przerzuciła przez plecy. Ugrzęźli w mroku, w pół rozchylonych drzwiach szklanych, naporem owych drzwi jeszcze szczelniej do siebie przyciśnięci.

Tadeusz objął Zuzę, pełen żałości. Czuł, jak mu się zsuwają po odzieży ołówki Zuzy, jak mu trzymane przez nią arkusze szeleszczą we włosach. Ciepło objęcia, prężność, z którą Zuza zdawała się teraz wrastać, wcielać w Tadeusza, sprawiły, że pochylił się i całując ją w usta, powiedział:

— Robię ci pewnie nowe zmartwienie, zostałem redaktorem.

■

Nie słuchała tego wszystkiego, co jej opowiadał w restauracji o swych poglądach na pokolenie łysoniów i tyłowców, brzuchaczy, chamów, hrabiów, proroków, Bigdów, Lachowskich czy leaderów, ani gdy mówił o Kuberze i tych, jak ich nazwał, Normanach, swoich ludziach, wojennym pokoleniu, które teraz przyduszone kapustą... Tak by trzeba określić to całe gospodarstwo: kapusta!

Zuza patrzyła w Tadeusza uparcie.

— Nie patrz tak na mnie — obruszał się — nie daję przedstawienia, mówię szczerze, myślisz, że nie mogą mnie porwać takie sprawy?

— Patrzę i słucham.

Nie rozumiał, że dla niej to spotkanie... Jak gdyby odzyskała na nowo cały świat! Znów wiadomo, po co jest światło, woda, powietrze, ruch, dlaczego człowiek widzi i że widzi nareszcie przed sobą swoje szczęście.

Nie podobał się Kostryniównie pomysł dotyczący redakcji: — Czy ty potrafisz pisać? Zdaje mi się, że trzeba umieć pisać, aby to ludzie drukowali? — Nie rozumiała, co chce osiągnąć dzięki redaktorstwu. Posłem zostać? Nie rozumiała, dlaczego nie chce rozpocząć normalnego życia, ale po cóż myśleć o życiu, gdy się jest razem z człowiekiem, którego kocha się nad życie!

Aż jej rumieńce biły na twarz, aż jej oddechu zbrakło. Jakby ją siła uczucia przenosiła w inne wymiary, tam, gdzie się świat rozwiewa i nic już nie zostaje, i tylko jeden uśmiech tam trwa, bezgranicznie szczęśliwy, nikomu niepotrzebny, w sobie samym zaprzepaszczony drży, znów znika i znów drży nad głową Tadeusza pośród lamp elektrycznych błyszczących na bocznej ścianie restauracji.

*

Czekała, że się Tadeusz odezwie, przyjdzie. Zrozumiał chyba przecież, jak ją boleśnie dotknął. Nie przyszedł, nie dał znać. Miotał się przez te dni, jak tylko on potrafił, gdy sobie postanowił, że przeprowadzi swe zadanie. Zadanie całkiem proste: ponaciągać firmy, instytucje, monopole na ogłoszenia dla szanownego *Społeczeństwa*. Nie taka łatwa rzecz! Pędzili go ze wszystkich biur, ze wszystkich instytucji. *Społeczeństwo* miało paskudną markę, pozarywało wszystkich, akwizytorzy *Społeczeństwa* byli przeważnie (przeważnie!) zwykłymi złodziejami.

Tadeusz krążył i wyczekiwał po całych dniach między woźnymi, sekretarzami, stenografkami miotającymi się pośród rozgłosu dzwonków. Już wytworzył sobie specjalną technikę audiencjonalną. Uśmiechy: bogobojne czy rażące, towarzyskie, żołnierskie, skromne, zuchwałe, wierne; wyrobił w sobie odpowiednie szybkości przywitania: przywitanie czujne, zaufane, rubaszne, wojskowe czy światowe. Odejścia: zawiedzione, nadziejne, lekkomyślne, ponure. Wyrobił głos, od zdyszanego falsetu aż do spowiedniczego basu; nawet swą teczkę redaktorską wyćwiczył, by chrzęściła dyskretnie albo też pożądliwie. Zapuścił masłem zdarte trzewiki, aby nie skrzypiały przy subtelnych ukłonach.

Pracował telefonem z redakcji *Społeczeństwa*, celując w wolne, nieuchwytne sekundy dyrektorów, jakie fruwają luźno między jedną a drugą konferencją; pchał przed sobą rozgłos rodzinnego nazwiska, jak hucznego bałwana. Niestety! Dyrektorzy, prezesi banków, firm, monopolów, choć ciężcy znaczeniem i powagą, przeskakiwali przez rozstawione sieci Tadeusza jak zwinne, drobne pchełki.

Wysiadując dostojne poczekalnie, czytając na skórzanych fotelach glansowane bilanse towarzystw, spółek, hut, rozmaitych wytwórni, pieszcząc na sekretarskich biurkach okazyjne wyroby rzeźbiarskie czy odlewy, podziwiając oblicza wylśniałych prezesów poprawianych w grube, złociste ramy, wybębniając na redaktorskiej teczce stare marsze wojskowe, ustalił sobie Tadeusz własny regulamin akwizytorskiej żebraniny. Regulamin zależny od przysięgłego portretu, którym się chlubi dana instytucja.

Najwięcej wszędzie wisiało Bigdy. W szanownych złotych ramach wyglądał jak przysmalony podpłomyk. Pod auspicjami podpłomyka działał Mieniewski zawsze numerkiem chłopskim: wyłaniał się z drzwi uchylonych, jak baran spod przegrody. Głowę zadzierał, to znów opuszczał i bódł, trykał.

Spod przegrody wyłażę, dobrze wyłażę — sądził.

I gadał odpowiednio: mycząc, jąkając się, dysząc ulegle. Ale cóż?! Trykaj, becz, jąkaj się, dysz — oni zawsze to samo. Decyzji żadnej, tylko cię oglądają, żeby mogli, to by paluchy do gardła powsadzali, policzyliby zęby, odwinęli powieki, by sprawdzić, coś za jeden. Chociaż nic za to wszystko nie dadzą: bigdowscy ludzie, twardzi.

Pokazywał niedzielny numer *Społeczeństwa*, centymetrem odmierzał rozmiar ogłoszeń, opiewał krój literek. Popatrzyli ukośnie, z namysłu portki popodciągali i co? Jakby cię osaczyli milczeniem. Zamilkłeś przypochlebnie, aż tu mówią, że już za późno! Spieszysz się przez terminy i miejsca na zmyloną godzinę. Za późno! Ta godzina nie zgodziła się z tamtą, którą znowu ten wiedział, co tu nie przyszedł dzisiaj. I tak cię przesyłają, odsuwają, znów łapią, znów

puszczają. Do mieszkania samego pana posła przybiegłeś, dzieci otwarły drzwi, rozmawiasz z dziećmi w pospadanych pończochach, twarzyczki mają ubabrane powidłem, i tu dopiero wiadomość pewna, że masz ich spotkać gdzie indziej, w małej knajpce przy dworcu.

W knajpce przy głównym dworcu dwóch ich siedzi, jakowychś zaufanych wójtów. Oglądają cię bardzo roztropnie, bo to jest tuż przed traktatem handlowym, nic nie wiadomo z powodu zazębionych nowych interesów, nowych wpływów, nowych rugów i nowych personalii.

Gdy już dobrze wypili, patrzą na końce swych zdeptanych kamaszków i czekają twojego słowa przekupnego, siedzący nieruchomo w jasnych krawatach, a z rękami ciemnymi, aż śliskimi od potu.

Skądże miał znać Tadeusz owo słowo przekupne? Niewiele potrafił u nich wskórać, u tych bigdowskich ludzi. Bigda na portretach jak racuch ziemniaczany, a Lachowski, August hrabia Lachowski, w instytucjach oświaty wszędzie zawieszony na ścianach, blady i świątobliwy, jakby wyciśnięty na opłatku mszalnym. Brakuje, aby mu złotym sersem otoczyć siwą głowę i macie męczennika pańskiego.

Wchodził do nich Mieniewski, do tych ludzi hrabiego Lachowskiego, nie spod szablonu w postaci skudlonego barana, ale płynnym, półsennym krokiem i co prędzej zaczynał motaninę koneksji, kto z kogo, jakże to matka z domu, znał przecie ordynację, lasy, podatki, weksle, i zaległości.

Otóż te zaległości z racji społecznych świadczeń samorządowych, szkolnych albo umów fornalskich! Łapali go, dostojni panowie Lachowskiego, za zaległości te jak za guziki. Obiecywali wszystko za kilka ogłoszeniek. Za kilka ogłoszeniek niech im pana ministra Mieniewskiego, ojca, przyprowadzi, jako wołu na jarmark.

Bigda — racuch, Lachowski — kolator — na opłatku, leader Mieniewski we wszystkich instytucjach pracy przemawiający na portretach z błyskawicami w oczach. Szkło mu w źrenice powstawiali czy co?! — obruszał się Tadeusz. Pośród spraw oraz ludzi leadera krzątał się młody Mieniewski, jak kiedyś, gdy chodzili razem po rusztowaniach Domu Ludowego w Osadzie: przemykając, to znów skokami nad przepaścią, a nieustannie w błocie.

Po katastrofie Banku Robotniczego urósł leader Mieniewski w rozumieniu swych partyjników do mitycznej potęgi. Wszyscy, którzy stracili, chcieli, by ich ratował. Oddając osobliwą cześć leaderowi, oddawali się za pół ceny, za jedną czwartą przy likwidacji Banku. Najstarsi towarzysze przymilali się Tadeuszowi wspomnieniami, jak to go kiedyś na kolanach huśtali. Nie bez tego, aby nie wspomnieć incydentalnie, całkiem przelotnie, o pieniądzach Kostryniów, to jest pań Kostryniowych. Towarzysze niczego więcej nie chcą, jak tylko, by ich potraktowano przy likwidacji na równi z takimi lafiryndami kapitału. Nie znajdzie się pieniędzy dosyć? No, to posadę dajcie. Bo z czego żyć? Żyć trzeba, towarzyszu!

Jadłże tego dobrego! Kłaniał się, pocił, czekał, sekundy poczekalnianych zegarów nudą bezdenną sprawdzał, tonął u brzegu biurek, znów płynął po posadzkach w konstelacji tych trzech portretów: Bigda jak skrzepły racuch, Lachowski na opłatku, ojciec leader — cywilny cezar. Gdzieś tam w kącie, na boku, przechowują jeszcze ukruszonego dziada, patrzącego znad gardy: Piłsudskiego. Osobliwie się układały w pomyśleniu młodego Mieniewskiego te port-

rety: przed Bigdą rzygał masłem ongiś, pod Lachowskim mordował, za ojca wywalili mu zęby. Pod ukruszonym dziadem ziemię rodzoną mierzył krokiem żołnierskim, ale przegnali dziada hetmańskiego — i cóż ty, dziadu, na to?!

Dziad jest dla siebie, a ja jestem dla siebie — obruszał się Tadeusz. Każdy ma swoją drogę. Wspominał śmiałe myśli o własnych wynalazkach posadzkowych, narciarskich Włazolinach, Zaprawach, że marzył jeździć własnym samochodem po mieście. Teraz latał z wywieszonym językiem jak pies, zadeptany, upokorzony, z jedną jeszcze nadzieją: że go to świństwo wkrótce rozsadzać zacznie.

Nie rozsadzało jednak, ale truło. Wracał wówczas do Zuzy. Tak też i ona rozumiała: powraca. Zawsze będzie powracał do niej. Nie mogła tego mówić Tadeuszowi, ale czuła tę myśl wśród wszystkich swoich myśli o przyszłości, jakby to był kwiat najzwyklejszy, zarazem najpiękniejszy.

Witała Mieniewskiego radośnie, słuchała go cierpliwie, gdy opowiadał o bigdowskim układzie sił. Jakie dranie! Teraz już wie, gdy się zanurzył i ubabrał po uszy. Już to ma utrwalone w głowie, w nogach, w rękach i w całym sobie. Całe to świństwo krąży już w nim jak krew.

— Mogłabyś naciąć skórę i od razu wypłynie!

O tamtej nocy swojej nie mówili, nie wspominali. Tak jest lepiej — myślała. W tej radości pokornej, kiedy przychodził nad wieczorem, zgoniony. Częstowała go swoim jedzeniem. Bułki, wędlina, herbata, trochę świeżych owoców. Przygotowywała te kolacyjki z wielką zabiegliwością. Towarzyszyć, ochraniać kochanego człowieka, uśmierzać nagłe gniewy, ratować uniesienia.

Dawniej pożądała Tadeusza gorącem ciała, siłą mięśni, tchnieniem oddechu, niecierpliwością, która płonie i pali. Dziś do granic niemoty, zapatrzenia i zasłuchania, do granic wszystkich myśli, do samego dna uczuć, upragnieniem niewoli własnej.

Gdy ją znów kiedyś z wieczora chwycił w ramiona, sama za rękę poprowadziła go ku łóżku i oddała się sama z zamkniętymi oczami. Czegoż mogła dokonać więcej, jak pozbawić się jego widoku w upragnionej chwili?!

— Chcę wiedzieć, muszę wiedzieć, co się dzieje w twoich oczach! — domagał się.

— Nie kochasz mnie, wiem o tym — szeptała powiek nie unosząc.

Nie rozumiał tych „subtelności". Ruszał przecież na wojnę znowu. Jaką? — sam jeszcze nie wie! Pisaną czy gadaną. Nową wojnę.

— Twoje ciepło jedwabne, atłasowe sił dodaje! — Potrząsał nią, całował, odziewał się co prędzej i, jak mówił, biegł wysiadywać w redakcji nowe myśli.

Wysiadywał w redakcji *Społeczeństwa,* u siebie, w zakurzonym, bocznym pokoiku, przed biureczkiem — jakim piorunom, babom, do czego mogło służyć takie rokokowe biureczko?! Dłubał w rzeźbionych kwiatkach, a myśli uciekały. Wychodził obok do administracji *Społeczeństwa,* u pana administratora Klickiego przyuczał się, jak, co z papierem (kradli), jak robić z ekspedycją (opóźniali zawsze), a najważniejsze: lista prowincjonalnych abonentów i sympatyków pisma.

Tych sympatyków przepisywał sobie Tadeusz w nocy dla kolportażu. Przepisywał i badał psią, wyżłą intuicją: doktor, adwokat, tu zastępca starosty, tam nauczyciel, woźny, sklepikarz, geometra. Takie tam postępowe nici, z pajęczyny, ale niech się nazywa, że to bądź co bądź nici.

Przepisywanie abonentów — dobry trening pisarski. Po pierwsze — aby pisać. Niech sobie ręka biega i przyuczy się kucać, ładnie przysiadać na skulfonionym palcu. Po drugie — wrastać w to papierowe otoczenie, w skrobanie pióra pośród ciszy, ciurkanie wody dalekiej, w zabiegliwe pełganie wzroku po zakurzonych ścianach. Najważniejsze zaś: myśl, oczy, wyobraźnię przecierać, okurzać nazwiskami różnych ludzi nieznanych, którzy tam siedzą gdzieś i tkwią, żyją daleko, zacni, ufni i durni, bo nie wiedzą, jak ich zbiorową duszę ugniata tutaj kilku możnych dryblasów w spoconych, brudnych łapach.

W brudnych łapach! Taki będzie sam tytuł pierwszego artykułu. A treść? Gorzka: ludzie, nie bądźcie głupcami. Taka będzie treść rzeczywista, ma się rozumieć stosownie maskowana naukowym wywodem. Chciał z siebie wysnuć jak najlepsze perspektywy wywodu, ale usłyszał tylko rytm własnego serca. Kuło głośno, niczym w ścianę kopalni. Rozdymało mu piersi. Fala krwi przeleciała przez głowę i zbiegła w końce palców a w tych końcach, rzekłbyś — zamarzła nagle...

Nasłuchiwał uważniej: pomiędzy ścianą a zwrotami numerów *Społeczeństwa* rozległy się sypkie głosy, tupocik, bieganina, jakby kto ziarnem sypał. Myszy. Ustało. Znów biegają. Biegają dokoła, jakby i w nim biegały, tak się zespolił z tym drobniutkim rozgłosem. Aż na koniec z tego szelestu i tupotu wyskoczyło to przeświadczenie niecierpliwe, gwałtowne: bez pieniędzy, bez żadnej wiedzy, doświadczenia, ale bojownik! Bojownik nowej sprawy wzniosłej i kabotyńskiej, że krew przelać, to mało. Trzeba w tę krew kazać uwierzyć innym. Musicie mi uwierzyć, dranie!

Ani to naukowe, ani to przedmiotowe. A tymczasem musi wyglądać naukowo i przedmiotowo. Trzeba tedy obślinić toto naukowym lakierem, kleistą nudą. Wspomniał swoich dawnych belfrów, jak dyktowali na tablicy dyspozycje dla rozwinięcia przysłowia, wspomniał wszelkie wstępy do dzieł literackich, jak się zaczyna od zwykłej daty, a kończy na tym, że nikt nic nie rozumie, nawet niektóre rekolekcje przypomniał sobie, jak to z tego, że święci ryby łowili w jeziorze, wynikało, aby szyb nie wybijać.

Taki artykuł — zmagał się z sobą Tadeusz — powinien być jak człowiek: naprzód portki, potem gacie, potem dopiero gołe ciało. Jedno musi zakrywać drugie, a leżeć ma na trzecim. Tadeusz wyrysował sobie stosowny schemat, co wyglądało prawie jak szubienica. W rysunek począł wpisywać treść. Czyli główne zasady oraz myśli poboczne. Wtedy znów szubienica przeistoczyła się w bujną roślinę. Zasady wypuściły z siebie od razu jakby wąsy, to jest cieniutkie kreski, łączące z zasadami sprawy poboczne. Już po chwili zasady najeżyły się tak wielką kosmacizną, że na papierze powstała istna pajęczyna. Ta pajęczyna żłobiona ołówkiem przekształciła się niebawem w tablicę rozdzielczą. Z czarnych guzów tablicy jęły się w końcu troczyć zdania poszczególne.

Niestety! Im więcej przybywało tych zdań, tym bardziej nudził się Tadeusz. Taka to widać jest robota gryzmołów. Nudził się, ziewał, tupał na myszy, maszerował piętami pod biurkiem, ręką przykucającą wiódł po bibule, kosmyk sobie na głowie skręcał z włosów i rwał ten kosmyk i tak to trwało pisanie to ze trzy noce, w których przemaszerował po papierze od wybuchu wojny

światowej aż do obecnej chwili, dotarł do niej równym, cierpliwym pismem. Było w tym artykule wszystko, co chciał: o pracy, o żołnierzu, o ludziach, co dziś rządzą, i przed kim odpowiedzą.

Na zakończenie może by lepiej wzmocnić wszystko akcentem osobistym? Napisać o śnie, który nawiedzał Tadeusza podczas wielkich przełomów życiowych: siedzą belfry, ja zdaję, jako uczeń a zarazem oficer, nie umiem, każę strzelać baterii i wszystko rozlatuje się na drobne kawałeczki.

Nie zrozumieją! Opuścił swoją norę, przewędrował opuszczone lokale, wyszedł na balkon *Społeczeństwa,* i tu, nad ulicami, szumiącymi już miejskim świtem, ziewnął. Ziewnął chyba na całe miasto, że mu nieomal szczęka wyskoczyła ze stawów.

Tego samego dnia umówił się z Zuzanną, przygotował u siebie kolację i zabrał się do czytania swej pracy — zobaczysz, co za praca!

— Obudziłeś się, bracie?

Człowieczek śpiący na szarych mądrościach *Społeczeństwa* obudził się nareszcie. Rozwarł powieki, rozdziawił usta i wlepił nieprzytomne oczy w Mieniewskiego. Taki sobie człeczyna w zmiętoszonej koszuli, w opadających portkach, z których sterczały żylaste, bose nogi.

— Otóż widzicie — śmiał się złowrogo Tadeusz — żebyście w wojsku służył, tobyście pachniał sobie pomieszanym z żelazem, jako zawsze od broni. A tak to idzie od was pomieszane z podłogą.

Woźny wyszczerzył gębę szarą i połyskliwą, zdało się Mieniewskiemu teraz w redaktorskim polocie — gębę jak rozdeptana czcionka.

— Wstańcie sobie — poradził — i naparzcie herbaty.

— Kiedy nie ma.

— A gdzież chleb macie?

— Nie ma.

— Jak to nie ma? Kiedyście tu nakruszył, widać więc, że po chlebie?! I patrzcie, łupy widzę, obywatelu, po kiełbasie. — Tadeusz nagłym ruchem zmierzwił czuprynę owemu człowieczkowi, obalił go z powrotem na gazety i przydusił, wołając: — Nie ma, bracie? Na służbę cię przyjmuję, redakcję tu zakładam i nie masz czym ugościć nowego redaktora? A któż cię będzie żywił?

Uśmiechnął się spod pięści nowego redaktora ów redakcyjny sługus. Spod poduszki wyłoniła się zaraz kiełbasa, chleb, cukier i w papierku herbata.

— Jak się nazywacie? — spytał godnie Mieniewski.

Nazywał się Mordecki Rudolf.

— Mordecki, zrozumiałe. Ale dlaczego Rudolf? Nie szukajcie spodeczka, bo z was portki oblecą. Zjemy na tym śmietniku.

Użyli skrzynki woźnego jako stołu. Przysiedli obok w kucki. Tadek rozdzielił jadło, pierwszy krajał i brał. — Tylko żarcie, obywatelu Mordecki, bierzcie przez papier lepiej — doradzał Rudolfowi — ze względu na higienę. Jest taka rzecz na świecie, nazywa się higiena.

Mordecki Rudolf usługiwał i jadł, dowodnie zaszczycony. Tadeusz łykał herbatę i rozpytywał dobrotliwie, jak się to wszystko widzi Mordeckiemu na przyszłość. Rudolf usta otworzył i już miał odpowiedzieć, kiedy Tadeusz sam sobie odpowiedział:

— Zawsze nas wszędzie żywią takie jak wy biedaki. Rozumiecie, Mordecki? Nastaliście na nową służbę, bracie. Powiadam, bracie, ale za mordę trzymać będę, aż ha!

*

Tych parę dni do ukazania się *Głosu Sumienia!* Tu oto czeka Tadeusz w dziale widowiskowo-prasowym na załatwienie, jako że zgłosił władzy swoje wydawnictwo. Dział jak dział: biurko, dym, gołe ściany i ludzki grzyb odęty treścią rozporządzeń, urzędnik! Hałasowali u niego Tadeusz, trzej piosenkarze i trzy damy cyrkowe. To znów załatwiał Tadeusz sprawę kolportażu z Mordeckim:

— Żebyś sobie miał, mój Rudolfie kochany, nogi uchodzić po kolana, jednego dnia rozniesiesz wszędzie! I sprowadź mi chłopaków, niech sprzedają po rogach, ale muszą być dranie zuchwałe, bo z początku będą brali po skórze za ten nasz *Głos Sumienia.*

Artykuł był za duży na jeden numer. Skrócić? Za żadne skarby. Tadeusz popił z metrampażem i przemienili czcionki. Jakoś wlazło. W czwartek wieczorem przyniesiono ostatnią korektę. Papier mokry jak zmoczona pielucha, cudo! Nareszcie jest już numer. Ufać treści. Nie czytać, a czym prędzej rozesłać. Sam poroznosił *Sumienie* do kiosków, zawierając osobiste znajomości ze sprzedawcami. Sam kleił opaski na prowincję. Sam rozesłał mogołom ważnym, ojcu nie, niech sam do tego dojdzie. Panom z rządu, Bigdzie, rozlicznym Gruszkom, Kosom, Deptułom, panom z Zagłębia węglowego, panom z przeróżnych Maseł, Naft, Lokomotyw, wszystkim brzuchaczom, łysoniom, ministerialnym męczybułom. No i starym wojakom, obtłuczonym Normanom!

Rozesławszy zaczaił się w redakcji. Czekał, że przeczytają i z rozpaczy pozdychają co prędzej. Wtedy lud tu przybiegnie, lud oraz poszczególni, zacni, czuli mieszkańcy. Przychodzili, lecz nie do niego, do biblioteki, wypożyczalni książek, która powstała w dawnych lokalach *Społeczeństwa.* Co tylko łupną drzwi, Tadeusz myśli, że to do niego lud, a tymczasem nieprawda. Paniusie do czytelni.

—Wy, Mordecki, pilnujcie, czy to aby nie do nas.

Na szklanych drzwiach prowadzących do *Głosu Sumienia* wylepili z Rudolfem czarnymi tekturowymi literami: *Głos Sumienia.*

— Gdy się zjawi gość z miasta, ma tu napis, a jeszcze wy, Mordecki, drogę mu ukażcie. — Za każdym dzwonkiem zaciągał Tadeusz krawatkę na środek kołnierzyka, mankiety spod rękawów wyjawiał i już gotów.

Czekał, lecz nic z czekania. Nareszcie, nie od razu, stopniowo, zaczęły tykać telefony. Podobnie ptaszki budzą się w dzień pogodny. Jedna ptaszyna, druga, cyknie, utnie, zacichnie, znowu ćwierknie kilka i kilkanaście i już tętni, i już nie ustaje ten dźwięk.

Takim to błogim dźwiękiem wydały się Tadeuszowi telefony redakcyjne. Na razie nie mówili, co są za jedni. Czytelnik lub sympatyk. Później żądali rozmów poufnych, prywatnych, w cztery oczy. Jeszcze później wizyty, polegające, jak uważał Mieniewski, na ugniataniu się wzajemnym, żeby z siebie ból wygnieść. Żeby mógł obywatel puścić sok: Bo co?! Cham, jak Bigda, traktaty robi, Polskę sprzedaje?

Jeden z poczty, a inny „taki jeden" ze służby leśnej, tu znów profesorzyna gimnazjalny, a tu znów kolejarze. Kolejarze o węglu zaraz, gdzie, kto kradnie.

Pozaprowadzał dla nich kartoteki (kilka zeszytów szkolnych) — nie bójcie się, swój szyfr, że diabeł nie odgadnie. Świetny materiał! Ale jak go obrobić? Drugi numer *Sumienia* za dziesięć dni. Tadeuszowi włosy jeżyły się ze strachu i z radości. Tylko skąd wziąć pieniędzy na drugi numer? Pokryć się wydawnictwo nie mogło żadną miarą. Mnożył cenę jednego egzemplarza przez domniemaną sumę rozprzedaży tędy, siędy, owędy, gdy uchyliły się drzwi, wleciał przez nie spłoszony okrzyk Mordeckiego:

— Brat pana redaktora!

Wszedł Stanisław. Stanisław Mieniewski w wytwornej gabardynie, w żółtych, chrzęszczących trzewikach, niczym modny podróżnik. Ba, podróżnik, który się boi powalać, jakby tu było wszędzie świeżo malowane.

Padli sobie w objęcia. Jak Mieniewscy, u których węch odgrywa wielką rolę. Zaraz w uścisku wchłonęli woń wzajemnej aury, zaraz w uścisku z napięcia i folgowania mięśni rozeznali wolę swej serdeczności.

— Bratobójcze uściski — śmiał się Tadeusz. Nie narzekał na brata. Nie zamierzał się mścić. Ale gdy go zobaczył, jakże miał nie wypomnieć. — Dobrze mnie urządziłeś!

Na zielonym suknie, pełnym atramentowych plam, rozpostarł prawą rękę z cienistą wnęką w napiąstku na palcu serdecznym, a z małym, który bezkształtnie odstawał w bok.

Stanisław aż odskoczył: — Dlaczegoż ja?!

— Ty lub Kapuścik, wtedy, tam, w samochodzie przed sejmem. Ewentualnie obaj. Cóż mnie może obchodzić Kapuścik? Dla mnie ty.

Stanisław nie uznawał takiego stanowiska. — Trzeba sobie dokładnie przypomnieć, jak to było. Wtedy dopiero odpowiedzialność jest bezsporna.

— Mała pociecha — krzyknął Tadeusz gniewnie. — Przeleżałem w szpitalu, a operacja, bracie! Zęby to wobec tego żarty.

— Czekaj. Drobny wysiłek pamięci. Nic nie wiedziałem o szpitalu. — Stanisław był roślejszy od Tadeusza. Dawniej, w dzieciństwie, gdy się bijali, miał przewagę fizyczną. Po walce podchodził zwykle do Tadeusza, trącał go i przekonywał: — No, dajmy sobie spokój.

Tadeusz trącił teraz brata i rzekł: — No, dajmy sobie spokój. Nie ma się o co martwić.

Musieli razem zbadać, jak wygląda uszkodzona ręka. Rodzinna strata! Stanisław przerwał pierwszy badanie.

— Uczciwość przede wszystkim! Ja zatrzasnąłem drzwiczki auta Lachowskiego. — Zbladł ze wzruszenia. Przyglądając się okaleczałej dłoni głaskał ją delikatnie. — Dzika historia — powtarzał raz za razem, niejako zaskoczony, że można dokonać takiej rzeczy i nic samemu przez to nie ucierpieć.

Ale teraz jął znów Tadeusz pocieszać brata. Cóż, mimo wszystko pięść nie przestała być jeszcze niezgorszą pięścią. — Z pewnym triumfem podsunął zwinięty kułak przed oczy brata. — Nie martw się, Stachu. Gdyby trzeba uderzyć, nikt nie pozna, rozmachu nie zabraknie.

— Rozmachu? — Starszy Mieniewski spoważniał nagle. — Wiem, bardzo zamaszyste rzeczy możesz jeszcze robić tą ręką! — Wyciągnął z kieszeni gabardynowego płaszcza złożony w dziesięcioro *Głos Sumienia*. Organ ten już

w normalnym formacie wyglądał niczym świstek. Cóż dopiero złożony w dziesięcioro?!

Tadeusz nasrożył się.

— No i co? — spytał. — Jakże ci się podoba? I pokój, i redakcja? Całe to moje królestwo?

— Ty masz zawsze takie królestwa. Kulawe biurko, brudne ściany, więzienne okno, na pewno nie ustalony tytuł własności pokoju.

— Ale artykuł, co?!

— Artykuł? — Stanisław wyprztyknął *Głos Sumienia* na biurko. Papier upadł z mlaśnięciem, jak ślina wystrzyknięta przez zęby. Już znów stali naprzeciw siebie, gadając równocześnie.

— Denuncjujesz własną rodzinę!

— Piszę, co czuję, i nic mnie nie obchodzi!

— Denuncjujesz własną rodzinę, własnego ojca! — Stanisław pohamował się pierwszy. Opamiętanie to na długo pozostało w pamięci Tadeusza: twarz brata z gniewu różowa, rozjaśniona skośnym uśmiechem.

— Dajmy sobie spokój — uśmiechnął się Stanisław. — Nie podobna tutaj rozmawiać. Chodźmy na grunt neutralny.

Pojechali do restauracji, do ogródka. Usiedli niedaleko fontanny, pluskającej pośród kamiennych płyt, ocienionych drobną zielenią. Z głębi, zza jakichś kotar, dolatywała muzyczka, przebijały też światła kolorowe, spływające tęczową łuną na płyty wodotrysku. Choć jeszcze pusto było w lokalu, bracia podczas rozmowy chylili się ku sobie, by przypadkiem ktoś nie usłyszał szczerej wymiany zdań.

Wymiana zdań i przeżyć, raz po raz przerywana falą dawniejszych wspomnień. Istna gonitwa w głąb czasu i wspólnego losu rodzinnego, który w tej chwili każde słowo zdawało się rozdzierać. Rozmowa jakby w maskach: Stanisław przemawiał stylem Tadeusza, Tadeusz używał sposobów Stanisława. Bolało ich to i raniło dotkliwie, lecz nie mogli już tego odmienić. Wynikł ów sposób z chęci lepszego wytłumaczenia rzeczy, a obrażał i oddalał ich od siebie coraz gwałtowniej.

— Tylko bracia mogą się oceniać tak gruntownie — śmiał się Tadeusz nie mogąc złapać tchu.

— Bo tylko patrz — szeptał Stanisław, wyrzucając urwane zdania amerykańskim, zwartym skrótem Tadeusza — niby, że ja, kombinator i drań. Ty, uczucie. Gorycz uczucia. Ilu ludzi rujnujesz, niszczysz swoimi uczuciowymi odruchami?! Matka: byłem niedawno. Dotąd płacze, gdy wspomni twój przyjazd z Zagłębia. Później już jej nie odwiedziłeś. Ojciec: bierz od dzieciństwa — gimnazjum, awantury, wojna, od razu łapu-capu. Po co? Zapalenie płuc ojca i prawie zapalenie nerek dzięki wyjazdom starego na front, właśnie do ciebie. Zawsze to samo: królewski odruch, a kto inny ma płacić. Ty nie żyjesz, ty rwiesz. Zagłębie: chamstwo wolnościowe, zakończone usiłowaniem zastrzelenia panny z towarzystwa... A w Lachowie czy w Lachowicach ten jakiś chłopek! Kto cię z tego ratuje ostatecznie? Znowu my. Nasza pozycja, nasz układ życiowy, towarzyski. No, bo jeżeli cię nie zamknęli w więzieniu, to ze względu na ojca i dzięki jego interwencjom. Układ życiowy: nie wojskowy, lecz towarzyski. Skutek? Ojciec umotany w twoje procesy zagłębiowskie, wyczyny lachowickie. Stąd pewno jego liczenie się z Bigdami, Deptułami. Nie ma co akcentować tych nazwisk dramatycznie. Ludzie, zwyczajni ludzie. Tak samo, jak my wszyscy,

w układzie towarzyskim. Ty się nie chcesz układać! Po prostu rwiesz. Dlatego biją cię po palcach i wytłukują zęby.

Tadeusz chwycił Stanisława za rękę: — Ja rwę, a ty budujesz. Błoto na błocie. Delikatnie, równiutko. Ubranie, potem mieszkanie, potem papiery dotyczące mieszkania i ubrania. Na papier idzie papier i już jesteś powielony w papierze, który obiega, krąży, gdzie potrzeba zamula, i już jesteś prywatnym sekretarzem pana premiera Bigdy!

— Ale równocześnie zapisałem się na politechnikę i zobaczysz, że skończę!

Tadeusz spytał nagle:

— Czy to prawda, że masz się żenić z córką Bigdy?

— A czy to prawda — zatrzepotał odłożonymi na bok rękawiczkami Stanisław — żeś się miał żenić z robotnicą z kopalni?

Tadeusz nic nie odpowiedział.

— Chłopka czy robotnica? — Stanisław strzepnął palcami. — O cóż ci chodzi? Nie wszystko jedno?

Tadeusz kiwał się nad stołem, ubawiony rozmiarem tej różnicy: Lenora, a taka córka premiera Bigdy! Rozpaczliwa bezdomność Lenory i teść jak Bigda obrosły, spółki, Masło, władanie, władza, wpływy.

— Bracie — zaczął w końcu Tadeusz — powiadasz, ta jest chłopka, a ta robotnica. Że na to samo wyjdzie? — Spojrzał na Stanisława, potem na stół, który ich dzielił, jakby to była przepaść niezgłębiona. Odsunął talerz z kotletem. Szepnął: — Już mam dość.

Przeczekali, aż służący przyniesie nowe danie. Muzyczka już wezbrała dźwięcznym wigorem. Tajemnicze kotary za wodotryskiem pospadały, ukazując ukwiecone logietty. Pary się wyłoniły, tańczące modny, drobno deptany taniec. Na razie tylko parę fordanserów, wrychle także publiczność.

Nad harfokształtnym lukrem topniejącej melby tłumaczył Stanisław bratu chyba po raz ostatni — bo ileż razy gadaliśmy już o tym:

— Nie o to tutaj chodzi, że tylko Bigda może wyciągnąć twą lachowicką sprawę, spłacić Bank Robotniczy ojca, uratować pieniądze twoich pań Kostryniowych. Ja cię rozumiem: życie. Ale ty rwiesz, gdy tymczasem trzeba układać, rozgarniać i obrastać. Nie odmieniać życia samemu. Ma swoje własne drogi. Ty myślisz, żeś je popchnął naprzód, a tymczasem ono samo doszłoby tam i tak. No więc, po cóż się srożyć? Raczej wytwarzać choćby w najbliższym otoczeniu trochę harmonii, spokoju i pożytku. Pożytek twój czy spokój jest zawsze także w końcu pożytkiem czy też spokojem świata. Też się przyczyni w końcu do formowania „epoki", do jakiejś wypadkowej.

— Nie mam już sił podnosić się z własnego błota. Taka to polityka na starość.

Słabo mu się zrobiło, czy co? Wsparł czoło na piersi Tadeusza i tak dyszał zaśliniony, sapiący na szeroko rozpartych nogach. Mieniewski patrzył z góry na wielki łeb Deptuły, rozległe bary i szerokie, jak gdyby babskie biodra. Wspominał woły, zabijane w prowianturach srogiego czasu wojny. Dostanie taki wół obuchem, jeszcze nie runął na klepisko, ale już się nie broni. Rzekłbyś czeka, taka postawa bierności naprasza się o nowe, jeszcze silniejsze ciosy.

Nareszcie Deptuła odczepił się, wstrząsnął wielkimi dłońmi tuż przy ciele,

jakby miał białe pletwy, nie zaś ręce. I wyszedł ciężkim krokiem, browning zostawiwszy na biurku.

Na schodach otrząsnął się Deptuła jak psy, kiedy wyjdą z wody, potem obciągnął kamizelę, splunął i zbiegł na dół w kilka sekund.

•

Stanisław przedstawia sprawę swojej kooperatywy, gdy oto lekki chrząszczyk rozdyma się na nowo do obszernych rozmiarów pana posła Cynwajsa. Rzecze nagle:

— Z kooperatywą, panie radco, radzę poczekać. Każdy chce mieć swój domek, pewno. Myśl jest uczciwa. Czy pan czytał jednakże ostatnie numery pisemka swego brata? *Głos Sumienia*. Te ostatnie numery...

Te ostatnie numery leżały również u pana posła Dolańskiego, który zaprosił Stanisława na wieczór do swego sejmowego mieszkania: plebania postępowa, mleczko z hreczaną kaszą, chłopskie wędliny z czosnkiem, złote grzbiety encyklopedii na wszystkich ścianach, lampa z zielonym kloszem.

Dolański przedstawia Mieniewskiemu spis majątków, które pragnąłby wnieść na Radę Ministrów do parcelacji przymusowej, oraz skomplikowane kontyngenty gorzelnicze; co do niektórych ma pewne wątpliwości, chciałby wyczuć intencję drogiego Mateusza. Na dobranoc zapytuje poufnie: — Czy redaktor Mieniewski to brat pański?

Gdzie się ruszyć (Dolański twórcą iluż kooperatyw...), jakby zaraz naprzeciw domku Stanisława wyjeżdżał *Głos Sumienia* rozwścieczonego Tadeusza.

Szczęście to skromne przecież (pensja niewielka, kuzyn kumulował tę pensję w tym, co obiecał wypłacać za klejnoty, obiecał jednak procenty od obrotu w Klubie — choć nauczona doświadczeniem nie chciała nawet słuchać o procentach) zepsuł pan premier Bigda. Jednym zamachem zdeptał.

Jak to powiedział, gdy najspokojniej przeliczała zastawę: — Mnie masz pani nad sobą. Donieść, co się tu gdzie wyprawia. A nie? To do widzenia z nami. — Ten sam Bigda, o którym kiedyś w zaufaniu wspominał pan Lachowski, że ma krew pomieszaną, bo jest z tureckich jeńców, których brał do niewoli ongiś wielki hetman Lachowski. Krew pomieszana! Nigdy chłop polski nie zdobyłby się na tyle bezwzględności.

Donieść mu zawsze, co się tu gdzie wyprawia. Nie będzie donosiła. Ma przychodzić do Bigdy z donosem, jak pan Kapuścik w Osadzie do Feliksa, może jeszcze tylnymi drzwiami? Trudniejsze sprawy rozstrzygała pani dyrektorowa nie w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, lecz w katedrze Świętego Jana na Starym Mieście. Lepiej się czuła w tym kościele przestronnym, w którym powietrza więcej i wśród starych kolumnad myśl polata swobodniej.

Tu, przy drugim filarze od wejścia z prawej strony, podczas cichej mszy rannej zstąpiło na Stanisławę nowe postanowienie: nie będzie donosiła, a tylko co zobaczy godniejszego uwagi, zapisze sobie, jak gdyby prowadziła pamiętnik. Wykona pracę nakazaną przez władzę, ale niech sobie sami znajdują tę jej pracę.

Postanowiła nie cofać się z obranej drogi. Pośród zakupów, zamówień, robót

z tapicerami, stolarzami czy monterami, dyskusji z dostawcami nie zapomniała kupić stosowanego zeszytu oprawionego w skórę. Niemal że bibelot. Przeliczyła — miał 94 kartki glansowanego papieru.

Usiadłszy po południu u siebie, w pensjonacie przed biurkiem, wzięła się do roboty. Musiała wybrać tytuł dla zeszytu. Czy *Pamiętnik mój*, czy *Pamiętnik Klubu Społecznego*? Nie chciała w tym zeszycie odcieni politycznych. Może by delikatnie: *Moje uwagi.*

„Muszę mieć w tym Klubie Społecznym większą swobodę ruchów. Przyjęłam więcej służby. Przekroczyłam budżet. Gdy oznajmiłam to Kaziowi S., machnął ręką. Wierzę, że do państwowych spraw jako minister odnosi się poważniej..."

Następny dzień: „Nasi robotnicy mają złote życie. Póki wszyscy nie przejdą przez ciężką pracę w tropikalnych warunkach u Anglików albo u Francuzów, jak o tym wspominał ordynat Lachowski, który zna tamte stosunki, bo wiele tam polował — nie można mówić o solidnej pracy w naszym kraju."

Następny dzień: „Był dzisiaj u nas poseł minister Gruszka z kilku innymi posłami. Przymierzali w przedpokoju przed lustrem fraki naszych służących. Fraki i kamizele, które pozdejmowali ze służby. Bardzo się sobie podobali w tych frakach. Pan minister powiedział, że czamary byłyby stokroć lepsze... Czyż nie wie, że czamary nosili powstańcy?"

Następny dzień: „Poseł Deptuła szepcze ze służącymi, jakby byli z policji."

Nowa data: „Hrabia L. zapłacił składkę za rok. Był w towarzystwie K. S. oraz panny — Romeckiej. Biedny K. S. — szczęśliwa młodość..."

Następny dzień: „Nic godnego uwagi."

Następny dzień: „Z ważniejszych faktów — był dziś leader M. Nie wyszłam do niego. Niech mu Bóg nie pamięta. Zapłacił zwykłą składkę miesięczną. Cień przeszłości..."

Następny dzień: „Poseł minister Kos (no więc pan Kos, to jasne!) grał po południu w karty, choć Klub nie działa jeszcze. Zdaje się grają panowie ci wcale wysoko. Ale jeżeli mogą?..." (Kosa wymieniła z nazwiska. Wstrętny człowiek.)

Następny dzień: „Zdawałoby się, że życie polityczne obfituje w sekrety. Nie słyszałam dotychczas żadnych..."

Ostatnia data: „Żyjemy teraz wszyscy uroczystym otwarciem Klubu."

Bała się otwarcia, do Klubu wyjeżdżała na wieczór inauguracji jak na ścięcie. Żałobę po mężu miała zakończoną, ale wewnętrznie czyż zrzuciła żałobę?!

Panowie wyfraczeni a ordynat we fraku: przepaść różnicy. Można się zgadzać albo nie zgadzać z teorią rasy. Hrabia Lachowski był widocznym przykładem najlepszej rasowości. Zaraz ma zacząć mówić. Czeka jeszcze krótką chwilę, aż zebrani ucichną. Już ucichli.

Ordynat rusza stopą, po klasycznej nogawce prześlizgują się cienie, światła, prześlizguje się krój, sam krój dobrego tonu. Ordynat wznosi lekko prawą rękę. W długich palcach, niezdolnych zda się unieść najlżejszego ciężaru, skupił od razu czujność całego towarzystwa. Zaczął może za cicho — od tego, że elita wywodzi się niezmiennie z myśli o przyszłości. Jest przeto marzycielstwem.

Na słowie „marzycielstwo" zatrzymał się tak długo, że usłyszano tu w salonie niesforne głosy służby, rozmawiającej w szatni. Po pauzie jednak może trochę za długiej mówił znowu: Z elity zszedł na lasy. Z lasów zaraz na szkółki, ze szkółek drzewnych na szkoły dla ludu, z tych szkół zaraz do sadownictwa — do naszej cichej sprawy owocowej.

Przy sprawie owocowej może się nieco zaplątał, poruszając kwestię naszej szczerości w życiu. Niektórzy z bliższych i najbliższych słuchaczy twierdzili, że poruszył zagadnienie kradzieży. Miał dosłownie wypowiedzieć to słowo — kradzież. Szczerość, kradzież, czy też jedno i drugie, być może wcale nie dotknął tych zagadnień? Tak czy inaczej, wiadomo było jedno, po niejasnym cokolwiek epizodzie bardzo zgrabnie udało się hrabiemu przejść do starego, polskiego obyczaju, staropolskiego obyczaju, zakończonego naszym pięknym przysłowiem: — Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda.

Było to tak serdeczne, ciepłe i wzruszające, że pani Stanisława patrząc przez ramię hrabiego na wysztafirkowaną Lolę Romecką uczuła niemal ze łzami w oczach różnicę, a może nawet przepaść, jaka na wieki dzielić będzie człowieka urodzonego od człowieka — znalezionego.

Przyjęcie w gwarze rozmów, śmiechów, brzęku kieliszków rozwijało się normalnie aż do przybycia pana premiera Bigdy. Nie mogła pani Stanisława zrozumieć, jakim sposobem dowiedziano się od razu w całym Klubie, że premier już się zjawił. Jakby wiatr zmarszczył powierzchnię wody... Wystarczyło jednego powiewu. Od razu taka zmiana...

Zgiełk się zmniejszył, ludzie się podkulili, zmaleli, jakby się nagle wszyscy poczuli winni. Pani Stanisława też poczuła się winna. Postanowiła zniknąć. Zgubić się w dalszej sali przy drugim bufecie. Czy jednak nie za późno?

Bigda (zabawne, ale i przykre widowisko), jakby przedzierający się na zadnich łapach poprzez gąszcze ogromny zwierz. Przypomniał Stanisławie wydarzenie z dzieciństwa, gdy do dworu przychodzili Cyganie z burym niedźwiedziem, któremu do talerza rzucało się pieniądze. Tknięta przeczuciem, czy może tylko dla świętego spokoju, umknęła pani dyrektorowa do bocznej sali, palarni, gdzie parę dni temu rozmawiała z premierem.

Ledwie tu rozmieściła teraz sensowniej popielniczki, gdy oto znowu szum i trzask i znowu rwetes... To pan premier przedzierał się przez tłum, roztrącając wszystkich po drodze. Ludzie go otaczali, jak gdyby osaczali, panowie, panie, fraki, mundury, a premier przez nich wszystkich naprzód i ciągle naprzód.

Stanisławie zamarło serce w piersiach, bo przecież ku niej, wyraźnie ku niej przedzierał się przez tłum. Umknęła znowu dalej, stracił jej ślad. Mogła teraz obserwować Bigdę, jak sunął środkiem w długich butach, w kapocie. Rozglądał się dokoła.

Obstąpili go teraz muzycy czy malarze z nastroszonymi wysoko czuprynami. Premier skinął im głową, mówili coś pośpiesznie jeden przez drugiego, skrzywił się z obrzydzeniem, rozgarnął ich niby nadwodne trzciny i dążył dalej. Strzęgorza mając za sobą o pół kroku. Posłów swoich w kapotach czy czamarach nie przyuważał, rozstępowali się przed nim z niemałą ostrożnością. Pokiwał głową wśród otyłych prałatów, lecz pani Kostryniowa nie patrzyła już więcej w tę stronę niebezpieczną. Już przechodziła przez hall i poczekalnię do drugiego bufetu.

Dążyła tam sprężyście, cicho, lekko, którą to ciszę oraz sprężystą lekkość

odczuwała w zgięciu stopy, w sprężeniu łydki, w swobodnym ruchu ud i nawet w samym sercu. Czuła się jak po kieliszku szampana. Przerażona i uśmiechnięta, i skazana, i wolna, pełna wielkiego lęku, od którego jej oczy są na pewno niebieskie. Zostanie usunięta! Czego chce od niej to chłopisko nieokrzesane, dzikie?! Więc skądże ta wesołość, sprężystość czy też lekkość?! Już nad samą przepaścią teraz, w ostatniej chwili bawi się sama swoją własną urodą? Zgubi ją ta uroda, niepotrzebna, spóźniona.

Przebiegając przez pustą prawie czytelnię Klubu, przypomniała sobie pani dyrektorowa (kto kiedy opanuje myśl ludzką?!) kuropatwę postrzeloną przez ojca, ileż to temu lat?... Jak to ptaszyna podrywała się z bruzdy, trzepocząc skrzydełkami. Zdało się Stanisławie, że tak samo podrywa się teraz, szumiąc jedwabiem sukni.

W drzwiach czytelni natknęła się na pana generała Rzekotę. Cały w orderach, sznurach, lśnił swym marsowym czołem radośnie, triumfalnie. Wyciągnął do niej ręce, jak przystało starszemu panu, usiłującemu złapać rozpędzoną dziewczynkę.

— Ach ci żołnierze nasi — zawołała wesoło.

Nie mogła gorzej wpaść niż do tej sali bilardowej, w której kazała umieścić drugi bufet. Mieniewscy! Stanisława struchlała: Mieniewscy wszyscy trzej przy stole, w otoczeniu panów i pań, nakładających torty na talerze.

Radca Mieniewski stał obok brata i ojca blady jak ściana. Stary leader Mieniewski, krzywda nie tuczy, pomyślała pani dyrektorowa, patrząc na twarz leadera. Jakże się zmienił od czasu Banku Robotniczego! Nic prawie nie zostało z tego oblicza, dawniej tak wspaniałego. Podłużna trupia główka, obciągnięta brunatną skórą, umajona resztkami życia.

Resztki te, choć zapewne ostatnie, grały jednak w tej chwili potężnym jeszcze blaskiem. Siwe lśnienie na skroniach, błysk płynnego metalu z głębokich oczodołów, ciemna żyła od czoła aż po szyję, jakby piorunem czarnym wytężona przez twarz. Dawny leader, teraz nieomal trupia czaszka, ale spod siwych włosów jeszcze bijąca łuna.

Stary Mieniewski wyciągał rękę do młodszego ze swych synów, Tadeusza.

Kostryniowa nie mogła bez wzburzenia patrzeć na tego chłopca. Zniszczył przecież szczęście Zuzanny. Zawsze pół wariat, teraz też nie we fraku, w kusym ubranku, zarumieniony chorobliwie, uśmiechał się do ojca.

— No więc cię widzę nareszcie, drogi synu — mówił leader mięsistym głosem intymnych przemówień. Jakby tu sami byli, nie w otoczeniu dziennikarzy, artystów, posłów. Jakże wierzyła dawniej pani dyrektorowa brzmieniu tego głosu! Zapłaciła całym dorobkiem życia za to brzmienie.

— Doskonale, mój chłopcze. Jaka odwaga, jaka śmiałość, porywczość!

Czemuś tak krzyczał? Co mu się nagle stało?! Niech mdleje, ginie, drzwi się za nią zamknęły, już jest wolna. Schodziła po czerwonym chodniku, który z drugiego piętra spływał stopniami hallu aż na dół do przedsionka. Kroczyła równo, cicho, a wszystko w niej wołało: byle prędzej! Byleby jak najprędzej. Ale nie biec, broń Boże. Jeszcze powiedzą później, że go zamordowała. Szła więc równo patrząc na gobeliny porozwieszane wzdłuż ścian.

Jak gobeliny! Koloru dojrzewających śliwek. Kolor śliwek łączył się w od-

czuciu Stanisławy z czerwoną barwą prezydialnego chodnika, podobną do dywanu Kostryniów z ich mieszkania w Osadzie. Podobieństwo obu chodników zwiększyło teraz przestrach dyrektorowej. Tak samo kiedyś przecie, po schodach wyściełanych purpurowym wojłokiem zstępowała do męża, który skonał na serce w przedsionku dyrektorskiego mieszkania na hucie Katarzyna. Niechże teraz ten straszny chłop tu skończy...

Jak mogła Bigdę porównywać z Feliksem!

Rytmiczny szelest sukni uświadomił dyrektorową, że nic się jeszcze złego na górze nie stało. W westibulu zażądała, by posłano po samochodową dorożkę, potem zmieniła dyspozycję, zawróciła woźnego, poszła piechotą: swobodnie i spokojnie. Jeżeli monstrum (Bigdę miała na myśli) wygląda z okna, niech widzi: od pałacu do sztachet przeszła jak gdyby nic.

Za sztachetami, minąwszy lwy rzeźbione, czuwające przy bramach, odetchnęła w niedzielnej ciżbie Krakowskiego Przedmieścia. Ach, nie w sensie oddechu. Ta żałosna rozmowa o oddychaniu świeżym powietrzem! Stanisława na błysk sekundy zapomniała o odbytej rozmowie i całym wydarzeniu. To właśnie było błogim odetchnieniem. Niestety krótkotrwałym. Zaraz troska, niepokój, a może rzeczywiście oddadzą te czterdzieści tysięcy?

Zatrzymała taksówkę, kazała się wieźć prędko do pensjonatu. Już. Nareszcie u siebie. Uporządkować myśli. Która godzina? Koło ósmej. Niech podadzą kolację. Zsunąwszy story, przebrała się w sypialni, przeszła do gabinetu. Ni stąd ni zowąd poczuła się tu w doskonałym humorze. W srebrnych pudełkach stały na półce papierosy. Pani dyrektorowa, czego nie czyni nigdy — zapaliła.

Tak ją zastała panna służąca Genia: uśmiechniętą, w czarnej pyjamie, z dłonią ku górze uniesioną i snującą spomiędzy palców wstążkę siwego dymu.

— Pani dyrektorowa pali?

— Jak Genia widzi — palę.

— Gdy kto jest niezwyczajny — to dobre na zmartwienie.

— Nie mam wcale zmartwienia — wykrzyknęła wesoło, że aż się przestraszyła. Skąd ta płocha wesołość? Postanowiła przecież uporządkować myśli dotyczące wizyty, a tu nagle papieros i humor, i wesołość. — Palę, bo już umieram z głodu, a wy czekać każecie. — Wy, to znaczy pensjonat, zarząd, Genia. Jedna z przyczyn, dla której nie chciałaby rozstać się z tym pensjonatem, to że posiłki podawano wytwornie: obrusy, porcelana, srebro, wszystko to bez zarzutu.

Porządkowanie myśli dotyczących wizyty trwało podczas kolacji i całego wieczoru, i jeszcze późno w noc, nie wiadomo jak długo, gdyż pani Stanisława bała się zasadniczo popatrzeć na zegarek. Zobaczy która, zacznie czekać następnych godzin i w ogóle nie zaśnie. Gdybyż móc z kimś pogadać. Z kimś bliskim, z kimś z rodziny. Choćby z Kaziem Strzęgorzem! Poradzić się!!

Nie podobna mówić do siebie samej, a gdy myśleć po cichu, treść rozpełza jak mgła. Wielkie ciosy, niespodziewane wydarzenia mają to do siebie, że nie podobna opanować ich myślą. Muszą się wprzód uleżeć. Trzeba im dać tę możność: przestać się zastanawiać. Niech się w człowieku same rozgoszczą i uleżą. Pomóc im w tym kierunku.

Ażeby im dopomóc w tym kierunku, zaczęła Stanisława przebierać się. Włożyła płaszcz jesienny. W płaszczu poszła przed lustro. Leżał dobrze. Zdjęła go, włożyła suknię, którą miała podczas otwarcia Klubu. Potem znów przymie-

rzyła grubą żałobę, w której przyjechała przed rokiem do Warszawy (jakże schudła, teraz już inne noszą!) Wreszcie wdziała pyjamę.

W kąpieli (musiała się wykąpać po dzisiejszym wstrząsie), czy dlatego, że człowiek nagi czuje swoją bezbronność, czy że myśli rozsądniej, doszła do przekonania, patrząc na swoje uda (co ten Strzęgorz widzi w Lolce Romek-Romeckiej?), że czterdzieści tysięcy to pułapka. Polityczna pułapka!

Bigda awansuje ową kwotę za wydanie politycznych sekretów. Kazał przecież, aby mu donosiła o wszystkim, o czym będą mówili w Klubie. Widać, że odbywają się tam jakieś ważne sekrety, przelotne, nieuchwytne, o których ona nie wie, których nie zdołała podsłuchać czy wypatrzeć. Gdzie, kiedy, jakie, które?!

Gdyby je nawet znała... Ma donosić, a on nie angażuje się poważnie... Ileż minęło czasu między pierwszą obietnicą a ważnym dniem dzisiejszym? Czy widziała choć świstek, coś, co by było czarne na białym, mimo że sama pisała list w tej sprawie?!

Wciąga ją więc w pułapkę. Ona zdradzi sekrety, a on jej grosza nie da, jeszcze zaszczuje swymi urzędnikami. Dlaczegoż jednak wołał: — Ja się trzymam z daleka?! Mało powiedzieć: wołał! Ryczał, wył. Wstrętny człowiek. Nie człowiek, ale monstrum.

Pani dyrektorowa dawno leżała w łóżku. W łóżku tknęło ją przywidzenie obrzydliwe, szalone! Czyżby się Bigda ważył oddawać jej pieniądze dlatego, że mu się podobała zwyczajnie jako kobieta?! Kobieta pożądana przez Bigdę!!!

Spłonęła wstydem chyba od stóp do głów.

Zrzuciwszy kołdrę siadła na brzegu łóżka. Kobietą pożądaną przez Bigdę, ona! Cóż mogło być gorszego?! Zapaliła co prędzej światło, narzuciła peniuar. Uciekać w jednej chwili, ratować się, ocalić. Poradzić się z kimś bliskim! Może żadne łzy jeszcze nie piekły jej, jak spływające teraz po rozgrzanych policzkach; łzy obrażonej dumy, nazwiska, pochodzenia i kobiecej urody.

Będzie się mścił na pewno, bo Stanisława nie ugnie się przed dolarami. Naśle na nią policję, rewidować tu będą, Kapuścik, inni. Lokaje w Klubie, szeptający z Deptułą, pobiją ją. Wtuliła się w kąt łóżka, aby zasnąć. Nie porządkować więcej ciężkich i strasznych myśli!

Spała źle. Śniło się jej, że znów biją Feliksa w nadkaspijskich kopalniach. Budziła się, znów zasypiała w strachu, że się jej przyśni jeszcze nieszczęsny Coeur, jak to napadł ją wtedy w czytelni Kołłątaja w Osadzie. Zamiast Coeura przyśniła się Stanisławie dawna jej masażystka, Knothe: że masuje jej plecy, przede wszystkim zaś stopy. Niby w kąpieli, nasycającej stopy i kostki błogim ciepłem, zasnęła Kostryniowa i przespała aż do dziewiątej rano.

Obudził ją wewnętrzny nakaz: przejrzyj swoje *Uwagi*. Zeszyt ten miała schowany w podróżnej torbie, zamykanej specjalnym zamkiem. Trzeba to przewertować, sprawdzić, czy nie ma ustępów niepotrzebnych. Zasiadła do tej pracy wieczorem, już po zajęciach w Klubie. Ze szczególniejszą pilnością zabrała się dyrektorowa do tekstu, który opiewał wydarzenia do momentu rozmowy z Bigdą podczas liczenia inwentarza Klubu.

Data: „Liczenie inwentarza K.S. (bielizna stołowa, srebro) z przykrą, małą przerwą."

Gdy poddała rozwadze to zdanie, przyszła do przekonania, że termin „przykra, mała przerwa" mógłby być niewłaściwie tłumaczony! Ktoś nieświadomy

mógłby ją jeszcze posądzić o nagłe przypadłości fizjologiczne, podczas gdy właśnie od czasu śmierci Feliksa i opuszczenia Osady Górniczej, wszystkie funkcje fizjologiczne miała uregulowane jak „ptaszek na zegarku". Rozszerzyła więc wiadome zdanie:

„Liczenie inwentarza K. S. z przykrą małą przerwą: myśl o utraconym domu."

Następna data: „Ofiarowanie chleba i soli panu premierowi."

Parę dni temu zdawało się jej jeszcze, że dana osoba jest ponad wszystkim niejako, można o niej mówić zawsze oficjalnie. Dziś złudzenia rozwiane. Nie można jawnie wspominać o premierze. Szukała innej nazwy dla niego. Pisać „gospodarz"? Obrazi s oo chłop. Pisać „prezes"? Za mało. Pisać „sam rząd"? To niebezpieczne. Pisać po prostu „on"? Brzmi to zbyt romantycznie. Już jest! Pisać — „pewna ważna osoba".

Kostryniowa przekreśliła starannie w *Uwagach* i poprawiła: „Ofiarowanie chleba i soli pewnej ważnej osobie". Dalsze zdanie dawnego tekstu: „Na obiedzie był generał Rz. Co czuje Polka na widok żołnierza obrońcy".

Następna data: „Otwarcie K.S. Rano poświęcenie lokalu. Ksiądz prałat S. z nuncjatury papieskiej w otoczeniu naszych radykałów. Chodzą jak koło drapieżnego zwierzęcia. Niewłaściwe. Wiara wymaga serca!"

Przekreślić? Nie. Niech wiedzą. Za wiarę dałaby się porąbać. Nie będzie ukrywała swych najdroższych przekonań. Ten sam dzień: „Wieczorna uroczystość."

Pod tym tytułem był wolny odstęp, który należy teraz wykorzystać. Po rozlicznych skreśleniach na brulionie wpisała Kostryniowa na czysto:

„Nagabywaniem, czy z powodu gonitwy za wpływami ludzie niemiłosiernie zamęczają pewną ważną osobę." Reszta tekstu jak przedtem:

„Przemowa hrabiego L. — psalm miłości. Przyjęcie na poziomie. W przejściu sławny i piękny generał Rz. W drugim bufecie stary pan M. z synami. Duch przeszłości. Poza tym piękne stroje, jeszcze wspanialsze futra. Skąd ludzie na to mają? Dopatruję się w tym niebezpieczeństwa. Ma to sens w Anglii, we Francji, w Ameryce. W krajach asfaltu. Ale u nas, po błocie?! Najprzód dajcie nam asfalt, potem futra, choćby nawet tak drogie, jak gronostaje mojej siostrzenicy, L.R.R."

Tekst dobry, nic nie zmieniać. I nawet L.R.R.? Lolka Romek-Romecka. Napisane rzeczowo i może nawet na granicy sekretów. Zbytki, czyli wydatki. Ile, kto, na co, skąd?! Co też tam dalej idzie o zamknięciu festynu?

„poseł D.....a", wykropkowała starannie pomiędzy D i a litery nazwiska Deptuły, aby uniknąć, broń Boże, nieprzyzwoitej dwuznaczności; d-a, jeszcze by tego brakowało.

„...pił tak z dziennikarzami, że gdyby można było, należałoby chodzić w kaloszach po podłodze pokoju, w którym pili. Tak rozlewali. Grano w karty. Wedle raportów służby aż do dziesiątej rano. Kto? — wiem. Wolę nie pisać. Poseł minister Gr. miał przypadłość około 2-ej w nocy. Redaktor, młody M., nazwał go starą św. Wyszłam wówczas nie chcąc dłużej krępować gości K.S.

Tu znów był wolny odstęp dla uzupełnień, których nie poczyniła dotąd. Napisała więc teraz po poważnym namyśle:

„Sprawiło mi przyjemność, że pewna ważna osoba wyraziła się z zaufaniem o moich zdolnościach gospodarczych."

Przekonań swych nie zmieni. Znała się pod tym względem. Przez całe życie miała te same przekonania. Ale o przyjemności z powodu zaufania pewnej ważnej osoby napisać mogła i to nikomu w niczym nie uchybia. Dalej już nic politycznego w *Moich uwagach*. Kamień spadł jej z serca: niech przychodzą, niech rewidują, penetrują, myszkują.

Udając się teraz do Klubu, opuszczała pensjonat z całkowitym spokojem. Wracając z Klubu spodziewała się zastać kogoś z „ich strony". Z ich strony, strony rządu, to znaczy Bigdy, czyli podstępów, rewizji i sekretów.

Nikogo. Nikt nie był, nikt nie pytał. We środę (podwieczorek u Bigdy był w niedzielę) wyszła specjalnie po południu do kawiarni, przeświadczona, że gdy powróci, zastanie „ich" u siebie. To kawiarniane życie! Jakiż fałsz.

— Był kto do mnie? — spytała z przedpokoju i dodała, aby zmylić ślady: — Mieli przysłać kapelusz.

Nikt nie był, nikt nie pytał.

Następny dzień ogarnął Stanisławę poważnym niepokojem. Wymiarkowała z rozmów klubowych, że w Sejmie wybuchła dyskusja o traktacie. Rozindyczeni goście i przy stole głównym, i przy bocznych stolikach nie przestawali wałkować tej dyskusji, co odbijało się dość niekorzystnie i na czystości obrusów, i na porządku — mimo klubowego zakazu palili przy jedzeniu.

Wysłuchując tych rozmów doznała znowu pani Stanisława jednego z nagłych olśnień, które, chociaż pod względem siły nie mogą równać się z nocną błyskawicą jasnowidzenia, nigdy jednak nie mylą. Posłowie i politycy rozmawiali przy stole o *Głosie Sumienia* Tadeusza Mieniewskiego. Nie żałowali słów, nie żałowali najsurowszych określeń!

Jeżeli ci panowie mówią o piśmie takiego nieszczęśnika, to i wszyscy w Warszawie muszą już znać to pismo, Zuza na pewno nie zerwała znajomości z Mieniewskim. Czy nie z tej strony należałoby oczekiwać jakiegoś niespodzianego ciosu?!

Stanisława zabrała jeden numer z czytelni Klubu, aby przeczytać w domu W domu znowu nikogo. Nikt nie był, nikt nie pytał. Genia chciałaby kogoś ze służby posłać po kapelusz, lecz nie znała adresu. Piśmidło Mieniewskiego przerzuciła dyrektorowa w łóżku.

Straszne! Istny jad nienawiści! Pod datą dzisiejszą napisała w *Uwagach:*

„Nic godnego uwagi. Zakazałam w czytelni K.S. abonować wydawnictwo *Gł. S.* niejakiego redaktora M., duch przeszłości!

Dlaczegoż to wyłącznie stary pan herszt Mieniewski miałby posiadać monopol smutnej, ciemnej przeszłości?! Niech syn dzieli los ojca. Jeśli będą rewidowali, niech się dowiedzą, niech wiedzą, jak jest usposobiona politycznie. Teraz, gdy się dotknęła trochę polityki, wiedziała, jak się trzeba zabezpieczać. Brudy, sekrety i podstępy! Trzeba się trzymać od tego z daleka!

Dlaczego przyszły jej na myśl te właśnie słowa dzikiego ordynusa?... Dlatego, że przy swojej subtelności nerwowej podlegała magnetyzmowi chociażby na odległość. Jeśli ktoś o niej myśli, to ona o tym kimś. Ordynus myśli o niej, narzuca jej swe słowa. Monstrum!!!

Po niespokojnej nocy Stanisława uznała, że to się stanie dziś: przyjdą dzisiaj. Ten czy inny posłaniec, ten czy inny urzędnik, albo też samo monstrum?! Zadzwoniła do Klubu, telefonicznie wydała dyspozycje. Sama się dziś nie zjawi, gdyż czuje się niedobrze.

Znów przywdziała żałobę. Jeśli przyjdą z pieniędzmi po jej mężu, stosownie chyba będzie przyjąć ich w żałobie. Opuściła pensjonat tylko na chwilę przed obiadem, by zamówić kapelusz, o który dopytywała Genia. Zamówiła coś niedrogiego: mały, czarny, z gustownej słomki, przybrany jak najskromniej.

Nie, nikt. W domu nikogo. Nie mógł nikt przyjść. Godziny urzędowe. Po tych godzinach, między 4-tą a 5-tą zaczęło jej bić serce nowym głosem przeczucia. Tak dalece, że rozłożyła na biurku książkę: *Chłopów* Reymonta.

Teraz!! Przychodzą. Słychać głuchy huk windy. Dzwonek... Ten właśnie dzwonek — obojętny. Może nie samo monstrum. Wysłannicy?! Służba otwiera drzwi. Owszem, bardzo taktownie... Nie za prędko...

Nie, to to nikt, to nie do niej!

A przecież była pewna, że to się stanie dziś. Tak dalece, że postanowiła ukarać monstrum przebrzydłe za spóźnienie.

— Gdyby ktoś do mnie — rzekła, wychodząc nad wieczorem — Genia powie, że wrócę przed kolacją. — Mogła była powiedzieć, że za godzinę, nie uznawała jednak z zasady terminów określonych. Przed kolacją: stosownie i swobodniej.

Wyszła bez celu, ale podobała się sobie za stanowczość decyzji. Wieczór zapadał ciężki, jesienny, chmurny. Miała dwa kroki do ogrodu Saskiego. Tak pragnęła w tej chwili szumu uwiędłych liści! Bo ostatecznie — uświadomiła sobie, idąc lekko, tym samym chyba krokiem, którym uciekała przed monstrum podczas wieczoru w Klubie — obiecał dać 40 000 dolarów.

Zlitowała się nad nim: może ma dobre serce, ale cóż za chamisko?! Obiecał i tak zwleka. Przystanęła na środku dróżki. Wiatr szeleścił po zmartwiałych trawnikach, strzępił z gałęzi liście, przeganiał przez powietrze resztę krzewów i roślin. Wysokie światła lamp widniały pośród mgły, niby ogromne mlecze. Dzwonek tramwaju, przechodzącego za sztachetami ogrodu, rozdzwonił w Kostryniowej pewność najzupełniejszą: w tej chwili odniesiono do pensjonatu 40 000. W gabinecie czeka już ta osoba. Pewna ważna osoba — uśmiechnęła się Stanisława nie bez politowania.

Powracała do domu opanowana, jak wtedy, gdy złoczyńcy bili Feliksa w nadkaspijskich kopalniach, czy też jak wtedy, gdy wypadło powiedzieć premierowi: — Nieprawda, nie myślałam o pieniądzach. — Nie myślała. On myślał. Jego rzeczą dotrzymać słowa. A oto już pensjonat.

— Jest, proszę pani, u pani w gabinecie — przywitała ją Genia, spiesząc za drugim dzwonkiem telefonu.

Jest! Pani dyrektorowa ledwie że usłyszała. Przeszło ją jak iskra. Spokojna i stanowcza, uśmiechnięta, surowa, skierowała pospieszne kroki do gabinetu. W gabinecie nikogo. Brutal! Wpakował się do jej sypialni. W sypialni też nikogo. Kostryniowa zachwiała się. Zawróciła do gabinetu. Na okrągłym stoliku pod oknem stało pudełko z nowym kapeluszem. Zadzwoniła na Genię.

— Ja myślałam, że go pani przymierzy — woła Genia, ukazując pudło.

— A po cóż to przymierzać, takie tam byle co. Na kolację nic gorącego, trochę szynki.

Dopiero po odejściu Geni ogarnęła Stanisława duchową sytuację. Rozstrzygnęła natychmiast: już ani kroku dalej. Postanowiła nie ruszyć się, nie drgnąć stąd na krok jeden, dopóki nie odniosą obiecanych pieniędzy. Taka wola musi zwyciężyć. Będzie działała na odległość jak siła elektryczna.

Trzy dni, które spędziła nie opuszczając apartamentu, to dni nieporównane z niczym. Zakazała sobie objawów gniewu, zniecierpliwienia, zakazała sobie wszelkich płaczów czy żalów. Blada, skupiona (dla pensjonatu oraz dla Klubu chora), wyjątkowo grzeczna dla siebie samej trwała, jakby od jej spokoju zależało jej życie. Nie stawiała pasjansa. Nie rozgrywała nawet w myślach ryzyka swojej gry.

Żyła przez te trzy dni cicho, normalnie, „równo", w skupieniu niebywałym. Te dnie to jeszcze nic. Trudniejsze były noce. Jakże zasnąć? Oczekując na sen w pozycji nieruchomej, cierpiała. Drętwiała nawet. Gdy tylko jednak zmieni pozycję, zmieniać ją będzie ustawicznie, aż holenderskie prześcieradło zgrzyta pod nią i świszcze.

Nie ruszyć się, lepiej już liczyć. Do pięciu, do dziesięciu tysięcy. Do dziesięciu, dwudziestu. Liczyć, jakby to były rzeczywiste dolary. Ile też czasu zajmie zliczenie całych 40.000? Nie dochodziła do tej sumy, zmęczona zasypiała.

Pierwszy dzień „kwarantanny" był najuciążliwszy. Drugi kosztował, ale już nieco mniej. Trzeci zapowiadał się łatwiej. Nie myśleć tylko wcale. Toaleta, śniadanie, czytanie (ciągle *Chłopów* Reymonta), aż tu trzeciego dnia około jedenastej — telefon. W telefonie sekretarz pana ministra, Cynwajs. Że pan minister w pewnej sprawie pragnąłby się koniecznie widzieć, chciałby złożyć uszanowanie.

Kostryniowa dech w piersiach zatrzymując proponuje widzenie jutro.

— Pan minister prosiłby bardzo dziś.

Kostryniowa jest dziś zajęta, skoro jednak koniecznie, to niech już będzie dzisiaj o godzinie piątej.

Cynwajs, Mieniewski — duchy smutnej przeszłości. Stanisława opamiętała się: Cynwajs może nie mieć żadnego związku z podwieczorkiem u Bigdy. Jeśli działa na własną rękę? Duchowy wspólnik starego Mieniewskiego. Może jeszcze pieniędzy nowych chce?! Tym dwom panom zawdzięcza, że psy Romeckiej musiała wyprowadzać na spacer.

Myśl o tych wstrętnych psach — jedyne dzisiaj uchybienie wobec zasady spokoju oraz taktu. Pani dyrektorowa czuła, że pod przymusem rzekomego spokoju gdzieś z samej głębi, z samej jej duszy, niby przez ogniotrwałe drzwi, wybuchają płomienie. Opanować ten ogień! Nie dam poznać po sobie — mówiła niemal głośno, przywdziewając żałobę koło godziny piątej. Żałobę rozjaśniła odrobinę białym żabocikiem.

Punkt piąta wchodzi Cynwajs. Zasadniczo wyglądał na bankiera. Niby bankier, tymczasem raczej chyba duchowny rozmodlony, znużony. Ważni księża tak drepczą przed ołtarzem podczas śpiewanej mszy. (Diakoni wyśpiewują, a prałat drepcze i sennie kiwa głową.)

Cynwajs przywitał się i znowu się odmienia: jakby dawny przyjaciel. Zaciera dłonie, teczkę na bok odkłada. Teczka zsunęła się. Cynwajs podnosi ją pieczołowicie, zarazem mruży oczy.

Kostryniowa wskazuje teczkę domyślnym ruchem głowy: — Ważne papiery państwowe muszą mieć należytą opiekę.

— Mają bardzo troskliwą. — Cynwajs kiwa stroskaną głową, jakby nad grobem czyimś.

Genia wnosi herbatę, Kostryniowa nalewa. Pan Cynwajs musi przedtem połknąć swoją pigułkę.

— Szklaneczkę zimnej wody, panie ministrze.

Może połknąć z herbatą.

— Coś słodkiego koniecznie.

Pan Cynwajs nie je ciastek, woli zwykłe albertki.

— Znajdziemy albertki. — Z albertki rozgryzionej przez pana ministra wykruszyło się nagle zdanie, które w innych warunkach mogłoby rzeczywiście pozbawić równowagi panią dyrektorową.

— Jacyś złośliwcy opowiadają po kuluarach Sejmu, że redaktor Mieniewski z *Głosu Sumienia* atakuje dlatego były Bank Robotniczy, że ma przyobiecane od pokrzywdzonych przez ten bank dość wysokie procenty na wypadek uwzględnienia pretensji.

— Pan, panie ministrze, ma chyba bliższy i łatwiejszy dostęp do redaktora Mieniewskiego ode mnie, aby sprawdzić...

— Nie należę niestety — dobrotliwym, okrągłym ruchem zwinął się niczym kot — do pokrzywdzonych przez Bank Robotniczy. Ja jestem uśmiercony przez ten Bank.

Nic nie odpowiedziała. Czegoż chciał od niej! Któż mu kazał dać się uśmiercić?! I cóż to wszystko mogło ją obchodzić w tej chwili? Uśmierceni, czy pokrzywdzeni, na jedno to wychodzi w danym razie.

Milczeli dłuższy moment. Minister z sympatycznego kota przekształcał się w rycerza. Nalana twarz, ściągnięta nagle ostro, krzaczaste brwi zsunięte, sroga zmarszczka przez czoło. Teraz już mówił „li tylko" w zaufaniu:

Wnet skończy się liczenie.

Wspomniała rozmowę z Cynwajsem. Uczucie powinno rządzić znakami pieniężnymi, a nie racjonalizacja. Gdyby pieniądze były choć trochę sprawiedliwe i posiadały choć odrobinę serca, trzydzieści pięć tysięcy zamieniłoby się w jej rękach w trzysta pięćdziesiąt tysięcy. O jedno zero więcej. Cóż takiego wielkiego?! A jednak musi to być rzecz trudna, skoro raz jeden tylko w historii ludzkości Chrystus potrafił zamienić kilka chlebów na kilka tysięcy i parę ryb na kilkanaście tysięcy takichże samych ryb.

Przeliczywszy czterdziesty tysiąc, doznała Stanisława zawodu: niby taka ogromna suma, a już przeliczona. Z powodu takiej sumy wcale znów nie zawrotnej musiała się tak męczyć. Uczuła gniew pod samym czubkiem głowy. Gniew spływający chłodem przez serce aż do stóp.

Wszystko było nieprawdą! Grono osób? Nieprawda! Bigda kazał i już. Mógł kazać trzy dni temu, mógł rozkazać zaraz po podwieczorku. Nie chciał. Chciał ją podręczyć. Nie zapomni mu nigdy tych strasznych dni czekania. Ordynus, monstrum, chłop!

Nie myśleć o nim więcej. Pomyśleć o pieniądzach. Gdzie je schować? Co z nimi później począć? Z kim się nad tym naradzić? Ze Strzęgorzem?! Strzęgorz, Lolka, klejnoty pamiątkowe, sumka, którą Kazimierz przyobiecał wpłacać co miesiąc — obrzydliwiec!

Nie można myśleć od razu, na świeżo. Wielka radość, a prawie że niedobrze się robi człowiekowi. Kostryniowa powstała. Ma się robić niedobrze, gdy się zdołało odwojować majątek?! Rozejrzała się po gabinecie. Wszystko tu obce, przeciętne, hotelowe. Jeden tylko poczciwina parawan, wyklejony pierścion-

kami od cygar! Stary, wierny parawan. Głaszcząc rzeźbioną ramę rodzinnego sprzętu wyszeptała dyrektorowa: — Masz z powrotem pieniądze. — Łzy zakręciły się jej w oczach.

Przy parawanie stało pudełko z nowym kapeluszem, którego nie zdążyła przymierzyć podczas swej „kwarantanny" a który zamówiła dla niepoznaki, ażeby Genia miała się o co pytać. Można teraz przymierzyć. Malutki kapelusik z czarnej, subtelnej słomki.

Stanęła w nim przed lustrem. Przymierzyła. Wcale udany. Ściśle ocieniał skronie, pogłębiał oczy, pastelowe policzki pokrywał jakby puszkiem. Patrzyła długo w lustro, aby rozpoznać wyraz swych pogłębionych oczu. Ciemne, czyste źrenice, jak z drogiego kamienia. Co w nich błyszczy w tej chwili na pewno dosyć ważnej?...

Dlaczego odpinając kapelusz cofnęła się sprzed lustra? O czym myślała wracając przed parawan, aby schować kapelusz do pudełka? Dlaczego zamiast schować zatrzymała go w rękach? Jakże się mogło stać, że go rozgniotła w palcach, że go rwała na strzępy, że go mięła i darła, że sobie palce i dłonie pokrwawiła?...

Oprzytomnił ją szelest odrzuconego śmiecia. Rozszarpany kapelusz niby ptak zestrzelony czernił się w samym środku różowego dywanu.

Jeszcze tylko liścik do tego chama — pomyślała, odsuwając końcem bucika porwane szczątki — i nic mnie to nie obchodzi.

*

Psy narzeczonej na dwór kazał sprowadzać! Gospodynię z niej zrobił w Klubie!

Wstrząśnięta gniewem, zasnęła niespodzianie.

Była od rana w świetnym humorze. Śmiała się do wszystkiego, do łazienki, do mebli (był piękny dzień słoneczny, przez okna widać wszędzie różowy szron na drzewach), do Geni, do herbaty. Jedno już ustaliła: nic nie zmieniać na razie, nikomu nic nie mówić, dolary wszyć do paska od podwiązek.

Wyrwać Zuzę co prędzej ze szponów niszczycielskiej przeszłości (Mieniewscy!). Może powiedzieć o dolarach jednej, jedynej Zuzie? Klubu nie rzucać jeszcze. Bawić się raczej dwuznaczną sytuacją rzekomej gospodyni. I wysłać liścik do monstrum. Na ręce pana premiera będzie dziękować gronu osób. Czy wypada jednakże za 40 000 dolarów nie podziękować osobiście? Trzeba napisać, że aby nie utrudzać pana premiera, stara się o audiencję drogą służbową. Droga służbowa, czyli że audiencja nigdy się nie odbędzie.

Ach, gdyby mnie zobaczył — uśmiechnęła się, pisząc na herbowym papierze — że tu siedzę w negliżu. Zobaczyła się w lustrze i szepnęła do siebie z najlepszym półuśmiechem: — No, no, no!

List ten odebrał premier dopiero po południu na posiedzeniu Sejmu trwającym już od rana. Premier nie obiadował w pałacu Prezydium Rady Ministrów. Zdążył tu zjeść śniadanie. Później już siedział w Sejmie czuwając nad wzburzoną dyskusją traktatową.

Inne to było czuwanie niźli dawniej. Dawniej, nim władzę zdobył, wysiadywał te sesje gruntownie, całym sobą. Dla panów posłów z prawicy czy z lewicy znaczył każdy ruch ręki ówczesnego Bigdy, znaczyły bary raz nieruchome, to

czochrające się, znaczyło każde „spiknięcie się" z kolegą (nadarzał ich Deptuła, mieli to umówione), wszystko znaczyło ciągle.

Owionęło premiera przejmujące wspomnienie: gdy jako młody drwal, nad miarę uznojony, kończył pracę pod wieczór... Księżyc się mieszał z ostatnim blaskiem dnia, a on, dymiący potem, samotny w głuszy leśnej, marzył, że jak tu w lesie zionie potem i znojem, tak gdzieś tam w pięknym dworze tchnąca rajskim zapachem siedzi taka hrabini, kartki książki przewraca różanymi palcami.

Czemuż podłoga zatrzeszczała znienacka? Byłby tak trwał w podziwie, szczęśliwy, zapomniany... Pani dyrektorowa odwróciła spojrzenie. Chyba, że śmierć tak straszy, jak pani Kostryniowa drgnęła na jego widok. A czegoż się tak płoszyć? Powiedzieć coś, nawiązać. Biła w nim krew wzburzona, przeganiało gorąco, mieszane ze słabością. Kostryniowa powstała. Spływa po niej fałdami piękna szata wiśniowa. Bigda czepia się wzrokiem złotowiśniowych fałd, a w głowie ciszę słyszy, jakiej nie słyszał nigdy. Z tej ciszy zwierz wyskoczy... Takie głupstwa, wariacje. Powiada: — Otrzymałem list pani.

Kostryniowa spokojnie: — Dobry wieczór, panie premierze.

Dopięła swego: poczuł się obrażony i zaraz ostrożniejszy.

— Otrzymałem list pani — mówi ściszonym głosem — ale z kilku ustępów wnoszę, że jest pomiędzy nami nieporozumienie.

— Nie pojmuję, panie premierze, jakie by to miało być nieporozumienie?

Przerwał.

— Największe nieporozumienie zachodzi między nami, kiedy mi pani piszesz o audiencji drogą służbową. — Każdy sprzęt, odgłos, światło, wszystko go okradało z ich wspólnej samotności. Wszystko go okradało z kobiety tej: jak siedzi, jak na niego patrzy... Miałby do tego dodać jeszcze drogę służbową?!

— Cóż to za takie drogi służbowe, proszę pani!!

Niespodziewany okrzyk premiera sprawił, że Kostryniowa zakryła rozłożony na biurku zeszyt z *Moimi uwagami*. Mateusz podszedł bliżej.

— Pewno sporządzasz pani rachunki Klubu?

— Och, nie rachunki zwykłe! Luźne uwagi.

Bigda uniósł z bibuły biurka zeszyt i schował do przepaścistej kieszeni kapoty. — Przeczytamy to później. Przed tym wyjaśnić trzeba nieporozumienie.

Musiała się ratować! Skonfiskował uwagi! Nie zabrał, skonfiskował! Obłaskawić dzikusa! Spojrzała w piwne oczy premiera i mówi przesuwając palcami po bibule:

— Chciałabym podziękować.

Bigda żachnął się, syknął. Jak przedmioty i mury, i światła, i ozdoby, tak też podziękowania okradały go tylko z upragnionej chwili. Nie o podziękowaniach. Rozmawiać, oto czego pragnął. Aż mu piersi rozdęło, tyle słów potrzebował, tyle ich przefrunęło niespodzianych, koniecznych, ale nie wyrażonych... Gdy je myślał, pleniły się, gdy miał wysłowić, nikły. Groźny i zasępiony, powiedział nie patrząc w oczy Kostryniowej:

— Bo to jest taka rzecz...

Należało podchwycić wątek konwersacji. Jak w Klubie czy w Prezydium Rady Ministrów, lub też na podwieczorku, jak zawsze w każdej ostateczności:

od tego jest się kobietą z towarzystwa, aby umieć dopomóc prostakowi, gdy sobie rady nie daje w towarzyskim zetknięciu.

— Może szklaneczkę herbaty, panie premierze?

Stał niedaleko biurka i nic nie odpowiadał.

— Może pan zechce spocząć?

Przytakiwał, lecz nie ruszał się z miejsca.

— Może pan zechce zapalić papierosa? — Chciała się podnieść, wstrzymał ją ruchem ręki. Dodała więc uprzejmie: — Są tam, na etażerce.

Podszedł ku etażerce wolno, ciężko, z namysłem, jakby miał iść parenaście kilometrów. Nagle zaplątał się w przewody elektryczne od lampy, która stała na biurku.

Kostryniowa zawołała pośpiesznie: — Sznury, panie premierze! — Lecz było już za późno.

Lampa z biurka upadła na podłogę, znaleźli się w ciemnościach, prześwietlonych poblaskiem miasta.

— Sznury? — zachrypiał Bigda.

Słyszała, jak się starał wyplątać.

— Trzeba zapalić światło.

— Trzeba — zachrypiał z tego samego miejsca.

Czekała obrócona ku blaskom zaokiennym, bardzo już niespokojna.

— Sznury, sznury — zahuczał jej nad głową.

Przytaknęła uprzejmie.

— Sznury — wyjęczał, chwytając ją oburącz, zaciskając w ramionach tak mocno, że wypryskała w górę bez tchu prawie. Puścił, schwytał ją znowu i jeszcze raz zacisnął, jęcząc jak ranne zwierzę.

— Takie sznury, a takie... Tak, sznury, takie sznury! — jęczał coraz przeciąglej, dusząc ją coraz mocniej.

— Panie premierze!!!

Wtłaczał ją, wgniatał w siebie. — Co tam „panie premierze"! Nie ma tutaj premiera!! — Na tę samą melodię „sznurów" powtarzał o premierze, kołysząc Kostryniową. Nie śmiała się odezwać ani krzyknąć czy wyrwać. Odurzał ją oddechem, oszałamiał bliskością, kamiennym lśnieniem twarzy, ruchem całej postaci ogromnej, a nieskładnej.

Jakby się przez sen ruszał, w urzeczeniu, w widzeniu. To wznosił Stanisławę, to puszczał, to kołysał, skucząc, kwiląc żałośnie. Zdało się jej, że bodaj głowę musi uratować z tej klęski. Wytężała więc szyję i odchylała twarz, ale ją parzył w ucho rozprażonym oddechem.

Puścił. Bała się cofnąć. Śledziła ruchem oczu, co teraz zacznie czynić. Przymierzał do niej swoje ogromne dłonie. Gdyby nie strach, krzyczałaby z rozpaczy. Przymierzał do niej dłonie, nad głową i wzdłuż ramion, po bokach i wzdłuż bioder, jak to czynią rzeźbiarze, aby odczuć kształt rzeźby. Czekała nieruchoma w nadziei, że się premier nareszcie opamięta.

Dyszał nad nią coraz to mocniej. Podmuch jego oddechu czuła ciepłem na włosach. Jak wtedy, gdy wracali po oględzinach mebli w Pałacu Prezydium: opanować się tylko. Jeden wysiłek. Zdobyła się na ten wysiłek i rzekła śpiewnym głosem:

— A teraz światło sobie zaświecimy, następnie zaś...

Nie dokończyła. Rozległ się krótki zgrzyt nagłego rzutu. Premier podniósł

ją w górę i trzymając w ramionach przyciśniętą, zduszoną, niósł teraz po omacku.

Dokądże ją zanosi?! Bronić się?! Byłby zabił. Ściskał ją tak strąszliwie, że odetchnąć nie mogła. Ściskał, jęczał i dyszał, rzęziło mu w tchawicy. Jedną jej dłoń przygryzł znienacka, drugą trzymał w swym ręku. Jak zdoła drzwi otworzyć do sypialni, skąd wiedział, że to tędy?! Szedł prosto w stronę łóżka. Złożył ją na posłaniu delikatnie i cicho.

Postanowiła uciec, lecz w tej chwili poczuła na ramionach, na piersiach ręce jego ogromne i ciężkie, jak kamienie. Znów upadła na pościel. Pochylił się. Stanisława zapragnęła uchwycić przynajmniej błysk spojrzenia. Poskromić go oczami, jak się bestię poskramia!

W rozszerzonych powiekach Bigdy brakowało spojrzenia: szara lawa kamienna. Stanisława wyprężyła ramiona, stuliła mocno uda, żeby się wydobyć. Chylił się nad nią wielki, ponury, w szorstkiej, twardej odzieży. Gadał pół szeptem, nie tylko do niej, do całego jej ciała, przenosząc głowę od ramion aż ku udom, jak gdyby węsząc ofiarę poskromioną. Gadał ostrym półszeptem:

— Jeśli kto do mnie odezwie się tu teraz, to zabiję na miejscu.

Zimno objęło Stanisławę, że szczękała zębami. Nasłuchiwał tego odgłosu. Dźwięk jej zębów przenikał Mateusza niepojętym zachwytem. Co Stanisława poderwie się z pościeli, on ją przywala znowu. Aż żachnął się, położył rękę między piersi i trzyma, jak drapieżnik, gdy łapę położy na zdobyczy. Trzyma i wyczekuje, szczęśliwy, a nieufny. Czy mu jej jeszcze spod ręki nie ukradną? A to on tutaj kradnie! Kradnie, więcej niż wszystko! Kradnie sobie swe szczęście!

Przemijał ją rękami po ramionach, po piersiach — nie śmiał zabłądzić dalej. Wracał znowu, raz jeszcze delikatnie, przez suknię po ramionach i piersiach. Od tego ruchu powolnego, błogiego boki Mateuszowi zapadły z zachwytu. Aż wyczuł nagie ciało: toczony lód, zimne płomienie, od których zahuczało mu w uczach ciężkim, zwartym tętentem.

Konie! Tabuny koni! Całe piętra się walą, wali się cały świat! Każdy ruch — zysk niebiański. Znów ją porwał, zmiął, zgniótł. Nużyło Bigdę takie ogromne szczęście: przynikł do Stanisławy głową pomiędzy piersi. Przywartym mocno uchem słuchał upragnionego ciała. Od szumu tego ciała zaniewidział czy ogłuchł?! Stracił czucie na wszystko, tylko ta jedna chwila panuje mu i rządzi. Cały żyje w tej chwili!

Zaczął układać się, zagnieżdżać i rozmieszczać na puszystym posłaniu, nie zważając, że ma na sobie kapotę, odzież, buty. Jak gdyby Stanisławy nie było, choć ją trzymał za szyję. Niechby wyrzekła słowo, udusi ją! Kiedy rozkopał pościel, porwał upragnioną kobietę, aby z nią razem znaleźć przydatne miejsce. Szukał z nią tego miejsca, szumiał, szeleścił po holenderskim płótnie, wlepiał się i odrywał.

Popychał ją ku głowom szerokiego posłania, to znów pociągał na dół. Kiedy mu się wydało, że kobieta omdlewa, objął ją z całej mocy i całą mocą w zachwyceniu pochłonął.

Ledwo minęło pierwsze, już drugie nastawało i trzecie, jeszcze bliższe, straszniejsze, radośniejsze.

Aż do śmierci — tak mżyło mu w rozchybotanych myślach — aż póki razem ducha nie wyzioną, aż póki nie skonają!

Jednocześnie zaś uczył się łapczywie przynagleniem rozkosznego jej ciała. Kobieta ta! Bogini! W zapalczywości opętanej zwiedzał jej piękno tak czujnie i przytomnie, iż szepnął nalegając:

— Miałaś pani dziecko! (Skądże mógłby pamiętać teraz, że poznał kiedyś córkę Kostryniowej!)

Gdy Stanisława, ugnieciona i przerażona, westchnęła prawdomównie: — Miałam dwoje... — zalśniła w Bigdzie prawda tego wyznania niepojętą uciechą. Jak na rolę, na skibę, upadł na Stanisławę jeszcze raz całym ciężarem swoich sił niespożytych.

Gdy się ocknął, jął nasłuchiwać. Obok łóżka tykanie zegareczka. W głębi poduszek głowa Kostryniowej. Rozmodlona szlachcianka w bladej otoce włosów. Nie śmiał przyglądać się. Któraż to jest godzina? Chycnął z łóżka. Śpi — pomyślał — albo może omdlała?...

Strach obleciał premiera, pomieszany z żałością. Uklęknął obok łóżka na oba kolana, jak czynią starzy chłopi w kościele, przed ołtarzem. Ręce złożył na brzegu kołdry. Czekał, aż się Stanisława poruszy, da może jakiś znak? Spłynęła na premiera wdzięczność i strach przemożny, i żarliwa pokora: sunął dłońmi od brzegów kołdry ostrożnie, pomalutku, lecz powstrzymał ten ruch...

Wyczuł stopy. Ogarnął je zaledwie wyczuwalnym objęciem. Nie cofnęły się. Śpi. Drobne były. Palce — wydało się Mateuszowi — drobniutkie jak paciorki. Żeby też przemówiła! Dałby wszystko, co miał, za jedno dobre słowo.

Zaniemogła? Czy śpi? Zbliżył głowę ku jej złączonym stopom, wsparł na nich czoło. Czekał. Zdało mu się, żeby pół życia oddał, gdyby zechciała odtrącić go w tej chwili. Zbliżał i skłaniał głowę ku jej stopom, jak pies, kiedy węszy. Pachniały nieuchwytnie sosną, lasem czy ściółką. Napełniały jestestwo Bigdy niewstrzymaną wdzięcznością. Podniósł się z klęczek zadziwiony, spłoszony. Jeżeli nie ucieknie, zabije tę kobietę!

Wyszedł. W przedpokoju popatrzył na zegarek. Dopiero po dziesiątej. Nastroszył srogo brwi, z pensjonatu i z domu wydostał się szczęśliwie. Owiała go noc chłodna. Blask miasta, ruch przechodniów, samochodów, tramwajów. Opadło to premiera, że się zasępił bardzo. Nasrożył się i czekał. Czekał wspomnienia, które już wypływało z ciemnych głębin pamięci: Strzęgorz, Deptuła, osły! Strzęgorz to jeszcze nic, ale Deptuła! Deptuła mu ją raił, Deptuła mu ją skradnie!!! Bigda zdążał do Sejmu. W Sejmie ciemno już. Wszedł do hotelu sejmowego. Wśród woźnych srogi popłoch i gęsta dreptanina: sam pan premier!

Kazał sobie wywołać dowódcę straży marszałkowskiej, majora Kapuścika.

Pan Kapuścik, czerwono-granatowy ułan kościuszkowski, w srebrnych sznurach, pysk policyjny ze złotymi plombami.

— To pan jesteś Kapuścik? — Taki sposób: Bigda znał Kapuścika nie od dzisiaj, ale tak wielu ludzi przepuszcza wciąż przez ręce, że nie pamięta choćby nawet dość ważnych.

Pan Kapuścik melduje się sprężyście.

— Muszę z panem pogadać.

Kapuścik byłby niezmiernie zaszczycony, gdyby w jego prywatnym mieszkaniu chciał rozmawiać pan premier. Mieszkanie to jest w Sejmie, na drugim piętrze.

— Prowadź mnie pan do Sejmu.

Poszli dalekim korytarzem, łączącym hotel poselski z Sejmem. Gmach był już pusty, we wnękach pomiędzy brązowymi pomnikami marszałków czuwały nocne światła. Szli wzdłuż sali posiedzeń.

— Tu. — Bigda zatrzymał Kapuścika przed drzwiami, na których było wypisane szeroko: TAK i NIE. Drzwi głosowań. Wolał pogadać tu. W salach klubowych, czy też u Kapuścika, czy też w apartamentach rządu obawiał się podsłuchu: mikrofonu.

— Tu wejdziemy. Usiądziemy gdzie bądź. Nie ścieraj mi pan kurzu sprzed nosa (Kapuścik ścierał zapobiegliwie pulpit), wszystko, co było, wytarli popołudniową sesją. Słuchaj mnie pan. — Siedzieli w wielkim amfiteatrze. Bigda rozejrzał się, czy są istotnie sami. Świateł tu było mało, ledwie że ciemność z rzadka drżała bladym połyskiem. Ponad ławami ogrom mroków, zza których nie podobna rozeznać wielkich łuków sufitu.

Daleka lampka płonąca przy trybunie rzucała na rozmówców wątłe, niepewne światło.

— Panie Kapuścik, widzisz pan, że pamiętam. Na imię masz pan Florian. Byłeś pan komisarzem w Osadzie Górniczej. Tam pan służyłeś władzy, jak panu kazywała, i drugim, czyli kapitalistom, ile zapłacili. Mój przyjaciel, Deptuła, przeniósł pana z Zagłębia, tuś się pan trochę popętał przy donosie, no i popatrz pan sam, cośmy z pana zrobili?! — Bigda rzucił się nagle niczym rozżarty zwierz. — Żądam, żebyś mi pilnie wystawiał pana posła Deptułę.

Kapuścik powstał, zastukał obcasami.

— A jak nie, to cię zgnoję. Ja tu, panie Kapuścik, wcale nawet niedawno, kiedy to pan marszałek Stachowski panował tu nad Sejmem, a psa sobie hodował, a ten pies się rozbijał wszędzie po całym Sejmie, tom tego psa tu dopadł, w nocy, tutaj w tej sali, i tak go wyłoiłem rzemieniem, żem mało pary ostatniej z niego nie wypuścił. I pies, i pan marszałek!... Rozumiemy się dobrze?!

Krzepki, służbisty ukłon. Zapytanie: — Czy można odpowiedzieć?

Ponure przyzwolenie premiera, odpowiedź Kapuścika:

— Dla mnie, panie premierze, najwyższa władza zawsze decyduje. Poseł Deptuła... Prawda, był czas, że mi był niemal ojcem. Kochałem go i kocham.

Bigda skrzywił się brzydko. Nie lubił czułych słówek w gębie policjanta.

— Tak jest, panie premierze. — Kapuścik przyjął postawę zasadniczą. — Ale, panie premierze, ojciec, rodzona matka, matka najukochańsza nic nie znaczą wobec rozkazu.

— No to idź pan — rzekł premier — zadzwoń pan do prezydium, niech mi tu przyślą auto.

Bigda pozostał sam. Czekał teraz cierpliwie i rozparty w półmroku podziwiał swoje szczęście, wielkie, łapczywe, skradzione i zgwałcone. Nie wiedział, jak je nazwać. Jak się nazywa szczęście?

Uderzył pięścią w pulpit, oczekując, że słowo pospieszy za kułakiem. Nie mógł na nie natrafić. Uderzył drugi raz i trzeci, i dziesiąty. Walił tak coraz mocniej. Od uderzeń echa niosły przez mrok amfiteatru. Bigda ich nasłuchiwał. Jakby ktoś walił z armat.

Prawdziwie godne echa tego, co się dziś stało — pomyślał rozmarzony. Z głębi amfiteatru pojawił się Kapuścik, ledwie błyszczący w mroku świecidłami munduru. Bigda skinął mu ręką i krzyknął głośno:

— Idę!

*

Stanisław Mieniewski liczył, że podczas absencji premiera zdoła pchnąć prędzej naprzód sprawę swojego domku w kooperatywie, tymczasem już na drugi dzień zrozumiał młody radca, że jeżeli doskoczy do zagadnienia domku, to chyba tylko dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Diabli nadali tę chorobę! Dlaczegoż premier nie wyznaczył zastępcy, ministra spraw wewnętrznych, Strzęgorza? Czemu nie wydał dyspozycji na okres chorowania? — dzikie stosunki! Stanisław, choć już biorący wszystko przez pół w zakresie służby, odczuwał żal do Bigdy. Dzikie stosunki! Miał wolne wejście do szefa. Zaraz pierwszego ranka zjawił się wcześnie w apartamentach prywatnych, lecz nie został przyjęty. Został brutalnie odprawiony nieoczekiwanym wrzaskiem z głębi sypialni:

— Nikogo nie przyjmuję!

Jak na instrukcję, nie za wiele to chyba. Trzeba było radzić sobie samemu. Na długo czy na krótko? Nie mógł się Stacho Mieniewski dowiedzieć „ściśle", co premierowi dolega. Słabość jednak, choć tajemnicza, nie wróżyła nic złego. Woźny premiera wysłany po zakupy zdążył był w przejściu udzielić wiadomości: — Za przeproszeniem, robaka zalewamy.

Stacho pozwolił sobie przesłać swemu szefowi kilka leków: na wypadek migreny, niestrawności, niedomogi wątroby. Przesyłka z lekarstwami pozostała bez odpowiedzi. Ustalił tedy Stacho, już sam, dla stron: poważne przeziębienie premiera.

Strony nie chciały wierzyć. Sądziły, że to raczej choroba polityczna. Pan premier pozamawiał, a nie przyjmuje! Pierwszego dnia nieobecności Bigdy najwięcej dokuczyli Mieniewskiemu ci właśnie drobni ludzie, tak zwany „śmieć audiencjonalny". Pętało to się, tłukło i oblepiało biurka.

Jeszcze groźniejsze od śmiecia były wielkie leadery — kłody audiencjonalne, które drugiego dnia jęły się już pojawiać w kancelarii Stacha. Pierwszy Deptuła! Nie ten dawny, ubita beczka tłuszczu. Deptuła otorbiony, w czarnej alpagowej bluzie, przepoconym kołnierzu, nie zapiętej koszuli, w krawatce przekręconej aż ku obojczykowi.

Wszystkie prawie spotkania Stanisława podczas choroby Bigdy miały podejrzany charakter, ale spotkanie z Deptułą było wręcz przykre. Poseł potoczył żółtym, przekrwionym okiem, zasiadł naprzeciw biurka.

— Na długo to? — zapytał.

— Przeziębienie — westchnął Stanisław.

Cisza, wypełniona odgłosem cieczy przepływających wewnątrz organizmu Deptuły.

— Poza tym nic pan nie wie specjalnego? — Deptuła obszedł kąty gabinetu, zatrzymał się przed drzwiami mieszkania premiera i podumał. Odwróciwszy się nagle, udzielił rady: — Panie Mieniewski, polecam z głębi serca pilniej przeglądać prasę. Nie dlatego, że jestem spec od prasy, ale że się to panu przyda.

Dobrą radę Deptuły zgłębił Stanisław z racji następnych spotkań, których się namnożyło. Gdy się ministrowie zwiedzieli, że pan premier choruje, nuże maglować radcę! Mogłaż być lepsza koniunktura dla domku?! Należeli do przeróżnych spółdzielni. Kilka słów tego albo innego bonzy i spółdzielnia, w której

Stanisław ma zapewniony narożny plac i dom, nie na pięć, siedem, ale jedenaście pokojów, staje na mocnych nogach.

Cóż kiedy nie pozwolą dojść do słowa! Chodzi o dwa drobiazgi: plac i kredyt. Za nikłe to drobiazgi dla takich potentatów. Potentat *à la* Cynwajs prosi na schab do restauracji Sejmu, lecz o schabie zapomniał, traktuje radcę bezlikiem swoich wyjątkowych chorób, daje do wglądu arkusze stastystyczne na wielki kongres międzynarodowy, burczy coś o kartelach. Chciałby dlatego zrozumieć osobistą intencję premiera...

Powiedział, sapnął, usiadł, zawezwany do telefonu pobiegł lekko, już wraca, znów go wzywa telefon.

— Coś ważnego?

— Ważnego? Przemysłowcy! — Pan Cynwajs, istny chrząszczyk, zda się fruwać odstawionymi od siebie szeroko ramionami.

Stanisław przyskrzynia go, przedstawia sprawę spółdzielni, gdy oto lekki chrząszczyk rozdyma się na nowo do obszernych rozmiarów pana posła Cynwajsa. Rzecze nagle:

— Ze spółdzielnią radzę poczekać. Każdy chce mieć swój domek, pewno. Myśl jest uczciwa. Czy pan czytał jednakże pisemko swego brata? *Głos Sumienia*...

Głos Sumienia leżał również u pana posła Dolańskiego, który zaprosił Stanisława na wieczór do swego sejmowego mieszkania: plebania postępowa, mleko z hreczaną kaszą, wędliny z czosnkiem, lampa pod kloszem zielonym.

Dolański przedstawia Mieniewskiemu spis majątków, które pragnąłby wnieść na Radę Ministrów do parcelacji przymusowej, oraz skomplikowane kontyngenty gorzelnicze; co do niektórych ma pewne wątpliwości, chciałby wyczuć intencje szanownego premiera.

Na dobranoc zapytuje poufnie: — Czy redaktor Mieniewski to brat pański?

Gdzie się ruszyć (Dolański twórcą iluż kooperatyw!) jakby naprzeciw domku Stanisława wyjeżdżał *Głos Sumienia* rozwścieczonego Tadka, niby czołg ogniem i gazami zionący.

Wieczór z księciem Rosławskim. Tereny Rosławskiego miała na widoku spółdzielnia, której Stach patronował. Wieczór z księciem w hotelu „Patria", pyszne jedzenie — ta Hiszpanka tańczy tu jeszcze, niestety uda trochę kosmate, góra wspaniała. Wyborne wina. Stanisław uczy się pilnie win, trzeba umieć i to.

Rosławski gotów pogadać z miastem, kwestię książęcego lasu, który się wżyna w tereny spółdzielni, dałoby się załatwić, chociaż podmiejskie lasy nie podlegają wyrębowi. — Ale ludzie będą się bali rozmawiać z panem jako Mieniewskiem, Mieniewscy musicie wcześniej czy później skręcić kark...

— Rodzony pański brat? Proszę koniecznie przeczytać pismo brata.

Stanisław przyobiecał przeczytać zaraz jutro, cóż kiedy znowu od rana ten sam młyn, później śniadanie u Lachowskich: sam biskup Bokaniewicz, księża, profesorowie. Obrabiali reformę szkolną. Hrabia Lachowski opowiadał szeroko o nowym typie liter (od liter trzeba zaczynać, naturalnie, od podstaw).

Według rozumienia Stanisława usiłowali wtłoczyć przywilej stanowy do szkolnictwa, odciąć chłopa od szkoły średniej, wziąć w ręce organizację zawodową nauczycielstwa. Przy czarnej kawie (cygar uczyć się też) Lachowski rozwija swe poglądy na traktat, wzywa z drugiego końca palarni pana Strzęgorza — wszystkie przemysły ordynacji zostaną teraz zrujnowane traktatem Bigdy.

Ta stara ordynacja! O obyczajach rodzinnych, polskich, dworskich. I już o Tadeuszu: mógł się wyrobić, bo służył w ordynacji w straży leśnej. — Miał tam przykry wypadek — zastrzelił mi człowieka.

— Zapłaciłem rodzinie — mówi hrabia — chłopów się urobiło do rozprawy sądowej, ale to wisi nad Mieniewskimi, ach, ta szlachta. Socjaliści, nie-socjaliści, ale to jednak szlachta! Pogadajcie sobie o tym we dwóch z panem (hrabia nie dodawał „ministrem") Strzęgorzem.

Pogadali. Cały wieczór spędził Stanisław ze Strzęgorzem, narzeczoną jego, panną Romek-Romecką, i z generałem Rzekotą.

— Panie Stanisławie — promieniał Strzęgorz — oczywiście, matrymonialne formalności nie załatwione, więc my we dwoje wciąż jeszcze jak ptaki na gałęzi, ale kiedy załatwić przy tylu innych zajęciach? Kiedy?!

Stanisław przeczytał już był numery *Sumienia*. Atak prowadzony przez Tadka przekraczał miarę. *Głos Sumienia* szarpał ministrów, postacie świata finansowego, przemysłowego. Zdziwiła Stanisława dokładność informacji: wszystko, co podejrzewał lub co wiedział poufnie, Tadek „wyflaczał" bez żadnej ceremonii.

O znakomitym księciu Rosławskim w odorze afery silnikowej, o Cynwajsie umotanym w kartele, o Deptule, który jak gdyby tumor paraliżujący niszczył swobodę słowa, o Lachowskim, burzycielu rodzinnego szkolnictwa, o leaderze Mieniewskim. O ojcu nie chciał Stanisław czytać.

Siedzieli w teatrze, w loży, ze Strzęgorzem, z Lolką i wspaniałym Rzekotą. Z tychże samych Rzekotów, wiadomo, ród hetmański. Na scenie szastał się amant podstarzały w hiszpańskim przebraniu i pod płóciennym murem przy papierowych kwiatach tokował do omączonej, złotowłosej księżniczki. Strzęgorz pogryzał szeleszczącego Wedla, panna Romecka w pięciokrotnych niebieskich lisach płakała ze wzruszenia, generał patrzył na scenę z obrzydzeniem.

W teatralnym półmroku, w fałszywym rytmie wezbranego patosu myślał Stanisław z dojmującą uciechą o *Głosie Sumienia*. Tadek ma słuszność, lecz ze złej strony podchodzi. Czyż istotnie tak się ułoży wszystko, że walczyć będą ze sobą?! Dotąd się omijali. Czy dojdzie aż do walki?...

Zapłakana Romecka nie mogła czekać do końca przedstawienia, do śmierci Don Juana. Za dużo miała w sobie wiary i entuzjazmu (zdaniem Strzegorza), aby wizję sceniczną traktować nie na serio.

Opuścili dyskretnie teatr (wedle Rzekoty przybytek rozmiękczania charakterów żołnierskich), przejechali potężną limuzyną (w której panna Romecka miała ulubiony swój kącik) do „mieszkanka" Romeckiej.

Stół, fatałach, strzelba i mechanika, oto wnętrze mieszkanka. Stół, wszechprzytomny, błyszczący pogotowiem, tackami, bateriami butelek, zakąskami, koszyczkami słodyczy, aż po najdalsze kąty; fatałach atłasowy, jedwabny, perski, chiński, japoński, serwetkowy, pieniący się powszędy; mechanika skomplikowana, światła boczne z sufitu tchnące porami murów; zsuwane drzwi i łączone pokoje, i muzyka, która już sama sobie umie przewracać płyty.

Więcej jednak niż stołu i mechaniki było polowania. Trzeba się tego także jak najprędzej nauczyć — stwierdził Stanisław.

Całe ściany jeżyły się rogami. Wypchane ptactwo trwało nad podobiznami lśniących przodków Strzęgorza, ponure mordy dzików szczerzyły się złowrogo

spośród saskich talerzy. Panna Romecka, czekając aż podadzą kolację, trzymała stopy na olbrzymim niedźwiedziu, na łbie.

Kolacja z ceremonią, z mechaniką naczynia oraz potraw pojawiających się przez tajemne otwory w ścianach; z wymawianiem roczników win (przy każdym wymówieniu wybuchała Romecka śmiechem — bo to tak jest, jakbyśmy gościom naszym wymawiali te wina); ze zmienianiem koronkowych serwetek, ze służącym we fraku (Stanisław podejrzewał, że to jest jeden z woźnych ministerstwa) i z dyskusją, którą zupełnie mimo woli rozpętała Romecka.

Wyraziła gorący podziw dla pochodzenia generała Rzekoty. Sama była z dawnych powstańców, ale cóż tam powstańcy wobec dawnych rycerzy? Czy to nie męczy pamiętać swoich przodków aż do czasów pogaństwa?! Bo przecież w starych rodach, jak np. Rzekoci (tak była powiedziała, jakby od słowa Rzekot), pamięta się to wszystko.

— Odliczmy nawet pośród wielu pokoleń kilka chociażby matek, które sobie brykały raz czy drugi na lewo.

Strzęgorz chciał zatuszować, Rzekota nie pozwolił.

— Które sobie bryknęły, to i tak będzie jeszcze na ogół ciągle ta sama krew.

— Krew, otóż właśnie, krew. Ta krew pozwala sądzić wypadki z góry.

— Z jakiej znów góry?! — Wybucha Lolka śmiechem.

— Z góry wiekowego doświadczenia. — Z tej góry wypowiedział generał o prawdziwej arystokracji i nieprawdziwej srogi monolog, który zakończył przeciw uzurpatorom. Nie z pierza i nie z mięsa, krótko mówiąc Piłsudski, który chociaż od władzy odsunięty, jeszcze swym cieniem płoszy i ciągle straszy ludzi.

Sprawa ta dawno gnębiła Stanisława. Nie umiał jej rozwiązać. Na szczęście po deserze przeciągnęła się panna Romecka, wyklepała Kaziczka po jego biednej buzi, zawołała do Stanisława: — Zabawny ten mój Kazik — zabrała generała na partyjkę 66. Strzęgorz z Mieniewskim przeszli do gabinetu: cygarka, czarna kawa, ani jednego słowa o Piłsudskim, rozmowa wciąż potoczna.

Strzęgorz sprytniejszy był od innych. Zahaczył tylko o elewatory zbożowe, zahaczył o kierunek intencji premiera, których my, dalej stojący, możemy nie rozumieć — lecz więcej nie naciskał.

Chodziło mu o sprawy mniejsze, lecz intymniejsze. Od słowa „intymniejsze" jeszcze milszym się stał, jeszcze płynniejszym, połyskliwszym, pieściwszym. Z taką to wdzięczną swadą wyłuszczył, o co chodzi:

— Cała prasa, mniej więcej, jest jakoś urobiona. Pański brat, pan Tadeusz, musi zaprzestać wydawania gazety. Albo się pan tym zajmie, albo my się zajmiemy. Pański brat brał pieniądze od dyrektora Kostrynia, proponował mu jakąś dwuznaczną spółkę. Był na żołdzie kapitalistów. Nie ja, mówią to socjaliści z Osady Górniczej: był na żołdzie Rady Kopalń i Hut, służył tam za frotera. Czy pan wie, że w pewnych rękach znajdują się odnośne zdjęcia? Równocześnie posiadał związki z komunistami. Wykorzystywał jakąś górniczkę, którą popchnął do zbrodni. Brata owej górniczki brat pański podczas słynnej katastrofy w Osadzie zepchnął z pomostu, aby samemu się ocalić.

— Panie ministrze!

— To nie ja mówię, socjaliści. Rewizja zagłębiowskiego procesu zawsze jeszcze możliwa. Brat pański lubi strzelać. Nie do dzików czy głuszców, do ludzi lubi strzelać. Strzelał do Kostryniówny (moja kuzynka), zastrzelił czło-

wieka w ordynacji, gdzie służył w straży leśnej. Proces ten idzie jeszcze przez instancje. Krótko: ja odpowiadam przed premierem za swój resort. Albo te sprawy załatwicie pomiędzy sobą, w rodzinie, albo będę zmuszony...

— Nie będzie pan zmuszony.— Stanisław przyznał, że sprawa Tadeusza jest znacznie poważniejsza, niżby można przypuszczać, ale ma inne tło. Tu należy przede wszystkim podejść od strony...

Strzęgorz, że tak, w życiu publicznym kroczy się ciągle jakby po ostrzu brzytwy. O ileż łatwiej gubić kanty zbyt ostre w umiarkowaniu tła... *A propos* ostrzy wyłuszczył Stanisławowi ciekawą osobliwość dolnych kłów — ukazał je na ścianie — czyli tzw. szabel dzika.

— Cud natury, cud życia! Najostrzejsza żyletka angielska jest tępa w porównaniu z ostrością takich szabel. Dzik w pasji, szczękając żuchwami, ostrzy swe szable sam. Jeszcze w godzinę po rozłożeniu zwierza niech pan bibułkę przeciągnie po szablach, zobaczy pan, rozetną. Ale już następnego dnia tracą ostrość, no bo już dzik nie kłapie nieustannie żuchwami. Cud natury, potęga śmierci. Śmierć rozbraja jak nikt.

Nie spodziewał się radca Mieniewski tak wzniosłych przypowieści po Strzęgorzu. Rozstali się w uśmiechach, przechodząc przez pokoje spłoszyli pannę Romecką, która w nocnym negliżu wyjadała kompot z salaterki. Stanisław podziękował za samochód, wolał się przejść przed snem. Wracał pod szumiącymi drzewami Alei Ujazdowskich, pogrążony w głębokim rozmyślaniu.

Gdzież jest prawda o ludziach, wydarzeniach? Jeśli Tadek wygląda w ujęciu dawnych przyjaciół, jak wygląda (biedny, szlachetny Tadek), to cóż się wie o bliźnich? Co się wzajemnie może wiedzieć o sobie, granicę prawdy, kłamstwa jakże łatwo zaciera praktyka codzienności. Wszyscy kłamią. Lecz będą przysięgali, że nie kłamią. Jak zniszczyć w nich, może i w sobie samym, kłamstwo? Czaszki im pootwierać i powtykać do mózgów ziarenka prawdy, niekłamanej, prawdziwej? Skoro nie mogą uznać, że ta jest prawda prawdziwa, a nie inna? Jakże zmienić ich wolę?

Biedny, szlachetny Tadek, drogi, burzliwy głuptak, narażał życie, stracił zęby, palec u ręki, mordował siebie, drugich, usiłując ulepszyć, odmienić wolę własną, otoczenia, wydarzeń. Stanisław przyrzekł sobie pogadać z bratem. Ileż to razy jednak rozmawiali na te tematy, a zawsze bez wyniku?! To nie kwestia przekonań — sądził, mijając kościół świętego Aleksandra — odmienna aura duszy.

Wielka kopuła kościoła zdawała się rozpływać w tle nocnej łuny. Podejść od strony tła — Stanisław wspomniał swój motyw obrony Tadeusza przed Strzęgorzem. Bracia... Obaj szukali tego samego: zgody z sumieniem. Zadziwił Stanisława szczególny wdzięk ich braterskiej niezgody. Co Tadeusz rozpalał do czerwoności, do stanów ogniopłynnych, ogniolotnych, to on, Stanisław, zamrażał konsekwentnie, ażeby wynik uczynić tym pewniejszym.

Wspomniał, jak kiedyś tłumaczył bratu „swoją metodę". Jej etapy, etapy dorabiania się, co za tym idzie — przyszłej władzy. Zdobyć ubranie, mieszkanie, własny dom, ziemię dokoła domu, dowody na tę ziemię i dom, czyli papiery posiadania. Symbole te (renty, procenty, hipoteki) puścić rozumnie w ruch. Zdobywać coraz więcej ciężaru gatunkowego.

Im więcej zyska ciężaru i im prędzej, tym wcześniej ludzie przyjdą, sami poproszą, aby ich uspokoić, ugnieść owym ciężarem. Czyż ze spokojem i pokorą

nie wrastał w układ drapieżnych a obcych ludzi?! Jeśli ich zmiecie siła wypadków, czyż w charakterze normy, wiedzy o wszystkich sprawach, jakie załatwiali, nie nada się najlepiej nowym, bliskim Tadeuszowi ludziom, którzy zmiotą z powierzchni życia dzisiejszych władców?!

Dzisiejsi czy wczorajsi, czy jutrzejsi, cóż oni wzajem wiedzą o sobie? Tyle, co mówią donosy Strzęgorza o Tadeuszu. Stronom walczącym brak ofiarnego spokoju, jakim celuje skromny radca Mieniewski. Ileż to wyrzeczenia, ileż skromności, rozumu i powagi kryje się w wyrównanej postawie Stanisława, tak zwanego szarego urzędnika?!

Postanowił, przejęty współczuciem dla brata, porozumieć się z Bigdą. Raz jeszcze, ostatecznie. Może sobie pozwolić na to. Stare chłopisko chce koniecznie wydać córkę za pana, za szlachcica. Będzie miał tego szlachcica, ale musi mu pomóc...

Roczne, dwuroczne stypendium, jedź sobie Tadek do Paryża, do szkoły nauk politycznych. Rwałeś się w świat z wynalazkami, Włazolinem, Zaprawą, jedź teraz po naukę. Radca Mieniewski doszedł do pałacu Rady Ministrów. Znał tutaj wszystkie okna, gdzie się u kogo świeci. W głębi dziedzińca ciężka, równa fasada ogromnego budynku zasłaniała widnokrąg. Bigda mieszka od strony Wisły. Byłoby jednak widać światło na korytarzach. Chyba śpi. Wszędzie ciemno. Naprzeciw przez ulicę jaśniał hotel „Patria". Pomyśleć głębiej nad rozwiązaniem sprawy ożenku z Bigdzianką, zastanowić się jeszcze nad nieszczęśliwą aferą Tadeusza postanowił Stanisław w ramionach Haneczki z hotelu „Patria".

„Będziesz miał swego szlachcica, lecz musisz się potrudzić" — uznał radca Mieniewski zasypiając nad ranem w pałacu Prezydium na IV pięterku. Niespodziewał się przecież, że premier ozdrowieje i tak rychło zechce się potrudzić.

8.30 rano wpada służący i woła wystraszony: — Pan premier prosi pana radcę na kawę.

— A co, pan premier wstał?!

— Pan premier już przy kawie.

Rzeczywiście przy kawie, bokiem do stołu, w świetle dżdżystego dnia istny topielec. Włosy zmyte aż ku ciemieniu, twarz ściągnięta i sina, nad zamarłym spojrzeniem czoło blade, spłukane.

„Brać szturmem tę pozycję" — postanawia Stanisław i powiada wesoło: — Więc pan premier już wstał?

— Namyśl się. Wstałem czy może dalej leżę? Bo co do mnie, czuję, że kawę piję i zagryzam rogalem. Napij się, Stacho, też.

Stanisław nalewa sobie kawy i ponownie zapytuje o zdrowie.

— Zdrowie, nie zdrowie — odpowiada pan premier — zmartwienie miałem wielkie. O zdrowiu powiem później. Co tam — jedzącą twarzą wskazał w stronę urzędowych lokali — latali tam za tobą? Węszyli?

Radca uśmiechnął się z wyższością, jakby chodziło o gromadę rozbrykanych smarkaczów.

— No to dobrze. — Pan premier machnął ręką. — Jedz, Stacho.

Jedzą obaj. Stach cicho, delikatnie, a pan premier z uporem, prawie jakby pokutnie. I znów premier znienacka: — Kochasz ty, Stacho, Zośkę?

Zaprzątnięty troską o Tadeusza, ledwie Stanisław zdążył w porę odpowiedzieć: — O poważnych uczuciach nie mówi się zdawkowo.

Bigda zasmucił się. Po chwili mówi: — Zapal. — Częstuje papierosem, palą, a znowu premier: — Dużo cię to kosztuje, że kochasz moją córkę?

Mieniewski nie rozumie, do czego premier zmierza.

— Czy dużo cię kosztuje, obliczając w pieniądzach?

— Gdzie wchodzi w grę uczucie, tam nie ma kwestii kosztów.

— Domek dla niej budujesz, szarpiesz się, latasz za tym.

— Domek buduję nie tylko dla niej, dla nas. Skoro mowa o domku...

Bigda przerwał: — Myślę o takich kosztach dla kobiety, że się człowiek zrujnował, nie mógł temu podołać, obskoczony długami popełnił samobójstwo.

— Widocznie zaślepienie? — pyta uprzejmie Stacho.

— Zaślepienie! — Bigda przysunął się. Kopie w nogę stołową i zwierza się poufnie. Miał przyjaciela. — Co ci tam po nazwisku, nawet, proszę, nie szukaj, wierzę, żeś jest dyskretny. Ten przyjaciel zakochał się w kobiecie pewnej, jak się to mówi u was, w kobiecie z towarzystwa. No i przyszły wydatki. Kobieta z towarzystwa! Brylantami ją karmił? Domy dawał w prezencie? Wsie? Majątki? Gdyby to była dziwka, mogłaby go kosztować. Wiadomo — za pieniądze... Ale dama?

Premier zasępił się. Powierzając Stanisławowi rzekome losy urojonego przyjaciela pragnął dowiedzieć się od radcy, jak to na świecie postępują z damami w delikatnych wypadkach. Dary dają, aby przebłagać czy choćby podziękować? Nie bał się kosztów, głupstwo! Ale jak postępować?

Gdyby nie sprawa brata, byłby Stanisław uważniej poprowadził rozmowę. A tak? Zaznaczał tylko różnicę dwóch stanowisk: kobieta wietrzna i dama z towarzystwa...

— Jak nazywasz tę pierwszą?

— Wietrzna, czyli że lekkich obyczajów. Tancerka lub cyrkówka, może aktorka, ewentualnie biuralistka.

— No to wszystkie, do diabła!

— To już trudno. Ma lekkie obyczaje. Lekka zawsze wypadnie taniej od ciężkiej damy. Lekkiej płaci się okazjami, w których ofiarowuje się pieniądze. Dama nie chce pieniędzy.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — podżegał premier Stacha.

— W tak zwanym towarzystwie, w tej sferze nasiąka się.

— Nasiąka!

— Dama nie chce pieniędzy.

— No to czego chce dama?

— Pieniądze się nie liczą. Dama zabiera czas, dama wnika w stosunki. Zabiera całe życie.

— Nieprawda! Mój przyjaciel zabił się przez pieniądze. Ma to nic nie kosztować, a on sobie w łeb strzelił?! — Bigda uderzył w stół, hamując niecierpliwość.

— W łeb sobie strzelił nie z powodu pieniędzy — stwierdza naukowo Stanisław. — Posyłał kwiaty, jakieś drobne pamiątki...

— Drobne?

— Drobne. Nie mogą to być przedmioty nazbyt drogie. Nie wypada.

— Nie wypada? Dolej mi jeszcze kawy. Dlaczego nie wypada?

— Gdyż mogłoby to zrazić. To pachnie kupowaniem.

— A rzecz ma iść z miłości? — westchnął Bigda.

— Oczywiście. Żadnych drogich prezentów. Jeśli mąż w karty gra...

— Nie grał w karty!

— Kwiaty, teatr, cukry, drobiazgi, garsoniera, to nie są żadne koszty. Koszty, panie premierze, polegają tu na tym, że ludzie głowę tracą. Ona nie chciała od niego nic, ale od innych ludzi, w interesach, ze wszystkich stron musiał dostać po kulach. Ponieważ głowę stracił.

— A ty głowy nie tracisz? Przecież także się kochasz? Masz się żenić...

— Otóż to właśnie. My to będziemy mieli, panie premierze, przedrenowane ślubem.

— Bez ślubu zaś, licząc kasowo, żadnych brylantów, broszek nie potrzeba? — Bigda zląkł się, czy już za dużo nie powiedział. Doznał ulgi zarazem. On też wypełnił ślub. Nie zdjął to Kostryniowej sam z haka? Jakiż mógł ślub wypełnić większy? Nie kazał — myślał o tym z dojmującą radością — oddać jej całych 40.000 dolarów? Bo także głowę stracił. Tracił głowę!

Przeświadczenie to napełniło premiera rozkoszną dumą. Fala wzruszenia podpłynęła ku oczom. Przed Stanisławem udawał dalej smutek z powodu śmierci biednego przyjaciela, w sobie samym nie wiedział jak powściągnąć gwałtowną radość.

— No, toś mi tyle powiedział, Stacho mój, żeś mi nic nie powiedział. Zostają kwiaty. Po cóż im kwiaty codziennie, tym damom z towarzystwa. — Bigda położył nacisk na słowo „codziennie", chciał bowiem wycyganić ze Stanisława, czy można wysyłać codziennie.

— Pragną kwiatów — uśmiechnął się Mieniewski — na dowód, że same pachnące są jak kwiaty. W gruncie rzeczy idiotyzm. Damy nasze nie wiedzą, że ogrodnicy sprzedają towar podfałszowany, który pięknie wygląda, bo jest moczony w wodzie z aspiryną. Po doręczeniu więdnie. Dodać należy do tego, że damy nasze nie znają botaniki. Nie wiedzą — chętnie na to nastawał teraz, gdyż nigdy Zośce bukietów nie posyłał — że kwiaty odpowiadają u rośliny temu, czym u nas, ludzi, są nasze części rodne. Gdy dama wącha kwiat, nie wie nawet...

— Świństwo — żachnął się Bigda, nagle czerwony cały.

— Wszystko to, panie premierze, widziane beznamiętnie, jest pospolitym świństwem.

Premier zamyślił się. Czy wyśle dzisiaj kwiaty? Nie dał jej dotąd, po wszystkim, co się stało, żadnego znaku życia. Jeśli będzie wysyłał kwiaty, przez kogo ma to zrobić? Musi to sam załatwić. Gdzie? W dużym, porządnym sklepie poznają go od razu.

— Czekaj no jeszcze, Stachu. — Przyszło mu na myśl, że dzięki swoistemu strojowi (nosił się zawsze z chłopska), czy u fryzjera, czy w kwiaciarni, wszędzie na mieście rozpoznają go ludzie i nic nie dadzą załatwić dyskretnie. Gdyby się nosił z pańska, byłoby znacznie łatwiej. — Wiem, co chciałem powiedzieć. Wyszukasz mi dobrego krawca. Bo nie lubię, że chodzisz z kusym zadkiem. Ta twoja dyplomatka za kusa mi się widzi. Znasz się na wielkim świecie, więc ci kupię długie ubranie czarne, jakie widzę na różnych durniach w ambasadach.

— Żakiet.

— Otóż to właśnie, żakiet. — Tracisz głowę, człowieku, wyrzucał sobie Bigda,

za kilka informacji płacisz takiemu chłopcu całym nowym ubraniem. Znowu pieniądze wydasz. Na to wydasz i za to, że ci ukaże krawca.

— Więc masz u mnie ubranie, a teraz nie mam czasu. Trzeba tam — wskazał na drzwi wiodące do urzędowych pokojów — poodwalać niejedno.

Stanisław ręce wyciągnął, chciał zatrzymać premiera, wyłuszczyć sprawę brata, Bigda ruszył barkami. Poszedł, jak to określał, wydawać audiencje.

Nic go nie obchodziły. Naciskali, ba, napierali ze wszystkich stron. Pomiędzy audiencjami czynił przerwy, wydobywał z kapoty pamiętnik Kostryniowej, wąchał, otwierał, czytał na chybi trafi. Dawno umiał na pamięć, ale czy się co umie, kiedy się poznać chce nie głową, ale sercem?!

Moje uwagi wziął Mateusz do ręki jeszcze tej nocy dziwnej, kiedy to wrócił z Sejmu po widzeniu się z Kapuścikiem i spać nie mógł, pochłonięty wspomnieniem kobiety tej, posągu, rzeźby, szlachcianki rozmodlonej — wiara, nadzieja, miłość.

Zaczął to wtedy czytać, na pierwszej stronie jakby na progu potknął się niespodzianie: tu wypisany słowami znajduje się znak krzyża? Wierząca jest, wierząca ta kobieta! Zadrżał ogromnym szczęściem na myśl, że jest wierząca. Skoro w jej ciele wiara się utwierdziła, to i czystość, i skromność, a on to wszystko posiadł. Szukał, co tam miał jeszcze w tych statecznych *Uwagach*. Odszukał siebie: „Pewna ważna osoba". To mi jest powiedziane! On, cały żywcem, premier, premier Mateusz Bigda.

Znów wrócił do początku zeszytu, zaraz po znaku krzyża: „Nic godnego uwagi". „Nic godnego uwagi." Mało się nie popłakał. Bogini, posąg, cudo, żyje sobie, oddycha i uważa, że to nie zasługuje na specjalną uwagę.

Na kolegów żachnął się mocno. Piją, hycle, i w karty grają, a fagasom zazdroszczą i fraki przymierzają. Z Mieniewskim starym (duch przeszłości) wypadnie się policzyć. Strzęgorza trza ukrócić.

Zastanowiło Bigdę, co napisała o generale Rzekocie. Dlaczegoż to Rzekota łapie ją jak dziewczynkę?! Dlaczegoż to prawdziwa Polka nie wie, co ma pomyśleć na widok obrońcy Ojczyzny? Znów powstańcza tradycja. Jakże zbałamucili łatwowierne kobiety! Nie był to wcale zarzut, a jeszcze jeden dowód szlachetności kobiecej. Premier umiał *Uwagi* na pamięć, mimo to kiedy czytał, jak gdyby za słowami taiło się coś głębiej, nieznane a ponętne, ogród, szczęście kwitnące!

Czytał, czytał, aż spostrzegł, że nie o czytanie chodzi. Głaskał okładkę, gładził licami zeszyt, pocierał go żarliwie o twarz, włosy, o głowę, jak pies, kiedy odnajdzie przedmiot odszukanego pana.

Miałby kwiatów nie wysłać?! Poszedł po nie przez miasto, rozjuszony, mruczący, ale gdzież będą kwiaty, żeby nie oszukali? Wszyscy kupcy oszuści! Napuszczą aspiryny, spodoba ci się, kupisz i masz, zaraz zwiędnie.

W pięknej kwiaciarni nie wiedział Bigda zrazu, jak powiedzieć. Postawił kołnierz. Wstyd mu było, że się znajduje w takim cudackim miejscu; i drugi wstyd, od wyrażenia Stanisława o kwiatach, że to są części rodne; i trzeci wstyd z powodu samej piękności roślin. Jedne się chyboczą jak fiołkowe motyle, lub czerwone, lub białe. Tu róże, pąk młodziutki, ścisły jak zdrowe ciało. A te prószą z wazonu biało-różowym puchem. Tyle tej kwietnej płci w kielichy rozwiniętej.

Mateusz nie chciał rozmawiać w sklepie, poszedł w głąb, ku pracowniom.

Słychać tu cięcia nożyc ogrodowych i lekki zgrzyt zieleni. Bigda milczy, sprzedawca wymienia nazwy kwiatów.

— Co mi tam kwiaty, panie — przerywa premier w końcu — chciałbym jakąś drzewinę (tak powiedział, lecz zaraz się poprawił), drzewko jakie czy krzew.

Sprzedawca patrzy znad okularów i pokazuje jakieś nagrobne drzewko: japońską sosnę.

— Co mi po takiej sośnie?! — Bigda chce, by sprzedawca sam za niego powiedział i sam nazwał roślinę. Gadaj tu z ciemięgami!

Musi premier sam wyznać, własnym palcem ukazać. Powiada: — Życzę sobie, żeby to był krzak bzu. — Posłuchał, co powiedział, i powtórzył z westchnieniem: — Żeby to był krzak bzu.

Oglądali przeróżne: różowe, sine, białe, pojedyncze, podwójne.

— Podwójne, białe — rozkazał Bigda — poślesz pan dzisiaj jeden, jutro jeden, a potem dam znać, czy jeszcze więcej zechcę. Nie, bilet niepotrzebny. — Mateusz podał adres. — Ile to ma kosztować?

Cena była wysoka. Gdy usłyszał, przestraszył się, bo go nie zasmuciła, bo mu radość sprawiła. Wyszmyrgnął z pularesu papierki, nieomal zatroskany, że tak niewiele płaci.

Gdy się znalazł u siebie, dał znać komu należy, że pracować nie będzie. Po czym, nie zdjąwszy nawet przemoczonego płaszcza, usiadł w nogach łóżka. Siedział, rozmyślał, udręczony tym nowym sobą, rozrzutnym, nieoględnym. Nie wiedział, kiedy zasnął. Przebudził się znienacka, wystraszony.

Wieczór spędził samotnie z myślą, że ma wyrękę, bo już tam kwiaty przyszły i teraz już działają. Działają, przepraszają. Drzewko białego bzu! Z szarego pieńka ile to się nawdzięczy gałązek, kiści, listków!

A potem nagle gniew, a potem nagle huk, a potem nagle szum! Jeśli się jej nie spodobają, że za tanie czy mało? No to dał jej dolary! Czego się boisz, głupi — przekładał sobie, rozgoszczony już na noc w łóżku — nie dałeś to dolarów?! Pieniądze się nie liczą! Stacho, dzieciak... 40.000 zawsze się liczy.

Im więcej nurtowało Mateusza, im więcej bał się, tęsknił, tym większej wagi nabierały dolary. Nazajutrz postanowił zobaczyć się z Cynwajsem, aby, choć mu już Cynwajs dawno meldował przez telefon, dowiedzieć się z rozmowy ustnej, jak to tam było wszystko, co się tyczy pieniędzy.

Nosił premier w kapocie list Kostryniowej, niezrozumiały trochę, bo z wymienieniem jakiegoś grona osób. Pańskie fumy czy co?! Które to grono, jakie?!

Mało premiera krew z gniewu nie zalała przy rozmowie z Cynwajsem.

— Terminu „grono osób" — mówi minister — użyto tu celowo ze względu na sugestie pana premiera.

Bigda rozumiał zawsze słowo „sugestie" jako zwlekanie. — Jakie sugestie?!

— By sprawę traktować delikatnie.

— Jak pan rozumie tutaj delikatność?

— Nie eksponować osób. Grono to jest osoba prawie nieosobowa. Po drugie, aby tej darowiźnie przydać charakteru prawnego: grono osób, które zaangażowawszy pewien kapitał w Banku Robotniczym wywiązuje się teraz z tych zobowiązań. Takie postawienie sprawy dawało panu premierowi wolną rękę.

— Dobrześ pan rzecz załatwił! Wolną ręką rżnął Mateusz w bibułę biurka, aż atrament podskoczył. Grono osób! Socjalistycznych dziadów! On obie-

cał pieniądze, premier, on to załatwiał. Dotrzymał on, nie żadne grono. Burzył się tak i burzył w godzinach pracy, a im bardziej się pieklił, tym czuł wyraźniej, że pójdzie, pójdzie do niej. Ani spostrzegł, gdy się w tę drogę wybrał. Zniszczyłby wszystko, gdyby mu drogę zaszło. Im bliżej, tym szedł prędzej.

Zastał!!

Tknęło go w przedpokoju, że trzeba dać służącej napiwek. Dał pięć złotych... Skoro lubił rzucać pieniądze w błoto. W gabinecie nikogo. Piękny zapach i mrok. Serce tłukło się w Bigdzie, że je słyszał bijące w skroniach. Zastukał do drzwi dalszych, pamiętał, prowadziły do sypialni — i cofnął się czym prędzej.

Wyszła naprzeciw niego. Posąg, bogini! Cnota! W ciężkiej żałobie jak gdyby jeszcze bielsza, smuklejsza i smutniejsza.

„Leżałem razem z nią" — olśniło Bigdę wspomnienie i dumne, i dziękczynne. Szlachcianka rozmodlona!

Ani się uśmiechnęła, ani skinęła głową. Wielkie, piękne cierpienie, istny raj, takie piękne. Była już w kapeluszu, widać miała wychodzić, w ręku białym trzymała żałobne rękawiczki. Patrzy na Mateusza, lecz zdaje się nie widzieć.

Stał bez ruchu, zlękniony... Wzbogacał się czy tracił?!

Kostryniowa spoziera przed siebie obojętnie. Dobył z kapoty zeszyt: *Moje uwagi*. Położył je na biurku i powiada niesporo:

— Pewna ważna osoba... O mnie pani tak piszesz?!

Otworzyła przełącznik, pokój opłynął światłem. Premier Mateusz Bigda cofnął się tak posłusznie, że mu się przypomniały odległe, dawne czasy, kiedy biegał po lasach z nagonką Lachowskiego.

Kostryniowa wciąż milczy. Dostrzegł nagle pod oknem kępę swych białych bzów! Inne słowa i sprawy, niż miał przygotowane, porwały go.

— Ja, proszę pani — podjął znów jękliwym głosem, którego nie znał w sobie — nie stoję o ważności. Pewna ważna osoba... Co mi tam te ważności, urzędy albo co?!

Zbliżył się ku niej, wykonała ruch drobny, jak gdyby nią otrząsło przed jakimś obrzydlistwem. Bigda zasmucił się. Jakże miał wypowiedzieć szczerą, ogromną skruchę?!

Gdy się tak łamał z sobą, rozlegają się słowa:

— Czym mogę panu służyć?

— Wszystko to jest inaczej! Pamiętam chleb i sól, jak przyjechałem wtedy. Cośmy potem liczyli zastawę i słoiki... Jak to tam pani piszesz? Ten generał Rzekota chce panią złapać w ręce jak zamorską ptaszynę. A ja cham? Dziki zwierz! Co pani możesz wiedzieć?! Kiedy drzewo rąbałem, jako drwal młodociany, a tam hrabini siedzi daleko w pięknym dworze i czyta sobie książkę... Co marzyłem, tom ujrzał! Nic mnie już nie obchodzi. Ja trzymam się z daleka.

Aby nie pomyślała, że się może uciekał do pomocy pieniędzy:

— Oni pani powiedzą, ci, co mnie dobrze znają. Bigda musi każdego nawlec zawsze na hak. Trzyma go na tym haku i kręci, jak sam chce. Te pieniądze to nie ja. Nie ja je wyrobiłem. Grono osób. To fakt.

Jakby to grono przerwało w Mateuszu wszystkie ludzkie zapory.

— Żebym ja, proszę pani — jęczał żałosnym głosem — golił się gdzieś

ukradkiem, żebym ja, proszę pani, przezwał się bratem swoim, gdy wcale nie mam brata, żebym ja, proszę pani, błąkał się tu po placu, po bramach odszukiwał, gdzie jest dom, w którym mieszkasz, żebym nigdy nie wiedział, jak mam do pani mówić!!

Pragnął objąć, przebłagać. Padł tylko na kolana. Cofnęła się za biurko. Tu ją objął za nogi.

Spoglądała na niego ze wstydem i z pogardą. Ten chłop nieokrzesany. Teraz się wił jak gad. Kiedy głowa premiera zsunęła się na koniec aż do stóp Stanisławy, lekkim ruchem bucika odsunęła tę głowę ku brzegowi dywanu i rzekła patrząc w przestrzeń:

— Nie chcę od pana kwiatów. Na jedno tylko jeszcze mogę panu pozwolić: módl się pan za mój spokój.

*

W pobliżu kościoła Św. Krzyża zrozumiała Stanisława, że zwyciężyła. Będzie to pierwsze jej przedsięwzięcie, które się uda całkowicie. Przed kościołem oraz po drugiej stronie jezdni zobaczyła policję... Jaką! Najparadniejszą, niemal sami oficerowie w wytwornych płaszczach granatowych ze srebrnymi odznakami, migocącymi w słońcu.

Policja taka oznacza przyjazd dygnitarzy, ministrów, może nawet premiera?...

Wpatrzona w światła ołtarza, już choćby tylko z nagłego szurgania po kamiennej posadzce miarkowała pani dyrektorowa, że dygnitarze przybywają dość licznie.

Zuza siedząca obok zwróciła się szeptem do matki: — Skąd się oni tu biorą?

— Kto „oni", moje dziecko?

— Ministrowie.

Stanisława odpowiedziała z uśmiechem smutku. — Sumienie ich ruszyło. Czy przyszli tu dlatego, że się poczuwali do winy? Stary Mieniewski! Albo minister Cynwajs. Czy też może z grzeczności, jak Lachowski. Czy dlatego, że pracowała w Klubie? Jest generał Rzekota z adiutantem, ksiądz prałat Stuck, jest pan minister Gruszka, minister Kos, jest pan poseł Deptuła. Jest nawet pan Kapuścik w swym sejmowym mundurze.

Widziała, jak siadali po obu jej stronach, na krzesłach przeznaczonych dla dostojników. Każdy ważny wzruszał Stanisławę niemal do łez. Pięknie garnirowali kościół. Nawet Kapuścik zachował się taktownie: nie usiadł, stał pod ścianą.

Patrząc na rozżarzone światła przed głównym ołtarzem zoczyła Stanisława Kazia Strzęgorza. Odetchnęła, gdyż przyszedł bez Loleczki. Rozejrzał się i zaraz wybrał miejsce. Fotel w pobliżu Kostryniowej zostawił pusty. Dla kogo?

Przy zakrystii zadzwoniono trzy razy. Za chwilę wyjdą księża. Potrójny rzewny dzwonek brzmiący w ciszy kościoła uzmysłowił dyrektorowej powagę chwili. Zakupując tę mszę postanowiła pod wpływem błyskawicy jasnowidzenia, czyli własnego, niejako prywatnego sądu ostatecznego, że nie jest godna nosić dłużej żałoby. Nie może brukać żałoby po Feliksie. Zakończy to ta msza.

Księża już wyszli w pięknych ornatach żałobnych. Zaczęli się rozstawiać, później zstępować ze stopni przed ołtarzem. Gdybyż nie głos organów! W dźwię-

kach akordów, zda się gniotących zbożną ciszę kościoła, wspomniała Kostryniowa, że sobie o tamtym wszystkim myśleć zakazała.

Kostryniowa zdawała się zastygać w srogiej powadze. Biała twarz Stanisławy, połyskująca tonem kości słoniowej, z cieniem rzęs na policzkach, sprawiała teraz wrażenie starożytnej kamei.

„Medalion" — pomyślała Zuzanna, patrząc na matkę. Tak ją tam przecież nazywali w Osadzie. Piękny medalion.

— Ja też myślę o naszym domu, moje dziecko. Och, gdyby nie ten dom. Mniejsza już o to, co minęło, nie wróci. O młodość i złudzenia.

Gdyby nie dom, nie cieszyłaby się obecnie ze wszystkiego, co się stało. Ze wszystkiego!!! Odkrycie to wstrząsnęło Stanisławą. Śniadanie z córką w kawalerskim mieszkaniu; swoboda, którą miała (nikt jej nie rozkazywał już, nie rozkazywał!), własna przyszłość, własna, nie wspólna, własna i zapewniona.

— Nasz dom, moje kochanie? Czy cię nie zadziwiło dzisiejsze nabożeństwo? Czy ci nie przyszło na myśl, że musiało drogo kosztować? Bardzo drogo?! Skąd mam na to pieniądze? Wspominałaś, że ojciec szukał całe życie łączności z „tymi" ludźmi. Z tymi głupcami z rządu... Szukał, ale nie znalazł. A jednak przyszli już na nabożeństwo za jego duszę. Bo ja znalazłam łączność, której on szukał, ale znaleźć nie umiał. Dlaczego ja znalazłam, skąd zdobyłam pieniądze?! Bo pracuję.

•

Męczył się, jakże się męczył. Nie mógł zacząć rozmowy. Siedział przed biurkiem, zacierał ręce, aż mu kości trzeszczały, kiwał głową jak gdyby nad zgliszczami. Zaczął wreszcie: — Pewna ważna osoba. No i cóż z tej osoby?!

Kostryniowa przeprosiła uprzejmie. Nie należy łapać za słowa! Znów się męczył i nic mu nie pomogło rozstawienie czajniczków, spodeczków, filiżanek, krzątanie się służącej Geni, której już w przedpokoju dał dla załagodzenia losu pięć złotych. Dopiero kilka łyków herbaty przyniosło premierowi ulgę. Już mógł mówić nie chrząkając co drugie słowo.

Rozkruszywszy ciastko na talerzyku, zaczął od spraw religii i religijności. Religijność to dźwignia. Trzeba zrozumieć. Patrzył uważnie podczas mszy w kościele Św. Krzyża i widział, jak nieszczęście przekształca się w spokój, w odpoczynek przed dalszym losem, przed nowym życiem. Dźwignia.

Kostryniowa uśmiechnęła się, jak człowiek, któremu chcą tłumaczyć coś, co zgłębił od niepamiętnych lat.

— Ja się w polityce od religijności trzymam z daleka... — Przestraszył się tych słów. Mówił dalej, nie patrząc na Stanisławę, z oczyma wbitymi w deseń dywanu. — Rzeczą polityka jest tylko, w jakim naczyniu mieścić się będzie religijność, społecznie sprawy biorąc. Czy w płytkim, czy w głębokim? W płytkim naczyniu będzie skłócona zawsze, każdy ruch ją zamąci, a w głębokim głęboka. Ja nie mam nic przeciw religijności, ale chcę, żeby była w naczyniu głębokim. To naczynie ja organizuję swoją polityką. Organizuję państwo, społeczeństwo.

Chyba że tak najlepiej podchodzić do damy wierzącej: od strony religijnej. Mówił dalej: — Tylko że mi ludzie pomagać nie chcą! — To są te ważne

sprawy, o których wczoraj do niej dzwonił. — Nawet najlepsi nie chcą pomagać. Zdawałoby się... — głos mu utknął w piersiach — najlepsi ludzie, zdawałoby się, święci...

— To niemożliwe — westchnęła Kostryniowa.

— Możliwe. — Zdanie po zdaniu warczał ochrypłym głosem: — Nie popierają. Choćby pani dyrektorowa! — Tak bardzo się ukorzył, że ją zatytułował. — Pani dyrektorowa chce Klub porzucić. Dlaczego? Zastępczynię pani wprowadza.

Nawet się nie spodziewała, że widok jej nagości rozczuli Kazimierza. Gdy tylko jest goła, zawsze go diabli biorą. Teraz jednak nie wzięli. Źle się stało, że się na jego uśmiechu nie poznała. Niewinne niby baraszki, ale i coś ostrego. Kwik już słychać w uśmiechu...

— Zabierasz biżuterię tej zdziry! Kuzyneczki!! — dyszała Lola. — Zabierasz, bo śpią razem. Powiedz, że śpią, to oddam. Bo inaczej nie oddam. — Im szamotanie silniejsze, tym Lola głośniej mówi: — Hrabina puściła się z chamusiem. Jak mi powiesz, to oddam.

— Nie zabieram — syczy Kazimierz — później ci wytłumaczę.

— Ach, ta twoja hrabina — śmieje się Lolka głośno — i tu niby drugich uczy; trzymaj nie tak widelec, a teraz odłóż nóż, a nie zakładaj nogi, moje dziecko kochane... Widzisz, jak to nogi rozkłada, moja zacna cioteczka.

— Nie wolno ci tak mówić — uniósł się niespodzianie — o mojej bliskiej krewnej.

Lola myślała: żarty. Jedną ręką schowała pudełeczko za plecy, drugą jęła Kaziczka klepać po twarzy, że aż się rozlegało.

— Co mi tam krewne, jeżeli takie zdziry!

Nie zdążyła mu krzyknąć: — Złodziej! — Ręce wykręcił jej, aż posiniały, wyrwał oba pudełka, zdumioną pchał przed siebie, szarpiąc, szczypiąc. Popchnął tak do sypialni.

Uciekł z klejnotami. Gniew rzucał Lolką, pękły jej przy wciąganiu trzy pary nowych pończoch, na szczęście złapała go telefonicznie przez centralę sejmową, swego „starego", to jest posła Deptułę.

Tak, zerwali stosunki, gdy przeszła do Kazika. Znali się tylko tyle, na ile w towarzystwie. Ale musiał jej pomóc!

Bo kto, jak nie Deptuła?... Mniejsza o biżuterię, ale że Kazik śmiał. Ciotunia chytrus, ścierwo, postawiła na swoim.

Pan Kapuścik (wywołała go z góry do hallu sejmowego) jeszcze nie widział takiej Lolki Romeckiej. Dzwonił przed nią sznurami i ostrogami pieszej jazdy sejmowej, świadczył ważne honory, nie miała głowy do tego, iskry z niej chyba pryskały, tak się spieszyła.

Kazała się prowadzić na górę, na górze odsunęła Kapuścika i wpada do mieszkania Deptuły. Czekał już na nią, wśród papierzysków, wylewały się zewsząd, czekał wielki, zwalisty, w za luźnej marynarce, z torbami pod oczyma, wzdłuż nosa, w kątach ust.

Lolka Romecka przylgnęła do Deptuły z chlipaniem rzewnym, które się nagle we wściekłość przemieniło. Jęła go szarpać za poły marynarki, tyrpać tego potwora, posadził ją na krześle, już się miała rozszlochać, kiedy zagadnął ostro:

— Czego ode mnie chcesz?

Przerywanym oddechem wypowiedziała: — Stare chamisko, Bigda, zaciągnął swą hrabinę do Klubu. To ci „społeczny" klub!! Chleb i sól mu dawały. Żebyś wiedział! Na srebrnej tacy, jakby jakiemu biskupowi. Potem kwiaty posyłał farbowanej zdzirze! Kostryniowej! Kiedy była na mojej łasce, psy na dół sprowadzała, no i było w sam raz. A ten „ćwok", premier wasz, kwiaty posyła! Powiedziałam Kazikowi od razu: śpi z nią. Niech śpi, jeśli nie ma z kim lepszym. Co tam komu do tego. Ile ma lat ta zdzira? Kiedy co jeść nie miała, biżuterię wyprzedawała. Kazik z litości kupił kilka drobniejszych sztuk. Na spłaty. Żeby nie zdechła z głodu. Kazik to flak, nie człowiek.

Deptuła nic nie wiedział o biżuterii, spłatach, ale potwierdzał ruchami głowy, jakby mu wszystko dawno było wiadome.

— Kazik powiada, nie bój się o klejnoty, bo nieprawda, bo nie śpi.

— Kto nie śpi?! — huknął Deptuła.

— Że Bigda nie śpi z Kostryniową. I powiada mi w łóżku, biżuterii nie damy. No i nic, i już słychu o tym nie ma żadnego, aż dziś rano przyleciał. Porwał mi biżuterię, aby ją oddać dyrektorskiej klępie. Nie stoję wcale o to. Gwiżdżę na hrabiów, burżujów i was wszystkich. Ale, jeżeli Kazik, kiedy tylko na niego psykną „urodzone" małpy, nogi od razu łamie?! Zawsze będą trzymali razem. Śpij z nim, znoś wszystkie, różne, och, przeróżne kawały... Teraz nagle nie może, a teraz znowu może, teraz za nisko mu, a teraz za wysoko...

Przyszła tu do Deptuły z zaufaniem. Po prostu jak do ojca, aby jej to załatwił. Niech pogada z Kazikiem. — Bo jak nie, powywracam wszystko do góry nogami — zaczęła krzyczeć.

Deptuła warknął: — Gęba na kłódkę. — Po czym spytał lojalnie, dlaczegoż to do niego postanowiła zwrócić się z tak delikatną sprawą.

— Dlaczego? — Wzruszyła ramionami: on ją wprowadził w świat panów szanownych, co później biednej dziewczynie klejnoty wydzierają, on za nich odpowiada. Uśmiechnęła się nagle rozkosznie, poseł Deptuła zbladł, oczy mu pociemniały.

— No więc gęba na kłódkę — powtórzył. Tu jego uczucie dawne do Lolki: że dla niej stracił karierę, popełnił zbrodnię i że o mało przez tę przeklętą dziewczynę poróżniłby się z Bigdą, przez nią stracił stanowisko w partii; aby pomścić swą miłość na Mateuszu, żonę mu z szóstego piętra na bruk wyrzucił...

Wypytał o szczegóły, kwiaty, biżuterię, spłaty miesięczne, co, gdzie, jak. Wygarniał to z Loleczki bardzo cierpliwie, opowiadała i opowiadała, aż się zmęczyła i uspokoiła.

Ustaliwszy szczegóły, zaczął: — Czy ty chcesz, Lolka, wracać na strych nad barem Klasa, gdzie cię kiedyś znalazłem? Czy chcesz, aby się Strzegorz dowiedział jeszcze więcej, przeróżnych szczegółów? Patrz się na Kostryniową i ucz się od niej, głupia! Głową trza brać, nie tylko zadkiem. Istnieją wyższe cele!...

Powiedział i popatrzył jak jakiś ksiądz i znów stawia pytanie: — Czy nie pobyłabyś ty teraz ze mną, gdybym obiecał ci zwrot biżuterii? Pobyłabyś na pewno, ile by tylko wlazło! Ale ja nie chcę już. Pachniesz mi jeszcze ciągle... — Ciężki, ogromny podtoczył się znienacka ku niej na końcach palców i w pół kroku się zatrzymał jak gdyby nad przepaścią. — Widzisz? Mógłbym, a nie chcę. Bo już mam wyższe cele... A ty co?

W odpowiedzi zadarła nogę na nogę, odsłaniając piękne pończochy powyżej kolan.

— Masz dobre nogi — rzekł. — Dużo masz dobrych rzeczy. Jadłem. Znam. Smakowałem. Skoro cię jednak na ludzi wyprowadziłem, nie możesz po dawnemu żyć od gościa do gościa. Musisz mieć wyższe cele. Forsa to mało. Masz sobie miejsce wyrobić w życiu. Masz mi wyjść za mąż za Strzęgorza i zostać damą, jak pani Kostryniowa. Pierwszy warunek do tego celu: musisz milczeć i musisz się pogodzić. Łapięta masz całować pani Kostryniowej. Dopiero, gdy się twojej ciotuni nogą powinie, będziesz jej mogła kudły wyrywać ze łba. Przyczyń się, żeby ciotunia prędzej skręciła nóżkę. Zawsze się naradzimy, co trzeba urządzimy. A jak nie, to się wynoś i nie zawracaj głowy!

Wielki, spocony stał nad nią i wymyślał, że aż się przestraszyła.

— Kazik?... — jęknęła nagle.

— Kazik na tym zarobi. Przebaczyłem mu wszystko. — Deptuła dodał jeszcze: — Na salonowe sztuki chodź sobie do teatru. Czytaj czasami książki. Wyrażasz się nieładnie. Czytaj *Na jasnym brzegu* albo *Rodzina Połanieckich*. Żebyś się nauczyła mówić, jak potrzeba w salonie. — Podał jej rękę, pocałowała pulchne, zasmarowane łapsko i już nie powtarzali, co sobie obiecali: — Stuprocentowy mur.

Nie spodziewał się wcale po sobie tak wielkiej siły charakteru doktor dwóch fakultetów, Władysław Deptuła. Starość? Serce? Wątroba? Jeszcze niedawno zdychałby dla Loleczki, jeszcze dziś czuł ją w kościach.

Odchorował tę Lolkę. Przez nią chyba dostał ataku wątroby.

Przymknął oczy. Zasłuchał się... i już cicho. Wyższe cele... Polowanie doktora Władysława Deptuły na całą swoją przeszłość, chytrość, nikczemność, na całą swoją niższość wcieloną w Bigdę. I różne inne rzeczy jeszcze, jeszcze wciąż ważniejsze.

Złapać teraz pana premiera na jego własny hak. Z takim to groźnym celem rozpoczął Deptuła polowanie na Bigdę. Pokrążył sobie nad sprawą Banku Robotniczego, bujał wśród pokrzywdzonych socjalistów (doły partyjne zarwane przez Bank), wzbił się na szczyty. Leader Mieniewski, Cynwajs.

Pogadał sobie również Deptuła z radcą Mieniewskim, w miarę pilnym, w miarę cynicznym, skłopotanym historią brata, *Głosem Sumienia*, spółdzielnią, lasem, którego miasto ciąć nie pozwalało. Szumiał koło Strzęgorza.

Kazio nie puszczał farby, nakłuwany ostrożnie, zagadywał kłopotami resortu.

Nie spływało to wszystko po piórze z atramentem. Zostawał osad, który koniecznie trzeba jakoś wydalać. Już nieraz ze zdumieniem przyglądał się samemu sobie w przemianach redaktorskich. Poczynił wiele reform w swoim codziennym życiu, był nimi zaskoczony.

Uznał na przykład (skutek bywania w kawiarniach, w restauracjach?), że musi nosić się porządnie. Ha, ha! Ubranie, mieszkanie, własny dom, panowanie w układzie towarzyskim. Głupstwo! Ale nie może chodzić po mieście jak wypędek.

Skądżeby więc ubranko, więc skądby jaki płaszcz, może raglanik nawet? Ach, ten dawny, pyszny, świetny raglan od ojca: chociażby nicowany. Okazja i zasługa Mordeckiego! Ten utęskniony strój nabył Mordecki dla pana redaktora, gdzie, jak — nic nie wiadomo, może nawet gdzieś ukradł?...

— Dorobimy się kiedyś, to ci zwrócę, Rudolfie, com ci winien.

Ubranko, choć Tadeusz marzył o nim systematycznie, było również dziełem przypadku. Mieniewski przemókł kiedyś po południu, wieczór spędzał u zasobnych przyjaciół — radykałów, z tych, co to jedną stroną przytykali do zamożności, drugą do opozycji.

Siostra, wdowa po ziemianinie (czy innym dygnitarzu, wszystko jedno, niech diabli wezmą!), zwróciła uwagę, zgrabna, czarnooka niewiasta, że się redaktor zaziębi. Użyczono mu ubrania pana domu, komplecik Mieniewskiego nie wysechł na czas, ubranie sympatyka przyschło do Tadeusza od razu, tamto zniszczone, gdy odesłali (zacerowane — hańba!), podarował redaktor Mordeckiemu. Ale z ubranek jakim sposobem wdówka się wyłoniła?!

Wspomnienie niepotrzebne! Kobieta obojętna, z którą przebywasz w łóżku, to jakbyś się miał uczyć geografii kraju, który cię nie obchodzi. Cóż ci znaczą doliny, góry, wąwozy czy równiny, jeśli cię nie zajmują?

Nadzieje Tadeusza?! Zuzanna nie ufała „społecznym sprawom". Ale kiedy się zwierzał zbiedzony, niecierpliwy, musiała go utwierdzić w wierze w sprawy społeczne. Ależ tak, on zwycięży. Oni, ma się rozumieć oni, ludzie Tadeusza. (jakby to on prowadził wszystkich innych). Po ich stronie jest słuszność. Nie trzeba na to żadnej filozofii, bo zawsze zwyciężają ci, którzy cierpią, wierzą i poświęcają, i męczą.

— Ba! mówisz jak Mordecki, mój woźny.

Nie przekonała go, ale ją objął i słuchał chętnie dalej.

Podtrzymać go, koniecznie. Wracał — Zuzannie zdawało się zawsze, że gdy przychodził, powracał do niej, jak dziś, aby ochłonąć, zjeść, wygadać przed nią całą złość i prawdę. Zjedli razem kolację, pozostał u niej na noc.

Zimno już było, pokój Zuzy był jeszcze nie ogrzany, ze względu na „dyskrecję" — Zuza wynajmowała pokój przy rodzinie — musieli zachowywać się cicho i ostrożnie. Dawniej ostrożność taka wytwarzała szczęśliwą atmosferę miłosnej konspiracji. Dziś?! Nim się porozmieszczali w łóżku, już nie miłośnie, po innemu, po przyjacielsku! Bliscy, ale już inni.

Trzymając w obu dłoniach okaleczałą rękę Tadeusza (samo się ułożyło, że tak zasypiali) rozważała Zuzanna jeszcze swą wielką, ważną sprawę. Mogła zawrócić. Kilka dni temu jej koleżanka z Radia „zawróciła" tak właśnie... Nic ważnego: jedno ukłucie lancetu, dwa-trzy dni łóżka i właściwie po wszystkim.

Przerażenie ją ogarnęło na myśl, że mając Tadeusza przy sobie, rozważa jego i swoje życie, to jakieś nowe wspólne życie ich dwojga, że bierze nawet pod uwagę możliwość śmierci i nie zwierza się z tego. Wydało się Zuzannie, gdy tak leżeli cicho obok siebie, jakby na wyrok ważny oczekiwali... Czy mogła wydać sama podobny wyrok?!

Tadeusz spał spokojnie. Nagle odwrócił się, rozgarnął jej ramiona, a kiedy go objęła tkliwie, spojrzał na nią ślepymi, żglącymi się oczyma.

— Co ci jest, powiedz, co?

Drżał potrząsany dreszczem nieustannym.

— Co ci jest? Powiedz, powiedz!

— Należało się to nam od dawna, panie redaktorze — mawiał w tych dniach Mordecki, wydając rzewne tchnienie.

— Co się nam należało? — burczał Tadeusz znad chwiejnego biureczka, zakopany w wycinkach prasy, numerach *Głosu Sumienia* i przyczynkach, związanych z polemiką.

— Co się nam należało, panie redaktorze? Ta nasza sława! Że nas tak opisują i sławią po gazetach. Teraz dopiero wiemy, że żyjemy. — Mordecki aż się oblizywał z radości. Od czasu sławienia po gazetach powaga woźnego redakcyjnego wzrosła nie tylko na mieście, lecz także w kamienicy, mieszczącej lokal *Głosu Sumienia* na drugim piętrze z frontu.

Ileż dawniej trudności miał Mordecki z rozpychaniem *Sumienia* po kioskach. Nie ganiał to z numerem wszędzie sam, nie pobili go to wrogowie polityczni aż do utraty zmysłów?! Teraz umieszczał numereczek o wiele łatwiej, a z niedorostków utworzył już drużynę roznosicieli, której się opłacało nadstawiać karku. Ludziska kupowali pisemko coraz chętniej.

Rudolf Mordecki nie dbał o pieniądze. Co się tam uzbierało z kolportażu, oddawał ekspedientce — zgodzili na trzy popołudnia tygodniowo wyblakłą patriotkę kancelaryjną. Do weksli redaktora byłby Mordecki z własnej forsy dołożył, gdyby ją miał. Ale co tam pieniądze! Mordecki gonił tylko za sławą.

Rosła ogromnie. Czuł to i po kotletach, które zjadał u kucht na różnych piętrach kamienicy, i po ciastkach, których za każdy skonfiskowany numer *Sumienia* miał od fagasów z cukierni, ile chciał. Tyle sławy na mieście i w kamienicy.

Cóż dopiero w redakcji! W redakcji aż trzeszczało, aż grzmiało. Ruch od rana do nocy. Telefony, że dzwonek się obrywa.

— Mów pan — uczy Tadeusz — że się pan dowiesz, sprawdzisz, czy się redaktor znajduje w pomieszczeniu redakcji. — Rudolf sprawdza, wybija udane kroki po urojonych lokalach redakcyjnych. Odtupuje rzekomy powrót i mówi do słuchawki:

Trzeba się opanować.

— Mordecki — krzyknął Tadeusz rubasznie od biurka — ja wychodzę, nie wiem, czy jeszcze wrócę dziś wieczorem, pilnujcie tu redakcji.

— Ale ten ojciec pana redaktora — zwierzał się Mieniewskiemu Mordecki w przedpokoju — my go atakujemy, a dał 20 zł mnie na piwo. To jest dopiero człowiek!

— Otóż właśnie — Tadeusz położył Mordeckiemu rękę na ramieniu — my się zwalczamy z ojcem w polityce. Rozumiecie, Mordecki? W polityce. Ale ojciec i syn zostają po dawnemu.

— Rozumiem, panie redaktorze, u mnie tak samo z ojcem.

Tadeusz wybiegł na miasto poskarżyć się Zuzannie. Musiał jak najprędzej uprzedzić, niechże się Zuza zaraz wycofuje z Radia. Niech znika z życia publicznego, niech się oprze o matkę. Nie ma już ani chwili do stracenia wobec nadciągającej awantury prasowej. Wywloką przecież wszystko.

Zastał ją w domu. Że też najbliżsi ludzie nie przeczuwają wzajemnie swego losu. Gdy się rozchodził z ojcem na zawsze chyba już, Zuza tutaj siedziała pod abażurem, spokojnie cerując pończochy.

Pochwycił ją z kanapy, uścisnął, otoczył szumem radosnym, prosił, aby mu dała zjeść. Kiedy się jednak wzięła do gospodarstwa, opadły Tadeusza nowe refleksje. Przedmiotowe! Gdzież dawna świetna, to już jest inna, szara, zapracowana Zuza. Speakerka z radio, jedna z niezliczonego mrowia młodych, szarych kobietek, które biegną co rano ze śniadaniem w papierku.

Tadeusz wzruszył się. — Zostaw garnki, nie będę jadł, bo są ważniejsze rzeczy. Usiądź tu razem ze mną.

Ogarnął ją i przywiódł w głąb kanapy. Mówił szczerze, po prostu: — Wiemy o sobie, wiemy. Wiemy, co możemy wytrzymać. Mój stary był dziś u mnie, nad wieczorem. Postanowił, że jesteśmy parą morderców, ty i ja. Rozszedłem się już z ojcem. Patetyczna rozmowa. Nie masz pojęcia. Jakich trzeba wysiłków, ażeby opanować głupie uczucie, że to jest jednak ojciec. Mniejsza z tym. Nie o ojca tu chodzi. O nas.

Jeszcze dziś wieczór mówiła Zuza, że kto wie, czy po latach zostanie coś z redakcji. Po latach! Już dziś wieczór cały dorobek redaktorski wala się po podłodze.

Deptuła współczuł bardzo, Deptuła niczym matka tkliwa i wszędobylska! Tu podetkał, tam podparł, stamtąd pozbierał pogruchotane szczątki, uczynił z tego sensowne rusztowanie w redaktorskiej czatowni. — Jesteś głodny, podjedz i wypij, kochany Tadeuszu, przy jedzeniu ochłoniesz.

Siedzą, jedzą. Jadło staje Tadeuszowi kością w gardle. Łyka, jakby kamienie łykał. Ojciec mu zniszczył *Głos Sumienia*, a ratuje, pociesza taki drań, jak Deptuła.

— Zastanawiam się — mówi Deptuła — czyja to jest robota? Muszę się zastanawiać, bo cię tu widzę... Dało ci rady, chłopie! — Jadł sam niedużo po ataku wątroby. Musiał stale uważać. Fleczarował, żuł pilnie, słowa mu gulgotały w ustach, pomieszane z mieleniem języka, treść „uczuciowa" przerywana zaślinionym mlaskotem.

Treść romantyczna! — Jak cię tu widzę na ruinach, mój bracie! Nie ja winien ruinom. — Mówił szczerze. Byłby na pewno wiedział od Strzęgorza, gdyby to robił Rząd. Byłby też wiedział, gdyby to robił któryś odłam Ludowców. — To nie nasza robota. A kiedy patrzę bezstronnie na twoją działalność — tu westchnął tłustą piersią — młodość mi przypominasz. Powtarzam zawsze: straszna to rzecz, lecz belfry były też kiedyś młode. Ciężka to rzecz, gdy stara świnia poczuje w sobie nagle serce ludzkie. Na twój widok czuję to serce. Stoisz, chłopie, dopiero na progu nieszczęścia.

Nie pochwyci Deptuła uchem, zmysłami nie rozezna, czuje jednak i słyszy, że w nim huczy od śmiechu — jak nazwać śmiech, w którym się miłość na proch ściera z pogardą?! Przysuwa się do Tadeusza rozczulony. — Jeśli chcesz walczyć, ginąć, dam ci na to pieniędzy. Nikt się nigdy nie dowie... Bez świadków, bez podpisów... Dam ci pieniędzy na twoje głupie pismo, no i walcz aż do skutku.

Zaświtało Deptule coś bardziej doniosłego niż porachunek z Bigdą. Młodość zaszczytna niech sobie działa, płonie! Pogrzać się przy tym ogniu, nim go wreszcie zadepczą. Nasunął się na Tadeusza i powiada do ucha: — Dam forsy ile chcesz.

Patrzą na siebie spod przymrużonych powiek.

Tadeusz woła: — Nie!

Siedzą naprzeciw siebie, czoło przeciwko czołu.

— Nie chcę twoich pieniędzy. Śmierdzą.

— Każde pieniądze śmierdzą — żebrze Deptuła, wzruszony do głębi.

Tadeusz woła: — Nie! — I odpycha Deptułę, który przyciąga młodego przyjaciela i daje inne wyjście:

— Weź się za dobroczynność. Zbadaj-no tę dziedzinę! Neutralna to dziedzina, dobra, tkliwa, serdeczna. Wzruszysz ludzi, kobiety zmiękczysz i ogłoszeń nałapiesz. Musisz osłodzić pismo. Odpasiesz się też na tym.

Wódka czy niespodziane wydarzenia wieczoru poniosły Tadeusza?! I ojciec, i Zuzanna, i dziecka się spodziewać, i rozbita redakcja! Wszystko się odmieniło, jeszcze tylko ta sama, dawna gęba Deptuły świadczy ci w samotności. Wygadał się Tadeusz przed tą gębą. Opowiada, jak było, o rozmowie, o skutkach tej rozmowy:

— To jest ojca robota! Leader Mieniewski rozwalił mi redakcję! Jego ludzie. — W sflaczałe, tłuste rysy, w ogromne, puste czoło, w maleńkie, śnięte oczka, w sine, rozwarte usta wgadywał Tadek ból synowskiej miłości. Więcej niźli synowskiej, ludzkiej, ogólnoludzkiej! — Ojciec uśmierca mnie w duchowym mym działaniu!

Serdeczność wyznań Tadeusza rozjuszyła Deptułę aż do granic, których dotychczas nie przekraczał z Mieniewskim: — Kim dla mnie jesteś, wiesz. Ach, Tadek! Jesteś moją karkołomną zabawą! Może jesteś pokutą? A może oczyszczeniem? No, bo cierpię nad tobą. — Tak rozpoczął Deptuła i wierzył w to, co mówił. Sens oczyszczenia zatarł się jednak w trakcie dalszych wywodów.

Deptuła nawisł nad młodym przyjacielem, jakby w obawie, że Mieniewski nie zechce go wysłuchać, zerwie się i ucieknie. O Bigdzie opowiadał Mieniewskiemu, o bandyckiej przyjaźni, o losach wzajemnego dopełnienia w politycznym działaniu. — Ja przecież byłem mózgiem tego chama. To cham potężny, mówię ci, żywiołowy, potrzebował nie lada mózgu!

Opowiadał Deptuła długo: — Skąd się wzięła nienawiść pomiędzy mną a Bigdą?! Siła, która postanowiła wzgardzić inteligencją, instynkt, który zapragnął stać się wyższym od myśli! — Poniosło posła kulawe krasomówstwo. — Skąd się wzięła nienawiść? Była i między nami przełomowa chwila, jak mi tu opowiadasz, między tobą a ojcem, dzisiejszego wieczoru. Mateusz Bigda dostawał z mojej ręki — jakże ci powiedzieć? — wolność...

Owionęło Deptułę dawne wspomnienie, jak to nad barem Klasa stali na balkonie, za ręce się łapali, szamotali, wypchnęli w końcu żonę, zacną panią Ludwikę, z szóstego piętra na bruk.

— No, tak, no naturalnie — westchnął Deptuła. — Dostał wolność ode mnie. Ale się nie podzielił. Nic z daru nie użyczył, znienawidził mnie za to. Teraz go jednak trzymam. Poszukam na uczuciu. Rozumiesz to, młokosie?!

Opowieść o zalotach i amorach Bigdowskich wysmykiwała się z obrzękłych warg Deptuły, przerywana pośpiechem do czkawki już podobnym. — Rozumiesz to, chłop dziki i łaskawa szlachcianka... szlachcianka dobroczynna.

W półmroku na śmietniku redakcyjnym wygodnie było wałkować takie sprawy. — Paniusia dobroczynna! Dlatego pcham do działań dobroczynnych, abyś na nią natrafił. W polityce sam nie uradzisz. Pomiędzy nami a Piłsudskim

zgruchotany zostaniesz. Więc teren moralności, choćby w aferze Banku Robotniczego: musisz polec. Za dużo tam złodziei było, za ważnych i za bliskich. A tu nie eksponują się, uderzać będziesz bez żadnego ryzyka. Będziem walić w słabiznę! Zapłaci mi nareszcie Mateusz za swą wolność. Możesz sobie wynaleźć przeciwko Kostryniowej księżnę czy też hrabinę.

— Ach, ty stara ropucho! Ja ci o ojcu gadam, duszę otwieram, a ty mnie chcesz zaplątać w twoje gierki?! Moim kosztem chcesz wyrównywać marne rachunki z Bigdą? Do tego jeszcze babskie! — Zerwał się, pchnął Deptułę i następował bokserskim krokiem, zrazu markując ciosy.

Już sam zamach przerażał posła, który się cofał pod złamane balaski, to znów pod redaktorską budę, to raz jeszcze ku oknu, ścigany coraz prędzej, spocony, zadyszany, tłusty, blady, szkliwem i papierami szeleszczący spod nóg.

Tadeusz wciąż nacierał. Nie wiedział nawet, kiedy zaprzestał markowania, uderzał coraz mocniej: — Ja... mam... wieszcze przeczucie — trafiał coraz potężniej — że cię zabiję kiedyś!

Deptuła zaskowyczał, zsunął się na podłogę. Mieniewski podniósł go i bormocząc „parlamentarny flaku" wraził do ręki futro, czapkę i szal. Cały ten tobół drgającego odzienia wywlókł do przedpokoju, a z przedpokoju za drzwi.

Do cnót politycznego życia pana posła Deptuły należało opuszczać miejsce spotkań partyjnych z wielkim wzburzeniem, za drzwiami jednak wracać natychmiast do normalnego stanu. Dzisiaj, poturbowany, nie mógł wrócić do normy. Dyszał bezradnie przed zamkniętymi drzwiami *Głosu Sumienia*. Obolały, pomyślał wreszcie: — Gra bardzo niebezpieczna — i już porwały go wymioty. Co oddał, pozostawił u drzwi nie uprzątnięte.

Spróbował schodzić. Wielkie poty, gorąco, zimno, a futra nie mógł wciągnąć. Paraliż, nerki, arytmia czy wątroba?! Na schodach było ciemno, tylko z piętrowych okien pobłyskiwało szkliste lśnienie zimowe. Znów za dużo powietrza i przestrzeni. Wydało się Deptule, że traci równowagę. Dlaczego w tym momencie wspomniał, co mówił kiedyś Bigdzie o Mieniewskim: „Przyniosę ci szczeniaka w zębach!".

Deptuła zachwiał się, kolana pod nim zmiękły, osunął się na schody, stracił przytomność. Przecknął się z bólem dotkliwym we wszystkich kościach. Nie mógł złapać oddechu. — Zdychasz jak pies na schodach! Doktor dwóch fakultetów, prawie leader stronnictwa, oberwałeś po mordzie. Gdzie Bigda, a gdzie ty?!

Zginiesz, draniu, przeze mnie! — pociesza się Deptuła w nowych, bolesnych torsjach. Czemuż futro obrzygał?! Z nieopisanym trudem sczyścił je, zawdział, zszedł na dół, wydostał się za bramę, dojechał do hotelu sejmowego. Nareszcie w łóżku.

Tkliwa historia, ciągle jeszcze ta sama: dziecko z kopalnianą dziewczyną, która „co prędzej" wyszła za woźnego; woźny wierzy, że to jest jego dziecko, Kapuścik zaś szaleje, bo chłopakowi nie może dać nazwiska. Woźna ciągnie pieniądze, ale kochać się nie da, a jest kompleksem erotycznym Floriana Kapuścika. Florian Kapuścik nie może bez niej żyć.

— Bardzo to jest szlachetne — mruczy w półśnie Deptuła.

— Straszne! — jęczy Kapuścik. — Woźny przylgnął do komunistów, Ka-

rolcia, żona woźnego, popiera Piłsudczyków. Wniosek? Kapuścik rozwija przed drzemiącym Deptułą obraz właściwego działania. Nie bawić się, działać, policję poskromić, zganaszować społeczeństwo. Zganaszować! Nic tak nie ilustruje sztuki rządzenia, jak konna jazda.

Deptuła pławi się w tej głupocie. Gdy oto drzwi stuknęły... Jakby tu mieszkał, do siebie teraz wracał: wchodzi pan premier Bigda w grubym zimowym płaszczu.

— No więc, jak widzę, żyjesz. — Potrącił coś po drodze i siada na fotelu przy łóżku. Ruchem ręki sprawia, że pan Kapuścik znika. Deptuła kręci zadkiem po prześcieradle, co ma świadczyć wymownie o wdzięcznym powitaniu.

Chłód przepełnia Deptułę i ręce mu się trzęsą... Nie przyszedłby Mateusz bez istotnej potrzeby. Deptuła się nastawił i cichy, smutny czeka, aż nawiążą rozmowę. Ledwie bąka. Chory jest przecie. Kto przyszedł, niech zaczyna. Deptuła roztrzęsiony, a Bigda zwarty w sobie, krzepki, ciężki, kamienny, strach powiedzieć: wesoły!

Bigda: — Co ci dolega? Chorujesz mi na nowo? Głowę dam, że to płuca. Może chcesz klimat zmienić?

Deptuła nic.

— Dawniej marzyłeś zawsze o podróżach. Może cię posłem zrobić pełnomocnym? Coś ci obiecywałem. Rzym? Watykan? Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym w barze Klasa w wychodku. Bo nie chcę, byś narzekał.

Premier zamachał ramionami, jak ptaszysko skrzydłami.

— Bo nie chcę, byś chorował. Musisz wracać do pracy. — Widział to kto u Bigdy, ażeby pierwszy rozpoczynał o pracy? O pracy rozpowiada. Od kiedy wszystko sami pod siebie wzięli, wszystko idzie jak z płatka. Traktat jak mur, chłopstwo rozsiada się powszędy, kler przycichł, przemysłowcy ogony podkulili, obszarnicy się godzą z bogatymi chłopami.

Deptuła jęczy, kaszle, ma „odmienne" przeczucia. Gdy tu leżał, rozmyślał, i powraca do swego, o czym wspominał jeszcze na jesieni. — Tam u ciebie w prezydium. Bardzo piękny był wieczór, coś to ogórki jadł. Gołębie kręciły się po niebie.

Mateusz skinął głową: — Tak, pamiętam, gołębie.

Deptuła ma przeczucia ciągle o tym romantyzmie. — Byśmy po łbie nie oberwali. Krótko mówiąc: Piłsudski.

— Chłop się nie złapie na to, bo zarabia, korzysta. — Mateusz wzruszył ramionami.

Deptułę już znów huśta, wyżyna, to nizina, jakby ich huśtał cały czas utracony ich przyjaźni. Będą dyskutowali?! Doprawdy, wstyd rozprawiać. Lepiej czekać cierpliwie, który się pierwszy zdradzi. Bigda zdradził się pierwszy.

Gdy przemleli o ludziach i drobnych wydarzeniach, powiada niespodzianie: — Musisz mnie, Władysławie, zwolnić od akcji dobroczynnych. Nie może tak być dalej. Wciąż mnie baby nałażą, hrabiny i paniusie. Zdałem to w inne ręce, ale wciąż do mnie idą.

Deptuła śledzi premiera spod spuszczonej powieki. Trzeszczą coraz to głośniej wyłamywane w stawach palce Mateusza.

— Zdałem to w jedne ręce, a strony wciąż przyłażą. Trzeba temu zaradzić.

Deptuła jęczy z betów: — W jakie to zdałeś ręce?

Spocony, zapłoniony, wypowiedział na koniec Bigda nazwisko tej osoby oraz to, że akcja dobroczynna nie posiada poparcia prasy. Trzeba, żeby wiedzieli, kto ją prowadzi. Uwidocznić nazwisko. Będą wtedy wiedzieli i dadzą.

— Pani dyrektorowa Kostryniowa to odpowiednia kobieta — pomrukuje Deptuła. — Dobrze, że ją wybrałeś do tej pracy. Bo inne? Do cholery. Trzeba w ogóle stwierdzić: kobiety po trzydziestce powinny iść na szmelc. Półdupki im usychają, a piersi opadają. Odmładzać im się chce miłosierdziem. Niechże ta akcja będzie w jednym ręku. To słuszne. Trzeba koniecznie ujawnić Kostryniową. Dawniej nie chciałeś nazwisk przy tych sprawach. Pamiętam.

Deptuła zasypia.

Mateusz czeka w krześle, rozwalił się wygodnie, gadaniny tej nie śmiałby nigdy przenieść na rachunek kobiety tej, bogini. Lecz gnębi Mateusza paskudne wyrażenie o częściach ciała. Piersi czy jeszcze co innego... Widzi niebezpieczeństwo w podobnych odezwaniach... Ostrą źrenicą wpatruje się w Deptułę i powiada znienacka, mimo że tamten śpi:

— A możebyś ty został teraz jakim ministrem? Kto był ministrem, nie może później uchodzić za łajdaka.

Rozwiązała złoty sznureczek, przyjrzała się banknotom. Same tylko tysiączki. Policzy chyba jutro. Widać, że duża suma. Co robić? Nie wyjdzie przecież za mąż. Nie będzie się nazywać Stanisława Bigdowa. Czy nie można mu kazać zmienić tego nazwiska? Nie można, bo to firma.

Na razie kupi willę, którą później na pewno przekaże głuchoniemym. Kuzyn hrabiego Lachowskiego opuścił trochę z ceny.

Rozejrzała się wkoło, jakby ze snu zbudzona. Wzruszyło Stanisławę wspomnienie. Stary, wierny parawan. Połyskiwał dyskretnie, gdy w Osadzie Górniczej, po nagłej śmierci męża, dolary przeliczała; połyskujące tak samo, jak gdy się jej teraz liczyć już nawet nie chce. Wierne parawanisko! Cóż, panie, gdy się znajdzie w buduarze na Zamku pani prezydentowej Rzeczypospolitej?! Przeciągnęła się mocno, aż hieratyczne karło zgrzytnęło, i przeszła do łazienki.

Prosił o kilka chwil rozmowy. Jeżeli można, wolał audiencję poufną. Kostryniowa wezwała go do willi. Wizyta ta wywarła na panią Stanisławę wstrząsające wrażenie.

Mówił rzeczy, które ją przepełniały strachem, niecierpliwością a zarazem powagą. Słuchając go zapominała o sobie i o willi, może nawet o monstrum?! Pierwszy to raz od czasu, kiedy kręciła się „wśród" Rządu, przemknęło jej przez głowę, że są to sprawy głębsze, niż się przypuszcza, że może to przenikać ludzi bólem, że to może narastać z przeszłości w przyszłość, że to ma sens może nawet straszliwy, który jednych wynosi, drugich niszczy okrutnie.

Słuchając posła zapominała, co o nim wiedziała, że kradł, pił, niszczył ludzi, że kupował obozy i pono całe partie. Pomyśleć, że to po nim dziedziczy Kazik Lolkę Romek-Romecką. Kostryniowa zapominała o przeszłości Deptuły, pochłonięta doraźnie jego sposobem bycia i mówienia. To nie dawny Deptuła! Inny, mroczny, pokutny!

W głębi starożytnej kanapy, w półświetle abażurów, sprawiał wrażenie kłę-

biących się ciemności, z których niekiedy wysuwała się szara, rozdęta głowa i tłuste, miękkie ręce.

Zaczął od wyznań: oceniał twardo dawną swoją postawę. Krzywdę, którą wyrządził ongiś dwóm paniom, nazwał zwykłą podłością.

— Cóż, proszę pani — westchnął — polityka to podłość i zarazem wniebowstąpienie. Znajdujemy się teraz w całkiem nowych wymiarach... — Rzekł i spod czoła błysnął niby nożem wąskim spojrzeniem.

Odczuła je na sobie ostre, dokładne a błyskawicznie szybkie.

— Przyszedłem tu, do pani, w sprawach mojego przyjaciela, premiera Bigdy.

Ze słów Deptuły wynikało, że premier jest człowiekiem niezwykłym, nadzwyczajnym, człowiekiem „ludu". Ileż cierpień, wyrzeczeń, ileż ofiar i upokorzeń, nim wielka masa ludzka wyda z siebie człowieka takiej próby?! Który wszystko, czym oni są, czym byli, przezwycięży i stworzy z tego narzędzie siły. Są to sprawy tajemniczej delegacji etnicznej, posłannictwa, które rozgrywa się w kategoriach historii.

Westchnął głęboko: — Podążając ku chłopskiej jedności zawarł w sobie Mateusz przeszłość. Przyszłości jednak nie widzi dotąd jeszcze. Zaplątał się w kwestiach podziału dochodu społecznego. Traktat handlowy Bigdy! Pragnie nasycić wpływowych chłopów. Choćby nawet nasycił, utraci ich dla siebie, bo nie nasyci ogromnej nędzy chłopstwa, w której wszystko utonie. Kwestia chłopska nie była nigdy kwestią wyłącznie chłopską. Może być tylko sprawą całego narodu. Nie wystarczy wzbogacić chłopów, aby pociągnąć rydwan historii naprzód. Bigda ściągnie na siebie straszliwy gniew historii, bo kto jej ścieżek zawczasu nie prostuje, ten ginie pośród nich.

— Nad Mateuszem zbiera się wielka burza — głos Deptuły stawał się coraz głębszy — ta burza to romantyzm historii. Wiara człowieka w idealizm. Wiara w cnoty, których nie sprawdza może, lecz które zawsze kocha. Które mu muszą szumieć skrzydłami koło uszu. Tego właśnie brakuje naszej idei chłopstwa, jak ją Bigda prowadzi. Brakuje wielkich słów, może pustych, lecz wiecznych.

— Te wielkie, puste słowa, w historii zawsze święte — podsuwałem Mateuszowi dawniej. Gdyśmy do władzy doszli, rozeszliśmy się... — Odczekał długą chwilę. — Poniosło Mateusza powodzenie, może nawet za wielkie. Uzyskał wolność i rozwiązane ręce. Trzeba, aby zapomniał o rachunkach przeszłości.

Dla ratowania idei chłopstwa i ze względu na przyszłość prosił Deptuła, aby Stanisława pogodziła go z premierem. Zwierzył jej w tajemnicy, że Mateusz (wszyscy jej to zwierzali) postanowił ubiegać się o stanowisko prezydenta. Chłop jako zwierzchnik państwa — wielki wyrok historii. Wyrok taki musi być jednak ludzki.

— Pani jedna potrafi — zawahał się i znów głowa z rękami wychynęła z ciemności — umiarkowaniem, doświadczeniem tradycji złagodzić taki wyrok... Złagodzić postać Bigdy. Modelując postać premiera ratujesz pani idee chłopstwa.

Doszedł do Kostryniowej, na krok przed nią zatrzymał się, Deptuła właśnie rozprawiał o antykach. Premier nie znosił tych wszystkich starych gratów. Szydziły tutaj z niego, wielkie, szanowne, rzadkie, a on zwyczajny chłop. Wypadło z tego w końcu, jakby się nie przywitał.

Kostryniowa podniosła rękę, Bigda ją ujął, ale do ust nie podniósł; uścisnął szorstko, jakby się z którymś z kompanów dawnych witał.

Połapał się co prawda, więc zaraz się obraził. Kłopotliwe milczenie. Gdyby nie Kostryniowa do Deptuły: czyby nie zechciał, nim podadzą do stołu, rozejrzeć się po willi.

Poszli więc pokojami, Stanisława cokolwiek naprzód, za nią poseł i premier wielce zakłopotany, bo się Mateuszowi w głowie pomieścić nie chciało, że mu aż tutaj Deptuła towarzyszy. Aż tutaj się przedostał... Chodzi po wyzłacanym gnieździe i jest tu świadkiem Mateuszowych uczuć, choć pamiętają obaj — jak to w Bocianim Gnieździe, kiedyś, nad barem Klasa libację urządzali, jak tam żyli i pili, rozważali, działali...

Cień przeszłości, którego premier nie doznał dotąd nigdy pośród swych nowych uczuć, w miarę uczonej i grzecznej mowy Deptuły pomykał teraz nagle z jednych sprzętów na drugie, z ozdoby na ozdobę, po złoceniach, obrazach. Premier przystanął. — Ha! — tchnął szczekliwie z piersi i spojrzał dookoła zadziwiony. Ale cóż w tym dziwnego, że się Deptuła starał o zaproszenie, skoro zasłużył na nie pilną służbą prasową? Nie dostrzegał w tym Bigda niczego szczególnego, a jednak gryzło go przeczucie bardzo złe, kiedy ich widział zstępujących ze schodów, sam zaś podążał z tyłu.

Jak to przemawiał Deptuła uczenie, zamaszyście! Jak to z okazji któregoś przedmiotu umiał wieki minione przewietrzać i tłumaczyć?! Jak to z wszystkich antyków potrafił zaraz uwić niby koronę piękną, w której blaskiem brylantu świeciła pani domu.

Zadzwoniła na Genię: — Proszę uważać, Geniu, żeby nam ci panowie nie rozbili tam czego na dole. Muszę jechać do miary, spóźniłam się już bardzo.

Należał się jej chyba wypoczynek. „Oswoiła" już wszystkich. Jeżeli Bigda, jak mówiono na mieście, miał na każdego hak, nanizała ich wszystkich na jedwabne niteczki. Dzisiaj u siebie w domu pogodziła dwóch wrogów. Mogła chyba odpocząć. Pojechała przymierzyć dwie balowe kreacje (ze złotej i srebrnej lamy) do Hersego. Przed pogonią urzędowego świata (Kosy, Gruszki, Lachowscy, Rosławscy czy też Cynwajs, kto by spamiętał wszystkich!) chowała się zazwyczaj pośród dzieł dobroczynnych; przemęczona dobroczynnością, mierzyła u Hersego.

U Hersego przed lustrem, w przymierzalni, pół naga, ach, była jeszcze w formie, wracała do właściwej godności kobiecej, odzyskiwała wiarę w powołanie urody.

Tylko piękna kobieta doświadcza w całej pełni rozkoszy przymierzania. Nie lęka się nagości, nie unika negliżu. Gdy pracownice klęczą ze szpileczkami w ustach, a ona się przegląda w trzech ruchomych zwierciadłach, sprószona ostrym światłem, składa, rozkłada ręce, odbiciem zwierciadlanym wydzielona poniekąd z rzeczywistego świata, ni to w ścianach z kryształu zamknięta w gładkich szybach.

Tu, w odbiciu trzech luster, sprawdzała Kostryniowa, czy warto, aby właśnie przed kobietą jak ona otwierał ciemny jakiś prostak duszę swoją ponurą, aby u stóp jej składał dolę biednego ludu... Czy dla takiej karnacji, takich rysów i kształtów warto posłom, ministrom, generałom, premierom trudzić się, cier-

pieć, dręczyć?... Patrząc na swe ramiona, na foremny kształt piersi, na wcięcie ud, na kostki odrobione jak rzeźba, nie miała wątpliwości.

Zdawała się przypuszczać w radosnym upojeniu, że ci wszyscy panowie podglądają ją tutaj, podziwiają z ukrycia. Nie mogą nic zarzucić.

Najlepiej się czuła u młodych niewidomych. Uśmiechała się wtedy pięknym uśmiechem, gdy w dużych, pustych salach wyplatali koszyki i robili szczotki. Wyroby te ofiarnie zakupiła dla willi, poleciła je Lolce Romek-Romekiej i księciu Rosławskiemu dla hotelu, i Strzegorzowi dla ministerstwa, premierowi dla pałacu Rady Ministrów, z tym, że wpłynie na inne ministerstwa, by się zaopatrzyły także w zakładzie ślepych.

Stacho Mieniewski objął główne przedstawicielstwo nieszczęsnych tych wyrobów na wszystkie ministerstwa, zakłady i publiczne instytucje, a nawet większe banki. Z wpływowego radcy premiera stawał się w rękach pani dyrektorowej sprzedawcą mioteł i szczotek ryżowych.

Zwiedzała pełne zgiełku i krzyku sale zakładu dla podrzutków. Dzieci wszędzie: w łóżeczkach, na ławeczkach, na wagach, krzyczące na nocniczkach.

Zabierała tu chętnie z sobą młodego radcę. Nie traci zimnej krwi, uśmiechał się i cieszył, czasem brał nawet któreś maleństwo na ręce.

Nieszczęśliwy wypadek spowodował niestety, że młody Mieniewski utracił zimną krew, a pani Kostryniowa omal że nie zemdlała i że odbyli w końcu przełomową rozmowę wcześniej, niż sobie tego życzyła Stanisława.

Któraś tam z młodych matek, właśnie podczas lustracji zakładu dla podrzutków, skoczyła z trzeciego piętra i poniosła śmierć na miejscu.

Pani dyrektorowa opuściła zakład natychmiast. Mieniewski miał się dowiedzieć o „wszystkim", odszukać Kostryniową później w pewnej kawiarni i zdać sprawę z przyczyny katastrofy.

Gdy Stanisław zreferował, że denatka nazywa się Władysława Wojciechowska i że nikt nie wie właściwie, dlaczego wyskoczyła z trzeciego piętra, obiad zjadła normalnie, Kostryniowa przerwała Mieniewskiemu:

— Normalnie? Co dla was, mężczyzn, znaczy „normalnie"? Co wy wiecie o sercu kobiety?

— Wystarczyło, by pański ojciec wszedł niespodzianie do naszego domu w Osadzie... Chciałam wyskoczyć oknem. — Odsunęła włosy znad czoła. — Ta blizna jest od szyby. Ledwie że mnie mąż schwycił w ostatniej chwili. Tak podziałało na mnie samo zjawienie się pańskiego ojca. Czy w ogóle zdaje pan sobie sprawę, co zawdzięczam pańskiej rodzinie? Leader Mieniewski zwalczał przez całe życie mego biednego męża. Gdy owdowiałam i przyjechałam do Warszawy, zrujnował mnie doszczętnie. Oto nasze rachunki. Brat pański strzelał przecież do mojej biednej Zuzy.

— To wszystko prawda — stwierdził skromnie Mieniewski — i wiem o tym od dawna.

— Zadaliście mi wy, rodzina Mieniewskich, tyle dotkliwych ciosów. Aby dopełnić miary, pan mnie szpieguje teraz z polecenia premiera!

Radca roześmiał się: — Wygląda tak, choć nie jest, nie szpieguję. Przyjemniej mi czas spędzać w towarzystwie pani, niż tkwić w biurze. To jasne.

Przerwała mu: — Czegoż się premier boi? Spisku w dobroczynności?

Radca spojrzał na Kostryniową i po krótkim wahaniu rzekł: — Pan premier boi się o panią, o swój skarb. O swe szczęście...

Zarumieniła się, wzburzona szczerością odpowiedzi. Jakżeż śmiał mówić do niej (i to właśnie Mieniewski) o podobnych uczuciach. Taki młokos.

— Niewiele mnie obchodzą — mówiła szybko — uczucia pana premiera, natomiast pańska dwuznaczna rola...

Odpowiedź Mieniewskiego zdumiała Kostryniową: — Jedyną może zasługą moją jest, że nie grałem i nie gram w życiu żadnej „roli".

Nie uprzedzając nawet, że nie przybędzie na posiedzenie Czerwonego Krzyża, gdzie ją czekali z projektami akcji prasowej pan generał Rzekota wraz z Deptułą, tego samego popołudnia pojechała do Radia. Dowie się tam adresu córki, odszuka ją i dzisiaj zabierze do siebie! Czy był to wpływ uczynku Władysławy Wojcieszko?! Nic podobnego. Raczej skutek rozmyślań w ulubionym kościele Św. Krzyża. Wrócą razem do willi. Odda córce pół piętra, całe piętro. Sama obecność Zuzy położy tamę niepotrzebnym wizytom. Niechże sobie sam robi karierę prezydenta.

Pospieszyła do Radia samochodem przez ciemne boczne ulice, zachwycona swą stanowczością. Któraż inna kobieta zdobyłaby się na takie poświęcenie? Wszystko miała u stóp. Lecz wzgardziła tym wszystkim. Trudno, panie Deptuła, Prostkowscy i Kostryniowie nie niańczyli dotychczas chłopów.

W Radio, w sekretariacie, nie przedstawiła się, potraktowano ją jak jedną z wielu interesantek. Czekała pół godziny na krzesełku przy drzwiach, wśród nieustannych dzwonków i muzyki. Przyjął ją wreszcie niski, łysy człowieczek, jeden z tak zwanych drobnych urzędniczków, którzy są bardzo potrzebni na sekundę, a zapomina się ich później od razu raz na zawsze.

Speakerka Kostryniówna? Ulica Wilcza, numer domu, mieszkania — podał dokładny adres.

Ulica Wilcza. W bramie pół ciemno, nad listą lokatorów rudawa lampka. Zaropiałe okno dozorcy, zapach kapusty z wnętrza; na czwarte piętro służbowymi schodami. Na każdym piętrze zza drzwi głuche odgłosy biednego gospodarstwa. Przypomniały się tutaj pani dyrektorowej mieszkania urzędnicze, biblioteka Staszica, gdzie książki pożyczała urzędnikom kopalni; zimne, zmarznięte palce i nieustanny lęk... Czwarte piętro. Przez uchylone drzwi odpowiedziano: — Kostryniówna mieszkała, już się wyprowadziła. Dokąd? — Wzruszenie ramion. Dlaczegoż, ach, dlaczegoż wśród ciemności na półpięterku odetchnęła Stanisława głęboko z prawdziwą ulgą.

Powróciwszy do willi kazała pozapalać światła we wszystkich pokojach, przejrzała pocztę. Normalny stos zaproszeń. Usiadła przy kominku. Stary zegar z któregoś tam salonu odmierzał czas dyskretnie. Myślała, jak to zaraz po śmierci męża siedziały w kącie za parawanem z pierścionków po cygarach, oglądały pamiętniczek dziecinny Zuzanny, odnaleziony w biurku Feliksa wraz z dolarami. Odległe, dawne czasy. Podniosła się, otwarła skrytkę w barokowym biureczku, wydobyła z przegrody oprawny w skórę zeszyt z *Uwagami*. Roz-

poczęła od nowej strony nie odczytując nawet pisanych spiesznie słów.

Rok, data i godzina: „Pewna ważna osoba pokazywała kiedyś skromnej obywatelce meble w pałacu Rządu. Że ludzie nie dość dbają. Obtłukują. Obywatelka woła obecnie wielkim głosem: Nigdzie o nic nie dbają! Im wybitniejsi, tym są lekkomyślniejsi! Pewna ważna osoba żyje pośród niedbalstwa, a może nawet zdrady...".

Tu cała garść aluzji (pod różnymi datami). O Kosie, Gruszce, Dolańskim czy Cynwajsie. Opisała ich wszystkich, odarła ich ze skóry, nie wspominając nazwisk. Za nazwiska starczyły podane przez piszącą zarysy charakteru. Może jeden Lachowski ocalał w tym pogromie. Lachowski i Deptuła — człowiek o „żywym sercu". Strzęgorz wyszedł dość dwuznacznie. Leader Mieniewski wstrętnie. (O radcy ani słowa.) Pisała dużym, giętkim, pętelkowym pismem, cały gabinet Bigdy zdusiła w tych pętelkach. Nie wiedziała już nawet, na kim się za co mści. Niech wiedzą, niech poczują!

Biureczko aż trzeszczało, na policzkach piszącej wykwitały rumieńce.

Rok, data i godzina: „Wyszukać nowych ludzi! Wyszukać po namyśle z kimś bardzo zaufanym! Z nowymi iść po władzę. Ten ktoś ów zaufany niech złoży przedtem dowód bezinteresowności. Ktoś z boku, całkiem z boku. Choćby nawet kobieta... Nie polityk, a człowiek".

Rok, data i godzina: „Myśli szukają prawdy. Co należy poświęcić władzy? Choćby nawet najdroższe osobiste uczucie. Nie myśleć więc o szczęściu, tylko o obowiązku. Tu nie ma ojca, brata, swata, matki czy córki...".

Rok, data i godzina: „Obowiązkiem kobiety, gdyby do władzy doszła, będzie szczęście mężczyzny. Mężczyzna (znak równania) równa się ludzkości. Kobieta (znak równania) równa się mężczyźnie. Kto chce być prezydentem, musi znaleźć oparcie w towarzyszce urzędu. Musi to być kobieta wzniosła, piękna, stanowcza. Takiej niewiasty życzyć by należało na tak wysokim miejscu. Jeśli jednak kobieta chce pełnią serca żyć, nikt jej nie zdoła oderwać od obowiązków serca, od jej świata: od jej sierot czy kalek, od jej głodnych czy głuchych, niewidomych!!! Czy nawet samobójców!"

Pomyślała: niech się pomęczy i niech błaga na nowo...

Zamknęła zeszyt i połączyła się z zastrzeżonym numerem. Była to ich godzina.

Czekał.

— Dobry wieczór, panie premierze. — Odsunęła od ucha słuchawkę, aby ochrypły zachwyt wyszumiał sam w powietrzu.

— Jeżeli ma pan czas — mówiła patrząc w sufit — jestem w domu i czekam.

■

„Czytacie wytłuszczone grubym pismem nazwiska polityków i myślicie, że to jest prawda te nazwiska?! To tylko zmowa. Zmowa to jest w sprawie podziału na tych, co cierpią, tworzą, i tych, którzy na tym cierpieniu bezczelnie żerują."

Teraz zakończyć jakoś. Płoszył myszy, bijąc podeszwą o ziemię, bił się pięściami w głowę, wpijał sobie paznokcie w kark, aż z tego szamotania wynikło zakończenie:

„Czy zechciecie moje cierpienia uzupełnić waszymi?! Do moich przypadkowych losów dołączyć wasze? Przekonamy się wspólnie, że to nie są przypadki, ale stała reguła. Piszcie do mnie. To jest nasza gazeta. Zbierajmy naszą prawdę, ona nam sama powie wszystko i zaprowadzi sama!"

Na tym skończył. Zerwał się teraz, od rozłożonych papierów uciekł w kąt. Trwał tu drżący, bezradny, jak rekrut do pomiaru. Niechże go sprawdza ta napisana prawda! Niech go sprawdzają wszystkie z list przepisane nazwiska sympatyków, cierpliwców, głuchych ludzi z prowincji, obtłuczonych Normanów, poobijanych, starych, dzielnych wojaków.

Nie boi się sprawdzenia! Jął skakać po pokoju, bić się radośnie w pięty. Ba, żeby jeszcze można było co zjeść. Uczuł bowiem głód wielki. Jakże dostać jedzenie o tak późnej godzinie? Przypomniał sobie, że w przedpokoju redakcji istniało przecież coś jak gdyby spiżarnia, w której gotowano herbatę. Podążył tam Tadeusz ku maszynce gazowej, odkręcił światło, nastawił wodę, a rozejrzawszy się uważniej w stertach gazet i śmieci spostrzegł, że ktoś tu leży na podłodze; z paczką zwrotów pod głową spał tu nakryty płaszczem woźny *Społeczeństwa*.

Tadeusz do podnoszenia rannych, do budzenia jedyny! Rozrzewnił się w tej chwili; zawsze gdy jakiś okres życia zaczyna albo kończy, niesie w ramionach bezwładnego człowieka. Tak dźwigał kiedyś Dusia, później w lachowskich lasach podtrzymywał zastrzelonego Krasnę, teraz o świcie dźwiga znów tego sługę.

Bigda czytał trzeci wycinek: *Medalion i rzekotka*.

„Medalionowa dama, niczym powój wiosenny oplotła się na pniu dębowym, że prawie jej nie widać spod rozłożystych konarów, które ramieniem ośmiornicy oplątują przemysł wojenny."

Następował opis wyczynów generała Rzekoty.

Bigda wciąż czytał głośno, Deptuła słuchał. Wyrównanie rachunków... Że też potrafił jeszcze, zmęczony już i zgrany, rzucić obu na siebie: Mieniewskiego na Bigdę. Byka motylem płoszyć, słomką przebić opokę.

— Kto mi tak na nią pisze?

Ciężkie słowa premiera przerwały myśl Deptuły.

— Gdzie mogę — westchnął poseł — każę niszczyć to świństwo, wszędzie, we wszystkich kioskach. Gdzie mogę, konfiskuję.

— Kto mi tak na nią pisze?! — przerwał ostro Mateusz.

— Ba — odpowiedział Deptuła, nie zmieniając pozycji.

— Kto to pisał?! — syknęły płaskie słowa premiera.

— Kto, czy jak się nazywa, nie wiem. Rzecz obojętna. Ogłasza *Głos Sumienia*.

Spadło to na Deptułę! Pięście niczym kamienie. Schwycił go premier, podniósł, jednym skokiem zawinął ku oknu, na kanapę.

Deptuła w kąt wciśnięty. Mateusz ciężkie łapska trzyma wciąż na ramionach starego przyjaciela i przez ściśnięte zęby, z których już krew wycieka, bełkoce:

— To jest moja, to jest moja kobieta... Zabiję! Zginę dla niej... Zabiję Mieniewskiego! Kijem, kijem zatłukę!

Deptuła głaszcze Mateusza po głowie, napatrzyć się nie może, pierwszy raz bowiem widzi rzecz tak niesamowitą: stare chłopisko szczeka, a z oczu leje łzy.

Minęło kilka dni. Zdawało się Deptule, że chyba nie poradzi, że nie poradzą razem ze Strzęgorzem, że nawet sam Lachowski nie powstrzyma premiera, żądnego śmierci redaktora *Sumienia*.

— Kijem, kijem zatłukę! — krzyczał Bigda po nieudałej wycieczce do redakcji *Głosu*. Poszedł w samo południe, był później po południu w tej obrzydliwej dziurze, z grubą lachą tam poszedł, lecz nikogo nie zastał prócz głupiego woźnego i szarej, zmokłej kury, co pisze na maszynie.

Pan redaktor wyjechał, sami nie wiedzą dokąd.

Kijem zatłukę drania! Kijem na śmierć zatłukę!

Więc Deptuła o kiju, potem zaraz o śmierci. Czy aby nie za wcześnie wygrażać ludziom śmiercią? Śmierć bywa obosieczna...

Stoją naprzeciw ciebie w pałacu prezydialnym przy tymże samym oknie, przy którym ongiś trwali, gdy Deptuła podchodził Bigdę z powodu śmierci żony, biednej Ludwiki. Miało się ku jesieni, teraz idzie ku wiośnie, lecz sprawa wciąż ta sama, nie rozplątana dotąd...

Napomknienia, przebłyski? Mateusz nic nie zważa. Pieni się, krzyczy, miota.

Więc Deptuła zaczepia ostatecznie o honor. O honor wielkiej damy. Kij tego nie załatwi, bo to są wyższe sfery, inne, wyższe cele...

— O czym ty mówisz do mnie? — spiętrza się nad nim premier. Deptuła bowiem siedzi, Bigda zaś stoi nad nim. Tak rozmawiają teraz: ten siedzi, a ten stoi.

— Honor światowej damy możesz narazić szpetnie.

— O czym ty mówisz do mnie?! — Deptuła po raz pierwszy widzi dzisiaj rzecz taką: Bigda sięgnął głęboko do kieszeni od spodni i wydobył scyzoryk, swój scyzor gospodarski, który wraz z przeróżnymi drobnymi pożytkami nosił zawsze przy sobie.

Przeszli do oranżerii, palmy tam oglądali. Potem salon i znów rozmowa.

Deptuła nawiązywał do tych palm w oranżerii. Umieć im wytworzyć tu, u nas, na północy, odpowiednie warunki. A artystom w sztuce tego naszego kraju, która jak cenna palma wymaga też opieki, wcale jej nie okazujemy.

Przepraszał, że korzysta z okazji obcesowo, lecz wszyscy dookoła zajęci polityką. On jeden się poczuwa do troski o te sprawy, zaniedbywane ciągle. Zwłaszcza przez naszych ludzi, realnych i zdrowych, krzepkich, lecz nie muśniętych dotąd wiewem wyższej kultury.

Przeminiemy bez echa, ślad po nas nie zostanie, jeśli nikt nie przekaże naszych dążeń i wzlotów dziedzinie kształtu, słowa! Pani jedna, jedyna wśród tego otoczenia może zapoczątkować także w dziedzinie sztuki nową erę. Czy przewrót? Czy nawet cały przewrót?

Tu pan poseł Deptuła roztoczył piękny obraz przykładów historycznych z zakresu współdziałania wielkich władców z kulturą. Jakżeż takie ogromy energii żywiołowej, jak Aleksander Wielki, jak wielki cesarz August, jak papież Juliusz II czy też Ludwik XIV, czy Elżbieta angielska, czy cesarz Napoleon współdziałali z kulturą, łagodząc tym sposobem charakter swych profilów na tle przebiegu dziejów.

Deptuła chce osiągnąć, ażeby Kostryniowa swym wpływem na kulturę złagodziła surową postać premiera Bigdy.

Niech zacznie od własnego portretu. Portret pięknej kobiety wcielonej we wzniosłą duszę może się stać ośrodkiem poglądów na epokę. — Niech pani raczy tylko usłuchać mojej rady. Proszę wybrać artystę, by panią sportretował, a za pani przykładem pójdą od razu wszyscy. To samo można zrobić również w innych dziedzinach, więc słowa, więc muzyki, rzeźby, architektury. Tym sposobem złagodzi pani dyrektorowa profil premiera Bigdy na tle przebiegu dziejów.

Czemuż stracił pół brzucha? Mógł się śmiać tylko w duchu: zacząć od pojedynku, a skończyć na profilu! Doktor dwóch fakultetów podziwiał Kostryniową: chciał kobietkę zagadać, przypuszczał, że wzburzona wróci do głównej sprawy, więc sprawy pojedynku. Panowała nad sobą, czy też tak była pewna, że wszystkim pokieruje, jak uważa za słuszne?

Czemuż stracił pół brzucha? Mógł się śmiać tylko w duchu: wyjątkowa kobieta! Jak to Bigda musi tu dreptać, tańczyć, jak się tu wyprzedaje z nienawiści, z chłopstwa i z przeznaczenia swego! Kiedy ją już Deptuła obsypał nazwiskami Kochanowskich, Rasynów, Rafaelów, Dekartów, w dźwięcznym zdroju tych nazwisk uśmiechnęła się tylko.

— Zrobię, co będę mogła, gdy tylko będę mogła — zakończyła wizytę pani dyrektorowa.

Od odejścia Deptuły aż do przyjazdu premiera na kolację (wydzwoniła go w porę, ustaliła telefonicznie wszystko, co należało, z mądrym, sprytnym Kazikiem) poświęciła uwagę tylko przygotowaniom: stół, kwiaty, menu, wina. Rozpylić wszędzie ambrę. Suknia czarna, skromniutka. Jeden sznureczek pereł.

— Zrobię wszystko, co zechcę — postanowiła nagle. Zeszła prędko na dół.

Usiadła przy kominku zapatrzona w świetlistą amfiladę pokojów. Ani nawet poblasku dawniejszych jasnowidzeń! W sztywnym promieniu świateł zdało się Stanisławie, że się rozściela wszędzie jej niecierpliwa nuda.

Gdy spostrzegła na koniec Bigdę zdążającego niezgrabnie przez gabinet, ziewnęła po kryjomu.

Zaczął całować jej stopy. Uczuwszy, że są zimne, ogrzewał je, nasycał ciepłem swego oddechu.

O wszystkich „tamtych" sprawkach wszelki słuch zaginął. Chociażby taki szczegół, Mieniewski! *Głos Sumienia.* — Nie wolno premierowi załatwiać takich rzeczy. Nie wolno mu narażać życia — westchnęła rzewnie — skoro to życie ma taką wagę dla przyszłości.

— Nie ma innej przyszłości — roześmiał się porywczo.

Nie dała mu dokończyć: — Jeżeli życie swoje poświęca pan kobiecie...

Zsunął się jeszcze niżej, z łóżka spełzł na podłogę. Podwinęła się blisko i drobnym ruchem stopy, wynurzonej z pościeli, rozwarła jego wargi. Dama, hrabini, szczęście! Widział ją poprzez jedwab, sprószoną srebrnym lśnieniem: jedno cieliste światło, z wody czy z mgły, z powietrza czy może z samej myśli?...

Szeptała teraz sennie, skrycie, do samej siebie. Zastygł w półnachyleniu, aby posłyszeć lepiej. Lekkim odruchem stopy głaszcząc jego policzki szeptała mono-

tonnie: — Mogłabym zawsze wszystko, tylko nie chciałam jeszcze. Teraz będzie, jak zechcę...

Patrzył na nią ukradkiem, wydało mu się bowiem, że zapomina o nim, wyzwala się z wszystkiego i staje się samotna.

— Będzie wszystko, jak zechcesz — przyświadczył kornie Bigda — ale tego nie będzie, by cię napastowali i bym ich nie ukarał, gdy zasłużyli na to!

Odpowiedziała prędko, że już postanowiła: — Jego życie jest ważne także i dla niej samej.

— Nie idzie tu o życie — uśmiechnął się lękliwie.

— Może iść i o życie. Marną sprawę napaści jakiegoś tam pismaka załatwi byle kto. Chociażby pan Rzekota. Nie warto o tym mówić.

Pan Rzekota. Generał. Pan generał Rzekota wyprzedzi zawsze innych. Pierwszy się przy niej znajdzie w Klubie przy herbacie, na balu, pośród wojska, w pałacu i na koniu. I teraz znów wybrany... Jednym gwałtownym ruchem schwycił ją Bigda mocno pod kolana, przez piersi i wtulił się żarliwie i prosić zaczął, błagać — że to pewno nie ona rzecz tę postanowiła, ale Deptuła, Strzęgorz! Osaczyli, dognali, już mu ją biorą, kradną!

Spostrzegł się, zmitygował. Nie zależy mu na nich. Ale jakże pozwolić, aby ktokolwiek inny, cóż dopiero Rzekota, miał prawo, by jej bronić?!...

— Tak już postanowiłam — szepce z głębi posłania.

Klęczy przed nią i prosi.

Ona, że nie i nie. I śmieje się w pościeli półsennym, cichym tokiem, jak gdyby wyłoniona z wody czy z chmur, czy z tęczy. Przegięło Mateusza zazdrością niewstrzymaną na myśl, że pan Rzekota mógłby otrzymać ranę w obronie Kostryniowej.

— Ustąpię mu — dyszy Mateusz — ale pod jednym warunkiem... Inaczej się nie zgodzę! — I już noża dostaje ze swych łachów, z podłogi i już otwiera ostrze wielkiego scyzoryka wpatrzony w jej oczy.

— Żeby kto inny za nią?! — Doznaj pani ode mnie, żem nie gorszy od innych! Bo nikt ci więcej nie da, niż ja ci krwi chcę oddać!

Ręce nagle wyciągnął, poszukując jej dłoni, do których nóż jej wepchnął.

Wyskoczyła z pościeli, przejęta obrzydzeniem. — Czego pan chce, człowieku?!

Nadstawił pod nóż piersi, uda, ramiona, szyję. Krzyknęła z przerażenia, że nie i nie. Nie! Nigdy!!! Czemuż go teraz właśnie ogarnęło wspomnienie dawne już, wciąż bolesne, zawsze wstydem piekące?

— Boisz się dziabnąć nożem? — skarżył się i nadstawiał. Opowiedział jej teraz cały wstyd miniony... Jak to dziewuchy drażnił, jak go szpilkami skłuły, jak potem cierpiał bardzo od zawrzodzonych ran. Jakim to był łazarzem nędznym i zapomnianym, jak go w czworakach później hrabina opatrzyła, jedna z Lachowskich hrabin. Jak ją nad sobą ujrzał pańską i jaśniejącą, skłuty i zaropiały...

Opowiadał to spiesznie. Wyrywał ze wspomnienia po kolei jak było, patrząc jej prosto w oczy.

— Oszczędzasz mnie? Żałujesz?! Nie ma się co litować, bo z kimże jesteś teraz i cóż to za człowiek jestem?! Dawny fornal! Parobek, skłuty przez marne dziwki! — Ukazał ciemne bruzdy szerokich blizn na udzie.

Stanisława krzyknęła i zakrywając oczy, przepełnione odrazą, dźgnęła go nożem w udo.

— Cóż to jest dla mnie dzisiaj! — huczał, śmiał się, rechotał — nie czuję tego wcale!

Uderzyła raz jeszcze w udo, przez piersi, w ramię, w drugie ramię, znów w piersi. Wstrząsana ciągłym dreszczem uderzała raz po raz. Choć krwią spływał, przyświadczał. Witał każdy cios nowy wydechem przesilonym, jak drwale czynić zwykli, kiedy drzewa ścinają.

Ów stęk miarowy, ochrypły ocucił Stanisławę. Odrzuciwszy skrwawione, przebrzydłe scyzorzysko, upadła na posłaniu. Objął jej chłodne stopy. Przemknęło mu w pamięci, jak przyszedłszy tu dzisiaj podnosił do ust ręce kobiety tej jedynej. Podniósł teraz jej stopy z nabożną ostrożnością, aby je do ran przytknąć. Przytrzymywał na piersi, przytykał do ramienia, żeby je ubroczyła i ukąpała we krwi, której zawsze jej odda, ile by nikt nie oddał...

Dobrze, że nie patrzyła, zmęczona, wyczerpana, a może także w końcu sennością zniemożona. Odział się tym swobodniej, zszedł na dół, potem długą amfiladą pokojów, przez które stąpał cicho, niosąc buty na plecach, aby trzasku nie czynić. Stąpał jak urzeczony, sam już nie wiedział teraz, czy na jawie odchodzi, czy w sennym majaczeniu...

W marzeniu, czy na jawie, lecz chyba nigdy, nigdy tej chwili nie zapomni, jak kroczył po tkaninach, wśród poblasku antyków, makat, kryształów, luster, niby w poświacie.

Wzuł buty w przedpokoju, wyszedł nie spostrzeżony.

Nie wierzył w żadne śluby. Ale kiedy powracał o świcie do Prezydium, uczuł, jakby ślub złożył... Piekły go wszystkie rany na piersiach i ramionach. Nie opatrzy ich wcale! Mają się same goić albo niech zaropieją. Pokrwawiona koszula przywierała do ran, a przy każdym gwałtowniejszym stąpnięciu odrywała się zaraz.

Im więcej tego bólu, tym pokora chętniejsza. Że mógłby już przebaczyć i wyrozumieć wszystko. Zaraz rano w Prezydium zawezwał do śniadania radcę Mieniewskiego.

— Niewiele brakowało — rzekł, maczając rogala — żebym was porozganiał. Obu braci Mieniewskich! Ciebie przegnałbym tylko, ale tamten z pewnością nie pozbierałby gnatów. Ocaliła was pewna kobieta. Wielka dama! — krzyknął srogo Mateusz. — Przezacna, święta dama! Kto jest ta dama, wiesz...

Od tego się zaczęło. — I już zaraz o napaści Tadeusza i że chciał mu połamać kości. Że czego tylko dotknąć, zawsze wszędzie Mieniewscy. — Twój brat albo twój ojciec...

Z tego na sprawy Zośki, narzeczeństwa i domku. — Co to mi wciąż wspominasz. — Ja ci załatwię wszystko, ale mnie nie opuszczaj. Zawsześ mi dobrze radził w salonowych okazjach. Nowa teraz okazja: pojedynku. Aby Stacho usilnie nad tym czuwał, bo mnie to nie przystoi, gdyż mnie oplączą zaraz. Strzęgorz, Deptuła, hycle! Oni prowadzą sprawę. Niby że Strzęgorz krewny. Te sprawy honorowe, to przecież istne sieci. Wypożycz mi gdzie kodeks. Nigdy się w tym nie wyznam, a mieszać się nie mogę...

Wyznałby się, lecz nie śmiał, skoro mu zabroniła. — Strzęgorz, Deptuła — zżymał się w sobie premier, okradli go już z zemsty na draniu redaktorze, gdzież go dalej zapędzą?... Sam okradł się z opieki nad kobietą jedyną, odstąpił to Rzekocie.

Żeby taki Rzekota miał swoją krew przelewać z powodu Kostryniowej?! Myśl ta dręczyła Bigdę niewymowną zazdrością. Zakończył więc przebiegle: — Bo ty się, Stacho, wcale nie wyznajesz już we mnie. Porzucam politykę. Szykuję się na inne, o wiele wyższe miejsce. Nie chciałbym za nic w świecie zaczynać od kalectwa lub śmierci twego brata. Potem jako mąż Zośki będziesz mi wciąż wyrzucał: że brata ci zabili moi ludzie. To warchoł, lecz trzeba go ocalić, choćby tylko dla ciebie. Zajmij się więc tą sprawą, uważaj na Strzęgorza. Czy może na Deptułę. Niby jako mój radca, że dla mego spokoju.

Rozstali się serdecznie. Radca obiecał wszystko załatwić jak najlepiej. Jako brat Tadeusza — nie z ramienia premiera, z własnej inicjatywy porozmawia z Deptułą, by nie prowadzono konfliktu nazbyt ostro.

Stanisław nie zamierzał wcale szukać Deptuły. Poprzedzony bukietem róż, zjawił się w willi.

Zastał panią dyrektorową cichą, bladą i wzniosłą. Opowiedziała zaraz, że miała ciężkie przejścia dzięki nim. Zrozumiała, ile zrobi dobrego, poświęcając swe życie drugim... Praca dla kalek, głuchych czy niewidomych była wstępem... Dla dobra pojętego o wiele szerzej postanowiła — lecz nie należy mówić o tym nikomu — pokierować życiem pana premiera...

Radca Mieniewski przypomniał sobie widzenie z Kostryniową w modnej kawiarni po wypadku z tą jakąś Wojcieszko i wielki gniew dyrektorowej, gdy sam niebacznie napomknął o zamiarach małżeńskich premiera. Uznał, że nie należy dziś tego przypominać.

— Postanowienie moje — mówiła z namaszczeniem — wydało już owoce. Tak. Niedalej niż wczoraj rozwiązałam nareszcie problem „rodu Mieniewskich"! Te krzywdy, które mi wyrządzono — pański ojciec, brat pański... Kłopotliwa afera Banku Robotniczego, wszystkie pretensje ludzi pokrzywdzonych w tej sprawie zostaną umorzone. Pański ojciec znów śmiało stanie na czele partii. Pański brat wyjdzie wreszcie cało ze wszystkich swoich procesów. Kto wie, czy nawet później nie pomyśli się o nim?...

Piękny obraz przeszłości wzruszył dyrektorową. Kapitalista, socjalista (biedny Feliks i leader), przepaść światopoglądów, odmienne typy ludzkie, odmienne ideały, wyrównała to wszystko swym skromnym poświęceniem.

Opowiedziała o zamiarach premiera. — Chciał zabić brata pańskiego. Rozwiałam te zamiary. — Słysząc swe własne słowa, zdziwiła się ich brzmieniu. Pomyśleć, że kobieta, która je tu wymawia, dziś o świcie, w tym samym domu, broczyła we krwi ręce, niby zbrodniarka...

— Tak, tak, mój przyjacielu, pokieruję tym życiem. Czy to jest wyższa wola, wyższe zrządzenie losu, czy też decyzja moja wynika z powołania? Myślałam o tym wiele, szukałam bardzo często rady nawet w modlitwie. Jak pan widzi, znalazłam...

Aby zażegnać burzę, zdążyła porozmawiać z drogim Kaziem Strzęgorzem oraz z posłem Deptułą. Panowie ci pod wodzą hrabiego Lachowskiego ujmą łagodnie sprawę. Jakżeby to określić? Mówili mi „fachowo", że to będzie „do pierwszej krwi".

Stach Mieniewski nie śmiał po prostu mówić o wielkim poświęceniu, dziękował za opiekę nad marnotrawnym bratem.

Spadał radcy w tej chwili ogromny kamień z serca: kompleks „rodu Mieniewskich" zostaje wreszcie rozładowany. Pojedynek przekreśli wszystko, a nikt

nikomu nie zrobi żadnej krzywdy. Biedny ojciec zdjęty na koniec z haka, *Głos Sumienia* po pojedynku musi się ustatkować...

Radca spytał, czy mógłby pozostać jeszcze chwilę, pragnąłby może trochę pomówić i o sobie. Sama go ośmieliła kiedyś do takich zwierzeń. Chciałby także odpocząć, pomyśleć może nawet i o politechnice?... Wieczna troska o stanowisko ojca w gabinecie, lęk o brata! — Tych trosk, dzięki kochanej pani, nie odczuwam już dzisiaj. Chciałbym tedy pomyśleć nieco o sobie samym...

Ucałował jej ręce, spojrzał w oczy, przypomniał, że bez względu na wszystko stanął swojego czasu po jej stronie przeciwko premierowi. — Po cóż jednakże mnożyć niepotrzebne ofiary. Pani się poświęciła wiążąc swą przyszłość z Bigdą...

Radca dobrze rozumiał ten ogrom poświęcenia. Lecz po cóż „wobec tego" miał się i on poświęcać? Po takim wstępie prosił, ażeby mu pomogła wyplątać się ze słowa danego córce Bigdy. Tłumaczył to sowicie, a rzecz była tak prosta. Pani dyrektorowa dotknąwszy jego skroni, ucałowała w czoło. Prawdziwie szczera młodość. Gdy się tylko dowiedział, że się ofiarowała, sam korzysta co prędzej...

— Ależ tak, drogi chłopcze. Wyplątam pana jakoś z tych węzłów narzeczeństwa. Czemuż niedobry los kierował tak opacznie losami młodych ludzi?!

Juliusz Kaden-Bandrowski

Opracowały
Romana Bandrowska
i *Irena Szypowska*

Tadeusz Kotarbiński

CONSUETUDO
(NAŚLADOWANIE NORWIDA)

Dostojnie dźwięcznym słowem „consuetudo”
Zwali Rzymianie przyjazną zażyłość:
Że się zgodliwe tętno ustaliło,
Że koleiną toczy się obręcz, nie grudą.

Nowizny błysk i zgiełk wstrząsa dreszczem tanim,
Do serca zaś przenika to, co sercu znane.
Słońce! Wszakże co wieczór zapowiada: „Wstanę!”.

Ledwie się pierwszym brzmieniem ogłosi appassionata,
Już wiem co dalej, znam już tonów pieściwość, zanim
W zachwyt mnie porwie, w przepomnienie świata.
Dawno, niezmiernie dawno, przy wyboistym rozstaju
Znajomej ciszy słucham, a cisza mówi, że potem
Wzejdzie daleki szmer i stanie się turkotem...
O, gaju, jagód czerwonych ojczyzno, borówczany, żywiczny gaju,
Miejsce radosnych powitań, z gołębim nad choiną przelotem...

Bywa, iż twórczy pęd, niestrudzony kowal,
Własnemu zamierzeniu wiary nie dochowa:
Krzywego tworu fragmenty ku sobie nie przystają,
Zwierciadeł wyrok brzmi: lewej przekorna prawa połowa,
Aliści patrzącemu wprost nie widna chromość oblicza
Czyliż nie consuetudo harmonii użycza?

Nocny wędrowcze, przyznaj, ilekroć pojrzysz na niebo,
Nic nie widzisz, oprócz mrowia lśnień, stężałych z zawiei,
A oto znawca mgławic uroczyście ogłasza efebom
Cud nad cudy: „Zabłysła dziś Nowa Persei!!!”
Tak, ukochaniem przejęty gorliwym,
Miłośnik wiernie obcuje z tworzywem,
Póty badając zwykłych rzeczy twarze,
Aż się w ich rysach Dziwu twarz ukaże.

Tadeusz Kotarbiński

Stanisław Piętak

O CZECHOWICZU

I

Ostatnie dwa lata nagle przerwanego życia wypełniły Czechowiczowi gorączkowa wprost pasja i wielki wysiłek, by wypowiedzieć się w dziedzinach literatury, dotąd przez siebie poważnie nie uprawianych, to jest w prozie i w twórczości scenicznej.

Poeta obnosił się wprawdzie z prozą już od roku 1932, zapowiadając uporczywie w pismach literackich, że w najbliższym czasie ogłosi powieść pt. *Berło*, ale, jak się okazało, już po dwóch latach planów swoich poniechał. Z opowiadań i zwierzeń Czechowicza pamiętam, że *Berło* miało być powieścią o losach rodziny ojca poety i tematycznie obejmowało spory szmat czasu, sięgając od roku 1863 po współczesność. Poeta napisał już kilka dłuższych rozdziałów, jakieś sto kilkadziesiąt stron książki, lecz nie był zadowolony z pracy i, jak mi się wydaje, rękopis swej jedynej, nie ukończonej powieści spalił lub zniszczył.

Nie miały większej wartości również opowiadania i szkice Czechowicza drukowane w ciągu lat, ekspresjonistyczne w pomyśle i w formie. Kawał mocnej, dojrzałej prozy stworzył poeta dopiero na rok przed śmiercią. Mam tu na myśli opowieść pt. *Jama* opublikowaną w kilku numerach *Pionu* w lecie 1939 roku, w której poeta zawarł swoje ciężkie doświadczenia z lat wojny, gdy jako siedemnastoletni ochotnik udał się na front i w twardym, okrutnym zetknięciu się z rzeczywistością przeżył gwałtownie wszystkie rozczarowania młodości.

Nie proza jednak opętała prawie bez reszty wyobraźnię Czechowicza w ostatnich latach, lecz dramat. W pośpiechu dotąd sobie nie znanym, w gorączce twórczej napisał Czechowicz w stosunkowo krótkim czasie kilkanaście jednoaktówek i fragmentów dramatycznych. Były to różne i nierównej wartości utwory — fantastyczne, stylizacyjne i na wskroś realistyczne. Dominowała w dialogach proza, ale przydarzały się także sztuki napisane całkowicie wierszem.

Z tych fragmentów największe wrażenie w młodym polskim środowisku literackim wywołała jednoaktówka *Czasu jutrzennego*, ogłoszona w *Pionie* w 1938 roku. Nic zresztą dziwnego, materia artystyczna jednoaktówki miała wiele elementów wspólnych z sugestywnymi wierszami poety. Czytało się ją świetnie — ponosiła, urzekała, jak zwykle, melodia Czechowiczowskiej strofy,

jej świeżość, jej naturalna swojskość. *Czasu jutrzennego* było aż nabrzmiałe od poezji — i to radowało.

II

Przyznam się, że chociaż nie byłem zwolennikiem wielu prób dramatycznych Czechowicza, to jednak faktura *Czasu jutrzennego* i mnie urzekła. Z tym większym zainteresowaniem wyglądałem realizacji scenicznej utworu, wiedząc, iż Horzyca przygotowuje go w Teatrze Nowym w ramach wieczoru jednoaktówek — Norwid, Rittner, Czechowicz...

Oczywiście, autor oczekiwał jak najbardziej niecierpliwie premiery swego małego dramatu poetyckiego. Marzył mu się tak mu potrzebny sukces materialny i szerszy rozgłos, którego nigdy nie zaznał. Stało się inaczej.

Premierę *Czasu jutrzennego* zapamiętałem mocno, bo w tym dniu miałem ostatnie spotkanie i ostatnią rozmowę z Czechowiczem. Józef telefonował do mnie na parę dni przedtem; przybyłem do teatru punktualnie, spotkaliśmy się w hallu.

Przedstawienie odbywało się, jak już wspomniałem, w Teatrze Nowym. Na widowni było wielu znanych, starszych i młodszych pisarzy. Siedziałem obok Józefa. Dziś porzucił swój codzienny, czarny sweter i zjawił się w nowym, ciemnym garniturze, starannie uczesany i ogolony, co mu się od czasu niedawnych, wielkich kłopotów życiowych rzadko przydarzało.

Wieczór rozpoczął się znakomicie. *Miłość u kąpieli morskich* Norwida miała na scenie wdzięk, lekkość i precyzję. Podobał się publiczności szczególnie Roland, który mówił wiersz prosto, bez cienia patosu, a przez to olśniewająco.

Nie mniejszym sukcesem Horzycy stały się Rittnerowskie *Odwiedziny* — makabryczny, pełen okrucieństwa obserwacji, lecz świetny dramatycznie fragment obyczajowy.

Na tym tle jakże ubogo, niepełnie zabrzmiał tekst *Czasu jutrzennego*. Może zawinili główni wykonawcy (Białoszczyński i Pasławska), stąpający na szczudłach patosu, może reżyser, który nie potrafił nadać scenom żywszego, mocniejszego rytmu — przedstawienie Czechowiczowej jednoaktówki ani przez chwilę nie poderwało sali, rozsypało się w mglistościach i poetycznościach. Nawet wiersz Czechowicza, wibrujący uczuciami i pełen piękności dźwiękowych, zaprzepaścił się, nie przeniknął do słuchacza.

Widzowie patrzyli zdezorientowani i nieufni. Na dobitkę jeden z głośnych, starszych poetów, znany z nieokiełzanego temperamentu publicystycznego i bezwzględności osądów, rzucił ostrą uwagę, na głos począł urągać sztuce. Klapa? Tak, premiera *Czasu jutrzennego* przyniosła niewątpliwie Czechowiczowi nie sukces, lecz klęskę.

III

Kłopotliwe raczej niż radosne było spotkanie, które urządziliśmy sobie po przedstawieniu. Poszliśmy w małym gronie do „Zodiaku" — byli tylko Horzycowie oraz ich przyjaciółka, nieznana mi bliżej rzeźbiarka, wreszcie Sebyła — i usiedliśmy w głębi lokalu.

Przy stoliku było ustronnie i intymnie, a przecież rozmowa się nie roz-

winęła. Nikt nie gratulował autorowi, nie analizował przedstawienia. Sebyła nie robił tego, bo był w ogóle małomówny i niesklonny do egzaltacji i pochlebstw, Horzyca zaś czuł się jakby sam winny, minę miał zachmurzoną, smutną — i też milczał.

Tak więc kobiety cośkolwieczek poszczebiotały o uroku i poezji, której się nachłonęły do syta, lecz rychło zaplątały się w dygresjach, wspominkach czy zgoła w plotkach.

Siedziałem znów obok Józefa i byłem w pełni świadom, że on dręczy się, szarpie, z trudem wytrzymując rozmowę i sąsiedztwo ludzi. Było mi go żal, więc kiedy opuściliśmy kawiarnię, nie oddałem się swoim zwykłym zapałom towarzyskim, to jest nie odprowadziłem rozbawionej rzeźbiarki, choć może wypadało to zrobić, lecz pozostałem z nim, postanawiając towarzyszyć mu do tramwaju.

Szliśmy tak znanym mi z codziennych wędrówek szlakiem, Mazowiecką, placem Napoleona, Bracką. Noc była pochmurna, mglista. Próbowałem rozmawiać, wyrzekłem kilka nieskładnych, ogólnie zatrącających o przeżycia wieczoru uwag, ale, skoro Czechowicz nie odpowiadał, zamilkłem.

Teraz i ja poczułem się zmęczony sytuacją i obserwując mroczne zachowanie się przyjaciela myślałem prawie z ulgą, że za chwilę, gdy się rozstaniemy, wrócę jeszcze i poszukam u „Wróbla" czy w „Adrii" swoich codziennych towarzyszy: Otwinowskiego i Gombrowicza, i pogadam z nimi, odetchnę weselszą atmosferą.

Staliśmy już obok „Cristalu" na rogu Brackiej i Alei. Józef nagle wyciągnął rękę, począł się żegnać. Wpierw jednak wypowiedział kilka gwałtownych zdań. Ledwiem go mógł zrozumieć, bo więcej patrzyłem na jego połyskujące, prawie nienawistne oczy i zmienioną, pobladłą twarz. Mówił, że tak już dawno się dzieje — największe krzywdy i niesprawiedliwości spotykają go od ludzi mu najbliższych. — Bo wy jesteście najokrutniejsi — zawołał — wy też gotowiście uderzyć, a nie podeprzeć, jak trzeba...

Coś tam w pierwszej chwili tylko wymamrotałem i rozłożyłem bezradnie ręce. Gdym natomiast ochłonął i chciał usprawiedliwić się, coś rzec o niskiej cenie kłamstwa i obłudy, Józef już odszedł, skierował się szybkim krokiem w głąb Alei.

IV

To było nasze ostatnie spotkanie. Już po kilku dniach wyjechałem do Wielowsi i pozostałem tam aż do wybuchu wojny.

Spięcie mimowolne, pełne niedopowiedzeń, które przypadkowo wyniknęło między nami, żądało rozładowania, unicestwienia i prześladowało mnie dłuższy czas w chwilach samotności i w snach.

Czechowicz nie napisał do mnie, lecz z listów wspólnych przyjaciół, Ludwika Frydego (redagował razem z Józefem *Pióro*, którego i ja byłem bliskim współpracownikiem) i Henryka Domińskiego (zginął też podobnie jak Fryde w czasie wojny) wiedziałem, że nie żywi do mnie najmniejszej urazy, na odwrót, często mnie wspomina i puszcza wymyślne wieści o moim życiu na wsi, co zawsze w przystępie dobrego humoru lubił robić.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku. Cień, dobra obecność Czechowicza

towarzyszyły mi podczas najcięższych przypadków ucieczki. Pod Kiwercami, w jakiejś szkółce wiejskiej, dostałem upragniony nocleg tylko dlatego, że zaklinając, prosząc wywołałem z ciemności postać Czechowicza, którego znała nauczycielka: uczyła dzieci wraz z Józefem gdzieś w Lubelskiem czy na Wołyniu.

Byłem święcie przekonany, że Czechowicz ocalał. Zapewniał mnie o tym poeta Artur Rzeczyca w czasie smutnych, wieczornych spacerów w mieście Przemyślu w październiku 1939 roku, powołując się na głos zagranicznego radia (i Rzeczyca padł rychło, rozstrzelali go Niemcy) — toteż z najlepszą wiarą oddałem list pewnemu krajanowi, który z początkiem listopada udawał się do Warszawy, miejsca swojej niedawnej pracy. Prosiłem go, żeby poszedł na ul. Narbutta, gdzie ostatnio mieszkał Czechowicz, i porozmawiał sobie z nim, opowiedział mu wszystko o mnie, o moim dzisiejszym życiu.

Krajan wrócił i z przestrachem mi oznajmił, że poeta, do którego posłałem go, zginął, a mieszkanie obrabowane do szczętu. Ludzie chcieli go zatrzymać, bo myśleli, że był jednym z tych, którzy rabowali...

Dokładnie o wszystkim dowiedziałem się dopiero z ust Henryka Domińskiego, który jadąc do Budapesztu jako kurier w marcu 1940 roku wpadł do mnie do Wielowsi na jedną dobę.

Popiliśmy wtedy, poszumieli trochę, przegadali kilkanaście godzin. Henryk, który nie znosił patosu, makabrycznie zażartował, opowiadając o śmierci Czechowicza — najbliższego sobie człowieka, opiekuna, przyjaciela, kolegi.

— Jakże on się bał — mówił. — To nieprawdopodobne. Nigdy bym nie przypuszczał, że on tak się boi. Co tylko samoloty wylecą, to on już w rowie. Ja tymczasem palę sobie papierosa na kamieniu i czekam, aż on wróci (obydwaj uciekali z Warszawy do rodzinnego Lublina).

— No i żebyś widział te jego oczy — dodawał już innym tonem — rozpalone, nieprzytomne, jakieś chore. Aż mnie ssało coś w sercu, gdy brał mnie za rękę i szeptał, że dopiero teraz naprawdę zacznie tworzyć. Bo niby wie wszystko...

— A więc wątpliwości towarzyszyły mu do końca. — Nawet jemu — odpowiedziałem wtedy Henrykowi.

Stanisław Piętak

Jerzy Zagórski

PRECEPTOR

WSPOMNIENIE O JÓZEFIE CZECHOWICZU

Jest taki okres w życiu poety, kiedy ucieka z przyrodzonego samotnictwa, w którym modeluje się tak śmiesznie zwany jego „bohater liryczny". Odczuwa wtedy głód bandy. Szuka podobnych sobie istot upośledzonych towarzysko. Jest to okres pierwszej dojrzałości, gdy owoc życia nadaje się już do spożywania, choć smak jego jest jeszcze bardzo cierpki.

To czas, kiedy człowiek jeszcze wierzy w jedyność swego pokolenia, zaczyna zaś już wątpić w jedyność swojej osoby. Dziecko myśli, że tylko ono istnieje naprawdę, cały zaś świat dokoła ze wszystkimi istotami jest tylko makietą. Po dwudziestce, około trzydziestki, mija dzieciństwo osobiste, ale nadchodzi zespołowe. Rekrutują się drużyny zbójców, armie konkwistadorów, grupy artystyczne, mniejsza czy formalnie, czy tylko faktycznie istniejące.

Kiedy przed paru laty padła idea wskrzeszania grup literackich — w niektórych wypadkach rozbroił się ten zamiar przez postawienie sobie wymarzonych założeń w niewłaściwym wieku. Człowiek dojrzalszy ma już inny ekran, ekran trwałych czytelników. Czeka go pisarski dialog z szerszym kołem ludzi w razie zwycięstwa — lub ostateczne samotnictwo w razie doczesnej porażki.

Grupa literacka, jaka ogniskowała się wokół Czechowicza w ostatnich latach przed wojną, była zjawiskiem naturalnym. Stanowili ją poeci przyjeżdżający z prowincji, lądujący w Warszawie. Rzadka u poetów skłonność do korespondencji pozwalała Czechowiczowi rozszerzać zasięg swych koneksji także na tych, co pozostawali poza stolicą, i tworzyć coś w rodzaju już nie grupy, lecz szkoły poetyckiej.

A Józef Czechowicz nie był już czeladnikiem i nadawał się na mistrza. Kiedy zetknąłem się z nim w grudniu 1933, minął właśnie sakramentalną trzydziestkę, miał za sobą uczestnictwo w lubelskim *Reflektorze*, zdążył być ranny w poprzedniej wojnie, miał za sobą doświadczenia w walce o byt, sakramentalną podróż do Francji i wszelkie kwalifikacje na króla. Trzeba było tylko dokonać tej koronacji.

O cztery lata odeń młodszy, wracałem do Warszawy po studiach w Wilnie, gdzie prócz uroczystego słowa honoru, danego dziekanowi prawa, że nigdy nie będę w życiu stosował swoich wiadomości nabytych na uniwersytecie, miałem za sobą formalne przywództwo „Żagarów". *Reflektor* błyskał w Lublinie, *Żagary* smoliły w Wilnie. Oba miasta były na wschód od Wisły i miały wartościową architekturę. Brzydsza od nich, ale kochana Warszawa czekała na

wtargnięcie, które nam się rysowało jako podbój, a było zwyczajnym zakwaterowaniem się pisarskim w dość zagęszczonym środowisku. Dystans czterech lat wystarczał do łagodzenia konfliktów o miejsce przy stole poezji, nie przeszkadzał w podobieństwie pojęć.

Mieszanina tradycji z nowatorstwem, nie rozpraszana przez radość istnienia pewność nadchodzącej katastrofy — zbliżały filozoficznie, choć nie zmuszały do jednakowych konsekwencji. Po przeczytaniu mego *Przyjścia wroga* autor *Ballady z tamtej strony* i *W błyskawicy* w gronie sztabu kolegów zaproponował mi symboliczne samobójstwo. Kiedy odpowiedziałem wykrętnie a odmownie, ku memu zaskoczeniu powiedział mi, że mam rację i najgorzej jest diabłu podać mały palec.

Pozostało tylko wymienić tomiki z dedykacjami. Wpisałem się „królowi także litewskiemu". Zaripostował mianując mnie „infantem". Sprawa więc została załatwiona ku honorowi obu stron.

Misterne tytuły były jedną z ulubionych zabaw Czechowicza. Pamiętam, jak Czesław Miłosz został mianowany „Wielkim Inkwizytorem", zaś Henryk Domiński, miły poeta i sprawny dziennikarz, później mężny działacz podziemny (zginął potem jako kurier AK na granicy węgierskiej), został pewnego dnia „uksiążęconym hrabią", tylko już nie pamiętam, czy Tyrolu. Fikcje zabarwione anegdotą, rzeczywiste redagowanie *Pionu, Pióra,* współpraca z *Apelem* dziś wydają się mgłą nierealną.

Natomiast coraz jaskrawszych barw jak na obrazach „z epoki" nabierają jakaś uczta w restauracji po wieczorze autorskim, jakaś herbatka w ozdobnej pół-suterynie przy Narbutta i wreszcie jakiś słoneczny dzień na Wiśle.

Wielka, piaszczysta łacha. Wiosło lekko trąca wodę. Są z nami Stanisław Piętak, Bronisław Michalski, Henryk Domiński, Mirosław Starost, przyrodni brat Czechowicza, Henryk, mój rodzony brat, Wacław. Po kąpieli na piasku odmierzymy z Łobodowskim dystans 800 metrów. Jeżeli Miłosz, Miciński i Ochęduszko się nie wybrali, to malarz może ich domalować bez obawy.

Twarze przyjaciół wydają się wtedy rzeczywistością trwalszą niż obrazy na płótnach i butwiejące książki. I trudno uznać twarze zmarłych za mniej realne od tych, którzy jeszcze żyją.

Jerzy Zagórski

Juliusz Żuławski

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Aby odnaleźć ten czas, co nie mija,
Czyli zatrzymać ruch, a gest zastygły
Utrwalić jak w tragicznej grupie Laokoona —
Trzeba się wyzbyć wspomnień i nadziei,
Czyli samego siebie i swej wiary w innych.
Wtedy zostaje moment —
Ciężki jak kamień
Czy lekki jak słowo,
Smutek czy uśmiech,
Grymas ust, skłon głowy,
Jedno uczucie,
Jedna myśl,
Błysk oka,
Czyli geometryczne punctum — teraźniejszość.
I nie ma poza tym niczego,
To jest już wszystko —
Jedyna rzeczywistość, której można ufać,
Jedyna prawda nieprzeinaczona —
Fotografia w albumie.

Maj 1959

Juliusz Żuławski

Włodzimierz Maciąg

STANISŁAW BRZOZOWSKI

Każdy czytelnik, który próbował przeżyć i zrozumieć pisma Stanisława Brzozowskiego, zna szczególne wrażenia, jakie pozostawia ich lektura. Z tekstów uderza ton wyjątkowo silnego przejęcia się problemami kulturalnymi, napięcie wewnętrzne, powiedziałoby się nawet — bolesny wysiłek duchowy przenika każde zdanie. Brzozowski narzuca pewien stosunek do samego siebie: nie rozmawia z czytelnikiem, lecz mu objawia. Jego dzieła krytyczne wykraczają ustawicznie poza granice czysto intelektualnych eksplikacji. Patetyczność ta szuka uzasadnienia w zasadniczym, generalnym, metafizycznym traktowaniu każdego tematu. Brzozowski nie hamował pióra, wprowadzał śmiało w tok krytyczny słowa i zwroty o maksymalnym ładunku lirycznym, pojęcia o zasięgu totalnym. Każda książka a nawet artykuł miały w odczuciu samego autora zadania prometejskie i w następstwie — prawa prometejskie. Autor ten siadając do pisania przeistaczał się w proroka, chciał bowiem określić i rozstrzygnąć zagadnienia tego właśnie wymiaru. Obcujący z pismami Brzozowskiego czytelnik poddany zostaje presji duchowej, rewizji duchowej sięgającej rzeczywiście do podstaw duchowej egzystencji. Staje przed trybunałem, który kwestionuje jego gusty, przywiązania, pojęcia w sposób pryncypialny, rozbija ukształtowany w świadomości porządek. Sukces czytelniczy Brzozowskiego jest sukcesem ideologa, który odkrywa dramat tam, gdzie dotąd widziało się gładką oczywistość, ideologa, dla którego życie stało się na nowo zadaniem do przemyślenia i rozstrzygnięcia. Pisarz ten dokonał zabiegu myślowego, który udaje się tylko największym: odnalazł nową platformę dla widzenia kultury i rozstrzygania o niej, nowe kryterium oceny życia.

Jest to bardzo ważny moment dla zrozumienia dorobku Brzozowskiego. Autorzy prac o pisarzu pokazywali wiele źródeł poszczególnych opinii i tez twórcy *Legendy Młodej Polski*, zwłaszcza pośród ideologów końca XIX i początku XX wieku, takich, jak Nietzsche, Sorel, Avenarius, Bergson. Jeszcze za życia Brzozowskiego atakowano pisarza za nieoryginalność jego dorobku. Toteż mówiąc o nowym punkcie widzenia wobec kultury należy uwzględnić tę poprawkę: idzie tu nie o absolutną niezależność wobec myśli kulturalnej i filozoficznej, ale przeciwnie: o zrozumienie pewnej górującej tendencji, która stała się dla Brzozowskiego dramatem epoki, ściślej mówiąc dramatem kultury.

Brzozowski nie miał własnego, zamkniętego systemu filozofii czy estetyki. Autorzy, którzy próbowali system taki na podstawie jego pism zrekonstruo-

wać, dochodzili oczywiście do mniej lub więcej uporządkowanego zestawienia jego sądów, bo uporządkowanie takie zawsze jest możliwe. Zamknięty system bywa dla wielu przedmiotem szczególnej aprobaty, porządkujący charakter myślenia każe często traktować osobowości pisarskie jako organizmy rozwijające się na zasadzie doskonalenia systemu. Stanowisko takie wydaje się jednak wobec pism Brzozowskiego bezpłodne. Zwróciłem na nie uwagę dlatego, że ono właśnie każe budować problematykę dorobku krytyka na oryginalności jego sądów teoretycznych i szukając odkryć — skazuje się na gorzką satysfakcję demaskowania zależności. Związek z epoką pisarza tego typu jest bardziej wielostronny. Jeśli bowiem tworzenie systemu, dążenie do zamknięcia dorobku ma z natury rzeczy sens wyodrębniający, a więc — pośrednio — skierowany na zewnątrz procesu historycznego traktowanego jako jedność, w wypadku Brzozowskiego przeciwnie: myśl ma znaczenie o tyle, o ile jest w nim zanurzona, potrzebuje go nie tylko dla konfrontacji i sprawdzenia, ale dla istnienia, dla wprawienia się w ruch. W ostatniej książce krytyk napisał o swojej twórczości: „Moje książki są zawsze systematem wezwań i podniet intelektualnych: nie mają gotowej treści i na próżno by jej w nich szukał. Moją rzeczą jest czytelnika tak zaskoczyć, usytuować, by, jeśli chce on zgody z sobą i życiem, musiał myśleć i znaleźć mniej więcej te myśli, o które mi chodzi".[1] Stanowisko Brzozowskiego polega na zanurzeniu się w zjawisko, jest zawsze wysiłkiem znalezienia istoty bez stosowania porządkującego, spekulatywnego konwenansu. Brzozowski był wrogiem operowania schematem pojęć. On chciał zjawisko przeżyć — nie obejrzeć ani poznać. Wielokrotnie to zresztą krytykowi wytykano. To, co jest stałe w dorobku Brzozowskiego — to zespół pewnych potrzeb wewnętrznych, pewnego typu wyczuleń. W sumie można by to objąć terminem postawy. To zjawisko duchowe szuka sobie innej bazy wewnętrznej, jego ambicją nie może być racjonalistyczne opanowanie życia poprzez wprowadzenie doń porządku, lecz ustalenie pewnego jakościowego stosunku o podkładzie moralnym. Brzozowski zresztą kilka razy powtórzył, że zagadnienia kulturalne, związki pomiędzy kulturą i życiem mają sens najgłębiej moralny. Nie idzie tu jednakże o normatywny lub szkolny sens pojęcia moralności. Słowo to oznacza pewien sposób reagowania na życie, prowadzący niewątpliwie do szukania programu, ale w istocie swej obcy wszelkiej uwalniającej duchowo racji, oznacza stan bezustannego niepokoju o wartość przeżywanej kultury, ustawiczny wysiłek wewnętrzny. Brzozowski sprzeciwiał się zawsze poznawczemu stosunkowi do świata, życie według niego można przeżyć lub stworzyć — nigdy poznać. Nasze zadania — to jeden z motywów przewodnich całego dorobku krytyka.

Toteż w pismach Brzozowskiego spotykamy się co krok z wrogością wobec racjonalistycznie uporządkowanych systemów filozoficznych w rodzaju ewolucjonizmu lub takiego sposobu pojmowania marksizmu, jaki dostrzegał Brzozowski u Engelsa. Racjonalistyczne opanowanie życia było dla niego zabiegiem ograniczającym życie, a nawet wręcz mu zaprzeczającym. Formuły filozoficzne brał tu zresztą krytyk od Nietzschego i Bergsona, ale sprzeciw ten wynikał z głębszych pobudek duchowych niż zachłyśnięcie się obcym tekstem aż do uznania jego tez za swoje, co u Brzozowskiego zdarzało się nierzadko. Pisarz ten namiętnie zwalczał to uspokojenie duszy, które wynika z zaufania do świata, do dziejów, do przyszłości. Wszystko, co człowieka otacza, stawało się

dla niego partnerem nieustannego dramatu, między człowiekiem a światem nie może panować stan uporządkowanej zależności. Istnienie człowieka było ustawicznym zagrożeniem, przyroda, byt tworzą stan oblężenia gatunku ludzkiego. To, co jest poza nami, jest nam wrogie. Nie idzie mi tu o wskazanie jeszcze jednego sojusznika współczesnego egzystencjalizmu. W dramacie między człowiekiem a bytem znajdował Brzozowski uzasadnienie moralistycznej postawy. Jeśli dramat ten określa istnienie ludzkości, to najważniejszym zadaniem naszym jest sprostać mu i w ten sposób sprostać naszej egzystencji. Oznacza to wzięcie świadomego udziału w tej walce.

ALIENACJA WARTOŚCI KULTURALNYCH

Wkroczyliśmy być może zbyt pośpiesznie na teren metafizyki Brzozowskiego, zanim jeszcze mogliśmy się zorientować, jakie były historyczne źródła jego literatury. Wstęp ten był jednak o tyle konieczny, że wszelka interpretacja genetyczna staje się sensowna przy wstępnym określeniu celów naszych poszukiwań. Jakkolwiek bowiem dorobek pisarza nierozłącznie wiąże się z atmosferą kulturalną, a zwłaszcza ideologiczną przełomu stuleci, to przecież zajmuje on w literaturze polskiej miejsce szczególne i właśnie ta odrębność jest celem naszych dociekań. Jej najogólniejsze określenie pozwoli nam teraz szukać związków historycznych.

Krytyczność Brzozowskiego stworzył antypozytywistyczny zwrot w kulturze europejskiej pod koniec XIX wieku i tą pustka duchowa, która zjawiła się w łonie burżuazyjnej kultury w momencie zachwiania się kapitalistycznej bazy ekonomicznej. Pisarz urodził się w roku 1878, pierwsze swe prace zaczął drukować w roku 1901, był to więc okres, w którym literatura moderny, *Życie* krakowskie z Przybyszewskim, nowopowstała *Chimera* z Miriamem jako redaktorem — miały już ugruntowaną pozycję w opinii kulturalnej, *Życie* miało właściwie swoją krótką karierę poza sobą. Wymieniających dziś jednym tchem nazwiska Miriama i Przybyszewskiego zdziwi być może przypomnienie, jak zasadniczo różny był stosunek młodego Brzozowskiego do obu tych przywódców owoczesnej młodej literatury. Przybyszewskiego uważał Brzozowski za jednego ze swych mistrzów. Miriama gwałtownie zaatakował i atak ten nie okazał się jednorazowym wystąpieniem, ale powracającym akcentem wielu prac krytycznych. O tych sprawach będzie jeszcze mowa. W tej chwili zależy nam na określeniu sytuacji kulturalnej, znamion tego kryzysu, który jest głównym przedmiotem twórczości krytycznej Brzozowskiego. Z początkiem stulecia zarysował się bowiem układ zasadniczo odmienny od wszystkich schyłkowych sytuacji, jakie odnaleźć możemy w doświadczeniach historii. Pojęcie kultury, które tu będzie używane, oznacza najwyżej zorganizowaną część nadbudowy, wyrażoną w ideach literackich, artystycznych, moralnych. Otóż kultura nigdy przedtem nie stała się tak dalece przedmiotem alienacji. Literatura mieszczańska drugiej połowy XIX wieku odkrywała w miarę rozwoju kapitalizmu jego sprzeczności i nadchodzącą perspektywę ekonomicznej i ideowej katastrofy. Ale jakkolwiek daleko sięgała jej krytyka, nigdy idee, które tą krytyką rządziły, nie przekraczały kultury mieszczańskiej jako całości. Linią przewodnią tej literatury było ukazanie faktu, że idee mieszczań-

skie są w obecnym świecie niemożliwe do spełnienia; nie kompromitowała ona idei, lecz świat, który te idee niszczył. Żaden z pisarzy, do chwili wystąpienia Nietzschego, nie doprowadził krytyki mieszczańskiego świata aż do tego punktu, w którym negacja zacznie wdzierać się w wartości tej kultury. Krytykę podejmować można na różnych płaszczyznach bazy i nadbudowy. Jeśli w pismach Marksa i Engelsa sformułowane zostały prawa klęski mieszczaństwa jako formacji ekonomicznej — to krytyka kultury, którą ono stworzyło względnie zaadoptowało, obejmując stosunki społeczne, prawne, ustrojowe, zatrzymywała się przy wartościach najwyższego rzędu, jako tych, które przejmie kiedyś zwycięski proletariat. Innymi słowy krytyka marksizmu, bardzo gwałtowna i nieprzejednana wobec form historycznie krócej trwających, jak np. stosunki ekonomiczne, stawała się ostrożna i subtelna wobec wartości trwalszych, przejmowanych przez pokolenia. W każdym razie schyłek stulecia, tzn. zachwianie się kapitalizmu jako formacji ekonomicznej, które w sferze kultury wyrażało się coraz dobitniejszą krytyką mieszczaństwa, mieszczańskich ideałów — postawiło przed intelektualistami zupełnie nowy problem: stosunku do kultury klasy, której rola ekonomiczna z dnia na dzień się kompromitowała. Twórca tracił stopniowo poczucie więzi z mieszczaństwem, bo więź tę zaczął odczuwać jako rosnące ograniczenie. Tak tradycje mieszczaństwa, jak i bogactwo i zróżnicowanie przejętych przez nie treści kulturalnych przerastało znacznie potrzeby formacji, rozwój kultury zyskał swój własny rozpęd, który z jednej strony pozwalał traktować jej dorobek w oderwaniu od bazy, z drugiej — stawiał przed kulturą jakąś inną, pozornie niezależną perspektywę.

Nie było wyżej rozwiniętych formacji cywilizacyjnych, które nie miałyby swych fachowców od kultury, a więc kręgów, gdzie pojawić się może zjawisko klerkizmu, czyli tendencji do absolutyzowania wartości kulturalnych. Zdaje się jednak, że historia nie zna tak „masowego" rozwoju klerkizmu, jak ów wytworzony w toku XIX stulecia. Pisarz, artysta, naukowiec zyskują sobie niezależność, jakiej nie znała kultura łacińska, co więcej — niezależność tę pragną oni traktować jako trwały atrybut swego powołania. Dochodzą do przekonania, że sobą można być tylko za cenę niezależności. Co nie znaczy oczywiście, że intelektualiści nie wiązali się z politycznymi ideologiami. Lecz związek ten traktowany był przez nich z reguły jako swobodny wybór moralny, a nie jako następstwo historycznego układu. Wiek XIX tworzy niezwykłe zjawisko bazujące na klerkizmie: bezinteresownie podjęty obowiązek ideowy. Bezinteresowność w sensie politycznym oczywiście, a nie psychologicznym. W rezultacie kryzys idei pozytywistycznych, odwrót od racjonalizmu i od złudzeń mieszczańskiego postępu może być przez twórców traktowany jako zerwanie z ograniczonością tej formacji cywilizacyjnej. U schyłku stulecia proces zrywania się więzów artysty z potrzebami społecznymi doszedł wreszcie do stadium, w którym artysta poczuł się niezależny już nie tylko w sensie poprzednim, tzn. jako obrońca praw moralnych, ale także w sensie ustalenia swego stosunku do praw moralnych w ogóle. Twórca przestaje być kimś w hierarchii ogólnospołecznej, powstaje zjawisko artyzmu jako odrębnej postawy wobec życia i wobec istnienia. Powstaje przeświadczenie, że zadaniem literatury jest wyjście z ograniczeń służebności społecznej na rzecz nawiązania kontaktu z nieznanymi sferami bytu, niedostępnymi w inny sposób, sztuka

staje się wartością dla siebie. Dążenia te znane są z ówczesnych manifestów artystycznych, choćby Przybyszewskiego, Artura Górskiego, Miriama. Na ogół tłumaczono ich genezę kryzysem mieszczańskiego postępu, wyrzeczenie się racjonalizmu oznaczać miało lęk przed autokompromitacją. Mnie idzie o inne zagadnienie: o poczucie więzi artysty z wartościami, przy jednoczesnym dążeniu do uwolnienia się od spraw społeczeństwa, w łonie którego wartości zostały stworzone Twórca poczuł się wolny, sztukę zrozumiał jako sferę nieograniczoności. Obiektywnie oznaczało to wejście kultury w okres „aleksandryjski", dekadencki, który — teoretycznie biorąc — powinien był przynieść wyjałowienie. Wiemy, że tak się jednakże nie stało. Twórca, poczuwszy się niezależny, ujrzał przed sobą otwarte wszystkie drogi i wszystkie możliwości, ujrzał się władcą sfer, które przestały mieć granice. Takie jest źródło tego ogromnego zachłyśnięcia się życiem, światem, w ogóle problematyką metafizyczną, jakie uderzyć musi przy pobieżnym choćby zetknięciu się z literaturą przełomu stuleci. Absolutyzacja wartości kulturalnych i równoczesna ich alienacja były tym samym procesem: pierwsze określenie odnosi się do świadomości twórców, drugie — oznacza społeczną formę zjawiska. Kultura zyskała wolność, o jakiej żaden twórca nigdy nie mógł marzyć, ale równocześnie wolność ta musiała sama w sobie szukać uzasadnienia. Wszystko można było wybrać, wszystko stało otworem i równocześnie nie było żadnych racji i żadnych konieczności wyboru. Toteż sztuka „weszła w siebie", sobą się syciła i służbę sobie samej uznała za powołanie. Zaczęła szukać dla siebie własnych praw, własnej dialektyki i własnych celów. Wyzwolenie nie zahamowało rozwoju, lecz — paradoksalnie — dało podnietę poszukiwaniom, eksperymentom artystycznym. Eksperyment — to zjawisko wynikające ze zmęczenia sztuki — niósł ze sobą dyferencjację kierunków, różnorodność argumentów i celów ekspresji artystycznej, rozkwit myśli teoretycznej. Od tej chwili zaczniemy stykać się z manifestami artystów, których cele są wyłącznie artystyczne, ze sporami nie wykraczającymi poza sferę kultury. Walka polityczna jeszcze w poprzednim stuleciu tak nierozłącznie związana z dążeniami artystów, biegnie innym korytem i rządzi się innymi prawami. Walczący proletariat nie miał swego manifestu artystycznego i ci pisarze, którzy oddali swój talent jego walce, posługiwali się swobodnie obranymi wartościami. Wśród piewców walki robotniczej znajdziemy pisarzy tak różnych, jak Żeromski, Miciński i Przybyszewski, różnorodne style artystyczne mogą sobie swobodnie podać ręce. Oskarżenie rewolucji robotniczej o brak głębszych treści duchowych jest bardzo charakterystycznym zjawiskiem okresu. Abramowski, Berent, Brzozowski, Żeromski próbowali na własną rękę powiązać idee kulturalne z walką proletariatu. Zabieg okazał się, rzecz jasna, chybiony. Wartości artystyczne stały się politycznie wieloznaczne, nieokreślone, swobodne. Mogły wspierać dowolnie obraną siłę społeczną. Manifest Przybyszewskiego, wydrukowany w *Życiu* krakowskim w roku 1898, był poetyckim wyrazem nadziei opartej na dokonanej alienacji. Artykuł Irzykowskiego z roku 1908, *Dwie rewolucje,* ujmował tę alienację w teoretyczną formułę niezależności rewolucji politycznej i rewolucji w sferze sztuki. Oznacza to sytuację, w której kultura przestała być sublimacją potrzeb społecznych i zaczęła „uważać swoje życie za proces samoistny i wystarczający samemu sobie". Cechy pozwalające określić istnienie tej fazy są następujące:

1. Dezintegracja wewnętrzna kultury, brak nadrzędnej generalnej jedności, poczucie zupełnej swobody wyboru, absolutna możliwość adaptacji, „bezinteresowność" kultury.

2. Wynikające stąd, ogólnie odczuwalne zachwianie kryteriów, pomieszanie i równorzędność gustów, brak wykrystalizowanej linii podziału.

3. Potrzeba nieustannego eksperymentu, jako źródła odświeżenia, szybkie wyczerpywanie się konwencji, bezustanna świadomość konwencji (m. in. autokompromitacjonizm jako program artystyczny).

Od początku stulecia sztuka usiłuje tę alienację przezwyciężyć i podejmowane próby dostarczają nieustannych bodźców do różnicowania się i przekształceń. Te starania są bez wątpienia źródłem jej życia i pomimo wszystko nieprzerwanie trwającego rozwoju. Można odróżnić trzy podstawowe typy prób:

1. Odnowienie treści następuje drogą kompromitacji świadomości za pomocą przeniesienia problematyki życia ludzkiego na margines świadomości lub poza nią (freudyzm, nadrealizm, behawioryzm).

2. Odnowienie treści następuje drogą takiego problematyzowania życia jednostki, które wydziela ją z jej gatunku, społeczeństwa, środowiska. (Istnienie wyprzedza istotę.)

3. Bezpośrednia i samoograniczająca się deklaracja polityczna.

MIĘDZY MARKSEM I NIETZSCHEM

Uświadomienie sobie zarysowanego powyżej procesu alienacji jest niezbędne, kiedy pragnie się zrozumieć pisma Brzozowskiego, a także bodźce duchowe, które kierowały jego działalnością. Krytyk wystąpił w chwili, kiedy sytuacja rozdzielenia zaznaczyła się na tyle wyraziście, że istniejące zróżnicowanie odczuwało się jako pustkę: prawd jest zbyt wiele, i dlatego nie ma żadnej. Bogactwo objawiło się jako fałsz ubóstwa. Z pewnością odegrały tu rolę także osobiste, socjalne doświadczenia pisarza. Brzozowski był rozbitkiem szlacheckim, pochodził ze środowiska, z warstwy tracącej ostatecznie jakąkolwiek rolę polityczną, a mimo to poczuwającej się do roli kulturalnej i niewątpliwie taką rolę pełniącej. W pośmiertnie wydanym *Pamiętniku* Brzozowskiego (Lwów 1913) jest kilka fragmentów pozwalających odtworzyć atmosferę rodzinnego domu pisarza: ambicji i zainteresowań intelektualnych przy niepewności pozycji ekonomicznej. Nieustanne przeciwstawianie pojęć: kultura — życie, świadomość kulturalna — historia, z którymi stykamy się wielokrotnie w dorobku krytyka, zrodziło się jako idea wewnętrzna być może jeszcze w latach dzieciństwa i wczesnej młodości. W najwcześniejszym okresie twórczości krytycznej, w latach 1902—1903, przeciwstawienie to objawia się pisarzowi w kształcie tęsknoty za możliwością samostanowienia jednostki, za twórczością kulturalną, której jedyną i ostateczną racją byłaby indywidualność, indywidualne potrzeby — z jednej strony, a poczucie pustki duchowej, niemocy panujących form kultury — z drugiej. Brzozowski pisze: „Daje się pomyśleć społeczeństwo, w którym każdy może mieć własne i odmienne od innych pojęcia o źle i dobrze, własną wiarę, własną sztukę".[2] I równocześnie niemal (*Głos* 1902) występuje z manifestem *My młodzi*, który jest wyrazem niechęci a nawet pogardy

dla wielości oznaczającej chaos, dowolność, uniemożliwiającej wszelki heroizm. „Jak żyć, skoro nie ma nic pewnego, wszystko jest ruchome, zmienne i wszystko możliwe".[3] Absolutny indywidualizm, zupełna wolność oznacza oczywiście zupełną pustkę, brak „zadań" (jakby powiedział później sam Brzozowski), jest skazaniem się na dowolność, zagubienie się w bycie, jałowość egzystencji duchowej. Wolność staje się zaprzeczeniem twórczego życia. Krytyk nie doprowadził wówczas tej sprzeczności do jednej formuły. Twórczość była dla niego realizacją wolności w sensie nietzscheańskim, tzn. realizacją indywidualności, akt twórczy nie był celowym działaniem, lecz wyładowaniem sił duchowych. Twórczość w tym rozumieniu dawała się określić tylko formalnie, poprzez środki, jakimi się urzeczywistnia. Sytuacja nadmiaru prawd, z których żadna nie jest trwała ani pewna, do takiego właśnie formalnego pojmowania aktu twórczego prowadzi. Idzie bowiem o to, by działać, a nie — po co działać czy jak działać. Nietzsche napisał w *Tako rzecze Zarathustra*, że prawdziwa twórczość musi być czymś innym, mieć inną treść i inny kształt niż to, co już znamy, że — powiedzielibyśmy — akt twórczy konstytuuje zarazem zamiar. Brzozowski przejął to od Nietzschego i tęsknił do wypełnienia pustki erupcją czystych indywidualności, co jest — logicznie biorąc — błędnym kołem.

Krytyk do końca życia uważał Przybyszewskiego za jednego ze swych mistrzów. Na tej właśnie zasadzie, że Przybyszewski wcielał swoją działalnością oba dążenia. Brzozowski podkreślał z jednej strony niezależność wewnętrzną tego pisarza (Przybyszewski miał nauczyć go wiary we własną prawdę, umiejętności uwolnienia się od zewnętrznych sprawdzianów), przy innej zaś okazji krytyk szukać będzie w dorobku Przybyszewskiego ujawnienia nicości dotychczasowych form kultury, jako bazy, z której można by czerpać przy nowych próbach twórczych. Podsunie mu nawet tezy własnych, wcześniej pisanych artykułów: „Cała twórczość jego (Przybyszewskiego) jest jednym krwawym krzykiem: nie mamy czym żyć!".[4]

Warte uwagi jest to nawracanie do okrzyku wyrażającego pustkę wewnętrzną. W okresie bardzo bogatym w spory ideowe, w dorobek kultury w ogóle, na gruncie polskim uzupełniony jeszcze falą tłumaczeń z literatury zagranicznej, począwszy od poezji, a skończywszy na klasykach filozofii, w okresie zróżnicowania życia kulturalnego, Brzozowski zaczyna skarżyć się na poczucie pustki. I wtedy już zarysowuje się w jego pismach dążenie, które bez wątpienia będzie go inspirowało odtąd nieustannie: uporczywe poszukiwanie u z a s a d n i e n i a w ł a s n e g o w y b o r u. Jest to klucz do zrozumienia Brzozowskiego. Jego pasja krytyczna rodzi się właśnie w tej sferze, w której trzeba dokonać wyboru i utwierdzić się w nim, uzasadnienie wyboru jest bowiem równocześnie odnalezieniem kryterium oceny, czyli podstaw krytyki. Krytycyzm jako postawa wynika u Brzozowskiego z potrzeby, która jest zaprzeczeniem sceptycyzmu. Jeśli duch krytyczny jest wyrazem zwątpienia, sprawdzaniem posiadanej kultury, poddaniem jej zarzutom i weryfikacjom, to u Brzozowskiego przeciwnie, krytycyzm jest rezultatem utraty oparcia wewnętrznego. Nadmiar możliwości, które stwarzała epoka, prowadził go nie do niewiary, lecz do tęsknoty za stałością, za nawiązaniem utraconych więzów z życiem, za odzyskaniem wartości. Brzozowski podejmuje rolę sprawiedliwego w Sodomie, w obliczu powszechnej rozpusty kulturalnej pragnie podjąć prace ułoże-

nia hierarchii idei i zagadnień, chce uzasadnić sens kultury jako sfery nie luksusu, lecz niezbędnych potrzeb duchowych, nie ucieczki przed życiem, lecz czegoś, co jest bezpośrednim przedłużeniem życia, co warunkuje jego znaczenie, jego najszerzej pojętą doniosłość. Krytyk czuł bardzo dobrze, że „wartość" kulturalna dopiero wówczas nabiera pełnego sensu, gdy wyzbędzie się swej „bezinteresowności", swej względności.

Można określić to zjawisko innymi słowy jako działanie antyklerkowskie z pozycji klerka, tzn. jako próbę przezwyciężenia procesu alienacji kultury drogą intelektualnego wysiłku, poprzez zbudowanie takiej wizji świata, w której klerkizm utraciłby rację bytu. W takim działaniu kultura nabiera bardzo ostrego sensu moralnego, bo jej łączność z życiem mimo wszystko nie jest „naturalna", lecz wynika z myślowych przezwyciężeń i ograniczeń, jest sprawą wysiłku wewnętrznego, a on właśnie konstytuuje wartości moralne.

Mówić jednakże o aktualności Brzozowskiego należałoby raczej w sensie przedstawionym wcześniej, przy kwestii wyboru kulturalnego i jego uzasadnienia. Krytyk ten stał bowiem w swoich pracach przed tymi samymi zagadnieniami, które trapią współczesnych polityków kulturalnych, toteż formuły, jakie proponował — a rewidował je w ciągu swej twórczości kilkakrotnie — stanowić mogą pólko doświadczalne, oczywiście nie w sensie praktyki społecznej, bo tej krytyk nie był w możności narzucić, ale jako intelektualne próby nawiązania zerwanej łączności między kulturą i życiem. Brzozowski przemyślał wiele z tych zagadnień. Sytuacja jest podobna, jeśli wręcz nie ta sama. Wartości kulturalne stały się nagromadzonym dorobkiem, w którym współczesna świadomość obraca się z dużą swobodą i niezależnością. Traktuje je jako sferę wyładowania szlachetniejszych, tzn. bezinteresownych dążności, nie mając poczucia niezbędności kultury, bezpośredniego wynikania potrzeb kulturalnych z życia, z działalności społecznej.

Pierwszą teoretyczną próbą przezwyciężenia sprzeczności między hasłem indywidualizmu bezwzględnego a poczuciem pustki, jaką niesie ze sobą jego realizacja, są myśli wyłożone w rozprawie *Filozofia czynu*[5]. Otóż przezwyciężenia tego szuka Brzozowski poprzez takie zestawienie tez filozoficznych, które pozwoliłoby połączyć dramat moralnego wyboru, nietzscheańskie przeciwstawienie się zastanemu światu — z naukami Marksa o świadomości jako duchowym ekwiwalencie stosunków społecznych. Brzozowski wyczuwał doskonale, że poczucie pustki, które wyrażała epoka, jest problemem nowym i nie znają go filozofie odnajdujące w stanach świadomości funkcję walki o byt, potrzeb biologicznych i społecznych, które domagają się zaspokojenia. Wystarczyło walkę tę zobaczyć jako zagadnienie wewnętrzne, zagadnienie swoiście pojętego „obowiązku" wobec siebie, wobec innych ludzi, aby nasycić ją moralizmem, aby podmiot poznający stał się jednocześnie nosicielem dramatu poznania i walki. Ponieważ zagadnieniem, które trapiło Brzozowskiego najgłębiej, było odnalezienie moralnej racji istnienia, zajęcie stanowiska wobec nagromadzonego dorobku kultury — odczytywał on marksizm na swój sposób, mianowicie znalazł w nim uzasadnienie swego przeświadczenia o dramacie świadomości, stwarzającej sobie zadania i rozwiązującej je następnie. Ten moralistyczny punkt widzenia pozwalał połączyć przeciwstawne sobie filozofie Fichtego i Kanta — z Marksem, idealizm z materializmem.

SIENKIEWICZ I MIRIAM

Tygodnik warszawski *Głos*, prowadzony przez Jana Władysława Dawida, redaktora o dużych zainteresowaniach filozoficznych i społecznych, pismo światłej i radykalnie zorientowanej inteligencji, było w owym czasie zapełniane w znacznym stopniu przez prace Brzozowskiego. W zasadzie prowadził on dział teatralny, toteż przy okazji warto wspomnieć, że Brzozowski jest autorem nieznanego już dzisiaj dramatu *Mocarz*, który został nagrodzony na konkursie dramatycznym imienia Henryka Sienkiewicza i wystawiony w Warszawie w r. 1903. Inny jednoaktowy dramat, *Milczenie*, został w piśmie w tym samym roku wydrukowany. Ale poza działem teatralnym Brzozowski z właściwą sobie, niezwykle rzadką pracowitością i płodnością pisał i drukował w *Głosie* prace różnego typu. Przede wszystkim obszerne prace filozoficzne (wspomniana *Filozofia czynu, Ryszard Avenarius*, 1903, *Kant*, 1904, *Monistyczne pojmowanie dziejów i filozofia krytyczna*, 1904), dalej mnóstwo artykułów publicystyczno-literackich, w których jak stały refren przebija się ten sam temat: *Sztuka i społeczeństwo* (1903), *Współczesne kierunki w literaturze polskiej wobec życia* (1903), *Kultura i życie* (1905), w tym piśmie opublikował także swą pierwszą powieść *Wiry*, rzecz o niepokojach młodych intelektualistów (1904). Drukował tam także stale pod pseudonimem Adama Czepiela felietony polemiczne, krytykujące zjawiska obyczajowo-kulturalne.

Rozgłos przyniósł dopiero Brzozowskiemu obszerny esej drukowany przez *Głos* w odcinkach i zatytułowany *Henryk Sienkiewicz i jego stanowisko w literaturze współczesnej* (1903). Esej ten był gwałtownym atakiem. Za bezpośrednią przyczynę ataku Brzozowskiego uważa się negatywną opinię Sienkiewicza o młodej literaturze, sformułowaną z okazji ankiety warszawskiego *Przeglądu Teatralnego*. Sens wystąpienia krytyka był jednak znacznie szerszy.

Przy dzisiejszym obniżeniu się autorytetu literatury i pisarza trudno już sobie w pełni wyobrazić wymowę wystąpienia 25-letniego wówczas Brzozowskiego. Dziś młody krytyk wprawia się w zawodzie atakowaniem wybitnych autorów, darmo szukać tu rozgłosu, czynność ta należy niejako do jego obowiązku. Wówczas natomiast wystąpienie Brzozowskiego było uderzeniem w pisarza o światowej sławie, w żywego nosiciela narodowej tradycji, i to w latach, w których przede wszystkim literatura mogła taką rolę pełnić. Brzozowski zaatakował Sienkiewicza właśnie w tej sferze, w której pisarz ów zdawał się być najsilniejszy, uderzył w jego związek z życiem współczesnym, ideologa siły narodowej pokazał w roli mistyfikatora, którego w istocie ani sprawy współczesne, ani zagadnienia życia narodowego nie obchodzą, którego działalność polega właśnie na obronie przed nimi. Centralną tezą krytyka, przeprowadzoną przez cały esej, jest zarzut sfałszowania rzeczywistego obrazu życia poprzez uchylanie się od wszystkich zasadniczych pytań, jakie ono niesie. „Z istotnego współczesnego życia społecznego do twórczości Sienkiewicza nie wniknęło prawie nic" — pisze Brzozowski. Sienkiewicz rozstrzygnął zagadnienie „czym żyć", to właśnie zagadnienie, które wciela cały dramat rozdziału kultury i życia — sugestią spokoju, lekkomyślnego duchowego lenistwa. Realizuje on tę filozofię polską, której istotą jest „zasadnicza niewiara w głębokość i złożoność świata". Jego literatura jest usiłowaniem „zbagatelizowania

i uproszczenia" zagadnień, utrzymywania się na ich powierzchni, prezentuje zainteresowania czysto fabularne, zewnętrzne.

Rzecz jasna chodziło tu Brzozowskiemu o zupełną niewrażliwość autora *Rodziny Połanieckich* na zagadnienia kryzysu kultury, który postawił od nowa pytania generalne: o sens istnienia, o wartości, o zadania. Sienkiewicz bowiem proponował wobec tych pytań ucieczkę w sferę leniwej obojętności, przystrojoną listkiem patriotycznej tradycji, listkiem rzekomej niewzruszoności narodowego bytu wobec pozornych katastrof. Obie postawy wykluczały się nawzajem. Brzozowski widział dokoła siebie nieustanne trzęsienie ziemi, Sienkiewicz krzepił serca rysunkami ludzi, którzy niczym się nie przejmowali. Brzozowski rozciągał swoje niepokoje na stosunek między ludzkością i kosmosem, Sienkiewicz zdawał się na to wzruszać ramionami. Jeden mówił: świat ginie, drugi twierdził: wszystko jest w porządku, byleby tylko Marynia wróciła do Krzemienia. Różniło ich wszystko: od filozofii, oceny świata i momentu historycznego — do psychologii, temperamentu stylistycznego, typu wrażliwości. Obaj mieli jednak ambicje ideowego przewodnictwa.

Cykl antysienkiewiczowski wywołał bardzo żywą dyskusję. Wzięło w niej udział kilku wybitnych pisarzy, m.in. Wacław Nałkowski, który ideologii powieści Sienkiewicza również ostro się przeciwstawił. Sprawa stała się oczywiście zagadnieniem twórczości Sienkiewicza, nie Brzozowskiego, rozgłos jej związał się jednak na przyszłość z nazwiskiem młodego krytyka. Dla dorobku krytycznego Brzozowskiego większe znaczenie miała druga, w rok później rozpoczęta kampania polemiczna, skierowana przeciwko Miriamowi. Krytyka Miriama jest wstępem do najważniejszej książki Brzozowskiego — do *Legendy Młodej Polski*. Jej podstawowe problemy zostały tutaj właśnie uświadomione.

Miriam głosił arystokratyzm ducha i elitaryzm sztuki — Brzozowski zaatakował jałowość sztuki zrywającej związek ze sferą czynu, swobody, kształtowania się wartości. Miriam proponował styl i talent jako kryteria krytyki artystycznej, Brzozowski udowadniał, że kryteria te w interpretacji Miriama są puste i nic nie znaczą, a nawet więcej: uniemożliwiają prawdziwą twórczość. Intelektualnym punktem wyjścia stały się twierdzenia idealistycznej filozofii niemieckiej o rzeczywistości, stwarzanej przez swobodny czyn człowieka. Brzozowski podjął swoistą interpretację Kanta, która mogłaby jego podział rzeczywistości na świat numenów i fenomenów uczynić argumentem nietzscheańskiego idealizmu. „Kantowi rozróżnienie świata numenalnego potrzebnym było głównie dla zabezpieczenia swobody i woli pojęć religijnych. Ponieważ w świecie takim, jakim przedstawia się on z punktu widzenia przyczynowego poznania, miejsca nie ma ani dla pojęć tych, ani dla wolnej woli, trzeba się więc ich wyrzec, lub też uznać, że świat ten nie jest prawdziwym, rzeczywistym światem, nie jest bezpośrednim i całkowitym wyrazem bytu. Analiza teoriopoznawcza doprowadziła Kanta do tego ostatniego wyniku." [6] Chodziło rzecz jasna o typ argumentacji, który sprzyjałby uzasadnieniu prymatu pojęć moralnych. „Duszą światopoglądu, jego prawdziwym *princeps movens* — pisze krytyk w innej pracy — jest zawsze potrzeba zajęcia pewnej czynnej postawy wobec życia i świata". [7] Wszystkie te rozważania zmierzają do tego, aby działalności ludzkiej dać bezwzględną swobodę, gdyż ona właśnie stwarza warunki twórczości. Swobodę twórczości uważa Brzozowski za „istotę wartości i świata". [8] Krytyk dobrze rozumiał, że każde uznanie

obiektywności zewnętrznego świata przywołuje widmo determinizmu, a tym samym zmierza do ograniczenia wszystkiego, co wraz z epoką uznał za podstawę ludzkiego istnienia.

Z krytyką Miriama mają tezy powyższe związek bezpośredni. Pojęcie twórczości ma bowiem dla Brzozowskiego sens zasadniczo duchowy, realizacja swobody odbywa się z reguły w sferze idei. Dlatego właśnie artysta, filozof, pisarz — to typy świadomości o pierwszorzędnym znaczeniu dla istnienia ludzkości w ogóle. To, co Młoda Polska głosiła manifestami poetyckimi Przybyszewskiego, podbudowywał Brzozowski własnym melanżem filozoficznym. Wydawałoby się dziwne, że krytyk nie spełnił wobec tego roli ideologa artystów epoki, że przeciwnie, całym swoim dorobkiem dążenia Młodej Polski zwalczał. Różnica sprowadza się właśnie do oceny procesu alienacji kultury. Młoda Polska — tak jak ją widział autor jej *Legendy* — proces ten utrwalała, Brzozowski go nieustannie atakował. Przedziwnie zaznaczyła się owa rozbieżność w krytyce Miriama, co zaraz zobaczymy.

„Sztuka nie odzwierciedla bytu — rozumował Brzozowski — lecz go tworzy".[9] Treść każdego dzieła sztuki nie jest odbiciem rzeczy istniejących, lecz tworzeniem nowych. „Pozyskanie pewnej treści i jej wyzwolenie"[10] — oto miara sztuki. To nietzscheańskie stanowisko przesuwał jednak Brzozowski zaraz na płaszczyznę problemu alienacji i pisał: (Sztuka) „jest dziedziną — w której stwarza sam siebie, poznaje i opanowuje duch, nie dbając już o konieczności bytu innych istot, o ich dogodnościowe reglamentacje prawne, społeczne, etyczne.

W tym znaczeniu jest sztuka ponad społeczeństwem, ponad życiem, ponad sumieniem.

Lecz pomimo to nie jest wrogiem życia, nie jest odrębna od niego: jest jego wzorem, jego antycypacją, czarodziejskim jasnowidczym objawieniem, czym jest ono w swobodzie swej.

Ukazać epokę — w jej nawyższym przeobrażeniu, ukazać, czym by być mogła, ukazać jej w głębi duszy utajone pokłady czarodziejskim światłem ducha promieniejących skarbów i szczyty nieskalane dusz (...) ukazać epoce, czym jest, nie jako mus i realizacja, lecz jako możliwość i swoboda — to jest prawo, obowiązek, wartość nieprzemijająca sztuki.

Życie jakiejś epoki — to nie tylko ta rzeczywistość, którą badają ekonomiści, socjologowie, statystycy, lecz rzeczywistość ta ujrzana, to sztuka. Nie można odedrzeć tych dwu rzeczy od siebie: — s t a n o w i ą j e d n o ś ć, j e d n o ś ć t w ó r c z e j p r a c y d u c h a l u d z k i e g o".[11] (podkr. moje *W.M.*)

Miriam tymczasem dokonał tu odwrócenia. Swobodę uznał za „swobodę od świata". Uciekł od rzeczywistości i uczynił tym samym sztukę bezsilną i bezpłodną. Pogardziwszy światem mieszczańskim pogardził światem w ogóle, „Ponieważ świat nie ma sensu, wszystko może mieć sens. Ponieważ nie ma prawdy, prawdą może być wszystko. Miriam nauczył artystów naszych żyć nicością i bawić się nią."[12]

Okres następny w twórczości Stanisława Brzozowskiego — to lata, które otworzył rok 1905. We wszystkich późniejszych pismach przyznawał krytyk wielką wagę tej dacie, on pierwszy postawił na roku tym granicę epok w historii literatury. Określając gdzieś znaczenie rewolucji 1905 roku dla literatury napisał: „Młoda Polska przez jedną noc posiwiała". Można przyjąć, że określenie to w dużej mierze do niego samego się odnosiło.

W życiu pisarza wiązał się ów okres z pewnymi zmianami: w roku 1905 Brzozowski opuszcza Warszawę i przenosi się na stałe do Galicji. Przy konfrontowaniu bibliografii jego prac zwraca uwagę nasilenie zainteresowań polską literaturą współczesną właśnie w latach 1905—1908. Przedtem był Brzozowski głównie teoretykiem, literaturze poświęcał zawsze maksimum uwagi, ale w fazie wcześniejszej działalności pisarskiej zaobserwować można u niego przewagę myśli filozoficznej, główne ambicje szły w kierunku uporządkowania pojęć. Lata rewolucji 1905 roku przyczyniły się do tym bardziej dynamicznego widzenia świata. Brzozowski gwałtowniej opowiadać się będzie za taką formułą teoretyczną, która pierwszeństwo dawałaby energii, zmienności, ruchowi [13], a mimo to pozwalała zachować imponderabilia kulturalne. Jego nawrót do Marksa w tych właśnie latach znajduje jedną ze swych przyczyn w dialektycznej istocie tej filozofii, w jej antydogmatycznym określaniu życia. Ale bardziej jeszcze szukał Brzozowski w marksizmie odpowiedzi na zagadnienie związków kultury i życia, jakiegoś zawieszenia wartości kulturalnych w obliczu walki podjętej przez proletariat. Brzozowski kilkakrotnie wracał później do owego zaskoczenia literatury przez rewolucję, szukał przyczyn stanu nieprzygotowania literatury do zagadnień, które w jednej niemal chwili podporządkowały sobie całe życie polskie. Można śmiało powiedzieć, że w kampaniach przeciw Sienkiewiczowi, a zwłaszcza przeciw Miriamowi, krytyka tego zaskoczenia jest *in nuce* zawarta. W momencie wybuchu powstały jednak nowe problemy teoretyczne, na które odpowiedź dawał właśnie Marks: w jaki mianowicie sposób realizuje się ludzka twórczość, jeśli przyznajemy jej rezultat tak niezwykły, jak istnienie świata. Jeśli kultura ma być ujęta w takiej formule, która pozwalałaby przywrócić jej związek z życiem, to powstaje pytanie, czym jest w końcu to życie, w jakich procesach się ono przejawia, gdzie jest ogniwo pośrednie, które łączy człowieka z rzeczywistością zewnętrzną i pozwala mu nawet na jej twórcze przekształcanie. Marks za klasykami ekonomiki burżuazyjnej odpowiadał na to pytanie: źródłem wartości jest praca ludzka. Brzozowski przejął tę tezę i wprowadził ją do swych teoretycznych rozważań.

W całej późniejszej praktyce pisarskiej uznał formułę tę za podstawę swego światopoglądu. W przyszłości nadał jej zresztą krytyk sens bardziej metafizyczny, o czym będzie jeszcze mowa. W okresie rewolucyjnego wrzenia teza wciągnięta w obręb pryncypiów spełniała rolę niesłychanie ważną: pozwoliła mianowicie pisarzowi uznać w sobie sojusznika rewolucji, pozwalała wreszcie widzieć ten proces życia, z którym dorobek kulturalny musi szukać porozumienia. Nieokreślone „życie" skonkretyzowało się w pracę. Zaznaczyć trzeba zresztą, że pisarz, wysuwając pracę na czoło swej teorii, nie musiał dokonywać rewizji idealistyczno-nietzscheańskich założeń swej filozofii. Istotą ludzkiej

egzystencji jest nadal twórczość, tyle że twórczość ta realizuje się w pracy. Stąd wyprowadzał deklarację społeczną: nosicielem idei pracy jest proletariat, realizator rewolucji, proletariat więc jest współcześnie twórcą nowego życia. Zadaniem krytycznym staje się teraz określenie literatury nowozdobytymi miarami. Mając wyraźnych sojuszników w sferze „kultury" i w „życiu" krytyk rozciąga między nimi coś w rodzaju wielodrożnej rury łączącej. Literatura staje się tą sferą rzeczywistości duchowej, w której najróżniejsze warianty wzajemnej zależności mogą się najgłębiej wyrazić.

Wydane w r. 1906 studium *Współczesna powieść polska* jest właściwie — mimo czysto literackiego charakteru — próbą odpowiedzi na pytanie: w jakiej mierze powieść polska umie i jest w stanie wyrazić owe „stany duchowe", które przeżywa społeczeństwo, a które rodzą się m.in. w pracy i walce proletariatu. Autor nie stosuje w analizach idealistycznej formuły twórczości jako wyzwalania absolutnie nowych treści duchowych. Przyjęcie tezy o pracy jako źródle wartości (Brzozowski świadomie nie rozgraniczał wartości duchowych od ekonomicznych, praca tworzyła jedno i drugie) wprowadziło nieco zmodyfikowany punkt orientacyjny: „twórczość" pozostawiona zostaje życiu, zadaniem sztuki staje się „uprzystępnienie innym swoich własnych stanów wartościowych" [14]. W praktyce krytycznej tego okresu Brzozowski zbliża się więc do przeświadczenia o prymacie zjawisk dziejących się w sferze „życia". „Każdy rodzaj twórczości ludzkiej — pisze we wspomnianym studium — jest pewną formą stosunku ludzkości względem życia. Stosunek ten odpowiada pewnym, mniej lub więcej ściśle określić się dającym, potrzebom i zagadnieniom (...) Zrozumieć życie i rozwój jakiejś formy artystycznej czy też literackiej, znaczy to zrozumieć wyrastanie ich z pewnych zagadnień życia. Bez tego związku przedstawia się nam przekształcanie i rozwój form literackich jako pewien rodzaj niewytłumaczalno, a pedancko nudnej mitologii..." [15] Odbiegamy — jak widać — od nietzscheanizmu.

Ale wbrew tym teoretycznym sformułowaniom analizy Brzozowskiego nie są wyłącznie czy przede wszystkim genetyczne. „Stany wartościowe" określane są dwoma zasadniczymi kryteriami: z jednej strony chodzi o stosunek do życia pojętego jako proces wyzwalający pracę, z drugiej — o zespół narzędzi i odruchów duchowych, w których ocena ta się załamuje, z jednej — o stopień odtworzenia obiektywnego, społecznego przebiegu, z drugiej — o psychikę, która dokonuje oceny, o jej gusty, sympatie, dramaty, o jej punkt widzenia, o jej wreszcie stanowisko moralne. Pierwsze kryterium traktowane jest jednak tylko jako ogólnikowy punkt wyjścia, drugie — dopiero — daje szansę niezwykłej spostrzegawczości i trafności. Odnosząc bezustannie spostrzeżenia psychologiczne do sfery historii, konfrontując każdą jakość duchową z materiałem faktów powieściowych, w których się ona ujawniła, Brzozowski stwarza świetne sylwetki z zakresu psychologii historycznej, nie tyle geneza twórczości jest atutem jego szkiców, ile odtworzenie dramatu zetknięcia się ukształtowanej świadomości z historią kultury zamienionej w osobowość — z przemianami społecznymi. Brzozowski jest psychologiem, który jedynych sprawdzianów szuka w stosunku badanej świadomości do faktów z zakresu życia społecznego. Taki właśnie wygląd mają jego najwnikliwsze spostrzeżenia: „Prus umiał pogodzić tę abstrakcyjną miłość kultury i postępu z miłością dla tych pojedynczych dusz, poprzez cierpienie i pracę których ten

postęp się dokonywa". [16] Albo: „Posiada ona (Orzeszkowa) zmysł dla momentu rozdwojenia, gdy specjalny nakaz sumienia przeciwstawia się całemu pozostałemu życiu i spycha je do roli wrogiej, opornej materii". [17] Albo wreszcie o Irzykowskim: „Jego *Pałuba* zawiera *in nuce* w metodzie swej krytykę wszelkich wmówień kulturalnych, tj. krytykę kultury, w której pomiędzy życiem umysłowym, duchowym człowieka a jego życiem tzw. realnym, tj. czynnościami, jakie on spełnia w społeczeństwie, istnieje przedział". [18] Niesposób nie zaznaczyć w tym miejscu bliskiego pokrewieństwa typu problematyki z twórczością Witolda Gombrowicza.

Z doświadczeniami rewolucji należy chyba wiązać pewne nowe treści, które w dalszym przebiegu tej fazy zaczną się u Brzozowskiego pojawiać. Obserwujemy w pismach jego ponowny nawrót zainteresowania dorobkiem Nietzschego, ale z wyraźnie zarysowanym krytycznym dystansem. Z jednej strony proletariat widziany idealnie jako siła dysponująca pracą uważany jest chętnie za jedynego twórcę nowego życia, praca ulega swoistemu ubóstwieniu jako najgłębsza działalność ludzka, jako jedyna możliwość nawiązania kontaktu z żywiołem pozaludzkim. Praca „jest jedyną mową ludzką, na którą byt odpowiada" [19] — tak brzmi najbardziej syntetyczna formuła tego przekonania. Praca spełniać więc będzie te funkcje ideowe, które dawniej przyznawane były twórczości, praca jest właśnie twórczością, robotnik spełniać znacznie rolę twórczego podmiotu. W tym kręgu tworzy się nowoczesna etyka, nowoczesne prawo. Tu spróbuje Brzozowski dokonać metafizycznej podbudowy ruchu robotniczego, a więc odegrać tę samą rolę, która we Francji stała się udziałem Jerzego Sorela, nowego mistrza krytyka. Moment historyczny dokona pewnej zmiany w stosunku estetycznym. Metafizyka pracy otoczona zostanie atmosferą egzystencjalnej grozy, znikną entuzjastyczne, radosne, przejęte z Nietzschego akcenty. „Żyjemy w świecie, w którym nie mamy nic prócz siebie. Jesteśmy obozowiskiem obleganym." [20] Świadomość konfliktu między człowiekiem a bytem podpowie pisarzowi jeszcze jedno pojęcie: ludzkość. Brzozowski spojrzał tu po prostu z egzystencjalnego punktu widzenia na filozofię Marksa. Historia jest procesem wyzwolenia ludzkości — stąd częste akcentowanie jedności rodzaju ludzkiego, i dalej — wyzwolenia wobec czegoś czy przeciw czemuś — oto schemat nowego przeciwstawienia.

Z drugiej jednak strony marksizm pozwolił na zrewidowanie innych tez nietzscheanizmu — zabieg niesłychanie istotny dla późniejszej praktyki krytycznej: mianowicie sprzeciw wobec niehistorycznego, a nawet przypadkowego — jak określa Brzozowski [21] — pojmowania ludzkiego istnienia. Brzozowski wyczuł teraz, że wezwania Nietzschego do przeciwstawienia się zastanej kulturze, do tworzenia nowych idei, nowych wartości — zawieszone są w próżni historycznej i społecznej, brak im treściowej, „życiowej" konkretności. On sam zatem przetłumaczył je na korzyść historycznej walki proletariatu i dokonał tym samym jeszcze jednej intelektualnej próby przezwyciężenia tak silnie odczuwanego rozłamu. I zarazem przygotował się do nowego, najlepszego krytycznego ujęcia współczesnej kultury polskiej, którym jest *Legenda Młodej Polski.*

„LEGENDA MŁODEJ POLSKI"

Teoretycznie biorąc *Legenda Młodej Polski* (pisana 1906—1909) poszerza bazę filozoficzną Brzozowskiego o dorobek Bergsona i Sorela, od pierwszego przejął krytyk koncepcję życia jako wyładowywania się irracjonalnej energii, od drugiego teorię mitu jako swoistego projektu czynu. Wprowadzenie tych treści do rozważań nie zmieniło jednak w poważniejszym stopniu punktu widzenia. Pisarz zasadniczo podejmował pracę innego, nie-teoretycznego rodzaju. Jej rola intelektualna polega na konfrontacji istniejącego dorobku kulturalnego, stanu „duszy kulturalnej" z przygotowanymi miarami. W gruncie rzeczy większość wcześniejszych prac Brzozowskiego wygląda z perspektywy *Legendy* jako przygotowanie do niej: największej w literaturze okresu rozprawy ze współczesnością. Sam autor uznał książkę za coś w rodzaju sumy swego dorobku, toteż wiele jej myśli i fragmentów powtarza i rozbudowuje rozprawy wcześniejsze.

Na czym polega rola tej książki? Cały poprzedni wysiłek pisarski krytyka potraktować można jako pragnienie zdobycia punktu widzenia na życie i kulturę, na wartość kultury i jej sens. Brzozowski szukał bezustannie — jak sam to nazywał — „sprawdzianów", chciał w obliczu tego wielokształtnego i wielobarwnego, pozbawionego jedności kompleksu treści znaleźć kryterium umożliwiające uzasadnienie jego sensu. Warto tu zwrócić uwagę na charakterystyczną namiętność syntetyczności: Brzozowski albo jest teoretykiem, albo szuka oceny generalnej i te dwie czynności krytyczne są nierozdzielnie z sobą związane. Tom *Kultura i Życie* (1907) powstawał równocześnie z *Współczesną powieścią polską* i *Współczesną krytyką literacką* (1906). Jeśli *Idee* (1910) uznać można za książkę reprezentującą najpełniej myśl teoretyczną, to *Legenda* spełnia tę samą rolę w zakresie sądów krytyczno-literackich. W opiniach wielu ludzi, którzy pisali o Brzozowskim, pojawiało się pytanie: kim właściwie był ten pisarz, krytykiem czy filozofem? On sam zadał sobie pod koniec życia to pytanie i odpowiedział, że jest krytykiem, dla którego krytyka jest metodą filozoficzną. [22] W dzisiejszej sytuacji historyczno-kulturalnej, w której literatura piękna jest coraz skwapliwiej przesuwana na płaszczyznę wartości czysto estetycznej, Brzozowskiego uważa się bardziej za teoretyka kultury, za filozofa, który posłużył się przykładem literatury, tak jak to robi np. Roman Ingarden. Pogląd na tę sprawę uzależniony jest od zadań, jakie stawia się literaturze. Rola krytyki literackiej wówczas dopiero ujawnić może swą doniosłość, gdy literaturę potraktuje się jako instrument pozwalający wyrazić proces zamiany egzystencji i działalności człowieka na treść jego świadomości, a więc da się jej sens najszerszy. Brzozowski stawiał literaturze zadania maksymalistyczne, nie wyłączał jej w swych rozważaniach poza kontekst kultury. Ludzkość, jej istnienie, jej twórczość kulturalna — to były dla niego zjawiska jednorodne. Ale widzenie jednorodności tego procesu dostrzegał najlepiej na przykładzie literatury, dając jej zarazem w tym zespole zadanie najsubtelniejsze: wiązania praktyki ze świadomością — i dlatego dorobek jego ma sens zasadniczo literacki. I oto właśnie rola *Legendy Młodej Polski.*

Droga rozważań Brzozowskiego nigdy nie była drogą genetyczną: określając fakty kulturalne nie szukał ich przyczyn, gdyż postępowanie takie uznawał za deterministyczne, a więc odbierające człowiekowi świadomość odpowiedzial-

ności, świadomość zadania, a zatem odbierające człowiekowi moralny sens aktu twórczego. On sam posługiwał się określeniem epigenezy historii [23], filozofię dziejów traktował jako „stwarzanie świadomości, która mogłaby uczynić historię świadomie stwarzanym przez człowieka dziełem". [24] Szło mu bowiem zawsze o teoretyczne pozostawienie miejsca swobodzie twórczej: człowiek będzie tym, czym się sam stworzy — to była jedna z podstawowych maksym Brzozowskiego. Opracowując w *Legendzie* współczesne idee literackie patrzył zawsze, czym są one dla życia, nie warunkował ich powstania (podobnie jak we *Współczesnej powieści),* ale szukał ich racji, ich funkcji kulturalnej, roli, jaką chciały spełniać i jaką spełniały — a więc ich istoty.

Czym była dla Brzozowskiego Młoda Polska? Pewną typową postawą wobec kultury. Dwie wielkie kampanie krytyczne, przeprowadzone kilka lat wcześniej przeciw Sienkiewiczowi i Miriamowi, stały się teraz oznaczeniem dwóch skrzydeł owej postawy. Z jednej strony atakował Brzozowski „Polskę zdziecinniałą", „pragnienie spokoju i wygody jako postulat dziejowy i założenie filozofii", z drugiej — taką świadomość kulturalną, która „uważa swoje życie wewnętrzne za proces samoistny i wystarczający samemu sobie". To drugie uderzenie było intelektualnie płodniejsze i pełne krytyczno-literackich konsekwencji. Krytyk doszedł bowiem do uchwycenia górujących idei kulturalnych już wcześniej, zdobyczą nowej książki jest ich doskonała, w wielu wypadkach przenikliwa dysocjacja. Świadomość alienacji kultury jest wstępnym założeniem, które przewija się przez cały tok rozważań, nowością książki jest opis przejawów. Stąd charakterystyczny, „nawracający" schemat kompozycyjny: Brzozowski każdy rozdział zdaje się zaczynać od początku, bo od nowa wprowadzić chce czytelnika w założenia generalne całości.

Treści Młodej Polski wyprowadza krytyk z trzech źródeł: z katolicyzmu, z romantyzmu, wreszcie ze szczególnej sytuacji społecznej twórcy kulturalnego, polegającej na oderwaniu jego środowiska, jego warstwy, od procesu pracy. Widzimy więc, że Brzozowski tęskniąc nieustannie do zerwania z bezdziejowością, czyli traktowaniem naszego dorobku wewnętrznego jako czegoś niezależnego od historii, świadomości — od praktyki społecznej, ujmował jednakże dynamikę kultury jako proces, który mimo tego uniezależnienia może jednak być żywy. Kultura może nadal ulegać przekształceniom, wchodzić w związki, przejmować pewne modele. Krytyk zna właściwie jeden sposób uzależnienia obu procesów, sposób, by tak rzec, negatywny: kultura może wejść w takie a takie związki, gdyż jest oderwana od procesu pracy. Jest to stały refren książki. Jakieś zjawisko jest żywe w kulturze Młodej Polski, gdyż oderwało się od „bazy" kiedyś i jako takie mogło być przyjęte; tak traktuje Brzozowski katolicyzm i romantyzm. Pierwszy powstał w ogóle jako kultura spożycia, chrześcijaństwo zrodziło się jako „zrzeszenie opuszczenia i bezsiły" [25] i przekształciło się następnie w typ „zachowania kulturalnego". [26] Na to ostatnie określenie warto zwrócić uwagę, gdyż uzasadni ono pośrednio katolicki zwrot Brzozowskiego: uratowanie dorobku kultury uznaliśmy przecież za jedną z podstawowych racji wewnętrznych całej pisarskiej praktyki. W *Legendzie* pojawiają się wyrazy uznania dla wartości katolicyzmu, przy równoczesnym sprzeciwie wobec eksploatatorskiego charakteru tej kultury. Zaznaczyć trzeba także, że siłę tę widział krytyk jako możliwość Młodej Polski, krytykując zarazem powierzchowność, z jaką katolicyzm jest w Polsce przeżywany.

Drugi zespół treści przejętych przez Młodą Polskę — to zespół romantyczny. Romantyzm stanie się obok katolicyzmu drugim zasadniczym tematem późniejszych prac Brzozowskiego. Tematem bardzo charakterystycznym. Krytyk nazywa ten nurt kulturalny buntem kwiatu przeciw swym korzeniom, uzasadnia kapitalnie, że swoistość tego buntu stała się w warunkach oderwania go od życia polskiego — jego siłą. Ale siła ta zamienia się w martwy gest we współczesnej sytuacji. Brzozowski z reguły uderza w to, co zdaje się być mu bliskie, jak gdyby szukał nieustannego wyzwolenia. Zaatakował połaniecczyznę — a przecież pamiętać trzeba, że w tych formach kulturalnych spędził dzieciństwo. Następnie Miriam, Młoda Polska — to były kolejne fazy uwalniania się, jakby zrzucania z siebie jakichś możliwości, utrudniających realizację innych, które nieprzerwanie starał się określić. W końcu życia tej właśnie wyalienowanej kulturze pisarz uległ. Jego dylemat można tak uschematyzować: albo kulturze przywrócić trzeba naturalny kontakt z życiem, albo ją odrzucić. W istocie przegrał obydwie ewentualności. Ale w procesie owego rozstrzygania bardzo dokładnie swego przeciwnika poznał i z rzadką przenikliwością go określił. Wygrać nie mógł, ale walkę swoją w pełni sobie uświadomił — i w tym właśnie leży jego zasługa. W kulturze nie chodzi o wygranie, lecz o przyrost świadomości. To kryterium, które sam ustalił, pozwala uznać jego walkę za skuteczną.

Czołowych twórców epoki, przede wszystkim Wyspiańskiego, a następnie Żeromskiego i Kasprowicza, wyłącza Brzozowski z określeń składających się na Młodą Polskę. Jest on również tutaj dziecięciem nietzscheanizmu, który nakazywał twórcę kultury ustawiać naprzeciw społeczeństwu, stanowisko metodologiczne, które się zresztą częściowo w krytyce przyjęło. W myśl niego najwybitniejsi twórcy nie wyrażają typowych tendencji czasu, ale przeciwnie — walczą z nimi, „przezwyciężają" je — jak powiedziałby Nietzsche, w tym właśnie ich rola, ich wielkość. Z powyższego przewodu można by już wysnuć logiczne określenie, na czym to przezwyciężenie polega: właśnie na samodzielnej, „samotnej" próbie związania wartości kultury z życiem, albo znów na instynktownym oddaniu się życiu, albo wreszcie — i to będzie stanowisko najgłębsze — na uświadomieniu sobie dramatów wynikających z istniejącej alienacji. Kasprowicz — to stanowisko pierwsze, Żeromski — drugie, Wyspiański — trzecie. Brzozowski dowodzi, że Kasprowicz gromadzi w swym wszechogarniającym liryzmie życie zbiorowe i przeciwstawia je Bogu, najwyższej wartości w wersji katolickiej. Żeromski — to oddanie się życiu za cenę rezygnacji z jakiejkolwiek możliwości twórczego nad nim panowania, stąd zjawisko klęski w jego pisarstwie. „Na niczym nie może się (Żeromski) oprzeć: życie płynie, pociągając go z sobą: dusza jego własna porwana jest przez przeistaczający proces. Ginie tu sama podstawa decydującego myślenia, utrzymująca wbrew żywiołowi tożsamość swoich postanowień swobody." [27]

Stanisław Wyspiański był autorem, do którego krytyk wracał w swym pisarstwie wiele razy, podobnie jak do Nietzchego. Wynikało to stąd, że Wyspiański był najbliższy takiemu pojmowaniu dramatu współczesnej Polski, jaki proponował Brzozowski, że on także widział kulturę jako egzystencję nie odpowiadającą nowym potrzebom życia, czuł dramat obezwładniający „duszę kulturalną" i w większości swych utworów do tego problemu od nowa docho-

dził. Wyspiański wyraził artystycznie owe sytuacje bezdziejowości, bezsiły, tęsknoty za wyzwalającym czynem, za narodem „tworzącym moc i jedność". Brzozowski rozumiał chyba Wyspiańskiego najtrafniej ze wszystkich jego krytyków. Warto dodać, że ewolucja Brzozowskiego, zbliżająca go do nacjonalizmu i katolicyzmu, u Wyspiańskiego m. in. szukała argumentów. Takim akcentem kończy się właśnie *Legenda Młodej Polski:* po zaprzeczeniach wobec bezdziejowości psychiki Brzozowski znalazł nowe bóstwo w „energii narodowej". O jej tworzenie, o jej przyrost będzie teraz prowadził literacką walkę. Cała książka jest jak relacja z drogi poszukiwań, które — rozpoczęte atakiem na kulturę bezsilną i izolującą się od procesów historycznych — kończą się próbami połączenia wartości kulturalnych i potrzeb życia w programie mocy narodowej, pod patronatem boskim. Bezustanne tęsknoty do uzasadnienia prymatu wartości moralnych, do wyprowadzenia świata i naszych wobec niego zadań z wewnętrznego wysiłku, z twórczej psychiki — tam go zawiodły. Przezwyciężenie alienacji dokonało się znów poprzez oddanie się idealistycznym mitom, wyraźniej jednak oznaczonym społecznie.

OSTATNIE LATA

Klęska rewolucji, klęska realizacji postępowych programów zazwyczaj zbliża literaturę do idealizmu, tendencje irracjonalistyczne wzmagają swą aktywność. Lata porewolucyjnej reakcji związały się w życiu Brzozowskiego z ciężką chorobą płuc, która rozpoczęła się zresztą znacznie wcześniej, ale w latach 1908—1909 wzmogła się tak dalece, że zagrażała nieprzerwanie życiu pisarza. Brzozowski wyjeżdża już wcześniej kilkakrotnie do Włoch, wreszcie od roku 1907 osiedla się na stałe we Florencji. Traci bezpośredni kontakt z polskim życiem literackim. Nie zaprzestaje jednakże twórczości. Przeciwnie, lata 1909, 1910, aż do śmierci pisarza w kwietniu 1911, wypełnia intensywna praca pisarska. Swoiste warunki życia, stan duchowy, perypetie związane z bezpodstawnym oskarżeniem, mającym na celu zniesławienie pisarza — zaznaczyły się w jego pismach z tego okresu. Ton ich staje się stopniowo coraz bardziej patetyczny, kaznodziejski. Brzozowski zdaje się gorączkowo szukać nowych uzasadnień, świetne analityczne spostrzeżenia ograniczają się na rzecz wskazań swego rodzaju, apelów, omawiane zjawiska, książki, postaci stają się coraz częściej argumentami wspierającymi wezwania ideologiczne. Kierunek ich zarysował się już w końcowych rozdziałach *Legendy Młodej Polski.*

Wydany w rok po *Legendzie* tom prac filozoficznych *Idee* gromadził artykuły z lat 1903—1910, toteż w książce tej apele, o jakich wspomniałem, nie uzewnętrzniają się w stopniu większym niż w innych pismach Brzozowskiego. W całości biorąc *Idee,* zwłaszcza w artykułach pisanych po roku 1907, są rozprawą z nurtem myśli współczesnej, wywodzącym się z racjonalizmu XVIII-wiecznego. Po rozprawie z romantyzmem, z jego współczesną kontynuacją, Brzozowski podejmuje nową wielką batalię krytyczną przeciw drugiemu wrogowi, który staje na przeszkodzie jego zadaniom pisarskim. Zadania te oznaczały niezmiennie wyprowadzenie świadomości współczesnej, wartości kulturalnych — z rzeczywistego życia. Brzozowski w ślad za Bergsonem i Sorelem tworzy nową konstrukcję myślową, w której określa kry-

tycznie zespół tendencji filozoficznych, przyjmujących założenia naturalistyczne i traktujących przyrodę, świat zewnętrzny, byt — jako coś niezależnego od człowieka, obiektywnego, podlegającego własnym, odrębnym prawom, coś, co można poznać w procesie czysto psychicznym, opisać, coś zasadniczo różnego od ludzkiej świadomości. Ewolucjonizm, determinizm, wiedza jako bezinteresowne poznanie, wreszcie racjonalizm jako sposób ustosunkowania się do świata — te zjawiska i systemy odbierające człowiekowi egzystencję bohaterską, zdejmujące odpowiedzialność — uderzały z istoty swej w podstawy dorobku myślowego pisarza. Każda teza, która szukała prawdy o świecie poza człowiekiem, była Brzozowskiemu wroga, bo redukowała znaczenie jednostkowego życia, duchowego wysiłku, a przede wszystkim znaczenie twórczości jako aktu wewnętrznego. Jeśli romantyzm był dla Brzozowskiego zrzeczeniem się odpowiedzialności za świat rzeczywisty, za bieg życia, to naturalizm oznaczał coś znacznie bardziej wrogiego. redukował w ogóle znaczenie świadomości, czynił ją produktem, włączał w szereg procesów, praw, konieczności. Romantyzm równał się izolazji, naturalizm prowadził do zaprzeczenia wartościom. Pierwszy alienację wartości absolutyzował, drugi ją lekceważył. Brzozowski atakuje racjonalizm właśnie za jego obietnice bezpieczeństwa, trwałości świata i jego praw, za to, że każdy jego sukces prowadzi do moralnego uwolnienia. Przenosić byt poza człowieka, poza siebie — to znaczyło dla niego rezygnację z twórczego życia, oddanie go przypadkowości. „Prawdy się nie poznaje, lecz jest się nią w pewnej, ale niewątpliwej mierze." [28] Walcząc z romantyzmem — Brzozowski posługiwał się argumentem pracy jako jedynym sposobem zaznaczenia w bycie ludzkiej egzystencji, wobec racjonalizmu przesuwał akcent, aby podkreślić wagę tego, co się wewnątrz człowieka dzieje, tutaj dramat twórczej egzystencji toczy się w nas, tam zaś pomiędzy nami a bytem.

Co wiąże te obydwie polemiki? Brzozowski zdaje się bezustannie zabezpieczać na dwie strony, dążąc do takiego określenia miejsca człowieka w świecie, które dawałoby mu satysfakcję twórczości traktowanej jako *creatio ex nihilo*, a z drugiej strony dawałoby mu przeciwnika, któremu trzeba coś wydrzeć. Znajduje się w sytuacji walki na dwa fronty, z których jeden chce mu odebrać świat, drugi — kulturę i jej wartości. Jest w środku tragicznym i bezsilnym łącznikiem oderwanych od siebie sił. Obie traktuje jako wrogów, a obie są mu przecież potrzebne dla uratowania własnego znaczenia, szuka przezwyciężenia zwracając jedną przeciwko drugiej. Nie ma wartości, jeśli nie wynikają one z życia, z pracy, z nawiązywania kontaktu z czymś, co jest poza nami — mówi romantyzmowi. Nie ma tworzenia życia, jeśli miałoby ono toczyć się bez nas i poza nami, niezależnie od naszych żądań, od naszej odpowiedzialności — mówi naturalistom. Nie ma wartości bez życia i życia bez wartości. Brzozowski przeciwstawiał Marska Engelsowi na tej zasadzie, że dla pierwszego ludzkość stawiała sobie zadania i realizowała je, tworzyła własną egzystencję, dla drugiego — poznawała tylko niezależną od niej samej konieczność rozwoju.

Powstaje teraz pytanie dość istotne: w jakiej mianowicie mierze dramat wewnętrzny ujawniony w pismach Brzozowskiego sprzyjał jego krytyce, jego talentom literaturoznawczym? Otóż próba widzenia współczesnej kultury jako sfery treści duchowych „nie umiejących wylegitymować się przed życiem"

okazała się płodna, gdyż była to próba historycznie uzasadniona. Brzozowskiemu zawdzięczamy jedno z najprzenikliwszych określeń romantyzmu, dokonane właśnie przy założeniu, że jest to nurt kulturalny, szukający swych racji w zaprzeczeniu istniejącemu ładowi przez zerwanie z nim łączności. Krytyk wyczuwał bardzo trafnie proces, który nazywany dziś bywa konwencjonalizacją kultury. Metoda krytyki racjonalizmu jest w istocie ta sama, racjonalizm — to dla niego nie tyle metoda sceptycznego myślenia, „usprawiedliwiania się przed trybunałem rozumu", ile postawa budująca bezpieczeństwo na zaufaniu do skuteczności naszego poznania. Brzozowski mówiąc o racjonalizmie odrzuca wątpienie jako źródło tej postawy, a pozostawia zaufanie do samego siebie. Można powiedzieć inaczej, że krytykuje go wówczas, gdy stał się on już systemem odruchów i zachowań, gdy stworzył sobie własny porządek, kiedy człowieka zabezpieczył i uwolnił. Krytyka racjonalizmu staje się krytyką pewnej konwencji myślenia i dlatego może prowadzić do bardzo trafnych i głębokich spostrzeżeń. Spostrzeżenia np. dotyczące powieści „racjonalistycznej" jako kompozycji artystycznej, tłumaczącej nielogiczność życia ludzkiego, są niewątpliwą zdobyczą krytyki literackiej w ogóle. W metodzie oceny romantyzmu i racjonalizmu jest zresztą wyraźna analogia, obydwie postawy traktuje krytyk jako sposób zastąpienia rzeczywistości jakimś o niej wyobrażeniem, i co najważniejsze — wyobrażeniem uwalniającym od niezbędnych dla twórczości dramatów wewnętrznych. Obie krytyki polegają na przeciwstawieniu się mitom intelektualnym, doskonale umieją wykryć źródła i sposób tej mitologizacji i na tym polega ich wartość.

W czasie pobytu we Florencji zainteresowania krytyka ogromnie się poszerzyły, Brzozowski czytający wówczas w pięciu obcych językach [29] pochłania masę literatury, rozmiary zainteresowań i szybkość, z jaką poznawał twórczość europejską, pozwalają wysnuć pewne przypuszczenia. Wydaje się, że motorem tych poszukiwań było pragnienie odnalezienia typu kultury, który odpowiedziałby na pytania Brzozowskiego, czyli umiałby uzasadnić przed życiem rację swego istnienia. Pisarz był w tych poszukiwaniach dość nerwowy, przesuwał oceny w ślad za poznawanymi zjawiskami literackimi, i dość trudno ustalić zasadę zmieniających się upodobań. W każdym razie szczególnie pozytywne opinie zyskała sobie w jego oczach literatura angielska, w Polsce raczej mało znana, w której krytyk odnajdywał poszukiwane wartości „dążenia do nieustannego przetwarzania naszej spontanicznej natury w myśl dziejowych zdobyczy" [30], „głęboką sumienność biologiczną tej kultury" [31]. Brzozowskiemu chodziło w ocenach o literaturę wyrażającą świadomość narodu ekspansywnego, o wewnętrzny związek kultury z dążeniami historycznymi. Przychylnie oceniał także krytyk współczesną literaturę rosyjską, odbijającą proces tak przez niego określony: „dominująca w dotychczasowym życiu inteligencji rosyjskiej psychologia abstrakcyjnego buntu i protestującego sentymentalizmu — ulega rozkładowi i rozbiciu, że w ostatecznym chaosie tego rozbicia, anarchii tego rozkładu dokonywa się stopienie inteligenckiej psychiki rosyjskiej z elementami konstruktywnymi kultury". [32] Sformułowania te są bardzo charakterystyczne i świadczą bez wątpienia o uwstecznianiu się postawy krytyka. Idzie o to, że Brzozowski coraz chętniej zaprzeczał abstrakcyjnym wartościom, którymi legitymowała się inteligencka kultura, w imię których literatura dokonywała swych ocen, a pisarz czuł moralne prawo do protestu. Krytyk przeciw-

stawił tym dążeniom argumenty mocy, biologii narodowej, wskazywał na potrzebę siły, korzystał z frazeologii nacjonalistycznej.

Nie wyrzekł się zresztą nigdy swego przeświadczenia o twórczej roli pracy. Próbował wiązać je z nacjonalizmem, błąkał się w koncepcjach politycznych, ale od lewicy systematycznie się oddalał. We Florencji napisał także powieść *Sam wśród ludzi* (Lwów 1911), która jest jeszcze jedną rozprawą ze świadomością romantyczną, uważającą swoje życie wewnętrzne za proces samoistny i wystarczający samemu sobie". W ogóle romantyzm jako problem współczesności powrócił od nowa i w pośmiertnie wydanym tomie *Głosy wśród nocy* (Lwów 1912, wstęp Ostapa Ortwina) Brzozowski podejmuje nową polemikę z tą formacją kulturalną. Zasadniczo jednak nowa argumentacja nie poszerza spostrzeżeń zawartych w *Legendzie Młodej Polski*. Teksty Brzozowskiego są teraz nasycone tonem kaznodziejskim (w zakończeniu *Legendy* wspomniał z żalem o wyższości kaznodziei nad pisarzem świeckim), ale w trafności krytycznej nie dorównują *Legendzie* i *Ideom*.

Końcową fazą poszukiwań Brzozowskiego jest faza katolicka. Spirytualizm katolicki proponuje własną koncepcję życia jako dążenia do najwyższej wartości, a więc rozstrzyga na swój sposób dramat, który inspirował pisarstwo Brzozowskiego. Wartości, które chciał uzasadnić przed życiem, zyskały w ten sposób sens, życie natomiast otrzymało kryteria moralne. W *Legendzie* pisał Brzozowski o katolicyzmie jako typie zachowania kulturalnego. Ten argument odegrał teraz niewątpliwą rolę, pozwalał bowiem nadać sens zachowawczości, pozwalał uzasadnić egzystencję człowieka, który zafascynowany dorobkiem wieków pragnął uczynić go żywą treścią współczesności, który życie chciał widzieć źródłem niewyczerpanym wezwań, podniet i nakazów. Instynkt moralny wykluczał u niego światopoglądy „uwalniające", głęboki szacunek dla dorobku kultury domagał się uzasadnień egzystencjalnych.

Droga Brzozowskiego to nieustanna walka z klerkizmem, który był jego złym sumieniem. Zniszczyć w sobie pięknoducha, estetę, szlachcica, literata, artystę — oto jego ukryte dążenia. „Artystą zostaje się wtedy dopiero, gdy zwątpi się o świętym i proroku w sobie" [33] — napisał w jednej z książek. Dlatego zwątpić nie chciał. Pragnął ponieść odpowiedzialność za cały świat, który zastał, za kulturę, którą przeżył z taką intensywnością i głębią, jak nikt ze współczesnych. Znalazł się w opozycji wobec wszystkich, bo w świecie, który zmuszał do wyboru, on wybrać nie umiał. Był jednym z nielicznych, który zrozumiał problemy przyszłości wówczas się rodzące. Odnalazł źródła dekadentyzmu. Chciał uzasadnić na nowo wartość kultury, poznał jej egzystencję, ujawnił jej wewnętrzne życie.

Dorobek Brzozowskiego był już kilka razy przedmiotem ponownego szerszego zainteresowania. Właściwie inspiruje on nieustannie krytyków i historyków literatury, i nie było dziesięciolecia, aby nie ukazała się o nim jakaś poważniejsza praca. W ostatnich miesiącach zainteresowania te stały się znów intensywniejsze. [34] Nic lepiej nie świadczy o jego trwającej aktualności.

Włodzimierz Maciąg

PRZYPISY

[1] *Głosy wśród nocy*, str. 8.
[2] Cytuję za B. Suchodolskim (*Stanisław Brzozowski rozwój ideologii*, Warszawa 1933).
[3] *Współczesne kierunki w literaturze polskiej wobec życia*, Głos 1903, cytat za J. Spytkowskim: *Stanisław Brzozowski estetyk-krytyk*, Kraków 1939.
[4] *O Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1905, str. 110.
[5] Druk w *Głosie* 1903, przedruk w tomie *Idee*, 1910.
[6] Ib. str. 172.
[7] Ib. str. 196.
[8] Ib. str. 262.
[9] Ib. str. 50.
[10] Ib. str. 38.
[11] Ib. str. 47—48.
[12] Ib. str. 28.
[13] Późniejszy entuzjazm dla Bergsona był jak widać wcześniej przygotowany.
[14] *Dzieła wszystkie*, t. VII. 1936, str. 106.
[15] Ib. str. 7.
[16] Ib. str. 39.
[17] Ib. str. 43.
[18] Ib. str. 71.
[19] *Idee*, str. 11.
[20] *Dzieła*, t. VI, str. 291.
[21] *Dzieła*, t. IV, str. 407.
[22] *Pamiętnik*, Lwów 1913, str. 115.
[23] *Idee*, str. 112.
[24] Ib. str. 136.
[25] *Legenda Młodej Polski*, 1909, str. 83.
[26] Ib. str. 79.
[27] *Legenda*, str. 501.
[28] *Idee*, str. 260.
[29] Brzozowski czytał w językach: rosyjskim, francuskim, niemieckim, angielskim, włoskim.
[30] *Głosy wśród nocy*, 1912, str. 313.
[31] Ib. str. 317.
[32] Ib. str. 191.
[33] *O Stefanie Żeromskim*, Warszawa, 1905, str. 57.
[34] Artykuły Andrzeja Stawara w *Polityce* (1959) i Mieczysława Sroki we *Współczesności* i *Świecie* (1959).

Andrzej Kijowski

AKT ZNISZCZENIA

„...Kilka opowiadań, które mają szansę trwania, póki istnieć będzie polska literatura oraz cmentarz potrzaskanych złudzeń i nadziei" — pisze Jerzy Andrzejewski we wstępie do *Wyboru opowiadań* * Tadeusza Borowskiego. „Tadeusz Borowski to już historia literatury" — stwierdza we *Współczesności* młody krytyk i otwarcie wyznaje, że nie rozumie już tego pisarza, który każe mu myśleć kategoriami niewolnika. Grzegorz Lasota w *Nowej Kulturze* ujął literackie istnienie Borowskiego w metaforę: „Borowski nie przeżył obozu", tzn. poza granicą obozu kończy się wiedza autora *Pożegnania z Marią*, poza utworami dotyczącymi obozu i prawdą tam objawioną kończy się zasięg jego artystycznego i intelektualnego oddziaływania.

We wszystkich tych opiniach widoczne jest przekonanie, że Tadeusz Borowski pozostał dla nas pisarzem jedynie kacetu, a wszystko, co miał do powiedzenia, zawiera się w kilku półreportażowych, półpamiętnikarskich szkicach. Przekazany w nich obraz obozu przerasta siłą i prawdą wszystko, co na ten temat napisano. Ta siła oraz bezkompromisowa odwaga mówienia prawdy aż do końca, ta zdolność przekraczania konwencjonalnych barier, ta brutalność, z jaką pisarz potraktował nie tyle może sam przedmiot, o którym pisał, ile literaturę, która jak chwast na grobie rozpleniła się zaraz po wojnie na owym „obozowym temacie", oto atuty Borowskiego. Oto przyczyny, dla których kilka urywków (bo tylko o urywki właściwie chodzi) ma zapewnione miejsce w literaturze polskiej, „póki ona istnieje".

Sytuację Borowskiego można by więc porównać z sytuacją Zbigniewa Uniłowskiego. Ten pisarz pozostawił po sobie również tylko jeden nie dokończony utwór: *Dwadzieścia lat życia*. Lektura *Wspólnego pokoju* po latach obnaża wszystkie słabości debiutu: nieporadność języka, naiwność, brak własnego stylu i własnego spojrzenia, skłonność do pozy i frazesu. Jest natomiast pewien surowiec, z którego dopiero w *Dwudziestu latach* umiał Uniłowski uczynić własną poetykę. Jest życie, czuje się jego twardą powierzchnię. We *Wspólnym pokoju* Uniłowski jest jeszcze literatem, początkującym literatem, który ma świadomość, iż pisaniem swoim awansuje, wyrabia sobie wstęp do zamkniętego

* Tadeusz Borowski: *Wybór opowiadań*. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Jerzy Andrzejewski. Warszawa 1959. PIW; str. 470.

środowiska. Jest w nim po prostu snobizm literacki; Uniłowski ściąga z książek i rozmów kawiarniane banały, kokietuje sobą, swym życiem osobliwym, przyrządza to życie — czyni je brudniejszym jeszcze i bardziej parszywym, i bardziej fizjologicznym — gdyż wie, iż to wszystko stanowi jego cenną walutę, jego towar eksportowy, jego bilet wstępu. W *Dwudziestu latach życia* Uniłowski odkrywa prawdę prostą, ale zawsze jednakowo trudną do odkrycia: że aby dać coś nowego literaturze, trzeba pisać przeciw niej, trzeba jej nienawidzić, trzeba rozpocząć od wykopania jej grobu i powiedzieć sobie: „To, co ja napiszę, w r e s z c i e nie będzie literaturą". *Dwadzieścia lat życia* urzeka prostotą, świeżością, konkretem. Każde głupstwo i banał każdy nabiera tu znamion stylu, staje się swoistą poetyką, nieporadność — nową propozycją, łamanie reguły — nową regułą. Tak więc rodzą się nowe indywidualności literackie. W prozie, której sprawa rozstrzyga się na granicy literatury i nie-literatury (na granicy nauki, działania, życia) nowe indywidualności rodzą się nie w buncie przeciw tej czy innej poetyce, lecz w buncie przeciw samej zasadzie artystycznej prozy, w buncie przeciwko temu wszystkiemu, co w niej jest „literaturą". Tak rodziła się nowożytna, realistyczna powieść, w triumfie, iż niszcząc świat konwencjonalnego romansu, sprowadza prozę na sam brzeg naukowego, użytkowego poznania. Tak rodziła się powieść naturalistyczna: z wiarą w naukowość fizjologicznej psychologii. Nowa proza rozpoczyna się zawsze od gwałtownej akcji przeciwko konwencjonalności prozy; i aktem takim była zarówno „pamięciowa" konstrukcja Prousta, która sprowadzała „powieść" na granice introspektywnego, „jedynie prawdziwego" poznania; takim aktem było wprowadzenie przez Joyce'a monologu wewnętrznego, który niszczył dotychczasowe pojęcia o regułach powieści, w równym stopniu jak opisy transakcji giełdowych Balzaka niszczyły konwencje romansu sentymentalnego. I zniszczenie to nigdy nie dokonuje się w imię nowej sztuki, lecz w imię rzeczywistości. I nie z hasłem rozwoju, skomplikowania, doskonalenia sztuki, lecz z hasłem zdominowania jej przez rzeczywistość.

Aktem niszczycielskim, który upamiętnił w dziejach międzywojennej prozy Zbigniewa Uniłowskiego, była swoista degradacja bohatera powieści. Psychologizm, czerpiąc z Bergsonowskiego pojęcia „jaźni głębokiej", owej otchłani niepoznawalnej, osłoniętej mrokiem pamięci, wynosi bohatera na piedestał, czyni go nietykalnym, wolnym od kodeksu moralnego i estetycznego. Próba wpisania moralistyki w powieść psychologiczną musi skończyć się niepowodzeniem: przykładem — powieści Zawieyskiego. Moralistyka Andrzejewskiego rozwija się drogą jednoczesnego redukowania psychologii, którą pisarz zastępuje bardziej konwencjonalnym obrazem człowieka i konwencjonalną scenerią. Proza Uniłowskiego pojawia się w momencie, kiedy sprzeczności wewnętrzne psychologizmu osiągają stadium szczytowe: kiedy jednocześnie pisarze poszukują wyjścia rozmaitymi furtkami: furtką moralizmu (Andrzejewski), furtką groteski (Gombrowicz), Uniłowski otwiera furtkę trzecią. Uniknijmy nazwania jej po imieniu. Na razie. Sięgnijmy wpierw do dat. Jest rok 1937. Dwa lata przed wojną. Dwa lata przed ostrą cezurą, która rozdziela dzieje polskiej prozy.

W dziesięć lat później, w roku 1947, w dwa lata po skończonej wojnie, publiczności literackiej znana jest już nowa indywidualność pisarska. W *Twórczości* ukazują się opowiadania Tadeusza Borowskiego.

Dwa te debiuty są sobie bliższe, niżby się zdawać mogło.

*

Nie znamy pierwszych utworów prozatorskich Tadeusza Borowskiego, powstałych przed wywiezieniem do obozu, z wyjątkiem *Pożegnania z Marią*. Opowiadanie to tradycyjnie otwiera wszystkie dotychczasowie zbiory. Zachowały się natomiast wiersze z tego okresu. Zgodzono się co do ich miernej wartości i na zawsze pozostaną materiałem dla krytyków i historyków, poszukujących wiedzy przyczynkarskiej o okupacyjnej literaturze Warszawy. Dla piszących o Borowskim stanowią jednakże materiał dowodowy. Oznaczają one bowiem ten etap w rozwoju pisarza, który został przerwany aresztowaniem, etap debiutu, etap *Wspólnego pokoju*, etap przystosowywania się do literatury. W wierszach tych Tadeusz Borowski przedstawia nam się w innym zupełnie świetle. Są to utwory stylizatorskie, klasycyzujące, szalenie literackie, erudycyjne, wygładzone, najdoskonalej wtórne i szczycące się tą wtórnością. Poeta mówi o „czasach pogardy" wzniosłym białym wierszem, dzieje, których jest świadkiem, przedstawia w konwencjonalnych obrazach nawiązujących do Apokalipsy. Posługuje się symboliką, która jeśli nie osiąga mrocznej gęstości właściwej np. poetyce wileńskich katastrofistów, zawdzięcza to tylko brakowi wyobraźni, ubóstwu skojarzeń. Chętnie tedy ucieka w stylizację antyczną, przybiera formę chłodnej ody lub zgoła regularnego, sylabotonicznego, tradycyjnego wiersza. Wierszem tym dotyka poeta nawet swego przyszłego „niewolniczego" tematu i ta konwencjonalna antycypacja przyszłego *Dnia na Harmenzach*, którego pisarz jeszcze nie przeczuwał, jest czymś szczególnym, czymś, co nie da się pominąć w pełnym wizerunku pisarza:

Nad nami noc. W obliczu gwiazd
ogłuchłych od bitewnych krzyków
jakiż zwycięzców przyszły czas
i nas odpomni — niewolników?

Przypomina się nieomal dosłownie fragment szkicu *Ludzie, którzy szli*, gdzie Borowski pisze, iż więźniowie, „my", wznosimy podwaliny jakiejś potwornej cywilizacji, tak jak niewolnicy, „my", wznosiliśmy akwedukty rzymskie, egipskie piramidy, i tak samo kiedyś poeci, filozofowie, retorzy, moraliści zakłamią trud niewolników, na ich szkieletach wzniosą gmach piękna i mądrości. Może ten wiersz powstał już w obozie? Autor przypisów do wydania *Utworów zebranych* Borowskiego (PIW 1953) informuje, że trudna jest do ustalenia chronologia tych wierszy. Trudno więc przeprowadzić wśród nich granicę, która — tak wyraźna w utworach pisanych prozą — w wierszach ginie, zaciera się. Jeszcze w obozie pisał Borowski konwencjonalne liryki, jeszcze po wyjściu z obozu... Nie, właśnie po wyjściu z obozu daje się w wierszach zauważyć wyraźna zmiana: powstaje szereg satyr na użytek — zdaje się — społeczności obozowej, lecz kiedy poeta odłącza się od tej społeczności, kiedy błądząc po ulicach Monachium rozpoczyna przeżywać swój powrót do kraju, a zatem do swej twórczości, do literatury, wówczas wiersze jego rozpoczynają owo dzieło zniszczenia, owo łamanie form nienawistne i pogardliwe, rozpoczynają owo kopanie grobu literaturze. Tu rozpoczyna się prawdziwy Borowski. Poeta wytraca ornamentykę i skomplikowaną metaforykę, i roz-

winięte obrazy. Gubi literackie skojarzenia, „obnaża się", mówi językiem potocznym, językiem obozowym, o sobie, o swojej samotności pośród ludzi zdrowych, żyjących, pośród ludzi, którzy na swych ramionach i na swych duszach nie noszą niewolniczego znamienia. Najprostszymi znakami sygnalizuje powrót do uczuć elementarnych: miłości, litości, pragnienia szczęścia.

Powrócą żołnierze z pobojowisk,
Powrócą więźniowie z obozów,
Powrócę i ja i opowiem
O moich dziwacznych losach.

Pisarz nie umie wyciągnąć konsekwencji artystycznych i z dzieła zniszczenia uczynić nowej poetyki. Jest bliski Różewiczowskiego odkrycia, ale nie staje się Różewiczem. Niszcząc swą poezję, dochodzi do swojej prozy:

Chodzą młodzi panowie
starannie wygoleni,
w juchtowych butach,
w ubraniach cywilnych
jakby na nich uszytych
z Węgier, z Grecji, z Norwegii,
z Polski, z Belgii, z Holandii
zrabowali, pokradli,
młodzi, ładni esmani.
. . . . . .
Chodzę i ja po mieście,
młody, śmieszny poeta,
uwolniony, wyrwany od konania w kacetach.
Chodzę, patrzę. Już pachnie
świeżą lipą — to wiosna?
Tak pogodnie, tak prosto,
ach, jak dobrze się żyje,
kiedy w kark nikt nie strzela
ani pałką nie bije.

Wyznaje młody krytyk *Współczesności*, że nie podąża za Borowskim, gdy ten każe mu myśleć kategoriami niewolnika. Lecz to nie kategoriami niewolnika myśli Borowski, gdy przechodnie niedzielni zamieniają się w jego oczach w brudną, tłustą zupę, gdy na każdym kroku wietrzy zapach trupów i na rękach ludzkich szuka krwi. Borowski nie ceni odzyskanej wolności. Nie cieszy się powrotem do życia. Można by przypuszczać, że pomiędzy nim a obozem — pomiędzy społecznością obozową a jej osamotnioną jednostką, istnieje nadal jakaś więź, którą trudno zerwać, nawet za cenę powrotu do dawnych związków krwi i przyjaźni. Można by powiedzieć, że Borowski, wyrzucony poza nawias obozowego prawa, czuje się obco w normalnym społeczeństwie, można by powiedzieć, że tamtemu, obo-

zowemu społeczeństwu gotów jest przypisać wyższość. I nie trudno w istocie odkryć, na czym wyższość ta polega: otóż na tym, że obóz obnażał prawdziwe oblicze świata i prawdziwe oblicze człowieka. Nie różnił się niczym od normalnego świata: panoszyła się w nim ta sama zbrodnia i to samo okrucieństwo, śmierć grasowała w nim tak samo, jak grasuje w zwykłym życiu, ponure namiętności walczyły z poczuciem godności, instynkt samozachowawczy z umiłowaniem ryzyka. Wszystko to było jednak jawne: system obozowych pozorów był zbyt kruchy, zbyt groteskowy, aby mógł spełnić rolę, jaką w normalnym społeczeństwie spełniają owi specjaliści od okłamywania: poeci, profesorowie, retorzy, prawodawcy, politycy. Dom publiczny, trawniczki przed barakami, orkiestra, mecze bokserskie — oto cały gmach kultury obozowej, jaki miał przesłonić obecność śmierci, grabież, sadyzm, zboczenie. To mniej niż owe dwadzieścia pięć wieków europejskiej kultury, to znacznie mniej, ale właśnie dlatego lepiej i prawdziwiej jest w obozie. Albowiem ani Platon, ani Goethe, ani Tomasz Mann nie zapobiegli istnieniu obozów, zdołali tylko uśpić czujność ludzi. Trawniki przed barakami, dom publiczny i orkiestra obozowa zdołały tylko uśpić bardzo naiwnych i na bardzo krótko, na godzinę, która dzieliła ich od wyjścia z wagonów do wejścia w gazową komorę. O tyle lepiej, o tyle prawdziwiej jest w obozie, w tym naiwnym „Betrugslagrze", niż w świecie prawdziwym, w tym wielkim, nieskończenie perfidnym „Betrugslagrze", gdzie człowiek oszukiwany jest od wieków pozornym pięknem i pozorną moralnością kultury. O tyle lepiej i prawdziwiej jest w obozie, że tu człowiek nie wstydzi się swych zbrodni, może o nich mówić ze swobodą fachowca opowiadającego o swojej pracy. W prawdziwym świecie zbrodnia ukryta jest pod grubą warstwą kłamstwa i obłudy.

Mylą się ci, którzy sądzą, że Tadeusz Borowski jest oskarżycielem hitleryzmu, pisarzem obozów koncentracyjnych, autorem dokumentarnych szkiców, których prawda i siła... Mylą się ci, którzy dalszej działalności pisarza nie biorą pod uwagę traktując ją na równi z innymi fikcyjnymi, euforycznymi przełomami ideologicznymi.

Dalsza działalność publicystyczna (mam na myśli to, co pisał Borowski po opublikowaniu *Pożegnania z Marią* i *Kamiennego świata),* jest konsekwencją jego utworów powstałych bezpośrednio po opuszczeniu Oświęcimia i Mauthausen. Jest dalszym ciągiem wytoczonego już wtedy procesu kulturze i jej twórcom.

*

Jedynym znanym przedobozowym utworem prozatorskim Borowskiego jest *Pożegnanie z Marią,* opowiadanie, które teraz otwiera wszystkie zbiory opowiadań i które posłużyło za tytuł jego debiutowi. Akcja opowiadania rozgrywa się w izdebce stróża nocnego, który pilnuje składu desek. Stróżem nocnym jest młody poeta, Tadek, ten sam, którego poznamy potem w obozie jako vorarbeitera, speca od układania szyn kolei wąskotorowej, wielkiego cwaniaka, umiejącego znakomicie urządzać się w obozie. W składziku na Skaryszewskiej poecie Tadkowi także nie brak owego instynktu przystosowania: izdebka jest pełna gości, przyszli koledzy z polonistycznego seminarium, poeci, malarze, filozofowie, toczy się dysputa, zawiła, erudycyjna, pryncypialna, dysputa, któ-

rą przerywają tylko wozy wjeżdżające co chwilę w bramę składu — wówczas poeta opuszcza towarzystwo, aby otworzyć bramę, a przy każdym takim otwarciu „odchodzi" drobny interesik: drzewo, cement, papa płyną „na lewo", przynosząc niezłe dochody wykształconemu poecie. Pomięte „górale", wyciągane z kieszeni zapijaczonych furmanów, zamieniają się w opasłe tomy Tomasza z Akwinu, w zbiorowe wydania Platona, Goethego, opłacają stróżowi nocnemu koszt wydania własnych wierszy. Właśnie pod sufitem na sznurku suszą się okładki nowego zbiorku — okładka, wykonana domowym sposobem według projektu przyjaciela-grafika, brudzi ręce, musi wyschnąć. Po załatwieniu interesu można wrócić do dyskusji, którą przerwie jeszcze ktoś wracający z miasta, przynoszący wiadomości o łapankach, zamachach, likwidacjach. Wokoło izdebki na Skaryszewskiej szaleje okupacyjne piekło. Młodzi ludzie uprawiający czystą poezję, dyskutujący o filozofii nie są od niego odcięci, a izdebka na Skaryszewskiej nie jest wieżą z kości słoniowej. Rozmarzeni ciepłem bijącym z żelaznego piecyka, przeciągają się, wychodzą na mróz, wsiąkają w mrok i nieszczęście, pozostawiając za sobą tę cichą przystań absolutnego, cynicznego egoizmu, gdzie żyje jeszcze sztuka, filozofia. „Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie oblegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! — rzekł maniacko Apoloniusz (właśnie ów grafik, autor suszących się okładek). Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna czytają dzisiaj. Ergo — wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety" *(Pożegnanie z Marią).*

W szkicach obozowych ten sam bohater-narrator nie kryje swojej wspólnoty z bohaterem *Pożegnania z Marią*; poznamy go bez trudu w ruchliwym vorarbeiterze, należącym do wspólnoty silnych, sprytnych, umiejących urządzać sobie życie kosztem słabych. Zresztą zapytany przez jednego z Niemców o zawód, Tadek-vorarbeiter odpowiada bez żenady i nie bez odcienia ironii: „student, literat". Plączą mu się po głowie czasem jakieś reminiscencje literackie, jakieś cytaty, które w nowej sytuacji brzmią jak makabryczny dowcip, i jakieś wspomnienia półki na Skaryszewskiej, półki uginającej się pod ciężarem książek, wydającej się czymś absurdalnym tutaj, w obozie, który jest triumfem Wandalów. Grafik Apoloniusz, maniak wierzący w trwałość swoich winiet, zginąłby tutaj w obozie, byłby jednym z tych muzułmanów, którym sprytny Tadek oddaje od czasu do czasu pogardliwym gestem jakiś ochłap ze swojego bogatego stołu: to surowego ziemniaka ukradzionego z kuchni, to nadgniłą cytrynę, to śmierdzącą zupę, której nie będzie jadł, mając na widoku coś lepszego. Zginąłby grafik Apoloniusz i filozof Augustyn, użyźniliby swoimi kośćmi oświęcimską ziemię, na której stanęłyby wyniosłe budowle nowej cywilizacji: mosty, akwedukty, piramidy, gmachy. W obozie Borowski uczy swego bohatera absolutnego determinizmu historii i tego, że treścią jej jest zażarta, wściekła, zwierzęca walka o byt. Uczy Borowski swego bohatera, że kultura jest zjawiskiem wtórnym i rodzi się w kryjówkach absolutnego cynizmu, pod warunkiem zimnego, okrutnego przystosowania do zbrodni panującej nad światem. Nie jest buntem moralnym przeciwko złu, lecz, przeciwnie, aktem tolerancji i przyzwolenia. Od swych zdychających kolegów uprzywilejowany Tadek-vorarbeiter odchodzi do arystokracji obozowej, w lepszą, rozrywkową część obozu, gdzie można posłuchać koncertu symfonicznego, przyjrzeć się meczowi bokserskiemu lub nawet dostać się przy pewnej protekcji do obo-

zowego burdelu. Albowiem obóz także ma swoją kulturę i swoją estetykę. Przed barakami i krematoriami rozciągają się dobrze utrzymane klomby i trawniki, prycze są zasłane czystymi kocami, dziarsko grająca orkiestra wyprowadza więźniów do pracy. Ci, którzy przyjeżdżają tu transportami przeznaczonymi do gazu, wysiadają z wagonów, rozglądają się i oddychają z ulgą: nie jest tak źle, skoro i trawniki, i kwiaty, i orkiestra. Komisje zagraniczne różnych neutralnych Czerwonych Krzyżów, które zwiedzają obóz, również oddychają z ulgą i czują się rozgrzeszone w swoich sumieniach: nie jest tak źle, skoro i trawniki, i orkiestra, i koce, i mecze bokserskie... Pamiętam, jak przychodziły wieści z Oświęcimia: nigdy o tym, co najgorsze, lecz zawsze o tym, że się tam podobno „poprawiło", że założono trawniki, dano koce, pozwolono przyjmować paczki — i wtedy ci, co byli na wolności, oddychali z ulgą: nie jest tak źle... „Betrugslager", obóz oszustw — tak nazywa obóz koncentracyjny Borowski w szkicu *Ludzie, którzy szli*... W szkicu tym porzuca cyniczny ton Tadka-vorarbeitera, przystosowanego cwaniaka. Przyjmując formę listów do ukochanej, mówi bezpośrednio, z pasją, z rozpaczą, wydaje się, że jest to utwór pisany wcześniej, przed *Dniem na Harmenzach* i *Proszę państwa do gazu.* W tych opowiadaniach Borowski szukał już artystycznego, perfidnego wyrazu dla swych doświadczeń. Pomocna w tym była mu lektura amerykańskiej prozy, którą — jak pisze w artykule *Rozmowy* — poznawał przeważnie z tygodników ilustrowanych, kolportowanych w Monachium. Szkic *Ludzie, którzy szli* pochodzi z okresu „przedartystycznego", z okresu, kiedy jeszcze doświadczenia obozowe nie uformowały się pisarzowi w swoisty program literacki, w swoistą, drwiącą, maksymalnie zobiektywizowaną poetykę. Nie Caldwell, lecz Żeromski przypomina się w tych namiętnych, gniewnych zdaniach, w których oskarża — kogo i za co? Faszyzm, hitleryzm za cierpienie kilkunastu milionów ludzi? Nie! I nie ma racji zaślepiony pisarz, gdy we wspomnianym szkicu *Rozmowy* sam siebie oskarżą o burżuazyjny antyfaszyzm. W szkicu *Ludzie, którzy szli* odsłania pisarz prawdziwy cel swego oskarżenia, ten sam, który w opowiadaniach ukrywa: oskarża kulturę, która zamieniła cały świat w jeden wielki „Betrugslager", oskarża jej twórców, że stali się narzędziami odwiecznego ucisku i odwiecznego kłamstwa: „Pamiętasz, jak lubiłem Platona. Dziś wiem, że kłamał. Bo w rzeczach ziemskich nie odbija się ideał, lecz leży ciężka, krwawa praca człowieka. To myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne... a oni pisali dialogi i dramaty, usprawiedliwiali ojczyznami swoje intrygi, walczyli o granice i demokracje. Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby...".

Dwie są zasadnicze cechy prozy Borowskiego, które decydują o jej nowości i które określają ów „akt zniszczenia". Dwie cechy — inaczej — dwa „chwyty": po pierwsze chwyt autobiografizmu, po drugie chwyt kompromitacji. Nie jest to autobiografizm psychologiczny: w istocie nie znamy biografii Tadka-poety-vorarbeitera. Nie wiemy, kim są jego rodzice, nie wiemy, czy miał szczęśliwe dzieciństwo i jakie z niego wyniósł kompleksy. Wiemy, że kocha, lecz nie jesteśmy pewni przebiegu jego miłości, nie znamy bliżej kobiety, do której kieruje on swe namiętne apostrofy. Nieznany jest nam wewnętrzny jego świat, jego marzenie, sen. Niewiele danych składa się na tę autobiografię, która jest wspólną osią wszystkich opowiadań: domek na Skaryszewskiej, obóz, wyzwolenie. Reszta, która wypełnia te rubryki życiorysu, jest pochodzenia pozaosobistego,

powszechnego. Domek na Skaryszewskiej to nauka, pisanie, handel; obóz to przystosowanie do systemu zbrodni, oszustwa, okrucieństwa; wyzwolenie to strach przed powrotem do życia i bytowanie żebracze, konsumowanie żebraczego dostatku i żebraczej wolności. Fakty, które wypełniają biografię bohatera, są powszechne — jedynym ich piętnem osobistym jest poetycka przeszłość, przywiązanie do literatury i wściekła do niej zarazem nienawiść. Tadek jest nikim więcej i nikim mniej, jak tylko jednym z tłumu wlokącego się ulicami, jednym ze zhańbionych i poniżonych. Lecz jest poetą, dzieckiem kultury, które zamiast dzieciństwa, domu, miłości, rodziny, ma tę półkę uginającą się pod ciężarem książek, i tych przyjaciół wierzących po maniacku w trwałość swych winiet, wierszy, rozpraw. Jest więc dzieckiem kultury i jego hańba jest hańbą kultury. Platon i Goethe nie zdołali przeszkodzić temu, że powstały obozy koncentracyjne. Jego własne wiersze nie uczyniły nic, aby zachować mu życie i godność: w obozie, który był niczym więcej, jak tylko odsłonięciem prawdziwego oblicza świata, zgniła cytryna warta była więcej.

Borowski oskarża kulturę w wymiarze historycznym, powszechnym, i w wymiarze jednostkowym. W wymiarze historycznym jej zdrada mierzy się oszukańczą służbą u boku despotów, posiadaczy, imperialistów. W wymiarze indywidualnym mierzy się złudzeniem wolności. Pisarze dali człowiekowi złudne przekonanie, iż może on wybierać między podłością i bohaterstwem, iż w chwili zagrożenia może wybierać między śmiercią a utratą godności, iż w chwili głodu może wyrzec się chleba dla ocalenia wartości moralnych. Doświadczenie obozu obala w nim tę wiarę. Pisarz uznaje za mit wszelką autonomię wartości duchowych, przyjmuje najbardziej skrajny determinizm. Determinizm ten doprowadza go w późniejszej fazie twórczości do marksizmu pojmowanego w formie najskrajniejszej.

*

Krytycy Borowskiego, wśród nich i autor wstępu do wyboru opowiadań (Jerzy Andrzejewski), zastanawiają się nad przyczynami pisarskiej klęski autora *Pożegnania z Marią,* którego utwory w ostatnich latach przedwcześnie zakończonego życia tracą całą głębię i siłę swoją, są niczym więcej, jak płaskimi agitkami lub lekko beletryzowanymi artykułami. Przypisuje się Borowskiemu ten sam los, który spotkał innych pisarzy pojmujących w sposób ciasny i sekciarski polityczną rolę literatury. Wydaje mi się jednak, że spośród pisarzy tych jeden Borowski miał dla swej działalności teoretyczne, własne uzasadnienie. Utraciwszy wiarę w sens kultury, uznał ją wyłącznie za pociągowego konia postępu społecznego. W postępie społecznym widział jedyną możliwość ocalenia ludzkości przed nową zbrodnią niewolnictwa. Zwątpiwszy w wartości humanistyczne, stał się fanatykiem polityki. Stałą obsesją jego późniejszej działalności krytyczno-literackiej oraz stałym wątkiem jego publicystyki było kompromitowanie twórców kultury, udowadnianie im podłości, fałszów, kłamstw, zależności. Sławny jest artykuł Borowskiego o książce Kossak-Szczuckiej, w którym odmówił pisarce prawa pisania o obozie, skoro — jak twierdził — przeżyła go w odosobnieniu, bezpiecznie ukryta przez więźniarki. Na jednym ze zjazdów polonistycznych Borowski wygłosił koreferat pracy o poezji Żagarów. W referacie tym polemizował z idealistycznymi metodami badań li-

terackich, jedną po drugiej oskarżając o ahistoryczność i obiektywne sprzyjanie faszyzmowi. Między innymi oskarżył prof. Zygmunta Łempickiego, że w jednej ze swoich prac nie zauważył istnienia Marksa. „Kiedy latem czterdziestego trzeciego roku rwaliśmy wspólnie trawę na komandzie Planierung II w Birkenau, profesor Łempicki równie łapczywie jak ja przysłuchiwał się odgłosom frontu wschodniego. Nie wiem, czy wtedy uznał istnienie Marksa". W swych felietonach z kroniki tygodniowej najczęściej poruszał temat pisarzy i uczonych, którzy obiektywnie przysługują się imperializmowi. Nie cofał się przed wyrażeniami „prowokacja", a w literackim problemie poszukiwał jego ukrytych politycznych wykładników. Posunął się wreszcie do tego, że własne utwory oświęcimskie uznał za wyraz ideologii burżuazyjnej: „I *Pożegnanie z Marią,* które miało stać się pożegnaniem z klasowym, reformistycznym »humanizmem« mieszczańskim, stało się jego zwycięską manifestacją, klasowym utworem mieszczaństwa".

Podobny sąd o literaturze i własnej twórczości nie był wówczas zjawiskiem odosobnionym. O ile jednak inni pisarze czynili to pod wpływem odmiennych bodźców, odmiennych pobudek, czy to intelektualnej, czy innej natury, Borowski był konsekwentny: przedłużał po prostu swą inwektywę przeciwko kulturze, rozpoczętą na Planierung II w Birkenau.

■

Wydawca nowych utworów Borowskiego „oczyścił" je z późniejszego sekciarstwa. Nowele Borowskiego pozostały same, bez komentarza zawartego we wczesnych wierszach i późnej publicystyce. Przybladła wobec tego owa „antykulturalna" krucjata Borowskiego, przybladła przemiana stylizatorskiego poety w nienawistnego niszczyciela wartości humanistycznych. Pozostał tylko zewnętrzny znak owego „aktu zniszczenia": rozbite konwencje prozy psychologicznej, człowiek obnażony z psychologii, pozostawiony oko w oko z rzeczywistością, mający na swą obronę tylko swój nagi, zwierzęcy, biologiczny instynkt przystowania, wyposażony w zdolność nieograniczonej rozprężności psychicznej — człowiek-zwierzę, które wszystko zniesie, któremu można wszystko wytłumaczyć, i byle pozorem, byle sztuczką tanią oszukać „aż do śmierci". Pozostał człowiek taki, jakiego powinna była zobaczyć literatura po II wojnie światowej. Nie po to, aby urządzać mu ów pogrzeb wolności i kultury, którego fanatycznym wykonawcą był Borowski w ostatnich latach, ale po to, aby literaturę, ową sztukę stwarzania pozorów wciąż od nowa, od samego początku, postawić wobec nowych zadań. Takiego „nagiego człowieka" stworzył Tadeusz Borowski. I dlatego winno się do jego opowiadań wracać jak do źródła, ilekroć mówi się o poszukiwaniu nowego kształtu prozy, nowego wizerunku człowieka — takiego, który wyrazi prawdę „Naszego wieku dwudziestego".

Andrzej Kijowski

NIEPOGODZENI Z BEZSENSEM ISTNIENIA

Antoni Słonimski: *Nowe wiersze*. Warszawa 1959. „Czytelnik"; str. 32.

Kłamstwo — żywioł piąty
(Tak nazwał je Leonardo)
Kroplą farby drukarskiej
Spłynęło z dziennika szpalty
Na blachy dachów i ulic asfalty.
Pozornie nic się nie zmieniło.
Tylko skrzywiła się twarz urzędnika.
Tylko sam siedzę przy stoliku
I widzę schody bez poręczy,
Które prowadzą do nikąd.
Struna trącona nie dźwięczy.

Przyznajmy się nareszcie: miłe bywają igraszki, ale w gruncie rzeczy lubimy, kiedy wiersz można przeczytać, porównać z własnymi myślami i zapamiętać. Mnie w każdym razie już dawno przestały interesować spory wśród dorastającej młodzieży i jej prowincjonalnych mecenasów na temat „nowoczesności" czy „nienowoczesności" samego — w rezultacie — sposobu pisania. Sprawą istotną jest po prostu to, czy pisarz ma coś rzeczywiście mądrego i osobistego do powiedzenia o świecie, w którym żyjemy, czy nie. Jeżeli nie ma — żadne formalne chwyty czy kokieteryjne gagi, tak samo jak i drętwe slogany, nie uratują rzeczy od obojętności czytającego. Jeżeli ma — poruszy go każdym czytelnym kunsztem pisania. A kiedy już mowa o nowoczesności, to warto przy okazji napomknąć, że takie kryterium — właśnie dziś — coraz powszechniej dominuje, sądząc chociażby z rozgłosu głęboko intelektualnej i zatroskanej sprawami świata współczesnej poezji angielskiej.

Nie chodzi mi jednak o to, aby polemizować tutaj z sądami odmiennymi. W zasadzie szanuję w poezji wszelkie drogi poszukiwania wyrazu dla osobistych myśli i uczuć. Ale cenię przede wszystkim poezję prawdziwych gorących pasji intelektualnych, poezję pogrążoną w sprawach ludzkiego losu i ludzkiego świata, poezję w niezależny, osobisty, szlachetny sposób „zaangażowaną" — i dlatego też cenię wiersze Słonimskiego, a niektóre lubię szczególnie.

(...)Wszystko przeminie, jak przemija zieleń
U bramy perskich ruin i syryjskich skał.
Na wymarłe Eridu wapienne ulice
Upiorne światło leją fałszywe księżyce,
I na ziemi rzuconej w niewstrzymany bieg
Zostanie kamień tylko. A pośród kamieni
Łożyska wyschniętych rzek.

Nowy zbiorek — niewielki, złożony z szesnastu zaledwie utworów — znowu dorzuca do spichlerza takiej właśnie poezji kilka pięknych i przejmujących wierszy. Wzrusza w nich — smutna i w doświadczeniu czytającego — świadomość bezpowrotnie odpływającego czasu, niepokoi — i w doświadczeniu czytającego niepokojąca — świadomość bezradności współczesnego człowieka wobec coraz mocniej zacieśniających się wokół niego i coraz bardziej zmechanizowanych funkcji ludzkiego mrowiska, budzi otępiałych — świadomość odpowiedzialności moralnej.

(...) Cóż odnajdziemy zawieszeni w środku,
Pomiędzy mikro- a makro-kosmosem,
Zbrojni w trzy zmysły w klatce trzech wymiarów?
Niepogodzeni z bezsensem istnienia,
Z krzywdą i zdradą, lękiem i cierpieniem,
Duchom podobni dzwoniąc łańcuchami,
Przenikamy przez mury nowych Elsinorów,
Aby zbrodnie prawdziwym nazywać imieniem,
Straszyć warty królewskie i przemijać cieniem.

Ciągły niepokój, wielki niepokój — raz pełen melancholii, raz pełen sprzeciwu — niepokój o sens życia, niepokój o współczesność i jej dalsze losy, niepokój o wszystko, co porusza myśli — jest tu chyba najistotniejszą treścią większości zawartych w zbiorku utworów. I ten niepokój — a nie sielankowość, zadowolenie i pogoda ducha — jest dziś właśnie najbardziej może charakterystyczną cechą nowoczesnej literatury, a już szczególnie nowoczesnej poezji światowej. Niepokój aż nadto usprawiedliwiony. Świat staje się widownią coraz bardziej absurdalnych sprzeczności. Olśniewający rozwój wiedzy technicznej i możliwości technicznych służy — wbrew zapowiedziom nie znających natury ludzkiej naukowców, a co do joty zgodnie z uprawianym już od pięćdziesięciu lat „czarnowidztwem" pisarzy — raczej przerażającej standaryzacji ludzkiego mrowia niż wyzwoleniu indywidualnej osobowości człowieka.

W konsekwencji perspektywy całej kultury humanistycznej — a więc estetyki, etyki i prawa, zasad moralnych — mogą zostać co najmniej zachwiane.

W ciągle przekształcającej się rzeczywistości książki zostają jako dokumenty czasu. Te wiersze, które tu leżą przede mną — pełne smutków istnienia, pełne szlachetnej troski i niepokoju — zostaną także. Razem z wierszem o nadziei, adresowanym „do syna przyjaciół".

Juliusz Żuławski

„POETA POWIEŚCI" CZYLI OBSESJA CZASU PRZESZŁEGO

Stanisław Piętak: *Szczęście i cierpienie*. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 54.

Człowiek powinien słyszeć ton czasu i iść własną ścieżką
Mikołaj Priszwin

Tzw. „Lubelska Awangarda" nie doczekała się jeszcze swego kronikarza i krytyka. A zasługuje na to podwójnie: ze względu na indywidualność poetycką Józefa Czechowicza i środowisko literackie, które wydało także kilku innych utalentowanych, a niesłusznie dziś przemilczanych poetów.

Lubelskiej grupie poetyckiej z Czechowiczem na czele przypadło dzieło kruszenia kamieni młyńskich awangardowej poetyki, która w połowie lat dwudziestych zawędrowała już w wileńskie zaułki, a także po Lublin i Chełm. Drażenie „Awangardy" przypadło, o dziwo, poetom żywo przejętym każdą wieścią docierającą z Krakowa, gdzie — jak wiadomo — mieścił się ośrodek ruchu. Lubelsko-chełmscy „Peiperowcy", jak i spokrewnieni z nimi „Wilnianie", nie od razu spostrzegli, jak w ich poetyckiej praktyce kruszeć zaczyna tak zazdrośnie przez redaktora *Zwrotnicy* strzeżona materia poetycka, jak za dotknięciem ich piór rozsypują się rygory „sprzężonego poematu", w imię bardziej romantycznej, niczym nie skrępowanej wersyfikacji oraz toku wyobrażeń.

Awangardowe idee w ich dość ortodoksalnym napięciu przeżywane są jeszcze przez poetów zgrupowanych wokół lubelskiego *Reflektora*, ukazującego się z przerwami w latach 1921—27. Konrad Bielski, Wacław Gra-

lewski, Czesław Bobrowski oraz znacznie starszy od nich, pamiętający lata „Młodej Polski" poeta Stanisław Grędziński dokonują dzieła przeszczepienia idei awangardowych na ziemiach położonych na wschód od Wisły. Wkrótce ulubieńcem grupy, jej chlubą i dumą staje się Józef Czechowicz, który w latach trzydziestych, kiedy grupa faktycznie się rozwiązuje, jedyny pozostaje na placu, jako poeta o ogólnopolskim już rozgłosie. On też wywarł największy wpływ na kolejną falę poetyckiego przypływu, który nawiedził miasto Lublin. Pod skrzydłami Czechowicza debiutuje autor uroczego *Spotkania z brzozą*, przedwcześnie zmarły utalentowany poeta Bronisław Michalski, Henryk Domiński oraz kilku innych ciekawie zapowiadających się w dwudziestoleciu lubelskich poetów.

W aurze Czechowiczowskiej poezji debiutuje także autor *Alfabetu oczu*, młodziutki tarnobrzeski eksgimnazjalista — Stanisław Piętak.

■

Zachowała się jeszcze recenzja Józefa Czechowicza, omawiająca wczesną twórczość o lat dziesięć niemal młodszego odeń kolegi. Zamieszczona obok recenzji fotografia objętych w przyjacielskim uścisku poetów wskazuje na uderzające fizyczne ich podobieństwo. I rzeczywiście: lektura wierszy obu poetów w dużym stopniu potwierdza także ich duże duchowe powinowactwo.

Obu poetom przypadło właśnie dokonanie wyłomu w poetyckiej sytuacji międzywojennej poezji lat trzydziestych, a reforma poetycka, do której się przyczynili, chociaż przeprowadzana w sposób najcichszy przez najcichszych bodaj poetów, zrazu nie zauważona i pozbawiona „rewolucyjnego" impetu, dostrzeżona być może i sprawiedliwie oceniona dopiero dzisiaj, z perspektywy lat obecnych.

Czechowiczowi, Piętakowi i innym „cichym" poetom przypadło w udziale wkroczyć na te tereny międzywojennej liryki polskiej, które uwidoczniły się w wyniku rozwarcia się głównych skłóconych poetyckich tendencji: Awangardy i Skamandra. Rozpoczyna się inwazja „poezji środka", poezji pozornego kompromisu, bez której jednak pozostałaby historycznie niezrozumiała i zgoła nieprzygotowana liryka Różewicza oraz innych poetów obecnego powojennego pokolenia, do których zalicza siebie także autor tych słów.

Młody, o wątłej dość konstrukcji psycho-fizycznej syn wiejskiego cieśli spod Tarnobrzegu, od dzieciństwa obarczony kompleksami chłopskiej krzywdy, do której dołącza się jeszcze kompleks nieukształconego jeszcze wiejskiego inteligenta (stryj Stanisława Piętaka próbował już życia zawodowego literata), szczególnie podatny był na działanie ożywających wraz z modernizmem dokuczliwych kompleksów, przechodzących często w poczucie bezsiły, a nawet hipochondrię.

Kompleks silnie odczuwanej chłopskiej „plemiennej" krzywdy występuje w młodzieńczej liryce *Alfabetu oczu* i *Legendy* z siłą głęboko zatajonego osobistego urazu, hołubionego zresztą przez regenerujące się postromantyczne konwencje.

Na wczesną lirykę Piętaka duży wpływ wywarła także intelektualna ekspansja freudyzmu na literaturę lat trzydziestych, tę właśnie, która kreowała prozę Gombrowicza, Schulza oraz cały kierunek psychologiczny. Nic dziwnego, że debiutowi poetyckiemu późniejszego autora *Młodości Jasia Kunefała*, prócz Czechowicza, patronuje jeszcze autor *Ferdydurke*, entuzjastycznie reagujący na pierwsze jego poezje.

Odczytane po latach książki Stanisława Piętaka dają dość charakterystyczny obraz ówczesnej sytuacji w literaturze, kiedy właśnie w atmosferze gorąco przeżywanego psychologizmu rozpływały się kontury gatunków literackich, a rygory poezji i prozy ulegały programowemu niemal że pomieszaniu. Tak więc okres swoistej recydywy moderny, rozgrzeszając w pewnym stopniu poetyczność i dając upust poetyckiej magmie, legalizuje zarazem prozaizmy i otwiera śluzy poezji dla mowy potocznej. Stąd też pokusa poematu poetyckiego o zwolnionych rygorach, unoszącego swoim wartkim prozatorskim tokiem nadkruszoną już materię Awangardy.

Dokumentem epickich poszukiwań poezji młodych owego czasu oraz naj-

dojrzalszym bodaj ich owocem był poemat Stanisława Piętaka pt. *Ziemia odpływa na zachód*. Utwór ten, ogłoszony w r. 1936, był i pozostał szczytowym osiągnięciem wczesnej twórczości poetyckiej Piętaka, młodego jeszcze pisarza, który w kilka lat po swym poetyckim sukcesie zdobył duży rozgłos, otrzymawszy nagrodę „młodych" Akademii Literatury za powieść pt. *Młodość Jasia Kunefała*.

■

Poemat Stanisława Piętaka *Ziemia odpływa na zachód* stanowił dojrzałą rekapitulację jego debiutanckiej liryki, zrodzonej z przeżyć dzieciństwa, wyniesionych z pierwszej wojny światowej. Bolesne te wspomnienia, jak i silne odczucie krzywdy chłopskiej, ukształtowały w Piętaku bardzo wrażliwą naturę oraz zaważyły na swoistej dla tego poety „pamiętliwej" postawie i filozofii twórczej. Obsesja „czasu przeszłego", ciążąca na każdym drgnieniu psychiki i dławiąca aktualne przeżycia, uformowała nawet odpowiednio obsesyjnie powtarzającą się stylistyczną figurę w twórczości autora *Alfabetu oczu* oraz *Legendy dnia i nocy*. Akcja liryczna w większości jego wierszy odbywa się w czasie przeszłym. Z obsesją tą poeta mocować się będzie przez całe życie. Ona też przeistacza jednego z najwrażliwszych naszych liryków w kronikarza wzruszeń, ożywia jego epickie ciągoty i być może kieruje je w stronę powieści. „Poetą powieści" nazwie sam siebie w dwadzieścia lat później St. Piętak, rozpamiętywując swoją twórczą drogę.

Ziemia odpływa na zachód to również dokument ideologicznej ewolucji poety. Epickie elementy, którym towarzyszą także większe ambicje filozoficzno-poznawcze, wypierają z wczesnej poezji Piętaka agnostycyzm nieodłączny od poezji snu. Miejsce tragizmu umownego i manierycznego zajmuje w poemacie tragizm historyczny, realne przeżycie wojennego dramatu, a miejsce wątłej materii emocjonalnej — uczucia elementarne, męskie. Nie przeczy temu bynajmniej uwrażliwiony tok frazy i poetyckiego zdania, pozornie tylko postrzępionego, a przystosowanego raczej, dzięki licznym intonacyjnym przystankom, do tego, by sprostać przyspieszonemu tempu poetyckiej relacji. Wszystko to także sprzyja wzmożeniu psychologicznej oraz wizualno-plastycznej nośności poetyckiej kadencji.

Później, wraz z materią językową, zagęszcza się także kolorystyczna paleta Piętaka, zagęszczeniu ulegają jego „burości" i „złocistości", kontrastowane z czarną barwą Norwidowej poetyki, przez co także pejzaże jego, tracąc impresjonistyczną migotliwość, bardziej upodobniają się do skontrastowanych i gotycką linią modulowanych kompozycji Tytusa Czyżewskiego oraz do malarstwa eksperymentującego tego okresu.

Oblicze artystyczne Piętaka i jego „legendę" ukształtowała twórczość okresu międzywojennego. Lata wojny i okupacji nie przyniosły nowych istotnych osiągnięć poetyckich w twórczości autora *Alfabetu oczu* i *Odnalezionego poematu*. Ciężar wojennych przeżyć przygniótł do ziemi świeżą gałąź jego młodzieńczej liryki, do której nie pasowała narzucona przeżyciami wojennymi asceza. Autor młodzieńczych *Obłoków wiosennych* tonacją wierszy okupacyjnych przypomina raczej *Księgę ubogich*. Jednakże to, co u Kasprowicza było wyrazem świadomego i upartego dążenia do prostoty, w wojennej twórczości Piętaka było rezultatem samoudręki i dobrowolnego niemal odzierania się z melodii i koloru na znak żałobnego gestu.

Pozostało z tego okresu kilka wzruszających liryków, urwanych i dławiących w tonacji lamentów, bliższych charakterem ich kunsztu bezimiennej poezji ludowej niż twórczości poety o własnym, indywidualnym profilu. Jednakże w tym samym czasie, kiedy w twórczości Piętaka zamarł na jakiś czas nurt twórczego eksperymentu, w podziemnych warszawskich drukarenkach podziemni drukarze tłoczyli już pierwsze arkusze poetyckie Gaycego i Krzysztofa Baczyńskiego, pisał już Różewicz — poeta, który w sposób najbardziej może twórczy przyswoił sobie i doprowadził do ostatecznych konsekwencji poetykę Józefa Czechowicza oraz jej współtwórcy — Stanisława Piętaka.

Tragizm sytuacji poetyckiej okresu już powojennego polega między innymi także na tym, że w tym samym czasie, kiedy najbardziej utalentowani

z młodych potrafili na swój sposób przystąpić do eksploatacji pokaźnych złóż międzywojennej liryki, wielu czołowych przedstawicieli tej ostatniej, co wrażliwsi i autentyczniejsi, ugięło się pod wpływem powierzchownej dydaktyki, narzucanej im przez spłyconą wersję realizmu.

W roku 1946 nakładem Wydawnictwa Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich ukazał się obszerny tom wierszy Stanisława Piętaka pt. *Dom rodzinny*. W latach późniejszych ukazuje się *Lot dojrzałych dni*, tomiki pt. *Imię przyszłości* i *Bohaterska kronika*. Kilka wierszy zawartych w tych zbiorkach, wierszy surowych i oszczędnych w tonacji, zasługuje na to, ażeby je postawić w jednym rzędzie z wierszami Adama Ważyka, najwybitniejszego kronikarza walk klasowych, których areną stał się nasz kraj w trudnych, lecz jakże naładowanych autentycznymi przeżyciami latach czterdziestych.

Patos radykalizmu społecznego jest w powojennej twórczości Piętaka patosem niekłamanym i okupionym wszystkimi powikłaniami osobistej i artystycznej biografii poety. Wiersze jego z tego okresu, jak *Wyznanie*, *Rozprawa* czy pełen dramatyzmu *List do A*, więcej mówią o patosie ówczesnych walk o sprawiedliwość społeczną w Polsce aniżeli tuziny trafaretowych lub płasko-idyllicznych wierszy zrodzonych z inspiracji krytyków, którzy socjalizm wyobrażali sobie jako cichą przystań.

Antydialektyczna estetyka czyniła z poezji owych lat poezję intelektualnego i emocjonalnego bezruchu, sama sprzeniewierzywszy się uprzednio filozofii trudnego optymizmu, zawartej w antyfilisterskiej, ambitnej nauce, jakiej pragnęła być wierna.

Ślady tej stagnacji widoczne są także w zbyt wielu utworach poetyckich Stanisława Piętaka z okresu powojennego.

*

Z dużym zainteresowaniem miłośnicy poezji Piętaka oczekiwali jego nowego tomiku wierszy. Otrzymali go dopiero niedawno, w parę już lat po ukazaniu się *Poematu dla dorosłych* Ważyka i *Gorącego popiołu* Mieczysława Jastruna.

Tytuł nowego tomiku brzmi prosto i niewyszukanie: *Szczęście i cierpienie*, jak gdyby autor, poeta nie prostej zresztą twórczej materii, chciał przez to powiedzieć: „A jednak nie boję się banału, tak jak nigdy się go właściwie nie bałem”... Trema ogarnia raczej autora tego szkicu, zbliżającego się do oceny najnowszego tomu wierszy poety. Utarł się już bowiem na przestrzeni kilku lat nowy szablon krytyczny, za pomocą którego recenzenci zwykli ujmować dzieje dramatu, jaki przeżyć wypadło większości naszych poetów w okresie „odwilży” oraz późniejszej artystycznej reedukacji. Szablon ten stał się wprost żenujący, choć w pewnym stopniu nieuchronny, gdy weźmiemy pod uwagę powszechność zjawiska.

A jednak nowe dzieje poetyckie Stanisława Piętaka mają w sobie naprawdę coś osobliwego: poeta nie rezygnuje bynajmniej z optymistycznego zabarwienia swojej liryki powojennych lat dwunastu; nienaruszona pozostaje filozofia, lecz ostrzejsza się staje osobista refleksja i przecyzyjniejsze widzenie, co w dużym stopniu wpłynęło także na dalsze uściślenie się formy:

Znów śniłem, żem się znalazł
w przyszłym społeczeństwie...
Ludzie z ukrytych miejsc napadali na
siebie,
by zabić ofiarę dla gigantycznych
kwiatów,
chwiejących się barwnymi koronami
w niebie.
Zbladłem, gdym przyjrzał się z bliska
temu światu.

Nie było śladu miast, ni śladu ludzkiej
myśli.
Roślinność dyszała tylko zgęszczona parna.
Kobiety, które poić dzieci w rzece
przyszły,
lęk niosły w zarosłych oczach jak chora
sarna.
„Męko, więc taki byłby koniec naszych
losów!“
Nie głos swój, rozdzierający jęk
usłyszałem.

Człek-gnom chichocąc, skakał, łuskał
ziarno z kłosów,
a ja padałem, padałem...

(Majaki)

Jest — co prawda — w *Szczęściu i cierpieniu* kilka wierszy bardzo spowinowaconych z wieloma innymi wierszami okresu październikowego przesilenia, lecz przytłaczająca ich reszta jest także dowodem usilnego zmagania się poety o nowy, niezafałszowany kształt zafascynowanego urodą świata wzruszenia. Egzotyczne wiersze z podróży na Krym, obok wielu utworów z życia polskiej wsi, wyrażają tę fascynację. Jeśli nawet tu i ówdzie powraca dokuczliwa obsesja „czasu minionego", będąca u Piętaka czymś znacznie głębszym niż kwestią rozpamiętywania różnych etapów polityki kulturalnej, to „figura przeszłego czasu" traci swój caldwellowski ciężar, staje się po prostu konwencją stylistyczną, która przylgnęła do Piętakowskiej „maniery".

Piętak pozostaje poetą wiary w życie oraz sensowność humanistycznego wyboru i decyzji. Jednakże wybór i decyzja możliwe są jedynie wtedy, kiedy ludzie uświadamiają sobie alternatywny charakter sytuacji moralnych i alternatywną treść sytuacji życiowych. Bertrand Russell ustalił ongiś specjalny znak dla słowa „lub", zaawansowanego w logice do roli ważkiego argumentu.

Słowo „lub" pojawia się u Piętaka w filozoficznie oraz ideowo ważkim kontekście. Otóż:

Osiołek, który dźwiga dzieci, wodę
i drwa pod górę,
Jedynie temu się nie zdziwi.
Cóż — i tu ludzie za wiek
wyrównają czas
i będą już nowocześnie szczęśliwi
lub nieszczęśliwi.

(Macedonia)

A może właśnie w mądrym sceptycyzmie szukać należy filozoficznego sezamu, który uchronił autora *Szczęścia i cierpienia* od poniżającej czasem i zbyt głośnej spowiedzi?...

Rzecz wymaga rekapitulacji, a jednak tego nie uczynię. Poezja Piętaka to wybitny już wkład do naszej współczesnej liryki, odbywającej wciąż swoją wędrówkę w czasie.

Pięćdziesięcioletni prawie poeta wygląda jeszcze jak przed dwudziestu laty na wspólnej fotografii z Józefem Czechowiczem — nie powiedział też jeszcze swego ostatniego słowa.

Arnold Słucki

AFORYZMY, FRASZKI, LIRYKI

Stanisław Jerzy Lec: *Myśli nieuczesane*. Kraków 1957. Wydawnictwo Literackie; str. 441. *Z tysiąca i jednej fraszki*. Warszawa 1959. „Iskry"; str. 135. *Kpię i pytam o drogę*. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 79.

1

Stanisław Jerzy Lec jest raczej zjawiskiem odosobnionym w naszej literaturze współczesnej. Przy zetknięciu się z każdym prawie jego utworem nie ma się wątpliwości, że jest to aforyzm, fraszka czy liryk w pełni współczesny. Sygnalizuje to jednak na ogół nie forma, nie stylistyka, ale — mówiąc nieskomplikowanie — treść (tylko w lirykach dzieje się inaczej). Treść, którą ujmuje poeta w sposób właściwy formom konwencjonalnym. W pewnym sensie konwencjonalnym może być każdy gatunek literacki, jeśli wszedł w ten etap rozwoju, na którym wszystkie jego wyznaczniki strukturalne zostały ustabilizowane, na którym zdobył równowagę wewnętrzną. Jednakże są gatunki, dla których stabilizacja i równowaga stanowią pierwszy warunek istnienia, gatunki niewątpliwie statyczne, nie podlegające

rozwojowi. Do nich należą właśnie i aforyzm, i fraszka — dwie podstawowe formy wypowiedzi poetyckiej Leca. Obydwa te gatunki albo istnieją, albo nie istnieją — nie można jednak śledzić ich zaczątków, momentu pełni rozwojowej i różnego typu przeobrażeń. Ich wyznaczniki strukturalne są jednakowe w wieku XVII i współcześnie. Nie można być pisarzem rewolucjonizującym formę aforyzmu, tak jak są twórcy, którzy nadają nowe kształty np. powieści, ale nie tylko powieści, bo nawet gatunkom, których ustabilizowane cechy dają się wyliczyć na palcach jednej ręki, gatunkom niewątpliwie spetryfikowanym i związanym z jednym w zasadzie kierunkiem literackim. Oda będzie tu przykładem najbardziej charakterystycznym. Jeśli się czyta dość liczne ody, napisane w dwudziestoleciu (np. Iwaszkiewicza, Tuwima, Peipera), to nie budzą się wątpliwości, że to są właśnie ody, choć nie mają już one wiele wspólnego z klasycznym pierwowzorem. Inaczej dzieje się z aforyzmem. Aforyzmy Irzykowskiego — jako reprezentujące gatunek — są niewątpliwie takie same, jak np. *Maksymy* La Rochefoucaulda. Nie do pomyślenia jest „anty-aforyzm" jako odpowiednik „anty-powieści" czy nawet „anty-ody". Aforyzm się nie rozwija, jest budowlą, która, raz wzniesiona, nie daje się przesunąć przy pomocy najbardziej nawet piekielnych machin.

Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź chyba jest prosta. Myśli srebrne i złote — by posłużyć się tytułem popularnej serii wydawniczej — są jako gatunek niezmienne: od czasu głębokiej starożytności po płody „przekrojowych" myślicieli — panny Pataczkówny i Lorda Galluxa, chyba dlatego, że działają w nich nieliczne wyznaczniki konstrukcyjne. Wiadomo powszechnie, że aforyzm powinien być krótki, zwarty, spoisty w sposób organiczny. Wiadomo także, że aforyzm stanowi w postaci uogólnionej podane stwierdzenie. Jest wnioskiem, którego nie poprzedza przewód dowodowy. Z natury rzeczy jest przeto aprioryczny.

I tutaj powracamy z ekskursji w rozważania gatunkowe do sygnalizowanej na wstępie współczesności gnomiki Leca. Nie łamie on w niczym praw gatunku. Nadaje więc swym aforyzmom formę aprioryczną. Powtarzam — f o r m ę: „Bogowie dziedziczą po sobie przymioty i wiernych", „Błoto stwarza czasem pozory głębi" itp. Z pozoru sentencje te przynoszą jednoznaczną wiedzę o świecie, od której nie ma apelacji. Są więc aforyzmami — ta właśnie bezapelacyjność, statyczność zawartej wiedzy zadecydowała chyba o karierze maksymy we Francji w XVII i XVIII wieku, która szczytu dosięgła pod piórem La Rochefaucaulda i Vauvenargues'a. Stanowiła ona odpowiednik literacki mniemania, że świat i człowiek nie podlegają rozwojowi, znajdują się w stanie ostatecznej stabilizacji. Jednakże mniemaniom tym przeczą jak najbardziej XX-wieczne doświadczenia. Przeczą — jednakże mimo wszystko nie rugują aforyzmu do lamusa, w którym się przechowuje cenne zabytki minionego czasu. Obserwuje się nawet pewne społeczne zapotrzebowanie na maksymę, sentencję, która by w sposób zwarty ujmowała jakąś rzecz — świadczy o tym cykl drukowanych w *Przekroju: Myśli ludzi wielkich, średnich i psa Fafika* (choć niesposób oczywiście traktować ich poważnie) czy powodzenie świetnie pomyślanej serii wydawniczej „Wiedzy Powszechnej". Świadczy przede wszystkim sukces *Myśli nieuczesanych* — to przecież od nich zaczyna się lekturę *Przeglądu Kulturalnego*, jedynej niezawodnej pozycji w tym tygodniku.

Przypadek Leca jest może tym bardziej charakterystyczny, że usiłuje on być aforystą w pełni współczesnym, reagującym na sprawy, którymi żyje się w latach 50-tych naszego wieku. Poeta dokonuje więc modelunku tej archaicznej formy literackiej. W zakresie jej struktury językowej niewiele — jak się już rzekło — jest do zmieniania. Aforyzm nadal się składa z jednego lub kilku zdań oznajmujących, które są — jako całość — wyrokiem ostatecznym w danej sprawie. Lec jednakże jest sceptykiem i stroni od wyroków bezapelacyjnych. W konsekwencji odbiera apodyktyczność formie — przy zewnętrznym jej zachowaniu — przez wprowadzenie nieznanych czy wręcz jej obcych dotąd treści. Przemiany aforyzmu sprowadzają się bowiem do przekształceń jego zawartości myślowej.

Pierwszym objawem tego przekształcania jest odmienność motywacji. To nieprawda przecież, że treść aforyzmu uzasadniana jest przez siebie samą. Zawsze poza nią stoi postać wypowiadającego, podmiotu aforyzmu. Otóż w aforyzmie klasycznym podmiotem takim, motywującym jego zawartość, był człowiek w pełni przekonany o swoich racjach, wyrażonych w formie sentencji. Jeśli np. La Rochefoucauld pisał: „Jesteśmy tak przyzwyczajeni grać komedię wobec drugich, że w końcu gramy komedię wobec samych siebie" (maksyma 119), to stawiał siebie w pozycji jedynego sprawiedliwego, który tę bezwzględną prawdę światu komunikuje. I gdy nawet był przekonany o względności przedmiotu, to pozostawał całkowicie pewny bezwzględności sformułowanej prawdy.

Zasadniczą więc motywacją w aforyzmie epok ubiegłych była konstrukcja podmiotu — człowieka w pełni przeświadczonego o bezwzględności własnych racji.

W *Myślach nieuczesanych* dzieje się inaczej. Ich podmiot nieustannie sygnalizuje, że nie jest pewien tego, co mówi. Tworzy dystans pomiędzy sobą a własną myślą. Jest przekonany nie tylko o względności rzeczy, ale także swojego sformułowania na ich temat. Ironizuje własną postać dlatego, że w istocie nie potrafi dać jednoznacznego ujęcia danej sprawy. „Co to jest Chaos? To ten Ład, który zniszczono przy Stworzeniu Świata." Aforyzm ten jest z naszego punktu widzenia szczególnie charakterystyczny, gdyż składa się z pytania i odpowiedzi, która w zasadzie z pozoru tylko jest wyjaśnieniem postawionego problemu. Lec w istocie nie tworzy „definicji" — zarysowuje tylko stosunek chaosu do jego przeciwieństwa w pewnej konkretnej sytuacji. Wyjaśnienie ma charakter werbalny, moment igrania słowem wcale nie jest w nim błahy. Słowo jednakże jest względne, nie wiadomo nigdy, czy w pełni przylega do desygnatu, czy jest odpowiednio dane rzeczy. Poeta jakby nie może „wyjść ze słowa" — mając poczucie ich konwencjonalności, zastępuje jedno drugim. Nie sugeruje jednak, że dotarł do istoty rzeczy, że uchwycił zjawisko w postaci pełnej i ostatecznej. W *Myślach nieuczesanych* działa nieustannie konflikt pomiędzy pozorem takiego ujęcia, jakie daje sama forma, a rzeczywistą nieśmiałością sformułowanego sądu. Konflikt ten wyznacza swoistość sentencji Leca, określa przede wszystkim rolę słowa, inną niż w aforyzmie klasycznym.

W nim bowiem język był z zasady przezroczysty, służebny wobec myśli, którą wyrażał. Język Leca jest celowo widoczny. Ma więc wpływ na sam charakter formułowanej myśli. W cytowanej wyżej „definicji" chaosu pierwszym narzucającym się czynnikiem jest kontrast pomiędzy znaczeniem ładu i chaosu. Na pierwszym planie znajduje się więc kontrast językowy. Względność uczestniczących w aforyzmie słów odbiera mu jego pewność i niezmienność. Lec bowiem nie stara się ujmować zjawisk w stanie zakrzepłym i doskonałym. Usiłuje raczej wydobyć na jaw istniejące w nich sprzeczności. Zaznacza je zwykle przez swoiste konstrukcje językowe. Element sprzeczności staje się ich składnikiem.

Dzieje się tak dzięki temu, że Lec buduje swoje aforyzmy w trybie aluzji do uświęconego zwyczaju językowego, do utartych sformułowań, potocznych lub pochodzących z dzieł literackich. Nie reprodukuje jednak ich sensu, wprowadza w taki kontekst, który wydobywa z owych stereotypów językowych nowe — zazwyczaj niespodziewane i przewrotne — znaczenie. Następuje z kolei zderzenie słów, które nadaje aforyzmowi nową postać, nie pozwala traktować w pełni poważnie. Można by powiedzieć, że aforyzm ironizuje sam siebie. Np. „Bogu, co boskie, cesarzowi, co cesarskie. A co ludziom?", „Kto nabiera wodę w usta, niech nią przynajmniej nikogo nie opluwa", „Na początku było Słowo — a na końcu Frazes", „Padł na niego cień podejrzenia. I w tym cieniu się ukrywa" itd. Ciekawa jest metoda, za której pomocą Lec przekształca owe stereotypy językowe. Wyzyskuje w nich to, co nazwać można możliwością wielu znaczeń, a więc nie sens literalny ani też nie sens utrwalony społecznie, który nadał danemu sformułowaniu właściwości obiegowego zlepka słownego. Lec działa jakby na pograniczu wielu znaczeń. Poprzez wielo-

znaczność — a więc odwrotnie niż w klasycznej sentencji — nadaje swym aforyzmom bogactwo semantyczne. Usiłuje wydobyć z nich znaczenie najbardziej utajone i najbardziej zaskakujące.

Owa widoczność języka wiąże się z jeszcze jedną właściwością aforyzmów Leca — z ich poetyckością. Niektóre z nich są właściwie lirykami w miniaturze — może nie tyle przez swą zawartość emocjonalną, ile zadziwiającą strukturę obrazową. Tutaj język nie jest zasadniczym elementem kompozycji. Jest tylko wyrazem działania innego czynnika organizującego: wyobraźni. Pewne „myśli nieuczesane" oparte są na dalekich skojarzeniach, stanowią właściwie rozwinięte metafory, zbudowane na podobieństwach pomiędzy występującymi w nich przedmiotami, podobieństwach, które służą jednak uwydatnieniu istotnych różnic: „Myśmy z czerwonych wsyp na poduszki robili sztandary, a inni ze sztandarów robili wsypy na pierzyny", „On przypomina mi wesz na łysinie. Wokół pełno blasku — a jednak wesz", „Marionetki najłatwiej zamienić w wisielców. Sznurki już są" itd. Przez niespodziewane skojarzenie obrazowe uzyskuje Lec to samo, co przez przekształcenie stereotypów językowych: wizję powszechnej względności rzeczy.

Mimo to — powracamy do punktu wyjścia — Lec nie przekształca struktury aforyzmu jako całości. Respektuje dwie jego klasyczne postacie: stwierdzenie i pouczenie. W typie pierwszym aforysta konstatuje jakiś pozornie niezmienny stan rzeczy — jego wypowiedź ma więc pełnić funkcję poznawczą. W typie drugim kieruje swe słowa do odbiorcy, przyjmuje postawę moralistyczną. U Leca są to jednakże stwierdzenia i pouczenia — n a n i b y. Zafascynowanie względnością słów i rzeczy nie daje przecież podstaw do poważnego ich traktowania. Aforyzm bowiem sugeruje w zasadzie istnienie jakiegoś systemu wartości, na którym się opiera. W sentencjach Leca zaś nie ma niczego stałego, wszystko płynie, autentyczne są tylko sprzeczności określające stosunki pomiędzy zjawiskami i słowami. Lec jest — aforystą dialektycznym.

2

W obrębie struktur, które dają się określić jako stwierdzenia i pouczenia, mieści się wiele fraszek Leca. Fraszki owe są w wielu wypadkach aforyzmami rozwiniętymi i zrymowanymi — np.:

Najpierw długo radzą mędrce,
potem kleci się naprędce.
(O wielu rzeczach)

Działają w nich podobne tendencje artystyczne, choć przejawiają się w innej postaci. Składają się na to dwie przede wszystkim przyczyny: odmienność struktury i inne tradycje fraszki (w literaturze polskiej zwłaszcza). Jeśli chodzi o przyczynę pierwszą, to niezwykle istotnym czynnikiem jest rym, który we fraszce gra okazalszą rolę niż w jakiejkolwiek innej większej formie. Rym określa budowę fraszki, wpływa na całokształt jej języka.

Postawa Leca, określona z pełną samoświadomością w tytule zbiorku liryków *Kpię i pytam o drogę*, bardziej przylegała do fraszki niż do aforyzmu. O ile aforyzm musiał poeta dopiero dostosowywać do swych celów, to fraszka była do spełniania swych funkcji od razu gotowa, od wieków gotowa. Gdy aforyzm był formą twórczości serio, zresztą w literaturze polskiej niemal nieobecną, to fraszka od XVI wieku była gatunkiem kpiarskim, wyrażającym tradycyjnie „zabawowy" stosunek do świata. Zresztą u Leca moment zabawy, zabawy formą przede wszystkim, nie jest jedynym wyznacznikiem gatunku. Lec bowiem uprawia — sięgam po trafne określenie Jana Śpiewaka — fraszkę refleksyjną. Fraszka — zrymowany dowcip — jest zrygoryzowana intelektualnie. W każdej niemal zasadniczym czynnikiem wiążącym jest zawartość intelektualna, tkwiąca immanentnie w samym utworze. Dzieje się tak nie tylko wtedy, gdy fraszka jest jakby konstatacją pewnego stanu rzeczy, konstatacją, w której element pojęciowy wyraża się bezpośrednio:

Każdej wierze
potrzebne pręgierze.
(Potrzeba)

Kto oddaje hołd,
ten dostaje żołd.
(Prosty rachunek sumienia)

Zjawisko to obserwuje się przede wszystkim we fraszkach bardziej skomplikowanych w swej strukturze, stanowiących miniaturowy obraz, zbudowany najczęściej z jednej metafory:

Gdyby rządził dym,
rok by się składał z zim.
(Gdyby rządził)

Pomyśl, jaka potęga,
gdy tysiąc gęsi zagęga.
(O potędze)

I z achillesowej pięty
czasem inwalidzkie renty.
(O zasługach)

Dowcip powstaje tu przede wszystkim z igrania słowem, ze splatania, czy raczej zderzania różnych podtekstów znaczeniowych najczęściej przeciwstawnych sobie. Opiera się więc na celowo eksponowanej wieloznaczności. Jednakże — rzecz charakterystyczna — każda z tych zawierających wiele podtekstów fraszek jest jako całość jednoznaczna. Wydaje się, że jednoznaczność zawartości refleksyjnej jest we fraszce konieczną cechą gatunku, stanowi podstawowy czynnik organizujący. Gdyby jej zabrakło — fraszka przestałaby być tworem organicznym, spoistą miniaturą poetycką. Kompozycję fraszek Leca można chyba określić jako nieustanne igranie pomiędzy wieloznacznością słów, składających się na utwór, a ich jednoznacznością jako czynników rygorystycznie zbudowanej struktury. Na innym planie ta pozorna sprzeczność daje się określić jako związek zabawy poetyckiej z refleksją uogólniającą czy lepiej — z mądrością, w tradycyjnym sensie tego wyrazu, jako rozsądnym pojmowaniem życia (w tym sensie zresztą Lec jako jedyny chyba pisarz współczesny miałby prawo dołączać do swego nazwiska słowo „mędrzec").

Czynnikiem strukturalnym, w którym ujawniają się w sposób szczególny owe związki, są r y m y. Ze względu na swą widoczność w nich najpełniej wyraża się moment zabawy słowem i jednocześnie są one w sposób maksymalny obarczone sensem. Zresztą rymy we fraszce są całkowicie czym innym niż w jakimkolwiek z pozostałych gatunków literackich. Mają one tutaj władzę dyktatorską — bez rymu nie ma fraszki. Toteż nawet w naszych czasach — epoce rozluźnienia tradycyjnych rygorów rymowych, kiedy na szerszą skalę użyte rymy klasyczne stają się po prostu niestrawne — fraszkopisarze w pełni respektują jego utrwalone w ciągu wieków postaci. Lec rymuje np. „krowy — narowy", „cokół — wokół", „chleba — trzeba", „słowa — mowa" itd., z rzadka sobie pozwalając na rym niepełny (i to na ogół we fraszkach większych niż dwuwierszowe). W tej dziedzinie jest mistrzem. Powiedziałbym, że dysponuje specjalnym rodzajem wyobraźni — właśnie wyobraźnią rymową. Skojarzone w rymie słowa stają się myślową i konstrukcyjną podstawą fraszki. Niektóre z nich są wręcz zadziwiające, nie tyle przez charakter zestawianych słów, ile przez funkcje. Rym jest we fraszkach Leca w najwyższym stopniu czynnikiem semantycznym — w skrajnych wypadkach dopiero on nadaje fraszce znaczenie, motywuje jakby jej istnienie:

Nawet najczyściejszy sopran
umyt musi być i opran.
(Nawet)

Rym narzuca się tutaj ze szczególną siłą, gdyż jedno ze słów, które wchodzi w jego skład, występuje w skróconej (a więc udziwnionej) formie gramatycznej. To jest jednak tylko moment uzupełniający. Bez rymu fraszka nie miałaby sensu — on bowiem uwydatnia rolę gry słów. I tylko pod kątem tej gry daje się ona pojmować — czyli jako nonsens. Fraszkę można też rozumieć inaczej — wtedy, jeśli słowo „sopran" traktować będziemy jako klasyczną metonimię, dzięki której oznaczą ono „kobietę śpiewającą sopranem". Oczywiście takie rozumienie jest możliwe, ale niszczy całkowicie urok poetycki fraszki. Urok ten wypływa bowiem z igrania językiem, z zabawy słowem, które tutaj należy traktować literalnie. „Nonsensowność" nadaje — jeśli i recenzentowi wolno poigrać słowami — poetycki sens miniaturze.

To, że właściwe rozumienie fraszki

dokonuje się przez skoncentrowanie uwagi nie na tym znaczeniu słowa, które narzucają powszechnie przyjęte przyzwyczajenia i racjonalistycznie traktowany kontekst, ale na jego warstwie dosłownej, na słowie-rzeczy, świadczy o swoistej roli języka we fraszkopisarstwie Leca. Poprzez takie traktowanie go wydobywa poeta z utworów znamię sceptyczności, także we fraszkach ironizuje postać poety nadającego swym utworom formę stwierdzenia i pouczenia.

Taki stosunek do języka przysparza też fraszkom Leca wiele uroku, wdzięku, gracji. O tym jednakże trudno pisać, bo są to zjawiska nie dające się ująć w sprecyzowane znaczeniowo terminy krytyczno-literackie. Pozostaje więc tylko cytowanie:

Dyskretna gwiazda
nie zagląda nocą w gniazda.
(O dyskrecji)

Do końca świata będzie już biegała
zebra śmiesznie czarno-biała.
Będą się z niej śmieli gapie:
„Tę stworzył Bóg na schematyzmu
etapie!".
(O zebrze)

3

Podobnie kształtuje Lec język także w lirykach — z tym oczywiście, że nie jest on w nich poddawany takim rygorom, jakie narzuca fraszka bądź aforyzm. Zresztą w twórczości Leca trudno w pewnych wypadkach odróżnić fraszkę od wiersza lirycznego — poeta łączy bowiem właściwości tych dwu form wypowiedzi poetyckiej. Fraszki są często lirykami w zawiązku.

Postawa wyrażona w słowach „kpię i pytam o drogę" zyskuje w wierszach lirycznych nową realizację. Już w tytule zbioru wyraża się dystans w stosunku do przedmiotu poezji. Liryka Leca jest jednocześnie autoironiczna i sentymentalna (właśnie: s e n t y m e n t a l n a — ku utrapieniu pewnych publicystek, namiętnie i pryncypialnie miłujących historyzm). Obraca się w kręgu prostych, bezpretensjonalnych uczuć i podziwu dla uroków świata oraz ich zaprzeczenia. To przeciwieństwo, znów przeciwieństwo — w poezji Leca najistotniejsza jest bowiem swoista dialektyka — określa właściwości stylistyczne jego liryki.

Jej skrzydło sentymentalne reprezentują strofy, które przez stylizację (np. często stosowane deminutywy) stanowią chyba aluzję do twórczości rzeczywistych — tym razem już historycznych — sentymentalistów:

Chodź, miła, w gaiku mgiełkę
prowadzi zarosła dróżka.
Patrz, noszę z witek miotełkę,
na jednej zielona muszka.

Gdzieś, muszko, siedziała przedtem?
Na kwiatku czy w cieniu motyla?
Może na sercu poety?
A może na nosie Zoila?
(W ostatnim dniu maja)

Każda poezja sentymentalna (w dobrym tego słowa znaczeniu) jest poezją prostą, w której środki literackie nie tylko nie komplikują przeżyć, ale służą ich jak najbardziej prostemu wyrażeniu. Są one proste — „prostotą tradycyjną". Lec ten moment szczególnie silnie wydobywa, gdyż ta właśnie prostota na tle współczesnych środków poetyckich jest czymś zadziwiająco innym, ma swój własny ton. Wykorzystuje kontrast pomiędzy sentymentalną prostotą a współczesną techniką wierszopisarską, którą zresztą sam się niekiedy posługuje. Niektóre wiersze są tak proste, że stają się aż zaprzeczeniem „normalnej" prostoty — np.:

Wiatr zgina trzcinę
jak dziewczynę,
a ta bije go nieubłaganie,
gdy na jedno małe wianie
ją zginać ustanie.
Trzcina, trzcina,
sadystka bezwstydna, bez listka.
(Wiatr zgina trzcinę...)

Elementami owej prostoty są dokładne, narzucające się rymy, a przede wszystkim cała instrumentacja wiersza, jego oryginalna melodyka. Lec jest chyba najbardziej śpiewnym z poetów współczesnych — każdy prawie jego wiersz ma bardzo wyraźną melodię, subtelną i dyskretną, bo nie opartą o żaden z „melodyjnych" systemów wersyfikacyjnych — ani o sylabotonizm, ani o tonizm. Poprzez tę „widoczność" środków poe-

tyckich, poprzez nieustanne eksponowanie prostoty Lec wprowadza do swej poezji moment autoironii. Niektóre wiersze — choćby np. *W ostatnim dniu maja* — są tak proste, że nie można brać tej prostoty w pełni za dobrą monetę. Ta prostota ma bowiem w wierszach szczególną funkcję, nie jest — by tak powiedzieć — naturalna, ale „na niby". Ma ona charakter czegoś w rodzaju cudzysłowu, sugerującego, że poeta znajduje się jakby ponad wierszami, że nie wyraża się w nich w pełni, że nie realizują one jego możliwości twórczych. Prostota jest wyrazem zabawowego stosunku do czynności poetyckich, a więc w konsekwencji — autoironii.

Nie wszystkie właściwości liryki Leca dają się objąć zasięgiem pola, które wyznaczają dwa bieguny: sentymentalizm i autoironia. Poezja jego jest bowiem — pomimo zewnętrznej prostoty — dużo bardziej skomplikowana. Przede wszystkim wchodzi tu w grę struktura obrazu poetyckiego. W tym zakresie dokonał się w liryce Leca ogromny skok naprzód w stosunku do poprzednich tomików. Poeta unowocześnił, ośmielił wyobraźnię. Zbliżył się do awangardowej metody kształtowania obrazu poetyckiego, który przede wszystkim wydobywa jego dynamikę. I to dynamikę, która nie tyle jest właściwością przedmiotów wchodzących w skład przedstawienia poetyckiego, ile pochodzi od percypującego je podmiotu lirycznego. Niektóre wiersze zbudowane są jakby na zasadzie filmowej, stanowią zespół przesuwających się przed oczyma obrazów:

Własne gromnice nieśli w oczach wilcy
i wyli o strzelców z całej okolicy.
Zżarli stado gęsi podczas własnej stypy.
Wiatr, gdy wypadł z lasu, dostał śnieżnej chrypy.
Wszystko było czarne od nocy, świecił tylko tyłek
dziewczyny, co nam w karczmie nosiła posiłek,
a nie byliśmy z drewna, lecz raczej z żelaza,
bo ciągnęła jak magnes zadzista zaraza.
Dłoń kobieca, której przeprosić już nie stało siły,
tam była i dzwony ze szkła, co się w uchu rozbiły,
to baranów dzwoneczki,
gdy wilcy chrupali kudłate kosteczki.
Pamiętam to dokładnie, bośmy w sztok urżnięci
byli od poranka jak słowiańscy święci.

(Poema autentyczne)

W liryce Leca istnieje jeszcze inny nurt. Składają się nań wiersze wręcz ascetyczne w swej budowie, stanowiące rozrachunek ze światem, traktowany tym razem w pełni poważnie. Wielkim ich wzorem były chyba liryki lozańskie, których echa z łatwością można się dosłuchać w takich wierszach, jak *Kołysanka dla siebie* lub *Gosi mojej, dalekiej*. W wierszach tych na ogół powracają doświadczenia z lat wojny. Są one krótkimi i zwartymi notatkami poetyckimi, pisanymi odmiennym stylem niż inne wiersze, pozbawionym rymów i owej galanterii poetyckiej, która w poetyce Leca gra tak dużą rolę:

Nagle otworzyłem oczy,
szedłem z piosenką na ustach
przez byłe Getto!

Miliony żywych, zabitych oczu patrzyło na mnie,
jedynie ja szedłem martwy
i tylko własna krew,
czerwona od wstydu,
biła mnie po twarzy.

(Nagle)

Tego typu wiersze nie nadają jednak tonu najnowszej twórczości Leca, choć zajmują w niej ważną pozycję. Istotą pisarstwa autora *Myśli nieuczesanych* jest bowiem budowanie na sprzecznościach pomiędzy aprioryczności aforyzmu a sceptycyzmem, pomiędzy sentymentalizmem i autoironią itp. W myśl zasady:

Tak
i nie,
tak
i nie,
zwierają się
coraz ciaśniej.
Nawet człowiek dwuwymiarowy,
nawet cień człowieka,
którego już nie ma,
uwiązł
przeciągnięty
pomiędzy
nimi.

(Tak i nie...)

Michał Głowiński

Leon Gomolicki: *Ucieczka*. Łódź 1959. Wydawnictwo Łódzkie; str. 168.

Ucieczka Leona Gomolickiego kojarzy się z całą serią nowych powieści polskich, w których autorzy utrwalają projekcję swoich doświadczeń dzieciństwa. Mam na myśli *Okruchy weselnego tortu* Wojciecha Żukrowskiego, *Życie duże i małe* Wilhelma Macha, *Dziurę w niebie* Tadeusza Konwickiego i opowieść *Wielki wódz* z tomu *Godzina zwyciężonych* Stanisława Kowalewskiego. Nie wymieniłem zapewne wszystkich pozycji, ale i wymienione sygnalizują istnienie ogólniejszej niż zjawisko indywidualne tendencji.

Nie chciałbym dzielić się swoimi pomysłami na temat genezy i przyczyn tego zjawiska. Jedno jest pewne, że chodzi tu o szukanie indywidualnej genealogii tej sytuacji ludzkiej, w której rozpoznają się dziś autorzy tych książek. Jest to zresztą do tego stopnia samo przez się zrozumiałe, że nie potrzeba na to żadnych dowodów. Każdy utwór literacki jest propozycją rozpoznania aktualnej sytuacji ludzkiej, tak jak ją widzi twórca. Chronologia twórczości jest zawsze ważniejsza niż chronologia biografii. Tę ostatnią wykorzystuje twórca zawsze w sposób nader swobodny. Dla celów sztuki można na szczęście własną biografią dysponować tak, jak się chce.

Co chcą odkryć w swoim dzieciństwie twórcy książek, które wymieniłem? Żukrowski szuka najdoskonalszej realizacji świata sensownego, uporządkowanego i harmonijnego. Jego książka jest legendą o raju utraconym. Tego zawsze szukano w dzieciństwie. Mach i Kowalewski szukają początków dramatu. Dramat małego życia jest dla nich łatwiejszy do strawienia, jest bądź co bądź przezwyciężony. Jest to jednak wyraźne naruszenie mitu „dzieciństwa sielskiego anielskiego". Konwicki odkrywa w dzieciństwie swój „wiek męski, wiek klęski" i u niego z sielskości pozostają już tylko żałosne strzępy. Tego w literaturze nie bywało. To bywa, ale nie od dawna. Gomolicki odkrywa w dzieciństwie świat bezsensu. Do treści *Ucieczki* nie pasuje żadna klasyczna metafora. Świat małego miasteczka podolskiego w dwudziestoleciu i wcześniej jest projekcją świata bezsensu, świata doskonałej beznadziejności. Z „dzieciństwa sielskiego anielskiego" nie pozostało tu nawet wspomnienie, nawet aluzja. Klasyczne formuły niczego nie wyjaśniają w *Ucieczce*.

Powiedziałbym, że jest to książka bez reszty tragiczna, gdyby sam Gomolicki nie żachnął się na to słowo. A żachnąłby się z pewnością, jak na to wskazuje styl jego opowieści. Świat narratora *Ucieczki* jest taki, jaki jest, i można go z doskonałym spokojem opisać. Jest to jego świat jedyny, a więc w takim samym stopniu najlepszy, jak najgorszy, co kto woli. Utrwala się go dla siebie, nie dla innych. Dla siebie — nie dlatego, żeby był, tylko dlatego, żeby się od niego wyzwolić. Dla tych samych celów, dla których narrator lubił wypowiadać swoje myśli przy Niuniku, który umiał słuchać. „Niunik nie śmiał się, słuchał z pochyloną głową. Miał talent słuchania. Było mi to potrzebne, ponieważ mówiąc wyzwalałem się. Wypowiadana myśl materializuje się i wtedy oglądamy ją z zewnątrz, a ona staje się jakby bledsza i mniej groźna" (str. 114).

Narrator *Ucieczki* chce zobaczyć swój świat od zewnątrz, chce go z siebie wyrzucić. Dla niego bowiem nie istnieje wątpliwość, czy jest to świat naprawdę jego własny. Tego jest absolutnie pewny. Obcy mu jest sceptycyzm bohaterów Gombrowicza, którzy bez końca demaskują w sobie świat cudzy, świat stworzony przez innych, świat międzyludzki. Oni dochodzą do tego, że nie pozostaje im nic własnego, że własność muszą sami kształtować. Narrator *Ucieczki* znajduje odrębne rozwiązanie sprzeczności między tym, co międzyludzkie, a tym, co własne. Wszystko międzyludzkie jest jednocześnie własne, jeśli forma międzyludzkiego została wypełniona treścią własnego przeżycia, jeśli została indywidualnie zasymilowana. Interesuje go to, co można by nazwać zweryfikowaną wewnętrznie treścią komunału, jakaś jego mimo wszystko indywidualna zawartość. Ta właśnie po swojemu przeżyta treść prawd banalnych o życiu jest jego światem

własnym, i to do tego stopnia własnym, że trudno się od niego wyzwolić.

Ideę własności absolutnej traktuje narrator *Ucieczki* jak dziecinadę, jak coś niepoważnego. Ta idea chodziła mu po głowie, gdy niczego jeszcze nie rozumiał. Zwierza się z tego z uśmiechem pobłażliwości. „Notatki zgromadziły się przez szereg lat, kiedy próbowałem stworzyć encyklopedię swojej własnej wiedzy i podjąłem niewykrystalizowaną, naiwną próbę »pierwszego« człowieka, Adama, przeciwstawiającego swoją jaźń wszystkiemu, co go otacza" (str. 109). Te mrzonki wyśmiał zawczasu stary księgarz z miasteczka, gdy konkluzja moralna jego opowieści, że najsilniejsza na ziemi jest miłość, została potraktowana sceptycznie jako komunał.

„Staruszek się obraził.

— To komunał?! — zawołał. — W takim razie nie wiem, co komunał. To ja sam komunał, panicz komunał i ta ulica komunał!" (str. 43).

Staruszek wyzwolił narratora od lęku przed komunałem, od lęku przed nieautentycznością tego, co międzyludzkie.

Obrona indywidualności międzyludzkiej wydaje mi się najatrakcyjniejszą intelektualnie ideą książki Gomolickiego. Kryje się za nią świadome zlekceważenie tych ambicji, którymi się kierują Gombrowicz i kilku przedstawicieli najnowszej prozy francuskiej. Oni chcieliby odkryć w człowieku to, co nie byłoby wreszcie międzyludzkie, co byłoby w sposób absolutny indywidualne. Z takich ambicji Gomolicki zdecydowanie rezygnuje. Dla niego sprzeczność: międzyludzkie — własne, nie istnieje. Dla niego istnieje sprzeczność: przeżyte, a więc własne — i nie przeżyte, a więc nie istniejące. Dlatego nie ma w książce Gomolickiego lęku przed banalnością ani pogardy dla komunału. Narrator *Ucieczki* nie zrezygnował właściwie ze stworzenia encyklopedii „swojej własnej wiedzy", tylko zobojętniała mu kwestia, czy ta jego „własna wiedza" będzie własna w sposób absolutny. *Ucieczka* jest bądź co bądź encyklopedią wiedzy młodocianego mieszkańca podolskiego miasteczka.

Gomolicki nie lęka się banału. Byłaby to jednak odwaga straceńcza, gdyby narrator *Ucieczki* tylko banały we własnym układzie powtórzył. Tak na szczęście nie jest. Sfera banału to w *Ucieczce* sfera ostatecznych konkluzji moralnych, korespondujących mniej lub więcej wyraźnie z konkluzjami Kafki czy Camusa. Zwłaszcza ślady lektury Camusa rzucają się w oczy w tej opowieści młodego Podolanina. Sfera konkluzji moralnych to jedynie sfera point narracyjnych, jakichś sugestii wartościujących sens moralny tej wiedzy, którą narrator chce się podzielić, czy raczej od której chce się wyzwolić. *Ucieczka* nie jest encyklopedią banału dlatego, że jest poetycka, że jest obrazowa, że jest w pełnym doborze materiału konkretna.

Powtórzenie banalnej konkluzji nie dowodzi, że jest ona prawdziwie przyswojona, że jest przeżyta. Narrator *Ucieczki* nie powtarza konkluzji, co najwyżej do nich doprowadza. Co najwyżej ma świadomość, że wielu już do nich doszło lub będzie musiało dojść. Nie dziwi się więc ich podobieństwu lub tożsamości. Opowiada jednak o tym, jak do nich doszedł, jak je sobie przyswoił. *Ucieczka* daje poetycką, a więc w pewnym sensie niepowtarzalną, odpowiedź, co znaczy dla narratora słowo „dom", „ojciec", „matka", „szkoła", co znaczy „miłość", „wierność", „strach", „bunt", co znaczy „życie", „śmierć", co wreszcie znaczy „ucieczka".

Zastanówmy się, jak narrator w ostateczny sposób opracowuje hasło „strach", które w jego opowieści przewija się w kilku wstępnych wariantach. „Tak, strach, była to właściwa, wreszcie odkryta przyczyna mojej hipertroficznej bierności. Określenie padło przypadkowo, ale jest trafne. W dzieciństwie bałem się ciemności wąwozu, bałem się ojca, strasznych snów, szczurów. Uczucie strachu pogłębiły wybuchy pocisków, pogwizdywanie kul i podpatrzona egzekucja jeńców. Weszło mi to w krew i obezwładniło wolę. Mogłem się przekonać o tym już w okresie, gdy stawiałem pierwsze swoje »świadome« kroki. Cała moja filozofia została wyhodowana w klimacie niezdecydowania i bierności. Do pustki dobudowałem konstrukcję podobną do sztuczek ekwilibrysty, który ustawia stół na stosie talerzy, talerze na oparciu krzesła, krzesło opiera jedną nogą na lasce i wszystko to umieszcza na swoim nosie, balansuje, rozstawia ręce i... potknąwszy się pada, a niestworzona budowa zawisa w powietrzu i dynda nad jego głową na sznurku. Właśnie tym niewidocznym dla widza sznurkiem, na

którym trzymała się moja »wiedza« i »wiara«, był — strach" (str. 141).

Znajdziemy tu odpowiedź indywidualną, czym jest strach dla narratora, jak go odkrył, jak go zrozumiał, jak mu się podporządkował. Jest to jak gdyby podsumowanie hasła. Narrator odwołuje się do opowiedzianych przedtem epizodów swej biografii, których sens był niejasny, wyraża swoje wnioski przy pomocy metafory, która ma określić funkcje strachu w jego indywidualnym świecie. Jeśli mógłby z tego wyniknąć nawet banał filozoficzny, to narrator go nie formułuje. Wszystko tu zależy od jakości poetyckich skojarzeń, które się mogą nasunąć.

Metafora z ekwilibrystą nie jest może dostatecznie udana i przejrzysta. Narrator *Ucieczki* rzadko jednak posługuje się metaforą. O wiele częściej podaje fakty, z którymi się zetknął. „— Obetnij mu język — zaproponował Saszka. — Żeby nie mógł zadenuncjować. I przetrąćmy ręce, żeby nie mógł napisać" (str. 158). Tą historią zemsty na denucjatorze miejscowych komunistów rozpoczyna narrator rozważania na temat swojej bierności wobec życia. „Stałem jak urzeczony. Nie czułem — szukałem w sobie i nie czułem ani cienia litości. Żadnego ludzkiego odruchu. Zapewne sam nie potrafiłbym, jak Dymek, ale wiedziałem, że nie zrobię ruchu, aby zapobiec, nie powiem słowa w obronie" (str. 159).

Narrator *Ucieczki* wyrzuca z siebie ten swój świat jedyny, świat myśli, uczuć i obrazów przeżytych na prawach wyłączności czy wspólnictwa. Chce mu się przyjrzeć z perspektywy, chce poznać, co posiada. Wie bowiem, że tego dziedzictwa się nie pozbędzie, że tylko w nim i poprzez nie istnieje. Jest wobec tego swego świata tak bezradny, jak ów poeta, do którego się odwołuje w ostatnim słowie. We własnym świecie wszystko jest trwałe. „Czas niszczy tylko formę, zachowując treść, która w miarę oddalania się staje się coraz bardziej przejrzysta i jasna, jak woda nad głębią" (str. 166). I nawet ta przejrzystość treści jest zasługą czasu, nie tego, że została wypowiedziana. Wypowiedzenie więc jest funkcją trwania o tyle potrzebną, o ile konieczną. Nie ma ucieczki od swojego świata.

Henryk Bereza

KSIĘGI PIELGRZYMSTWA I LOSU LUDZKIEGO

W a n d a K a r c z e w s k a. *Odejście*. Łódź 1959. Wydawnictwo Łódzkie; str. 152.

M o t t o:

Wszystko wokół nas i w nas samych ostrzeżeniem jest i materiałem dla przypowieści, tragedyą i losem.

(St. Brzozowski: *Kultura i Życie*)

Bohdan Czeszko w swojej recenzji książki Karczewskiej (*Przegląd Kulturalny*, nr 29) cytuje zdanie autorki: „Piotr odszedł w głąb siebie", i dodaje, że jest to zamiast „Piotr zasnął" a tym samym jest to „dosłowność i banał". Ale kontekst cytaty u Karczewskiej jest szerszy: „Jeszcze chwytał jakieś echa głosu, lecz po chwili wszystko stało się przejrzystą szarością i — Piotr odszedł w głąb siebie. Widocznie działo się z nim coś niezwykłego — uświadomił to sobie nagle — bo poczuł, jakby ktoś gwałtownie przewlekał go przez granicę, za którą przestaje się widzieć i słyszeć. Poczuł, że mięśnie jego twarzy drgnęły, po czym zaczęła mu wracać świadomość własnego ciała: ból opuchniętych nóg, zdrętwiałość ramion". Jednym z tematów książki jest choroba głównego jej bohatera — Piotra, która jest sumą potwornego fizycznego zmęczenia nieustającą wojenną wędrówką i narastającego zaniku świadomości, zaniku pamięci, narastającego obłędu. Powyższa cytata opisuje jeden z początkowych stanów tej choroby. Okazuje się, że nie chodzi tu o to, że „Piotr zasnął".

Bohdan Czeszko cytuje zdania: „...odpiął szybko krzyż zasługi i bił nim szofera po oczach. Młody nie zwracał uwagi na uderzenia, na zasługi, którymi kłuto go w oczy", aby znowu udo-

wodnić banalność autorki. Ale cytatę tę przerwano w połowie zdania. Oto dalszy ciąg: „...był ślepy i głuchy, tylko noga jego, macając ukradkiem, szukała słabego miejsca starego. Po sekundzie znalazła. I walnęła. Zasłużony starzec, kopnięty w brzuch, zgiął się z bólu. Wtedy dwaj inni chłopcy skoczyli kierowcy na pomoc, strząsnąwszy z siebie uwieszone u szyi staruchy, które tłukły ich po twarzy i piersiach suchymi, powykrzywianymi od artretyzmu piąstkami. Pośród tego wszystkiego, od czasu do czasu, z tłumu wynurzyła się, jak marionetka spod sceny, jakaś postać w białym kitlu i wtedy było słychać wołanie podobne do piania zachrypniętego koguta...". I treść tej cytaty, i treść tego późniejszego wołania marionetki, i wszystkie następne zdania o tej bitwie Starych z Młodymi nabierają coraz ostrzejszego tempa groteski, groteski makabrycznej, są jednym z tych obrazków, czy nawet scenek wzniesionych, skonstruowanych przez autorkę dla dokonania pewnego przewodu moralistycznego czy prezentacji jej filozofii świata.

Po tak spreparowanych cytatach i swoich opiniach o nich Cześzko pisze kokieteryjnie: „Zarzucała mi pewna pani, którą bardzo szanuję, brak szacunku dla ludzkiej pracy, który prawdopodobnie okazuję także i w tej recenzji. Powtarzam zatem jeszcze raz, że moje teksty krytyczne są tylko notatkami z lektury i nie należy do nich przywiązywać wagi". Oczywiście! Ale są wypadki, kiedy wagę do nich przywiązywać trzeba — gdy są „notatkami z lektury" nieuczciwymi, mylącymi, fałszywymi. A potem kończy Cześzko szantażem: „Książka przeze mnie tu omawiana będzie się na pewno podobała. Wiele jej elementów potwierdzi im ich banalność". Oczywiście banalność tych, którym książka się spodoba. A więc trudno: niech się spełni bezlitośnie odkryte przez Cześzkę prawo psychiczne, które każe mnie, zwolennikowi prozy Karczewskiej, potwierdzić jedynie moją własną banalność.

I

Już z tego, co powiedzieliśmy dotąd, wynika, że *Odejście* jest powieścią o konkretnym, realnym cierpieniu fizycznym i jest konstrukcją stwarzającą sytuacje odrealnione, dla pewnej tezy moralistycznej. Planów tych jest jednak znacznie więcej. Jest w tej książce plan prozaicki i poetycki, realistyczny i alegoryczny, psychologiczny i moralitetowy, filozoficzny i fabularny. Wszystko to, zgęszczone na niewielkiej przestrzeni, powikłane, pozrastane. Faktura tej prozy jest niepokojąca, drażniąca i hermetyczna. Spróbujmy się do niej dobrać dodatkowym kluczem, kluczem-tytułem, jaki można by jeszcze tej prozie nadać — *Księgi pielgrzymstwa i losu ludzkiego*. Tę ambitną trawestację sugeruje w podtekście swej książki sama autorka.

Los ludzki to przeznaczenie miłości i przeznaczenie nienawiści, kariery i klęski, triumfu i upadku, przeznaczenie katastrofy i choroby, życia i śmierci etc. To także przeznaczenie pielgrzymstwa, nieustającej, tragicznej wędrówki, która może być ogólną, abstrakcyjną, egzystencjalną sytuacją człowieka (metaforyczną i metafizyczną); może być też mającym swoją nazwę, umiejscowionym zdarzeniem, konkretnym faktem ludzkiego życia. Czym jest „pielgrzymstwo" bohaterów *Odejścia?* Czym jest samo to odejście? Sam tytuł?

II

Pielgrzymstwo bohaterów *Odejścia* to pielgrzymstwo września 1939 roku. Wędrówka wygnańców. Sceneria znana nam z niejednej powieści o „polskim wrześniu" — zapchane uciekającymi samochodami i tłumem ludzi drogi i szosy, wśród pól i lasów, nagie, odkryte dla samolotów nieprzyjacielskich, siekających z maszynowych karabinów i dziesiątkujących bombami — uciekinierów.

Troje głównych bohaterów *Odejścia:* Piotr, jego żona Maria i kochanka Diana, spełniają wszystkie warunki wrześniowej wędrówki. Są głodni i zmęczeni, ogłuszeni hałasem nalotów i kryjący się przed nimi w przydrożnych rowach i lasach, natykający się od czasu do czasu na opuszczone domy, wsie i miasteczka. Podlegają także jedynemu prawu, które ludzie w chaosie wojny za wszelką cenę starali się uratować, utrzymać w mocy: prawu zachowania gatunku — pierwszy bezwzględny postulat życia biologicznego. I początkowo napięcia uczuciowe w trójkącie: Piotr, Maria, Diana, również na planie biolo-

gicznym są rozgrywane. Przyjaźń Diany z Piotrem jest dawna i wliczona już w jego małżeństwo z Marią. Ale dopiero teraz, w czasie ucieczki, w przydrożnym lesie następuje między kochankami pierwsze seksualne spełnienie. Biologiczny żywioł scenę tę rozsadza, bo, obok pożądania, graniczy z nim nieustanny lęk przed śmiercią. Piotr w oczach Diany widzi rozkosz i przerażenie. Ta cała, jakże tradycyjna, banalna scenka obyczajowa (przyroda, las i intymność kochanków) jawi się w nowej, ostrej perspektywie. Łożem dla splecionych ciał Piotra i Diany nie jest miękkie, uspokajające podszycie lasu. Las wypełniony jest gwarem uciekających ludzi, zapachem rozkładających się trupów, detonacjami dział i świstem przelatujących samolotów.

I zdajemy sobie w pewnym momencie sprawę, że makabryczność, brutalność, bezwzględny weryzm tej sceny jest już odejściem od realistycznej motywacji. Kończy się ta realistyczna motywacja na pretekstowym fakcie „wrześniowej wędrówki". Temat erotyczny w *Odejściu* jest jeszcze niejednokrotnie wnikliwą analizą, szczegółową prawdą o miłości, zdradzie i wierności, ale jest też sumą wiedzy o tym uczuciu, jest dyskusją o jednym z naczelnych, o ile nie głównym, motywów ludzkiego losu. Jest jego skrótową dialektyką. Piotr kocha i pożąda Diany i jest ciągle zawstydzony nieustającą miłością i wyrozumiałością swej żony, Marii. Jej wiernością, troskliwością, zapobiegliwością wobec każdego szczegółu jego biednej, tułaczej egzystencji. Piotr musi ją szanować i niecierpliwić się zarazem. Maria gotowa jest wybaczyć mu nawet cielesną zdradę z Dianą, byle tylko ratować jego samopoczucie psychiczne. Piotr to widzi i czuje, ale nie potrafi już tego rozumieć. Piotr potrafi rozumieć tylko Dianę — nawet wtedy, kiedy świadomość ta jest dla niego upokarzająca i przykra, ale nieodwołalna i konieczna, bo jest zdobywana instynktem miłości: „Chciał też stworzyć z Dianą tę całą resztę, która — jak Maria sądziła — może wiązać z Piotrem tylko ją, Marię. Czuł, że teraz kolana Diany drżą, bo nie może się ona doczekać chwili, kiedy będzie mogła zdjąć z nich głowę Piotra. Rozumiał Dianę, jej obawę śmieszności i upokorzenie. Uniósł głowę". Piotr rozumie już tylko Dianę i jej wybacza, ale gdy dosięgnął ich wszystkich troje bliski wybuch bomby i w jej ogniu ujrzeli po raz pierwszy śmierć, w tej ostatecznej, eschatologicznej perspektywie Piotr widzi już nie pożądanie Diany, lecz miłość i wierność Marii. Chroni się instynktownie w objęcia tej, która otacza go opieką i czuwa nad nim swym uczuciem, a nie tej, która z młodzieńczym okrucieństwem jest gotowa go zdradzić. Piotr i Maria: „Płakali razem, przysięgali sobie dozgonną wierność i miłość, przysięgali, że zostaną już razem i jedno drugiemu zamknie oczy. Przysięgali wszystko, co przyrzeka zmęczony człowiek człowiekowi w obliczu grozy, aby przekupić los i wytargować od niego łaskę ocalenia i spokoju".

Losu przekupić się nie udało. Wpisane w książkę psychologia i etyka miłości miały być jednym z dowodów tej klęski człowieka wobec losu. Bowiem pielgrzymka bohaterów zmierza coraz wyraźniej do morałów, *Odejście* staje się traktatem moralistycznym i filozoficznym, staje się przypowieścią. Sytuacje realistyczne urastają do rangi symboli. Szosą, obok wędrowców, przesuwa się samochód. W nim — przyjaciel Piotra i jakiś wielki dostojnik. Piotr doskakuje do samochodu, prosi o przysługę, potem o litość, wskazuje na upadającą z nóg Marię i znużoną Dianę, nalega coraz rozpaczliwiej, aby zabrano ich wszystkich. „Przyjaciel" nie stara się nawet ukryć swojego zniecierpliwienia, wielki dostojnik-Naczelnik uświadamia sobie nagle, że kiedyś Piotr, jeszcze w czasie pokoju, nie stawił się na jego wezwanie. I wtedy Piotr: „Zacisnąwszy szczęki, spojrzał w szybę: »Człowieku — mówił jego wzrok — co znaczy tamto wszystko wobec śmierci, która może w każdej chwili spotkać zarówno mnie, jak i ciebie?« Ale tamte przezroczyste, odczłowieczone, rybie oczy nie dostrzegały żadnej granicy ludzkich spraw. Ich świadomość władzy zdawała się nie poddawać władzy śmierci, pewna swego istnienia poza nią, jak to stworzenie w przyrodzie, które, nawet posiekane na kawałki, odradza się ciągle na nowo z każdego z nich. Samochód wykręcił, promień słońca padł skośnie i zasłonił głowę człowieka za szybą, mieniącą się wieloma twarzami. Piotr widział teraz tylko kadłub i podniesioną do góry rę-

kę z owym Wielkim Palcem, który wystukał na szkle ostateczną odpowiedź: — Nie było ciebie, gdy myśmy cię potrzebowali — nie ma teraz dla ciebie nas. Odejdź. Jesteś obcy". Gdyby głos ten nie był stłumiony przez szybę i nie ginął w pustej przestrzeni pola, byłby skazującym, zapowiadającym katastrofę bohatera *Procesu* głosem człowieka z ambony, który w wielkiej i pustej katedrze z powieści Kafki, odbijającej stokrotnym zimnym echem każde słowo, wołał potępiająco: „Józefie K.! Józefie K.!". U Karczewskiej w samochodzie jedzie już nie człowiek, lecz symbol. Scena ta mówi nam już nie o psychice danego człowieka, lecz o możliwych postawach etycznych. A jedną z twarzy, którymi mieniła się głowa „człowieka za szybą", było oblicze bezwzględnego losu, na który człowiek jest skazany i wobec którego jest bezsilny, który spełnia się poza nim.

Jest wielką szkodą dla tej metafory i symbolu jej zakończenie, niepotrzebne przedłużenie tej sceny i chęć wyciśnięcia z niej całej tendencji morału. Dialog Piotra z pasażerami samochodu trwa jeszcze długo, aż w końcu „...szofer wyrwał mężczyźnie drzwiczki i, zatrzaskując je, krzyknął: — Nas nie obchodzi żadna kobieta, żaden człowiek... — A kto? — zawołał tamten. — Osobistości! — wrzasnął szofer i wykręcił wóz". Ta pointa jest po prostu zła, banalna, demaskacja etyczna — naiwna.

3

Dawno już opuściliśmy grunt realizmu. Co najwyżej metafora zostaje wypełniona innymi treściami. *Odejście* okazuje się książką o tragedii i klęsce kultury humanistycznej, kultury łacińskiej, tradycyjnej moralności. To już nie jest dyskusja o psychice jednostki, to dyskusja znacznie szersza, to krytyka psychiki zbiorowej, moralności społecznej. Piotr argumentuje: „Nie wolno przecież zabijać człowieka dlatego, że potrzebuje się jego wozu, albo dlatego, że on przedtem jechał, a ty szedłeś pieszo... Trzeba było przez litość zabrać tego człowieka i razem uciekać przed śmiercią". Maria argumentuje w sporze z młodymi: „Wy młodzi macie więcej sił od nas...". A gdy w odpowiedzi słyszy: „My potrzebni. Jak nas złapią, to kto się będzie bił? Wyście starzy, wyście już swoje przeżyli, wy już niepotrzebni", krzyczy: „Niepotrzebni? Mój mąż jest artystą!... Przecież wy rozumiecie, co to jest artysta?... Powołanie artysty... Przecież artysta swoją sztuką służy narodowi, jego wielkości". Nie dziwna jest więc jej ostateczna bezradność: „Piotrze, co dalej? Jak iść gościńcami, gdzie wszycy popychają się, depcą i zabijają? Myśmy dla Naczelników obcy, dla przyjaciół — uciążliwi, gdy ich potrzebujemy. Dla młodych — starzy, już przeżyliśmy swoje, dla starych — młodzi jeszcze, możemy iść o własnych siłach. Zbrodniarz nazwie nas wariatami, gdy odmówimy udziału w jego przestępstwach, nasze sumienia będą dla niego czymś niepojętym i niebezpiecznym, wariat nas będzie uważał za zbrodniarzy".

Piotr zna odpowiedź na te rozpaczliwe pytania. Rozumie, że sfera wartości, w której się wychowali, przyjęta przez nich ich hierarchia, przyjęte normy moralne nic w żywiole wojennym nie znaczą, są zbytecznym luksusem. Jedyne obowiązujące prawo — to prawo zachowania gatunku. Za wszelką cenę, a właściwie za bardzo niską cenę tradycyjnej moralności.

Bo, jak już mówiłem, tu chodzi nie tylko o sytuację psychiczną i etyczną Piotra i Marii, tu chodzi o wielką metaforę, mówiącą o końcu pewnej formacji kulturowej, cywilizacyjnej. W tym chaosie pozmienianych perspektyw, zburzonych hierarchii, zmiecionych wartości i praw, w czasie tej wielkiej Apokalipsy wojny — logika, rozsądek, moralność, piękno, ład wielowiekowej humanistycznej tradycji okazują swoją wiotkość, pozorność, umowność. Wystarczy tylko jeden podmuch wojny, zbiorowego kataklizmu, aby całą tę budowlę, tradycję, dorobek zniszczyć, zburzyć, aby miary, konwencje pokojowego czasu przestały obowiązywać.

„Powiedz mi, ile czasu ja już tak idę? Ćwierć wieku, pół? Tysiące lat? Od wojny do wojny, ciągle w ucieczce przed klęską i ciągle upadający. Wciąż między miłością i śmiercią, dźwigający ciężary i porzucający je na drodze. Oskarżany fałszywie, strzelający, zasypywany w dołach — ja, pan stworzenia, robak nędzny czołgający się w prochu, z którego powstałem i w który się obrócę. Jak długo jeszcze będę tak szedł?"

Zdobyliśmy już pewność, że piel-

grzymstwo w powieści Karczewskiej oznacza wieczną sytuację człowieka. W powieści tej powoli dobiega końca zmaganie się człowieka z jego losem. W powyższej cytacie, w tym rozpaczliwym pytaniu-skardze, czujemy już wyraźnie zbliżającą się klęskę człowieka. Jest przecież bezwolny, nie znajdujący odpowiedzi na własne pytania, zawieszony między nicością a nicością („w proch, z którego powstałem i w który się obrócę"). Ten schemat ontologiczny i metafizyczny jest własnością egzystencjalizmu. To tam egzystencja człowieka rozpięta jest pomiędzy nicością, która nas poprzedza, i nicością, w którą odchodzimy. Ale w ten indyferentny schemat Sartre wpisuje treści optymistyczne i maksymalistyczną etykę. Wierzy w możność stwarzania własnego życia, nadawania mu sensu. Człowiek egzystencjalistyczny „będzie taki, jakim sam siebie zrobi". Jest skazany na wolność i w tej swojej wolności dokonywać musi zawsze świadomego wyboru. Musi stale kreować siebie na nowo, bo zawsze, potencjalnie, może być czymś więcej niż jest.

Powieść Karczewskiej jest programowo anty-egzystencjalistyczna. Jej bohater — Piotr — odchodzi w nicość. Traci świadomość, traci rozum, staje się człowiekiem obłąkanym. Ta filozoficzna anty-egzystencjalistyczna polemika posiada tu motywację realistyczną, psychobiologiczną. Oto przejście Piotra w stan obłędu: „Wszystko znikło. Unosił się w powietrzu sam, wolny. Wolny od ciała i od bólu pamięci twarzy ludzkich". Jakość tej wolności jest całkowicie inna niż w terminologii i filozofii egzystencjalizmu współczesnego. Jest zwykłą wolnością, swobodą wariata, wolnością człowieka bez pamięci i świadomości.

Zamyka się fabularne i formalne koło powieści. Pod jej koniec powraca ostro plan realistyczny. Fizyczne zmęczenie, przerażenie moralne i psychiczne niszczą kruchą naturę artysty. Ale jeśli przeniesiemy to realistyczne rozwiązanie na owe wyższe, wysublimowane, metafizyczne, „losowe" piętro powieści (najbardziej w niej cenne), otrzymujemy rozwiązanie filozoficzne, że los to, obok wszystkich swych przeznaczeń, przede wszystkim przeznaczenie obłędu, zaniku świadomości. Że to jest jego przeznaczenie ostateczne. To jest meta naszej egzystencji, spełnienie się losu, jego samozniszczenie, ustanowienie kresu dla samego siebie. Zamyka się bowiem również krąg filozoficznego przewodu. Bohater traci świadomość swego losu, świadomość wszystkich swoich przeznaczeń. Tych, które były, tych, które będą, i tego przeznaczenia, któremu aktualnie podlega, które jest, jest stanem obłędu.

To rozwiązanie i ta koncepcja ludzkiego losu jest na pewno bardziej optymistyczna od egzystencjalistycznej, ale też bardziej ułatwiona i znacznie mniej heroiczna i ambitna. Nieustającą tragedią ludzkiej egzystencji jest jej nieustająca świadomość. Od której nie ma uwolnienia, która jest przekleństwem, w której nawarstwia się całe nasze przeżywane życie i która wiecznie straszy przeszłością, widmami spełnionych niegdyś czynów i nieustającą odpowiedzialnością za czyny nowe. Tragedią ludzkiego losu jest jego nieustające trwanie w człowieczej świadomości i to, że jest on kategorią otwartą, nie znajdującą swej mety. Tracąc świadomość przestajemy być tragiczni, bo przestajemy być odpowiedzialni.

Bohaterów swojej książki Karczewska poddała próbom maksymalnej odwagi, wytrzymałości fizycznej, psychicznej i moralnej, poddała ich trudnej próbie maksymalizmu życiowego. Aby to zmierzenie się, te zapasy człowieka z jego losem miały swoją wartość poznawczą i etyczną, muszą być dokonane przy pełnej świadomości, pełnej odpowiedzialności. Tymczasem większość spraw, problemów, zdarzeń książki dzieje się bądź w świadomości Piotra, bądź poprzez nią jest oglądana i notowana. A ta świadomość od początku ewoluuje konsekwentnie w kierunku samozniszczenia, własnej klęski.

To prawda, że jednym z odkryć literackich naszego wieku, odkryć nowych tematów, było odkrycie choroby i próba jej analizy i filozofii. I odkrycie obłędu jako źródła najlepszego, wyostrzonego poznania rzeczywistości, jedynej kategorii epistemologicznej, poprzez którą można dotrzeć do samej istoty zjawisk. Colin Wilson, piszący swoją wielką systematykę dwudziestowiecznych tematów, postaw i propozycji literackich, pisze: „Outsider stawia sprawę bardziej bezwzględnie i powiada bez wahania: zdrowe myślenie jest płytkie, głupie i krótkowzroczne".

I wprawdzie książka Karczewskiej

jest typową książką o outsiderach, o ludziach wyobcowanych wobec świata, ale jest w swym zamierzeniu (bardzo ambitnym) przede wszystkim jakąś propozycją filozofii i metafizyki losu ludzkiego i propozycją etycznych jego rozwiązań i konsekwencji. Jest moralitetem, przypowieścią. I wtedy jestem przeciw zasadniczemu, naczelnemu wątkowi tej książki, przeciw tematowi choroby, patologii i obłędu. Przeciw tym realistycznym (z kręgu realizmu psychologicznego) ramom fabuły, które uzasadniają tytuł *Odejście*.

Ryszard Zengel

KSIĄŻKA O DOMU

Zofia Starowieyska-Morstinowa: *Dom*. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 337.

Dom to motyw w literaturze polskiej tak dawny, jak ona sama. Już Rej w *Żywocie człowieka poczciwego* unosił się nad urokami siedziby szlacheckiej. „Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje" — śpiewał Kochanowski w jednym z najpiękniejszych swoich utworów *(Na dom w Czarnolesie)*. A potem ruszył bezlik tych fasad i wnętrz pałaców, dworów i dworków, rzadziej kamienic mieszczańskich i chat chłopskich w naszej literaturze pamiętnikarskiej XVII i XVIII wieku. Mickiewicz dał syntezę dworów polskich (nie tylko na Litwie) w Soplicowie. Słowacki uwiecznił typowy dworek krzemieniecki w *Złotej Czaszce*.

W gawędach Chodźki, Rzewuskiego, w powieściach Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Deotymy, później Orzeszkowej, Sienkiewicza, Prusa — dom zjawia się zawsze opromieniony blaskiem na poły mistycznym, najprzód jako gniazdo rodu, później, po rozbiorach, jako jedyne *asilum* polskiego ducha narodowego.

Wytwarza się swoista magia domu rodzinnego jako drugiego „narodowego pamiątek kościoła". Ale podczas gdy „pieśń ujdzie cało", jego ściany kruszy nieubłagane stąpanie nowych epok. Dom jako siedziba rodu, później rodziny, przestaje istnieć. Dom to dzisiaj ul, złożony z tysiąca komórek, w których gnieżdżą się i brzęczą pszczoły ludzkie.

Istnienie i konserwacja cennych zabytków budownictwa mieszkalnego i kultury staropolskiej uzależnia się od tego, czy zaopiekuje się nimi jakiś kolektywny użytkownik: Rada Narodowa, Urząd Wojewódzki, związek zawodowy lub twórczy, szkoła, internat, dom dziecka czy świetlica.

A tymczasem, począwszy od pierwszych lat naszego stulecia, zrywa się w literaturze naszej żywiołowy pęd do uwieczniania domów rodzinnych, jakby w przeczuciu bliskiego ich zgonu. Łączy się on organicznie ze wspomnieniami dzieciństwa i wczesnej młodości.

Ten autobiografizm, zresztą zupełnie naturalny, przesyca wszystkie książki o „domu" specjalnym, bardzo atrakcyjnym dla czytelnika liryzmem. W 1907 roku ukazuje się pierwiosnek tego rodzaju literackiego, pełen uroku *Dziecinny dwór* Zofii Rogoszówny. Znacznie później, bo w 1923 r., wychodzi *Uśmiech dzieciństwa* Marii Dąbrowskiej. *Dom nad łąkami* Zofii Nałkowskiej nosi datę 1925. Mniej więcej w tym okresie ukazuje się *Miasto mojej matki* Juliusza Kaden-Bandrowskiego, jedyna chyba męska pozycja wspomnieniowa z tych czasów.

A potem pójdą, już w charakterze chwilowego tła: dom rodzinny Niechciców w *Nocach i dniach* Dąbrowskiej, wizja domu w *Wędrówkach Joanny* Ewy Szelburg-Zarembiny, dom rodziców Bronki w *Dziewczętach z Nowolipek* Poli Gojawiczyńskiej, a po ostatniej wojnie niezliczone wizerunki domów dzieciństwa we wszystkich niemal książkach o Warszawie.

Autorka *Domu* ma zatem licznych antenatów jeśli chodzi o temat. W jego ujęciu zachowała własne oblicze. W ramach swej prostej opowieści starała się zamknąć nie tylko maksimum wspomnień swego dzieciństwa w gali-

cyjskim dworze na przełomie dwóch wieków, ale i całą swoją wiedzę o obyczajowości średnio zamożnego ziemiaństwa pod zaborem austriackim, gdzie żywe jeszcze były wspomnienia rabacji, gdzie chłopi podejrzewali najbardziej nawet demokratycznych dziedziców o potajemne starania w celu przywrócenia pańszczyzny.

Autorka przytacza w tej materii doskonałą anegdotę, świadczącą o niskim poziomie umysłowym galicyjskiego chłopa. Wedle niej jedzie do cesarza do „Widnia" dwóch panów: „Ale że panowie zawsze są chytre, a wiedziały, że cysarz jest za narodem, ubrali się po chłopsku, że to niby chłopy chcom pańszczyzny... bo powiadali cysarzowi: lepiej im było za pańszczyzny. I może byłby ta i uwierzył, ale zrządzenie boskie, że jak raz wchodzi na pokoje cysarzowo. Piękna pani, nima co mówić! Idzie, spódnicą szumi a patrzy, bo niegłupia ona była, nie, i pyta, co jest. A cysarz jej peda tak i tak. To ona tylko popatrzyła i powiada: »Jakoś białe rączki mają te chłopy. Niespracowane.«

Tak się miała odkryć zamierzona mistyfikacja „panów". Ale na tym nie koniec. Cesarz skazał obydwu za usiłowanie oszustwa na więzienie, lecz wyprosili sobie dla zachowania prestiżu w swoich stronach odsiadywanie kary na raty. I odtąd — brzmi dalej legenda — co roku latem wyjeżdżają do „Widnia" na dwa miesiące. Ta opowieść krążyła długo wśród okolicznych chłopów.

Nie mniej mitycznie wygląda „praca społeczna" pani Emilii, najzacniejszej kobiety pod słońcem, ale w zetknięciu z ludem operującej kategoriami nawet już wówczas archaicznymi. Toteż nie trudno było ją zwalczać zwolennikom „Jasia" (tak nazywano powszechnie Jana Stapińskiego, słynnego leadera politycznego, przywódcę radykalnego stronnictwa chłopskiego). Metody walki były naiwne, ale skuteczne. Raz na przykład gruchnęła po wsiach wieść, że każda kobieta należąca do stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich, zakładanego przez panią Emilię, będzie musiała kupić... fortepian. A gdy to nie chwyciło, wywołano popłoch wiadomością, że trzeba będzie do każdej chałupy wziąć francuską nauczycielkę do dzieci. W rezultacie chłopi zagrozili pani Emilii, że jak ośmieli się jeszcze raz zjawić we wsi, zedrą jej kapelusz z głowy.

Wobec tego, co czyta się nieraz i dziś o daleko gorszych i mniej naiwnych faktach zacofania na wsi, nie oddaliliśmy się zbytnio od tamtych czasów.

Bardzo znamienne dla przesądów ówczesnego ziemiaństwa, a nawet i inteligencji miejskiej, było przekonanie, że wyższe wykształcenie kobiet jest w ogóle niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Ofiarą tego aksjomatu pada bohaterka książki, Helenka, która latami czeka na szczęśliwy moment, kiedy ją wreszcie poślą do „prawdziwej" szkoły. Dziwna rzecz, że jej matka, owa uspołeczniona pani Emilia, nie rozumie potrzeb duchowych i umysłowych własnego dziecka. Ale był to jeden z licznych paradoksów epoki, podobnie jak owe praktyki higieniczno-zdrowotne (oblewanie lodowatą wodą natychmiast po wstaniu z łóżka), powierzanie dzieci całkowitej opiece służby, dobrze jeszcze, że nią była pobożna Jagusia, która w Wiedniu z zapałem uczęszczała na wieczorne nabożeństwa do „Wojtek kirche" *(Votivkirche)*, i dobrotliwa pani Bracka, opowiadaczka ulubionych przez dzieci bajek. Osobliwością „domu" jest na wpół mityczna, na wpół realna postać Szmajgełesa, interweniująca w chwilach najniebezpieczniejszych konfliktów dziecięcego światka.

Autorka zdaje sobie sprawę, że każdy pedagog z prawdziwego zdarzenia chwyciłby się za głowę wobec tych metod wychowawczych, ale patrzy na nie z pobłażliwym krytycyzmem, wyrażając podziw, że ich bezwolne obiekty wyrastały jednak na zdrowych i dzielnych ludzi. Ze sprawą wychowania łączy się galeria guwernantek i nauczycieli, którzy przewinęli się przez „dom", ich miłosne konflikty i nieudane mariaże, zawsze zgodne z zasadą, kpiąco wyrażoną przez Boya: „małżeństwo — lub nic". Uderzający jest przy tym zupełny brak okresu dojrzewania we wspomnieniach Helenki. Czyżby ten problem nie istniał w błogosławionej Baszówce, tej ostoi wszystkich staropolskich cnót?

Trzeba przyznać, że jeżeli chodzi o występujące postacie, autorka nie jest zaślepiona. Wrodzone poczucie humoru pozwala jej chwilami nawet w stosunku do nich na dystyngowaną groteskę. Jak stare fotografie, z pietyzmem przechowywane w rodzinnych albumach, nie zdążyły zblaknąć przez pół wieku skrzętnej konserwacji. Wyróżnia się tu

konterfekt pana Władysława, marzącego o stanowisku profesora uniwersytetu, urodzonego teoretyka, któremu los kazał być obywatelem ziemskim, a dopiero w drugiej połowie życia wkroczyć na właściwą sobie drogę: posła do parlamentu austriackiego. W związku z tym faktem otrzymujemy garść ciekawych szczegółów, nieznanych czytelnikom, urodzonym w innych zaborach.

Te umiejętnie wyłowione i utrwalone rysy życia rodzinnego, towarzyskiego, społecznego i politycznego ówczesnej Galicji stanowią o wartości książki. O jej wartości artystycznej świadczą chwytane na gorąco rysy indywidualne człowieka, potoczysta, nieco szablonowa forma narracji, jasność wysłowienia, czysty język, styl wyrobiony, może dzięki temu chwilami monotonny. Jednym słowem: dobra, stara szkoła.

Niezamącony optymizm, życzliwy stosunek do człowieka, wszelkich spraw i przemian społecznych — towarzyszą autorce przez cały tok książki.

Stefania Podhorska-Okołów

„ZA DUŻO SŁOŃCA"

Eugeniusz Kabatc: *Za dużo słońca*. Łódź 1959. Wydawnictwo Łódzkie; str. 167.

Wielorako można sobie tłumaczyć fakt wyminięcia przez naszą literaturę zasadniczych doświadczeń egzystencjalistycznych. Niewątpliwie jednak przyczyną najbardziej rzucającą się w oczy jest chyba brak zakorzenionych u nas tradycji prozy filozofującej, intelektualnej, o szerokiej skali uogólnień; tradycją polskiej prozy jest wrażliwość na zmysłowy konkret, a nie na filozoficzną abstrakcję. Jednak całkowite przejście obok pewnych problemów egzystencjalistycznych jest już w tej chwili absolutnie niemożliwe. Istnieją książki najmłodszych pisarzy, które przy całym zamiłowaniu swoich autorów do prozy obyczajowej, nasyconej realiami i prostym, jednoznacznym konkretem, dają jednak do zrozumienia, że problematyka egzystencjalistyczna nie jest im obca.

Taką książką jest książka Kabatca. To z grubsza biorąc powieść o odpowiedzialności. Odpowiedzialności rozpatrywanej na planie zawodowym i na gruncie konkretnych stosunków międzyludzkich, w które autor wplątuje swego bohatera. Wydaje się, że w tej króciutkiej i zwięzłej książeczce dokonała się pewna szczególna polaryzacja niektórych problemów moralnych egzystencjalizmu, polaryzacja rzucająca ciekawe światło na możliwości naszej współczesnej prozy. Pokazuje mianowicie książka Kabatca, jakimi drogami odbywa się u nas infiltracja pewnych treści egzystencjalistycznych, ich załamywanie się na gruncie prozy obyczajowej. Problem odpowiedzialności, rozważany przez egzystencjalistów w abstrakcyjnej przestrzeni zmagań człowieka z własnym losem i walki o własne stwarzanie siebie, został tu przetransponowany w kierunku ukazania odpowiedzialności konkretnego bohatera w konkretnych sytuacjach za los ludzi, z którymi jego życie zostało złączone. Przypomnijmy tu *Opowiadanie szwajcarskie* Iwaszkiewicza, gdzie problem ten, choć dotyczył spraw znacznie szerszych niż u Leji czy Kabatca, również pozostał zamknięty w ramach ściśle określonych konkretnym porządkiem społecznym i politycznym.

W powieści egzystencjalistycznej wydarzenia, wypadki, konkrety były jedynie wykładnikami tego, z czym zmierzyć miał się człowiek, były ucieleśnionym przejawem losu, znaczyły zatem więcej niż to, czym były w swym powieściowym wymiarze, wyrastały ponad swoje znaczenie pierwotne, jednostkowe. Największą szansę posiadała tu przypowieść filozoficzna, ujmująca w wielkiej metaforze nie prawdy cząstkowe, ale najostatniejszą i najbardziej ogólną prawdę o ludzkim losie. Taką powieścią-przypowieścią jest na gruncie polskim jedynie *Odejście* Karczewskiej, poważniejsze propozycje filozoficzno-

-moralne zawierają opowiadania Terleckiego i Grochowiaka, ale na ogół ambicje naszej najmłodszej prozy są znacznie skromniejsze. Widoczna jest niechęć do wielkich syntez i filozoficznych uogólnień, pisarze zadowalają się obserwacją wąskich bardzo wycinków życia, czują się dobrze w obyczajowym konkrecie i prostych, jednoznacznych realiach. Tego właśnie rodzaju prozą jest debiut powieściowy Eugeniusza Kabatca.

„Świat się zbliża wielkimi krokami do prawdy, do tych drobnych ludzkich prawd i smutnych, i wesołych, i do tej jednej, potwornej, która zamieni nas w białe duszki." To proste stwierdzenie jednej z postaci książki pozwala nam najlepiej zrozumieć intencje autora. Kabatc nie pragnie nas epatować rzekomą głębią swoich spostrzeżeń, rozległym bogactwem obserwacji czy wreszcie jakimś oryginalnym widzeniem świata lub swoistą filozofią życia, lecz świadomie ogranicza się do opisania spraw drobnych, pozornie błahych, przybliżających nas jednak o jeden malutki stopień do poznania prawdy o ludzkim współżyciu i o ludzkim sumieniu. „Myśli pan, że to wszystko, co tu się rozwala, to takie wielkie nieszczęście? To są zwykłe sprawy, bez nich można się obejść. Gdzie się pan ruszy, zawsze pan wpadnie w jakiś dołek, zerwie pan czyjąś nić. Ale, na głowę Jehowy, od tego nie ma ucieczki. Trzeba posłuchać, co mówią mądrzy ludzie. Mówią, że człowiek to takie zwierzę, które musi żyć w grupie z innymi ludźmi. A jak się żyje z innymi ludźmi, to zawsze trochę im się pomaga, trochę przeszkadza" — mówi stary Żyd Jochman do bohatera książki. Bohater, młody inżynier, przybywa do swego przyjaciela na urlop. Jest gorące, upalne lato, słońce wysusza ziemię i przepala ludzkie sumienie. Marcin nie jest w porządku wobec siebie i wobec ludzi, którym stropy pobudowanych przez niego domów walą się na głowę. Ale przyjechał tu po to, by zapomnieć, bo „zapomnieć znaczy wygrać sprawę, stać się innym człowiekiem". Zaczyna się więc rozgrywka, rozgrywka o tę najważniejszą w planie jego świadomości rzecz, którą jest zapomnienie. Bohater powieści Kabatca usiłuje więc zapomnieć o walących się domach. Oczywiście walące się domy mogłyby zostać z powodzeniem zastąpione przez każdy inny rodzaj niepowodzenia życiowego, które stałoby się równocześnie źródłem konfliktu dla sumienia. Bo walące się stropy nie zostają ukazane jako zło społeczne, lecz jedynie jako problem wewnętrzny bohatera. I w końcu także nie sprawiedliwość społeczna zwycięża, ale indywidualne sumienie. Zostało tu chyba dokonane znamienne przesunięcie akcentów. Wyobraźmy sobie ten problem jeszcze parę lat temu. Zbyt pewny siebie racjonalizator dokonuje jakichś ulepszeń w produkcji, które w rezultacie doprowadzają do katastrofy i ogromnych strat. Po dłuższych poszukiwaniach, w których najwięcej zasług ma sekretarz POP, wykrywa się sprawcę chytrze ukrywającego swą winę i publicznie demaskuje się jego szkodliwą działalność. Na problemy jednostkowe nie było w tym schemacie miejsca. Świat ukazywano w kategoriach obiektywnie działających skutków społecznych, a te z kolei niwelowały wszelkie konflikty indywidualne.

Książka Kabatca jest więc i od tej strony ciekawym dokumentem tendencji rozwojowych w najmłodszej prozie.

Ale powróćmy do książki Kabatca, przede wszystkim do jej bohatera. Powiedzieliśmy już, że przybywa do domu przyjaciela, aby zapomnieć o ciążącej na nim odpowiedzialności, rozpocząć nowe życie. Urlop ma być dla niego wytchnieniem, okazją do rozprawienia się raz na zawsze z ciążącą nad nim zmorą wyrzutów sumienia, o których zresztą do końca nie wie, czy są całkowicie słuszne. Zastaje jezioro, dom pełen słońca i ludzi, z którymi powoli splątują się jego losy. „Zaczyna się dziać coś ciekawego. Nie rozumiem jeszcze wielu rzeczy, wielu rzeczy nie kojarzę ze sobą, ale czuję, jak wyrastają do rozmiarów spraw. Katarzyna, Leona i Elżbieta, Jochman, Tadeusz i Siworudy — każde z nich zaczyna mnie wiązać i dopasowywać do czegoś, licho wie czego" — monologuje bohater. I z początku jest mu z tym dobrze. Pozwala to przecież zapomnieć, daje nowe jakieś przeżycia, namiastkę przeżyć, coś, co może być odtrutką na nurtujący go konflikt. Dlatego dysponuje tymi przeżyciami swobodnie. I ludzi widzi tylko pod kątem ich bezpośredniej użyteczności dla własnej sprawy. „Chwalę ich wszystkich, bo są jak manekiny, które mogę ustawić tak, żeby schronić się za nie podczas największego upału."

Dlatego jest ślepy na wszystko, co dzieje się naprawdę. Na powikłane, poplątane stosunki w domu Urgaczów, na zainteresowanie nim Elżbiety, na trudne problemy Jochmana. Chce tylko jednego — wytchnienia, zapomnienia, ucieczki. Jednak powoli, uparcie dziejące się wokół niego sprawy zaczynają zahaczać o jego osobę i bohater musi dojść do wniosku, że od odpowiedzialności nie ma ucieczki, że na miejsce „sprawy Mielna" pojawiają się inne, równie trudne, równie wymagające decyzji, zaangażowania, odpowiedzialności.

Cała ta banalna już dzisiaj prawda, pojawiająca się tu jako skonkretyzowane przetransponowanie pewnych prawd egzystencjalistycznych, została wpisana przez Kabatca w sprawy drobne, pozornie nieważne, błahe, ale wpisana umiejętnie, z wyczuciem proporcji, z całkowitą świadomością przyjętych ograniczeń. Niebłaha jest natomiast prawdziwie autentyczna szarpanina bohatera, szarpanina pomiędzy pragnieniem uniknięcia zaangażowania, pełnego cierpień, mąk i niepokojów, a stale obecnym podrażnianiem sumienia, które, choć cały czas świadomie zagłuszane, w sposób niemal podświadomy, lecz konieczny prowadzi do ostatecznej decyzji wyjazdu. Bohater podejmuje tę decyzję, choć wie, że dokonała się poza sferą jego przekonań i jego myślenia, niejako wbrew jego upartej, kontrolowanej woli. Ale gdy wyjeżdża, powie już: „Teraz wszystko zależy ode mnie". Konflikt rozstrzygnięty został na korzyść sumienia; bohater opowiedział się po stronie wartości powszechnie uznanych za najwyższe. W tak postawionym problemie konkretny walor roli walących się domów rozpłynął się jednak całkowicie we mgle. Walące się domy przestają posiadać jakiekolwiek znaczenie realne, nawet jako konkretne źródło niepokojów i wyrzutów bohatera. Pozostaje sama postawa człowieka, który wybrał, który powziął decyzję, choć całe jego wyspekulowane rozumowanie temu się wyraźnie sprzeciwiało. Dlatego może pod koniec tak bardzo wyczuwamy fałsz tego przyjętego pretekstu, kłócącego się wyraźnie z dosłownie i realnie narysowanym obrazem letnich wakacji i z konkretnymi konfliktami, z którymi przyszło bohaterowi się spotkać. To wyraźne pęknięcie jest chyba linią spotkania ponadczasowej, międzyformacyjnej problematyki egzystencjalistycznej z prozą obyczajowego konkretu i społecznym porządkiem wyznaczanych konfliktów.

Bożena Danek

NOWOŚĆ

Andrzej Ziemilski: *Filar Pysznego Szczytu i inne opowiadania antysportowe.* Warszawa 1959. Wydawnictwo „Sport i Turystyka"; str. 150.

Całkiem słusznie odgradza się Ziemilski od tradycyjnej sportowej pseudoliteratury, która po dziennikarsku skrupulatnie, po dyletancku egzaltowanie czy bezradnie, po amatorsku uprawia atrakcyjną tematykę. Ziemilski traktuje sport poważnie, jako trudny problem. Sport jest bowiem przygodą nader niebezpieczną. Przygodą, która fałszuje hierarchię wartości, utrudnia właściwy wybór, odnalezienie drogi życiowej, przygodą, która nie chce się skończyć w odpowiednim momencie, nie pozwala odejść. Staje się niekiedy absurdalną namiętnością kilku dziesiątych sekundy, dla których można przegrać życie, można się ciężko pomylić. Wsiąknąć w chwytliwe, zamknięte środowisko, pełne mitów i kompleksów. Korzyści, satysfakcje, jakie przynosi sport, są niewspółmiernie małe w stosunku do poniesionych ofiar, bardziej jeszcze złudne i przemijające niż gdzie indziej w życiu. Aż wreszcie pozostaje tylko sportowe cwaniactwo, groszoróbstwo, półinteligencja. Wówczas nie ma już śladu ani młodości, ani żadnego heroizmu. I właśnie przede wszystkim dlatego opowiadania Ziemilskiego są „antysportowe". Nie do końca jednak i nie zawsze. W znakomitym opowiadaniu *Werter*

z Legii młody pływak jest „piękny jak antyczny posąg". Ale jego wyrzeźbione wodą i słońcem ciało nie jest nikomu potrzebne, jest więc martwe. Werter z Legii ma świadomość, którą na szczęście odebrano kształtnym kamieniom. W bolesnym przebłysku świadomości ogarnia stracony kawał życia, kawał młodości. Jego piękno jest nieludzkie w swojej cenie, w swojej bezwzględności, bezsensowne. Ale pozostaje pięknem, owym bezcennym, ubocznym, bezinteresownym produktem sportu. Ziemilski za takim fascynującym pięknem gestów, odruchów, sylwetek każe tęsknić swoim bohaterom „mózgowcom" i artystom. Są przecież szczególnie wyczuleni na piękno. Czasem nawet potrafią je wymyślać. Ich także piękno nie oszczędza. Wypycha brzuchy, wygina kręgosłupy. Dlatego spóźniony snobizm sportowy obfituje w tak wiele komicznych efektów. Ale jest w nim również coś bardzo smutnego, prawdziwego, autentycznego. Szukanie pełnego życia w najlepszym tego słowa znaczeniu. Niezadowolenie z siebie, z osiągniętych form. Tak przynajmniej wyglądają te sprawy u Ziemilskiego. Prowadzi swoich humanistów w góry aż do przeludnienia. Tam bowiem, w górach, sport staje się szczególnie czysty, odpowiednio wyposażony w wartości estetyczne.

Najsławniejsi idą wysoko i odważnie. Pozwala to Ziemilskiemu dokonywać pięknych, poetyckich zjazdów narciarskich i wspinaczek. Jego opis jest trójwymiarowy i pięciozmysłowy, jak w tytułowym opowiadaniu *Filar Pysznego Szczytu*. Z precyzją filmowej kamery odczytuje Ziemilski napięcia palców, chwyta ruch ciała na dwumetrowej skalnej płaszczyźnie, rozwija i ogarnia panoramę. A na szczycie refleksja, wyczuwane niemal przemijanie, dalekie echo wojny, które dotarło nawet tutaj. Gdyż sport w ogóle, zwłaszcza zaś góry, są dla Ziemilskiego pełnoprawnym wycinkiem działalności człowieka, w tym samym stopniu, co inne, albo jeszcze ostrzej, przenikniętym sprawami życia i czasu. Stąd w schroniskach nieustające dyskusje. O górach, literaturze, heroizmie, Saint-Exupérym. A już nazajutrz można, zależnie od wymagań, kontemplować przyrodę lub też przy jej pomocy wyżej, śmielej dokonywać konfrontacji, sprawdzać się, można grać wielkie role. Atmosfera gęsta od czynów i słów, faktów, myśli, refleksji, fabuł. I tutaj właśnie proza Ziemilskiego osiąga odpowiednią temperaturę.

Niewielu jednak przyzna się do tej prozy. Odstrasza kiepska okładka i krajoznawcze wydawnictwo. Wszechstronny bohater, jednocześnie wysportowany intelektualista i zintelektualizowany sportowiec, budzi sprzeciw obu zainteresowanych stron. Sprzeciw, który wszakże nie powinien zakłócić tej jego pięknej równowagi.

Tomasz Łubieński

PORTRETOWANIE PISARZA

Egon Naganowski: *Magiczny klucz. Opowieść o życiu i twórczości młodego Martina Andersena Nexö.* Poznań 1958. Wydawnictwo Poznańskie; str. 251.

Opowieści o pisarzach nie mają w Polsce — w przeciwieństwie np. do Francji — zbyt bogatych w gatunki tradycji literackich. *Vie romancée* — najchętniej czytywany rodzaj książki o artyście i w ogóle o wielkim, sławnym człowieku — rozpada się u nas od wielu już lat na dwa skrajne przeciwieństwa, z których zresztą częściowo się składa: autobiograficzne, pamiętnikarskie, nierzadko wprost plotkarskie wspomnienie o literacie, albo ciężkie, napęczniałe przycinkami i przypisami studium monograficzne na temat jego życia bądź twórczości, z rzadka — jedno i drugie razem. Bywają wprawdzie od czasu do czasu próby wyjścia z błędnego koła owej jednostronnej maniery, bywają powieści o artystach Świderskiej, Szermentowskiego czy Skierskiego, ale w nich natrętne, pamiętnikarskie „ja

i Sienkiewicz" czy historyczno-literackie „motyw X w twórczości Orzeszkowej" zostaje wymienione na eklektyczny melanż fikcji z dokumentem, który nie daje czytelnikowi tego, czego on zazwyczaj w takich właśnie książkach szuka: jasnego i wyraźnego obrazu pisarza na tle jego twórczości. Trudno: na twórcach literackich biografii ciążą obowiązki nie tylko pisarza i literaturoznawcy, ale — przede wszystkim — popularyzatora literatury, obowiązki wobec głównego odbiorcy jego książek: młodzieży i szarych, wiernych miłośników zamkniętego w okładkach świata i ludzi.

Zdaje mi się, że warto sobie o tych sprawach przypomnieć w związku z pierwszą książką Egona Naganowskiego, działającego od wielu lat wytrwale na polu krytyki literatury, zwłaszcza literatury niemieckiej — książką o młodości Martina Andersena Nexö. Może trochę zdziwić wybór akurat tego pisarza na bohatera książkowego debiutu: Nexö przeżywał wprawdzie u nas przed kilku laty swój okres czytelniczej wziętości i popularności, ale w chwili obecnej pamięta się o nim niemal wyłącznie tylko jako o autorze *Ditty*, rozsławionej zresztą przy pomocy filmu. Może przyczyną owego meteorowego przebiegu polskiej kariery Nexö było właśnie to, że popularyzowano go niemal wyłącznie przy pomocy etykietek i sloganów, że nie wiązano w sposób dostatecznie przekonywający i budzący zaufanie u czytelnika życia autora *Czerwonego Mortena* z jego twórczością. Próbuje tego wszystkiego dokonać i odrobić zaległości *Magiczny klucz* — trochę jednak za późno.

Konstrukcję i koncepcję swojej książki oparł Naganowski właśnie na autentyzmie twórczości Nexö, na czerpaniu przez duńskiego pisarza materiału do powieści, opowiadań i — oczywiście — publicystyki z własnych przeżyć, doznań, przemyśleń. Wdzięczny to więc bohater dla literackiego biografa, wdzięczny przez swoją podatność na hipotezy i konkluzje, które łatwo budować i obdarzać dużym stopniem prawdopodobieństwa, gdy można dzieło literackie traktować na prawach wiarogodnego, nieledwie historycznego dokumentu. Trzeba przyznać, że Naganowski korzysta z tych udogodnień z dużym umiarem i ostrożnością, której mógłby mu pozazdrościć i od niego nauczyć się niejeden historyk literatury.

Naganowski stara się portretować Nexö w czasie całej akcji utworu, dorzucać do wizerunku pisarza rys po rysie i szczegół po szczególe, wystrzegając się — przynajmniej w zamierzeniach — apriorycznej sztampy i schematu. Ułatwia mu to w pewnej mierze kompozycja, a raczej — mankament kompozycji *Magicznego klucza:* utwór nie jest skończony, narracja urywa się w połowie życia Nexö, niemal w *apogeum* jego twórczości, ściśle według zapowiedzi podtytułu książki: *Opowieść o życiu i twórczości młodego Martina Andersena Nexö.*

Być może, iż książka zostanie dopełniona drugim tomem, nie wskazuje jednak na to żadna zapowiedź w tekście *Magicznego klucza,* i dlatego wypada go traktować jako zamkniętą i autonomiczną całość.

Cóż w tej całości — poza naszkicowanym już przeze mnie nowatorstwem metodycznym — zadowala i zyskuje uznanie czytelnika, o którym również mówiłem, amatora popularnych biografii literackich? Właśnie owo zgrabne wiązanie biograficzne narracji z prostą i łatwą, chwilami chyba za łatwą, egzegezą krytyczną, analizą poszczególnych utworów, wyważaniem autentyczności i fikcji pewnych motywów i wątków fabularnych. Taki zabieg jest naprawdę cenny, gdyż pomnaża w czytelniku to, co wydaje się najwartościowszym zyskiem lektury książek o pisarzach: kulturę literacką, wnikliwsze, głębsze przeżywanie dzieła sztuki, przyswajanie sobie z niego nie tylko bardzo zwykle powierzchownie i upraszczająco rozumianej anegdoty, ale i delikatniejszych ideowo i estetycznie elementów utworu. Naganowski jest ponadto niezłym stylistą, potrafi pisać o pisarzu i książkach bez denerwujących tak często u naszych krytyków (mówię, bom smutny i sam pełen winy!) meandrów syntaktyczno-leksykalnych, jego sposób wypowiedzi jest więc komunikatywny, choć często zbyt monotonny. To wszystko przemawia na dobro autora *Magicznego klucza* jako popularyzatora literatury, choć — biorąc pod uwagę sygnalizowany już brak takich monografii o czołowych, polskich i obcych, artystach — wypada wyrazić żal, że obiektem popularyzatorskiego eksperymentu stał się pi-

sarz stojący, bądź co bądź, na uboczu wielkiego nurtu literatury.

Czy równie obronną ręką wychodzi z podjętego zadania Naganowski jako krytyk literacki? Można mieć tutaj pewne zastrzeżenia, będące zresztą przede wszystkim nieuchronnymi w pewnej mierze konsekwencjami wzięcia na siebie obowiązków popularyzatora i dydaktyka literatury, co tak dobrze odczuli na własnej skórze autorzy podręczników szkolnych. Naganowski upraszcza, upraszcza zwłaszcza fakty literackie spoza biografii i twórczości Nexö, przystosowuje je właśnie do dydaktycznych zadań dbając o niekiedy aż sztywną jednoznaczność związków, wpływów i analogii. Uproszczenie to może mieć charakter werbalnego tylko zazwyczaj i konwencjonalnego *votum separatum* wobec często niesprawiedliwych i krzywdzących ocen Nexö wielkich pisarzy i ich dzieł (Naganowski nie stara się dociec, d l a c z e g o Nexö zajął takie stanowisko np. wobec *Głodu* Hamsuna), ale potrafi przybrać formę i takiej oto opinii — tym razem Naganowskiego — o artyście, któremu Nexö zawdzięcza swoje drugie imię, czy raczej przydomek, o Hansie Christianie Andersenie: „Genialny bajkopisarz, był mimo wszystko czułostkowym romantykiem, który wierzył w cudotwórczą moc miłości i dobroci, a gdy te zawodziły, los pokrzywdzonych polecał opiece Boga i wiekuistej sprawiedliwości. Jego bohaterowie z ludu mieli na nogach autentyczne drewniaki, ale stąpali w nich tak cicho, że nie mogli poważnie zamącić błogiej drzemki bogaczom" (str. 125). Polemika z tym krzywdzącym i niesłusznym określeniem twórczości znakomitego baśniopisarza wydaje się zbędna, zwłaszcza gdy czytelnicy polscy mają dostęp do trzytomowego wydania utworów Andersena z przedmową Jarosława Iwaszkiewicza sprzed kilku lat, niemniej znamienna jest geneza i charakter takich uogólnień, poświęcających dla popularyzatorskiego efektu, korzystającego chętnie z jednoznaczności łatwo wbijającego się w pamięć i wyobraźnię schematu — złożone, wieloznaczne bogactwo literackiego faktu.

Jeszcze chętniej ucieka się Naganowski do upraszczających schematów wówczas, gdy mówi o życiu politycznym i społecznym współczesnej Martinowi Andersenowi Nexö Danii i Europy, które dla pisarza tak silnie zaangażowanego w rzeczywistość, jak twórca *Czerwonego Mortena,* było zawsze ważnym czynnikiem współtworzącym jego książki. Dania jest dla ogromnej większości polskich czytelników, a nawet pisarzy, krajem mało znanym w swych problemach społecznych i historycznych (przez wiele lat rolę jedynego informatora o tych sprawach usiłowały spełniać mdławe przekłady książek Karin Michaelis) — toteż warstwa informacyjna *Magicznego klucza* nabiera szczególnej ważności, przede wszystkim, oczywiście, w „pionie" popularyzatorskim opowieści. Ale i tutaj, może nawet tutaj przede wszystkim, bruździą schematy i ogólniki pojęciowe, wytarte i zdewaluowane do cna przez publicystów ubiegłych lat, do których to etykietek ucieka się Naganowski zwłaszcza wówczas, gdy przychodzi mu rozszyfrować trudniejsze i bardziej skomplikowanej i delikatnej natury zjawisko społeczne, ideologiczne. Tego rodzaju łatwizny obniżają bardzo wartość poznawczą, a nawet literacką *Magicznego klucza* i powinny być bezwzględnie wytrzebione z ewentualnego drugiego tomu monografii o M. A. Nexö.

Zbigniew Pędziński

OUTSIDER Z NASZEJ DZIELNICY

Colin Wilson: *Outsider*. Przełożyła Maria Traczewska. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 477.

1

Ostatnią recenzję *Outsidera* Colin Wilsona — przede mną wypowiedziały się już wszystkie tygodniki, a plotka kawiarniana zdołała je wyprzedzić o dwa lata, komentując angielskie wydanie książki — zacząć trzeba od zestawienia opinii. Nieczęsto bowiem bywają one tak jednomyślne. Różniące się zaledwie odcieniem słów, tonacją zdań, temperamentem krytyków czy rozmówców. I trzeba od razu powiedzieć, że polskie oceny były zdecydowanie nieprzychylne lub bardzo powściągliwe. Natomiast w Anglii książka wywołała co najmniej tyle entuzjazmu, co sprzeciwów. Jako głos młodego pokolenia literackiego stała się — na krótko, to prawda — sensacją europejskiego rynku. Okazuje się więc, że u nas wszyscy są dojrzalsi i głębsi.

Plotka. Nie doceniamy poziomu kawiarnianych rozmów. Właśnie przy szklance kawy czy przy kieliszku koniaku mówiło się od razu, że Wilson jest niedouczony. Czy dlatego, że był samoukiem — genialnym, jak donosiły niektóre magazyny — czy też już wtedy dobrze znano jego książkę, trudno zgadnąć. Ale że nad Wisłą zarzucało mu się niesystematyczność i chaos pojęć, intelektualną tandetę i pretenssjonalność — to nie jest pozbawione pewnego dwuznacznego uroku. Tym bardziej że nie jest także pozbawione słuszności.

Krytyka miała argumenty poważne. Że problematyka książki nie jest ani nowa, ani oryginalna, wraca natomiast do modernistycznego konfliktu między jednostką a społeczeństwem. To jest rzarzut słuszny, tylko że książka wcale się tej problematyki nie wypiera, nie próbuje jej istoty zasłaniać pozorami nowoczesności. Jawnie traktują pierwsze rozdziały o *Piekle* Barbusse'a i *Wilku stepowym* Hessego. Dla Wilsona modernistyczna przeszłość literatury i niektórych naszych pojęć nie jest wcale zamknięta. Widzi w niej jedno z zasadniczych pytań o stosunek człowieka i świata, na które dotychczas nie mamy wiążącej odpowiedzi. Ale czy jakakolwiek odpowiedź może tu być istotnie wiążąca?

Drugi zarzut stawiany autorowi stąd już wynika. „Zasadnicze pytanie" Wilsona o sens losu człowieka, o jego stosunek do świata, który dałby mu szczęście nie zmuszając zarazem do rezygnacji z poznania, do mieszczańskiej wegetatywności życia — to zasadnicze pytanie, mówią krytycy, nie jest w istocie swej ani modernistyczne, ani współczesne, ani dziewiętnastowieczne, jest bowiem sformułowane ogólnikowo i niekonkretnie. Posługując się pojęciem „outsidera" jak workiem można wzorem Wilsona wrzucić tam wszystkich bohaterów literackich, a często i pisarzy — nawet tych, którzy nie zmieścili się w książce gniewnego krytyka. I to prawda, przecież sam autor zestawia — dla przykładu — bohaterów Sartre'a i Dostojewskiego, Blake'a, Nietzschego i Wellsa, mówi o *Podróżach Guliwera* i filozofach chińskich, z literatury światowej i z jej historii wszystkich chwyta w swoje sieci. Jednych — bo zbuntowani, innych — ponieważ byli poszukiwaczami prawdy, a wreszcie tych, którzy do czegokolwiek dążyli lub czegokolwiek musieli się w życiu wyrzec. Autorowi nie idzie bowiem o żadną ścisłą hipotezę literacką, jego książka nie jest monografią — a tym mniej manifestem — jakiegoś artystycznego kierunku. Próbuje natomiast określić niepokój, metafizyczny niepokój, wywołany u bohatera literackiego, u artysty, czy wreszcie u zwykłego zjadacza chleba, który nagle doznał olśnienia, zobaczył drugi wymiar zjawisk, pomijany dotąd beztrosko — niepokój więc wywołany poczuciem obcości wobec świata. I Wilson szuka sposobów, wzorów przezwyciężania tej obcości. Zrzuca skórę krytyka literackiego, przybiera pozę filozofa, by poprzestać w końcu na poradnictwie psychologicznym. Cytuje Shawa — „Niech kościoły zadadzą sobie pytanie, dlaczego nie ma buntu przeciwko dogmatom matematycznym, chociaż istnieje bunt przeciwko dogmatom religijnym. Przyczyna nie tkwi w tym, jakoby dogmaty matematyczne były bardziej zrozumiałe... W dziedzinie matematyki i fizyki stale utrzymuje się czystość wiary

i można przyjąć prawa, a odrzucić legendy, nie ściągając na siebie podejrzenia o herezję...“ — i obwieszcza potrzebę „nowego wieku religijnego“. Ponieważ ludzie nie zrezygnują z dogmatu na rzecz sentymentu, lecz ewentualnie mogliby zrezygnować z sentymentu na rzecz dogmatu. Żąda jednoznacznego rozstrzygnięcia dramatu człowieka i stwierdza, że to jest właśnie „ostateczny cel“ niepokoju każdego „outsidera“ i jedynie skuteczny sposób przezwyciężenia jego obcości. Można w to uwierzyć. Ale z takich wiar ludzkość od tysięcy lat usiłowała się wyzwalać. Czyżby dzisiaj naprawdę zechcieli taką wiarę przyjąć wszyscy, czyżby z tej powszechności nie wyłamali się znowu ci, którzy będą „outsiderami“ przyszłości?

I tutaj zarzut trzeci, nie zarzut, odsądzenie tej książki od czci i wszelkiej wartości. Jest szmirą — powiada Stefan Żółkiewski — „szmirą w naszych warunkach zasługującą na uwagę i zwalczanie, związana jest bowiem z tym, co stanowi samą istotę religianckiego zacofania, uproszczeń, przesądów, bezwładu umysłowego, niewrażliwości na rzeczywistość współczesną”. I ten zarzut zdaje się trafny. Wilson po analizie rozmaitych postaw „outsidera”, wprowadziwszy dostateczną ilość egzemplifikacji i rozróżnień, próbuje nagle przełamać barierę izolującą „oustsidera” od świata. Jego wyobcowanie z otoczenia i dążenie do prawdy, jego niepokój i „nagły przebłysk“ świadomości, przeczucie, że istnieć przecież musi świat wartości absolutnych, dla których dopiero warto żyć — określa nagle Wilson na pięćsetnej stronie swojej książki zupełnie katechizmowo jako „potrzebę świętości”. I na potężnej — w ambicjach przynajmniej — konstrukcji intelektualnej problemu „outsidera” zawiesza prostacką wiechę polnego ziela.

W jednym zyskał tylko Colin Wilson aprobatę Żółkiewskiego. „Ogólnikowe pozytywne postulaty Wilsona wydają się godne przyjęcia. Chce on bowiem zrozumieć, jak powinien człowiek żyć, aby być wolnym, aby osiągnąć pełnię życia i ludzkich możliwości. Autor szuka odpowiedzi na swoje pytanie w doświadczeniach literatury, szuka odpowiedzi na pytanie: jak żyć? I ta postawa nie budzi zastrzeżeń. Przecież i marksiści cenią najwyżej poznawcze walory sztuki...”

2

Gdy czytałem Wilsona, jego zmagania z definicją problemu „outsidera”, przypomniało mi się zdarzenie sprzed paru lat. Była wiosna 1952, może 53. Modnym punktem spotkań, dyskusji — modnym dla niewielkiego kręgu osób oczywiście — była wówczas mała knajpka w Podgórzu, obok, jak się zdaje, ulicy Celnej. Pewnego popołudnia znaleźliśmy się tam jak zwykle, ale od razu spostrzegliśmy, że coś się musiało wydarzyć. Zapełniające ten lokalik towarzystwo dorożkarsko-szoferskie było głośne i podniecone, prezydująca zaś za bufetem właścicielka — jedna z ostatnich już wówczas w Krakowie — była, wbrew swoim zwyczajom, milcząca, skupiona i obrzęd rozlewania wódki i piwa sprawowała z niecodzienną u niej starannością i miarą. Po chwili już wiedzieliśmy. W sąsiedniej kamienicy znaleziono właśnie wisielca. Był to młody chłopak pracujący w Nowej Hucie, dobrze zarabiał, nie miał rodziny, mieszkał przyzwoicie, kupił sobie niedawno motor. I nagle — trup. Ci, którzy wysupływali tutaj ostatnie grosze na kieliszek wódki, nie mogli tego pojąć. „Miał pieniądze, panie” — mówili jeden przez drugiego, i stąd ten bolesny, krzykliwy gwar, jaki panował w knajpie. Tylko właścicielka trwała nieporuszona, aż wybuchnęła wreszcie: „Znudziło mu się życie. A co, nie mogło!”. — Chłopak z Podgórza stał się więc „outsiderem”. Wprawdzie niższego stopnia — według gradacji Wilsona — ponieważ skończył ze sobą zamiast dążyć ku świętości. Ale o tym przyjdzie jeszcze porozmawiać.

Na razie trzeba wrócić do wstępnych cytatów. Z przytoczonymi zarzutami można się w pewnym stopniu godzić — i zgodziliśmy się w większości wypadków, zaledwie marginesy ich zakreślając znakami zapytania. A jednak tym sądom książka jakoś się wymyka. Jest w niej wszystko co złe, ale równocześnie jest jak gdyby jeszcze coś więcej. Jest coś, co uporczywie, bezwzględnie pomijali zdyscyplinowani zoilowie współczesnej literatury. Co można uchwycić tylko sięgając wspomnieniem do jakichś własnych, nie skrystalizowanych, nie uświadomionych, czasem przeżyć lub przemyśleń. Śmierć chłopca z ulicy Celnej, autentyczny mroczny dramat, obwieszczony światu w sło-

neczne, wiosenne popołudnie, zestawiony z problematyką książki Wilsona — może powiedzieć o niej więcej niż najsumienniejsza egzegeza cytatów filozoficznych wyszperanych przez autora. W każdym zaś razie wyjaśnia jej bezpośredni, literacki, powiedziałbym, stosunek do rzeczywistości, mimo wszelkich pozorów pozbawiony filozoficznego czy historyczno-literackiego koturnu. Wilson nie tylko interpretuje bohaterów literackich, ale przede wszystkim sam konstruuje współczesnego bohatera. Z elementów już odkrytych i wykorzystanych, a więc wtórnych, układa nową, własną postać, która, według jego najlepszego mniemania, powinna najdokładniej wyrażać człowieka XX wieku. I „outsider" Wilsona znalazł ludzi, którzy się w nim przejrzeli — a więc spełnił już w pewnym sensie swoją rolę, przynajmniej na Zachodzie. Dlaczego i my nie mielibyśmy spojrzeć do tego zwierciadła?

Jest w tej książce rozdział zatytułowany niejasno i znów bardzo katechizmowo: *Dążenie do uzyskania kontroli nad samym sobą*. Krytycy pomijali go dotychczas z wyraźnym lekceważeniem. Był, zdaniem ich, zbyt łatwy, wyprany z problematyki literackiej czy filozoficznej, nie zawierał ani analizy jakiegoś utworu czy bohatera, ani własnej konstrukcji teoretycznej. Wymykał się wszelkim kryteriom, jakimi krytyk literacki zwykł mierzyć literacką rozprawę. A zresztą w metodzie Wilsona było może sporo złego biografizmu i psychologizmu. Było go akurat tyle, żeby szanujący się krytyk przeszedł nad całym fragmentem do porządku i potraktował sprawę jako żenujące już potknięcie się kolegi. I stąd rozpoczął się konflikt Wilsona z dostojną teorią literatury. W tym rozdziale bowiem Wilson od literatury odszedł zdecydowanie. Naszkicował natomiast trzy portrety, których dramatyzm dobitny i — to prawda — tani chwilami, mógłby znakomicie posłużyć sensacyjnej powieści. Byli to kolejno: Van Gogh, Niżyński i T. E. Lawrence, namiętni poszukiwacze własnej osobowości i własnej drogi w świecie schematów, konwencji i dróg wytyczanych — dla oszczędności — ryczałtem.

Przykład tej trójki jest dla oceny książki Wilsona charakterystyczny. Posługując się fragmentami korespondencji, pamiętników, zestawiając odległe fakty życiorysów autor konstruuje bohaterów, krytyk zmienia się w biografa. Traci przez to prawo oceny ściśle artystycznej. Ale też na tym prawie wcale mu nie zależy. Kryterium artystyczne bowiem przymierzone do „outsidera" o niczym nie decyduje. Waży tylko jego postawa wobec rzeczywistości i wobec sztuki. I geniusz, i drugorzędny malarz mogą w tym samym stopniu przeżywać swoje „poczucie obcości wobec świata" czy też odczuwać jego „nierzeczywistość", nierzeczywistość codzienności wobec pewnych odkrytych już czy przeczuwanych tylko stanów, sytuacji i napięć, godnych wewnętrznego zaangażowania się człowieka.

Właśnie w rozdziale o Van Goghu i Niżyńskim Wilson daje pełną temperamentu analizę sytuacji niegodnych tego zaangażowania, sytuacji, które ci ludzie musieli odrzucić nawet za cenę artystycznego wyrzeczenia, za cenę milczenia, jak Niżyński, ze cenę szaleństwa, Jak Van Gogh, czy za cenę śmierci, jak T. E. Lawrence, który nie był wprawdzie artystą, ale zapłacił również pełną stawkę, tym, co miał najistotniejszego — życiem. Jak jego młody i późny naśladowca, ów chłopak z ulicy Celnej. W tym rozdziale Wilson odrzuca i eliminuje szanse człowieka, jego bohaterowie muszą płacić natychmiast, nie wystawiają czeków o bardzo wątpliwym pokryciu. To stanie się dopiero później, pod koniec książki, gdy autor dojdzie do ideologów katechizmowych, gdy na wewnętrzny dramat człowieka zacznie przepisywać podręczne leki świętości, gdy będzie sam do końca wypełniał rolę ideologa czy lekarza — a ci trafnie rozpoznawszy chorobę zalecić jeszcze muszą własne programy czy recepty, najczęściej, niestety, oględnie mówiąc, niezupełnie skuteczne.

Gdy Wilson dojdzie do tych dalszych rozdziałów, napisze, że „outsider" jest poszukiwaczem prawdy i głosicielem jej. Że najwyższą formą „outsiderstwa" jest: stać się „natchnionym prorokiem". A więc człowiek, który był „obcy", który nie mieścił się w konwencjach i prawach społeczeństwa — sam ma stać się teraz jego prawodawcą. Po to przepiłowywał uparcie ogniwa łańcuszka, aby w końcu oddać się w niewolę spajania ich od nowa. Wilson-ideolog w tym właśnie upatrywałby najwyższe powołania „outsidera". Wilson-ideolog dlatego właśnie zalicza Niżyńskiego i Van Gogha do niższej kategorii swo-

jego typu natomiast Lawrence'a i chłopca z ulicy Celnej postawiłby jeszcze niżej — że wycofali się ostatecznie i ostatecznie odmówili odpowiedzialności, którą on chciałby jednak — w sposób najzupełniej dowolny i paradoksalny — narzucić „outsiderowi".

Paradoksalny — bowiem w tym miejscu rozchodzą się ostatecznie drogi Wilsona-ideologa i Wilsona, nazwijmy to tak, artysty. Wilsona tropiciela i badacza ścieżek oficjalnych i tajemnych, po których błąka się człowiek XX wieku w poszukiwaniu sobie tylko wiadomych celów. Jeśli cokolwiek bowiem można by wydobyć natychmiast z obszernej dokumentacji literackiej „outsidera" przytoczonej przez Wilsona, to właśnie „obcość" wywołaną brakiem skrystalizowanego celu, kompromitacją celów, które ludzie dotychczas uważali za słuszne lub którymi przynajmniej posługiwali się. Camus i Barbusse w tym jednym się spotykają. Bohaterowie Sartre'a i Dostojewskiego muszą przeżyć tę samą kompromitację. Silni ludzie Hemingwaya i rozpaczliwy ton poematów Blake'a stąd właśnie, z krańców celowości, biorą swój początek. I w tym obrazie istotnie człowiek współczesny naczęściej odnajduje swój autoportret. Niepokój poetów i „outsiderów" zaszczepiony został posiadaczom samochodów i skuterów. Oni także potrafią opuścić czasem swoje „ja" i spojrzeć na siebie z oddali, jakby przez dziurę w ścianie z sąsiedniego pokoju. I wtedy już nigdy nie będą mogli naprawdę wrócić do siebie, nie dopasują się do poprzedniej jedności. Nie pomoże im żadna Wilsonowska „idea świętości". Jest ich już zbyt wielu, by każdy mógł udać się na pustynię i obwołać prorokiem. Zostają więc. I zostają nie jako prorocy, lecz właśnie jako „outsiderzy".

3

Książka Wilsona jest prowokująca, ale także oczekiwana. Prowokująca tych wszystkich, którzy przywykli do ścisłego, konkretnego myślenia filozoficznego. Tych wszystkich, którzy z całą słusznością stwierdzają, że świat współczesnej nauki atomizuje się, że poszczególne dyscypliny dążą do wykształcenia własnego języka, że kultura jako pojęcie jednorodne i jednolite staje się coraz bardziej anachronizmem, że stulecie techniki rozszczepia kulturę współczesną, niszczy jej charakter syntetyczny, obdarzając w zamian nieskończoną ilością gatunków profesjonalnych. Książka Wilsona prowokuje tych wszystkich, którzy tak sądzą — i zarazem mają nadzieję z tego swego przekonania wyprowadzać wiążące dyrektywy praktyczne. Jest dla wielu zbyt ogólnikowa, zbyt „syntetyczna", zbyt powierzchownie zbiera pianę współczesnego intelektualnego fermentu, nie ograniczając się i nie wiążąc żadną aparaturą naukowej analizy. Zbyt widoczne są często szwy argumentacji filozoficznej, by posługujący się nimi autor potrafił przekonać, podbić czytelnika, nie wspominając już o tym, by mógł mu naprawdę zaimponować, nie tylko doborem cytatów.

Ale bez wahania można też powiedzieć, że była to książka oczekiwana. I — jedna z najbardziej współczesnych książek, jakie ostatnio czytałem. Najbardziej współczesna — ze względu na te inspiracje, z jakich powstała. Przy stoliku w lektorium British Museum, gdzie powstawał *Outsider*, wyznaczyły sobie spotkanie wszystkie współczesne tendencje filozoficzne, wszystkie problemy, jakie przenikają z nich i kształtują umysłowość współczesnego człowieka. Marksizm, egzystencjalizm, amerykański pragmatyzm to te słupy graniczne, między którymi rozbija sobie głowę niecierpliwy, agresywny, wściekły autor *Outsidera*. Spójrzmy na to przynajmniej pobieżnie.

Że egzystencjalizm przekazał Wilsonowi ideę tej książki, to nie może ulegać wątpliwości. Przed *Outsiderem* był *Obcy* Camusa, *Mdłości* Sartre'a i bohater jego trylogii, Mateusz Delarue. Byli zresztą także Kierkegaard, Nietzsche i Dostojewski, na których powołuje się Wilson. Ale przecież nie przeprowadza on w swojej książce tylko analizy literackiej. Przede wszystkim konstruuje bohatera. I ten bohater jest egzystencjalistą, przekonanym o konieczności a zarazem pozbawionym woli wyboru. Przynajmniej tak długo, dopóki na końcu nie przyprawi mu Wilson groteskowych skrzydeł aniołka z szopki.

„Wkład" marksizmu w książkę Wilsona podkreślił już Stefan Żółkiewski. „...jak powinien człowiek żyć, aby być wolnym, aby osiągnąć pełnię życia i ludzkich możliwości". Jest też coś więcej: dążenie do syntezy. Próba ujęcia i zrozumienia człowieka pełnego, we wszystkich jego powiązaniach i ograni-

czeniach społecznych. Z tych związków wyłaniają się dopiero indywidualne postawy. Człowiek jest ograniczony warunkami. Ale próbuje je przezwyciężyć, szuka drogi wyjścia i szuka recepty. Szuka systemu, w jakim mógłby się odnaleźć nawet w zatomizowanym stuleciu techniki, w jakim mógłby odnaleźć nienaruszoną i nierozbitą swoją osobowość. To jest pytanie, na które chce odpowiedzieć marksizm. To jest pytanie, na które szuka odpowiedzi Wilson.

Ale odpowiedź znajduje paradoksalną — w pragmatyzmie. Który jest, jak pisze Marton White, „wyrażeniem typowo amerykańskiego dążenia do związania abstrakcji z konkretnymi zagadnieniami życia. Zupełnie jednak niezależnie od tego jest również wyrazem wysiłku Ameryki, by wchłonąć najlepsze osiągnięcia filozofii europejskiej". Nie wyobrażam sobie lepszej prezentacji dla pragmatyzmu, a zresztą także dla Wilsona. Jego książka istotnie jest wynikiem poważnego wysiłku, aby „abstrakcje związać z konkretem życia", jest zresztą wynikiem takich właśnie postulatów społecznych, takiego „zamówienia społecznego", podpisanego przede wszystkim przez młodzież współczesną. I pragmatyzm — jako doktryna posiadająca duże znaczenie dla utylitarności społecznej — wypisuje natychmiast receptę na orzeczone przez Wilsona schorzenie świata. Paradoks rozpoczyna się wtedy, gdy na recepcie odczytujemy środek mocno ryzykowny i bardzo ekskluzywny: świętość. A więc doszedłszy do ostatniej karty trzeba jednak — ale dopiero teraz! — za krytykami Wilsona powtórzyć: ależ on sieje wiatr! ależ on ma bałagan w głowie!

Ośmieszyć Wilsona byłoby nadzwyczaj łatwo. Niewiele trudniej jest odwrócić się od tej książki wyniośle i — nie wróżąc jej długiego życia — zepchnąć na samo dno szmiry. Żywota długiego istotnie nie można jej wróżyć ani życzyć, ale taki jest los wszelkiej publicystyki. *Outsider* bowiem jest książką publicystyczną. Gdyby się ktoś upierał — jest drugorzędną książką publicystyczną, książką lekkiego kalibru naukowego — mimo setek przypisów — jak felieton. W tym rzecz jednak, że tego typu książki — nie pojawiając się, być może, dzisiaj częściej niż kiedykolwiek — zawierają i proponują dziś właśnie o wiele więcej istotnych zagadnień, niż się to im kiedykolwiek udawało. Są bliżej życia. Są bardziej wyzywające i mniej wstydliwe, jak dziewczęta w podrzędnej — podrzędnej właśnie — knajpie. Można się od nich — przepraszam: z nich — więcej i szybciej dowiedzieć o dramatach, które w bardziej wyszukanych towarzystwach pokrywa gruba warstwa szminki i konwenansu. Jest, jak się zdaje, w tym awansie przedmieścia i łatwiejszych, wyzywających rodzajów literackich jakieś *signum temporis*. Rozejrzyjmy się. Pamiętając, że w Polsce także felieton przeżył niedawno swój renesans — i co z tego wynikło.

Zygmunt Greń

POWSZECHNY POKÓJ

Wszyscy u nas są zwolennikami planu Rapackiego. Rzeczywiście bowiem trudno jest o plan bardziej odpowiadający zarówno europejskiej sytuacji politycznej, jak i konkretnemu odczuwaniu niebezpieczeństwa przez doświadczonych wojnami Polaków. Istnienie strefy bezatomowej w newralgicznym punkcie naszego kontynentu odpowiada jak najbardziej naszemu poczuciu — powiedzmy praktycznie — wygody. Naród nasz, który z takim zapałem poświęcił się sprawom odbudowy i budowy, budowy lepszej przyszłości, budowy powszechniejszej kultury — z olbrzymią ulgą powitałby realizację polskiego planu. To jest zupełnie jasne.

„Cudowna odbudowa kultury polskiej", jak nazwał to korespondent *Times'a*, jest dziełem pokoju. Pragnie ona pokoju, a jednocześnie ten pokój tworzy.

Jednakże przemówienie Chruszczowa w Organizacji Narodów Zjednoczonych poszło o wiele dalej w swoich propozycjach i trzeba to przyznać — przy tak daleko idących przedłożeniach dotychczasowe plany należy uznać za cząstkowe i noszące charakter paliatywny. Propozycja kierownika polityki potężnego państwa, postulująca całkowite zniszczenie wszelkich rodzajów broni, likwidację armii i sztabów, wydatków na zbrojenia i na wojenną biurokrację — odsłania przed ludzkością nowe, niesłychane perspektywy.

Nie chodzi mi tutaj o możliwości natychmiastowej realizacji tych propozycji. Napotkają one na pewno niejedną trudność, dziś już wyraźnie widoczną. Chodzi jednak o śmiałość i dobrą wolę, jaką opromienione były słowa Chruszczowa. Nigdy jeszcze głos podobny nie zabrzmiał z tak wysokiego miejsca. To, co mówili o pokoju Bertrand Russell czy Albert Schweitzer, to, co mógł zdziałać Fryderyk Joliot-Curie — jest niesłychanie szlachetne w swej treści. Słowa tych wielkich bojowników o pokój wywierały i wywierają jeszcze dzisiaj olbrzymi wpływ na opinię publiczną. Niestety autorytet tych słów nie jest poparty żadną możliwością egzekutywy. Nie widnieje za nimi żadna siła realna — oprócz wielkiej siły moralnej, która na giełdach tego świata nie zawsze znajduje wystarczające pokrycie.

W przeciwieństwie do tego Chruszczow przemawiając na pamiętnym posiedzeniu ONZ miał za sobą wielką siłę swojego narodu. Przemawiał nie jako prywatny — obdarzony jak największym autorytetem — człowiek, przemawiał jako reprezentant potężnego państwa. Owo państwo — którym w Ameryce niańki (o ile istnieją amerykańskie niańki — chyba niańki opinii publicznej) straszyły małe dzieci — przez usta swojego przedstawiciela przedłożyło plan ogromny, wspaniały i jakiego jeszcze nie było — powszechne i kompletne rozbrojenie, pokój powszechny.

Jest to głos, który trafi z łatwością do serca wszystkich ludzi na ziemi. Sprawa częściowego i stopniowego rozbrojenia, podział broni na konwencjonalną i „niekonwencjonalną", procentowe zniesienie kontyngentów wojskowych — to były sprawy trudne do zrozumienia, trudne do uchwycenia dla człowieka z ulicy. Natomiast plan Chruszczowa jest jasny i zrozumiały dla każdego człowieka.

W dniu, kiedy ogłoszono tekst przemówienia radzieckiego premiera, spotkałem mnóstwo ludzi na ulicy, w kolejce, w tramwaju, na koncercie: wszyscy oni bez względu na poglądy i przekonania mówili z radością: „Gdybyż to się dało zrealizować, nowa epoka otwarłaby się przed ludzkością...".

Obraz świata, który by mógł pozbyć się strachu przed wojną, wstaje przed naszymi oczami niby obraz krainy szczęścia. Porozumienie i współpraca między narodami, wspólne zwalczanie wrogów ludzkości, którymi pozostałyby choroby i klęski żywiołowe — harmonia świata — oto piękno, które się wyłania ze słów tego projektu. Gdyby pozostały one tylko słowami, to chwała i cześć tym, którzy głoszą takie słowa.

Ale nie trzeba wątpić, że słowa te przetworzą się w fakty — na pożytek całej ludzkości.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Artur Sandauer ogłosił we *Współczesności* swój szkic (tłumaczony z francuskiego) o *Ferdydurke*. Już sam tytuł wyznacza kierunek interpretacji: *Polska formuła egzystencjalizmu*. „Egzystencjalistyczny u Gombrowicza jest — pisze autor *Moich odchyleń* — motyw deformacji, który pojawi się niebawem u Sartre'a." Należałoby jeszcze stwierdzić, jak ów drugi — specyficznie gombrowiczowski — motyw niedojrzałości zakorzeniony jest w kulturze polskiej i tworzy to, cośmy nazwali „polską formułą egzystencjalizmu". Motywem deformacji nazywa Sandauer „stwarzanie" bohatera przez środowisko, przez „innych", ową Gombrowiczowską „formę" czy „gębę", która w istocie przypomina pod pewnym względem tezy Sertre'a. Należałoby jednak zaznaczyć, że teza ta nie stanowi na tyle ważnej części Sartre'owskiej odmiany egzystencjalizmu ani też nie jest w filozofii na tyle oryginalna, aby jej obecność w książce polskiego pisarza upoważniała nas do tak triumfalnych stwierdzeń, jak to, iż Gombrowicz formułą swoją wyprzedza Sartre'a. Co się zaś owej niedojrzałości tyczy, koncepcja ta nie wytrzymuje po prostu faktów. „Nie bez kozery szkoła stanowi punkt wyjścia Gombrowiczowskiej epopei; stanowi go ona dla całej naszej literatury, która w połowie XVI wieku wyskakuje — w stanie przedwczesnej dojrzałości — niczym Minerwa z Jowiszowej głowy — z głębi konwiktów jezuickich, uniwersytetów francuskich i włoskich. Będąc towarem importowanym przez szkołę, ma ona od początku ów ugłaskany charakter, właściwy utworom przeznaczonym dla młodzieży, charakter, który akcentuje *(sic!)* się jeszcze z chwilą, gdy — po utracie niepodległości przejmuje funkcje nie istniejącego państwa — uważna *(sic!)*, aby przez prawdę zbyt nagą, zbyt tragiczną nie przygnębić patriotycznego czytelnika."

Szkolne początki literatury? A czy gdziekolwiek literatura zaczynała się inaczej? Czy w jakiejkolwiek innej kulturze, wliczając w to owe najbardziej „dojrzałe", czyli francuską i włoską, nie dałoby się wskazać identycznych albo większych jeszcze związków literatury z uniwersytetami, ze środowiskiem naukowym — mowa przecież o renesansie, o epoce „poezji uczonej", filologicznej. A poza tym, czyż istotnie da się udowodnić ów szkolny, „ugłaskany" charakter naszej renesansowej literatury? Czy to Rej był pisarzem dla młodzieży, czy to pieśni Kochanowskiego były ową dydaktyką dla chłopiąt z jezuickich kolegiów, czy Szarzyński? Czy tą grzeczną, szkolną literaturą był polski barok — barok Wacława Potockiego i Szymona Zimorowicza? Wszystko można tym pisarzom zarzucić: rubaszność, gruboskórność, często — akurat nie w cytowanych wypadkach — brak rozumu politycznego, często werbalny katastrofizm i werbalne kaznodziejstwo, ale — na miły Bóg — nie szkolny dydaktyzm, którego musiałby poszukiwać autor w jezuickiej literaturze XVIII wieku, ta zaś, jak wiadomo, nigdy nie weszła naprawdę do historii naszego piśmiennictwa. A którzy to pisarze unikali prawdy zbyt nagiej i zbyt tragicznej po roz-

biorach? Słowacki czy Mickiewicz? Może Norwid? Może Prus albo Orzeszkowa? Może to Żeromski kołysał do snu polską inteligencję, może to Wyspiański wzruszał chłopięta opowieściami o dawnych bohaterach. Ten obraz literatury polskiej wskazywałby na to, że Sandauer czytał tylko Bohomolca i Konopnicką. A potem dopiero Gombrowicza. Na szczęście literatura polska jest znacznie bogatsza. Szkoda tylko, że świat się o tym nigdy nie dowie, skoro Artur Sandauer podjął się wobec niego reprezentować naszą kulturę.

Uważny czytelnik szkicu Sandauera nie dowie się zresztą nigdy, na czym polega owa „polska formuła egzystancjalizmu", wyprowadzona z mroków naszej dziejowej niedojrzałości. Na przezwyciężeniu tejże niedojrzałości przez przyznanie się do niej, przez odkrycie jej w sobie samym — w środowisku, w kulturze? Zgoda, to jest właśnie myśl Gombrowicza, którą zrozumiał już każdy student, jest to także myśl słuszna, o czym już wielokrotnie pisano od czasów Stanisława Brzozowskiego, ale co to ma wspólnego z egzystencjalizmem, a w każdym razie z egzystencjalizmem Sartre'a?

Związki te widzę tylko w owej „formie", czyli „gębie". Lecz... czy rzeczywiście wystarczy to, aby mówić aż o „polskiej formule egzystencjalizmu"? Wydaje mi się, że należałoby raczej mówić o polskiej metaforze egzystencjalistycznej. Ten prąd filozoficzny ma w ogóle raczej charakter literackiej doktryny; jego sformułowania bliższe są poezji niż nauki, jego problematyka jest bardziej problematyką psychologiczną niż teorio-poznawczą. Rozszedł się po świecie za pośrednictwem literatury, sam literaturze wiele zawdzięcza. Próżno mówić o prekursorstwie Gombrowicza, gdyż źródeł Sartre'owskiej psychologii należy poszukiwać znacznie wcześniej, tam, skąd i Gombrowicz czerpał natchnienie: u Dostojewskiego. Kto pamięta *Wspomnienia człowieka z lochu, Gracza* i *Wiecznego małżonka,* z łatwością skojarzy te nowele z nowelami Gombrowicza, a także z młodzieńczymi nowelami Sartre'a. Nie chcę tu pomniejszać nowatorskich zasług autora *Ferdydurke,* chciałbym tylko zwrócić uwagę na to, że w istocie nowatorstwo w rachunku ogólnokulturalnym znaczy bardzo niewiele: jedną nową metaforę, jeden chwyt przedtem nie znany czy też jakiś wariant kompozycyjny. Tyle zostaje, gdy się z czasem uspokajają piany szumnych „odkryć", „nowości". Literatura to pracowita, cierpliwa sprawa. I dlatego — bądźmy skromniejsi: jedna nowa metafora wystarczy, aby uzasadnić powodzenie zabawnej książeczki Witolda Gombrowicza. Zbyteczna jest cała naciągana metafizyka, która w dodatku korzysta z nader uproszczonego, niesprawiedliwego obrazu całej naszej kultury.

W sprawie egzystencjalizmu zabrał też głos Adam Schaff w artykule pt. *Dlaczego egzystencjalizm stał się u nas modny (Nowa Kultura,* nr 38). Wydaje mi się, że artykuł ten posiada bardzo wielkie znaczenie, dlatego też chciałbym przytoczyć kilka jego głęboko trafnych twierdzeń.

Na wstępie autor określa historycznie „wybuch" egzystencjalizmu w Polsce i stwierdza, że nastąpiło to po roku 1956 — przedtem prąd ten w Polsce nie istniał. Rzeczywiście, niezależnie od warunków zewnętrznych, które nie sprzyjały importowi idei, trzeba powiedzieć, że nawet w latach 1945—48, a więc wtedy, gdy import ten był jeszcze względnie swobodny, egzystencjalizm, przeżywający we Francji właśnie swój okres heroiczny, u nas się nie przyjął i oprócz informacyjnych artykułów o nim nie znajdzie się śladów zainteresowania. Prof. Schaff nie zajmuje się bliżej przyczynami tego zjawiska. Wydaje mi się, że przyczyn tych należałoby szukać w specyfice polskich doświadczeń okupacyjnych, w których literatura odkrywała na własną rękę, najzupełniej samodzielnymi drogami, własne prawdy egzystencjalne: czyż swoistą odmianą egzystencjalizmu nie było wczesne pisarstwo Borowskiego, jak wykazał niedawno Grzegorz Lasota? Czyż „naga" poezja Różewicza, mówiąca o człowieku rodzącym się na nowo z elementarnych odruchów, z pierwotnych uczuć, nie była swoistą formułą czy „metaforą" owego „samostwarzania" egzystencjalistycznego?

Ale mniejsza o to. Wracajmy do wywodów Schaffa, który w dalszej części swego artykułu kreśli dzieje percepcji egzystencjalizmu przez dwa najatrakcyjniejsze prądy filozoficzne współczesności: marksizm i neopozytywizm. Obydwa te kierunki kwestionują zasadność egzystencjalistycznej problematyki. Problematyka ta odniosła jednakże swoiste zwycięstwo: rozeszła się po świecie, pozostała na placu bodaj w for-

mie mody literackiej i obyczajowej, zaś formalny protest neopozytywizmu i merytoryczny sprzeciw marksizmu zostały zdystansowane. Mówi następnie Schaff o tym, że w gruncie rzeczy marksizm wymijając problematykę egzystencjalistyczną nie był wierny swej własnej tradycji. „Marksizm nie posiada żadnych hamulców natury doktrynalnej *á la* neopozytywizm przeciw podejmowaniu zmonopolizowanej przez egzystencjalizm problematyki miejsca i roli jednostki ludzkiej. Wręcz przeciwnie, marksizm wyrastał genetycznie w dużym stopniu z tej właśnie sfery zainteresowań..." Wyjaśnia następnie Schaff przyczyny, dla których marksistowska praktyka filozoficzna zneglizowała tę problematykę, oddając pozycje egzystencjalizmowi. Otóż stało się to dlatego, że „związek marksizmu z ruchem robotniczym kazał marksizmowi koncentrować się na prawidłowościach rozwoju społecznego...". Później zaś „problematyką tą zawładnęły kierunki obce, nieraz wręcz wrogie marksizmowi, i przekształcały ją w narzędzie ideologicznej walki przeciw rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu... Odium tej walki przenosiło się na tę problematykę", i dlatego właśnie „powstała historycznie luka w problematyce filozoficznej marksizmu".

Prof. Schaff podkreśla raz jeszcze realność problematyki, którą podjął egzystencjalizm, i kreśli próbny obraz jej społecznej interpretacji. „Są bowiem pewne przeżycia i problemy dotyczące jednostki ludzkiej, które powtarzają się (np. zagadnienie śmierci i sensu życia) we wszystkich epokach, ale w pewnych okresach, w związku z powszechnym rozchwianiem się przekonania o stałości i pewności urządzeń społecznych, w związku z toczącą się walką i z towarzyszącym jej kryzysem moralnym i politycznym, w związku z koniecznością dokonywania wyboru w sytuacji, gdy ustalone tradycją kryteria tego wyboru pękają, ta sfera zagadnień zostaje wysunięta przez samo życie na jeden z pierwszych planów." Tym tłumaczy się rozgłos problematyki egzystencjalistycznej właśnie po drugiej wojnie światowej. Tym także tłumaczy się według autora napływ tej problematyki do Polski po roku 1956. Sprzyjał temu wstrząs polityczny związany z ujawnieniami wypaczeń minionego okresu, wstrząs, który miał poważne konsekwencje moralne u wielu jednostek. „To był realny i głęboki proces — pisze Schaff — który trzeba odróżnić od narosłych na nim nawarstwień wrogości, snobizmu, karierowiczostwa." „Czyż jest coś dziwnego, że wobec ujawnionych faktów... ci, którzy przedtem podporządkowywali się ślepo wszelkim zarządzeniom, gdyż wierzyli w ich słuszność, wysuwali teraz pytania na temat odpowiedzialności jednostki za jej czyny, na temat konfliktu między sumieniem i dyscypliną, na temat miejsca i roli jednostki w ruchach masowych... Nie, nie ma w tym nic dziwnego, jest to zjawisko zupełnie prawidłowe i zrozumiałe." Należało to nawet robić — zdaniem Schaffa — a ten, kto przed tą problematyką uciekał, łatwo może być posądzony o znieczulicę moralną. Nie jest też dziwne, że w tych właśnie momentach ludzie zwracali się po rozwiązanie tych problemów tam, gdzie je znaleźć mogli: nie do marksizmu więc, który je zneglizował i ominął, lecz do egzystencjalizmu. Zwraca tu uwagę Schaff na szczególną atrakcyjność i chwytliwość egzystencjalizmu Sartre'owskiego, którego ateizm oraz pewna postępowość społeczna stały się łatwe do przyjęcia dla ludzi lewicy. Stwierdzeniem, iż „nieobecni nigdy nie mają racji", kończy Schaff swój artykuł, który zdaje się być wstępem do większej pracy.

Wydaje mi się, że prof. Schaff sprowadził nareszcie sprawę egzystencjalizmu na właściwy, realny grunt, umieścił egzystencjalizm we właściwych ramach, umożliwiających jego przejęcie i zabsorbowanie. Nie jest to bowiem ani nowa religia, ani nawet nowa filozofia, lecz raczej pewien klimat, który wpływa na wysuwanie określonych zagadnień filozoficznych i moralnych, klimat historyczny, wyznaczający współczesnym filozofiom i literaturom określone zadania. Warto zresztą przypomnieć to, co sam Sartre pisał w artykule *Marksizm i egzystencjalizm* (*Twórczość*, nr 4/57). Sartre wyróżnia tam trzy wielkie okresy w dziejach filozofii: epokę Kartezjusza i Locke'a, epokę Kanta i Hegla oraz epokę Marksa. „Te trzy filozofie stawały się jedna po drugiej żyzną gleba, na której wyrastała każda inna myśl w owej epoce... Każda z nich jest nieprzekraczalna, dopóki moment historyczny, którego są wyrazem, nie został przekroczony. Żadna myśl antymarksistowska nie może być dziś niczym in-

nym, jak pozornym tylko odmłodzeniem myśli premarksowskiej... Ci, którzy przychodzą na świat po owych wielkich okresach w dziejach filozofii, którzy zabierają się do porządkowania systemu, do zdobywania za pomocą nowych metod źle dotychczas zbadanych lądów, którzy stawiają teorii zadania praktyczne i używają jej jako narzędzia burzenia i budowy, nie zasługują na miano filozofów... Tych względnych filozofów proponuję nazwać ideologami. A ponieważ mam pisać o egzystencjalizmie, powiem od razu, że uważam go za ideologię; jest to system pasożytniczy, żyjący na marginesie Wiedzy, który wpierw się jej przeciwstawił w imię przeżytej rzeczywistości, a który dziś usiłuje się do niej włączyć."

Byłoby dobrze, gdyby artykuł Sandauera o „polskim egzystencjalizmie" oraz rozpoczęty cykl artykułów Schaffa stały się powodem dyskusji szerszej, która by rozjaśniła nieporozumienia narosłe na tym problemie, zaniedbanym przez teorię, zanieczyszczonym przez dyletantów, zwulgaryzowanym przez publiczność.

Andrzej Kijowski

KILKA UWAG O BIBLIOTECE POWSZECHNEJ

Po ożywionej dyskusji na temat pozycji włączonych do Biblioteki Powszechnej na rok 1959 nastąpił długi okres ciszy. Wreszcie zaczęły ukazywać się pierwsze książki nowej serii, a jednocześnie Andrzej Braun w 31 numerze *Nowej Kultury* z 2 sierpnia br. zaproponował tytuły na rok 1960. Te fakty zachęcają do wznowienia dyskusji.

Przede wszystkim wydaje mi się rzeczą dziwną ograniczenie dotychczasowych rozważań tylko do propozycji tytułowych. Dyskutanci widocznie są przekonani, że wystarczy włączyć książkę do taniej Biblioteki Powszechnej, by dotarła do tzw. masowego czytelnika. Czynnik merkantylny odgrywa istotnie dużą rolę, ale bynajmniej nie decydującą. „Masowy" odbiorca wykupił zawrotne ilości egzemplarzy raczej drogich dzieł Sienkiewicza (głównie Trylogii), a wcale nie kwapił się do rozchwytywania ogromnej liczby tytułów wydawanych w cenie 2.40 zł bądź „dewaluowanych" do jednej złotówki. W tych samych pismach rozdzierano szaty nad przemiałem książek, ale jakoś nie zauważono, że z beletrystyki oddano na przemiał głównie pozycje tanich wydań Biblioteki RSW „Prasa"...

Cóż jest rzucającą się w oczy, charakterystyczną cechą książek Biblioteki Powszechnej? — Jednolita szata graficzna i jednolita cena. To jedyne chyba cechy wyróżniające tytuły tej serii. Adres książek jest ogólny, bardziej ogólny na przykład niż „Złotej Biblioteki" czy „Biblioteki Jaskółki". Obie tamte serie górowały nad Biblioteką Powszechną nie tylko taniością, ale głównie wyraźnym adresem. Posłowia, staranne przeważnie przypisy, ilustracje (to odrębne zagadnienie) wskazywały wyraźnie swojego czytelnika. Można wyjść z założenia, że piętnastoletnia edukacja tak podniosła poziom, iż powstała nowa baza czytelnicza, trudniejsza do sprecyzowania, anonimowa, ale niemniej rzeczywista. Tegoroczna seria Biblioteki Powszechnej do tych właśnie czytelników się zwraca. Seria ta służyć ma po prostu do czytania. Oczywiście, tomy Biblioteki Powszechnej nie lansują więc dawnych wulgaryzmów, ale same tytuły świadczą o tendencji zbudowania tej serii z pozycji wartościowych z różnego punktu widzenia — mamy tu przecież obok beletrystyki prace popularno-naukowe, a nawet *Słownik wyrazów obcych*. „Wszystko co najcenniejsze!" — to niepisana dewiza Biblioteki Powszechnej. A dla kogo? Jasne, że dla masowego czytelnika.

Adres Biblioteki Powszechnej?... To podstawowe zagadnienie powinno być punktem wyjścia zarówno dla doboru tytułów, jak i opracowania edytorskiego. Książki Biblioteki Powszechnej po-

winny stanowić atrakcyjną przynętę dla wszystkich. Czy trzeba ich wyszczególniać? A więc: wiejski i miejski nauczyciel, student, robotnik, majster fabryczny, chłop, inteligent, dosłownie wszyscy. Mówiąc po prostu, Biblioteka Powszechna powinna stać się serią masową. Dotarcie do nowych czytelników, zdobycie ich dla czytania, wyrobienie nawyku lektury — to program bardzo ambitny i... bardzo trudny do realizacji.

Zastanówmy się chwilę: 20 000 egzemplarzy, Jakżeż to mało! Biblioteka Powszechna musi podbić swych czytelników, każdy jej tytuł musi być oczekiwany przez co najmniej 100 000 mieszkańców odległych wsi i apatycznych miasteczek. Każda książka musi zachęcać do czytania — taka seria powinna więc działać na uczucie i wyobraźnię czytelnika, rozwijać jego szlachetne nostalgie kultury, ale nie powinna próbować szkolenia ideologicznego. Zrozumiały prymat celu społeczno-politycznego odbija się nie zawsze korzystnie na celach oświatowych. Już Biblioteka Prasy udowodniła, że prymat polityczny odstręczył czytelników od wielu cennych społecznie książek. Biblioteka Powszechna nie powinna popełniać tego samego błędu.

Wydaje mi się, że dopłacanie przez wydawnictwa poważnych sum do Biblioteki Powszechnej będzie w pełni uzasadnione tylko wówczas, gdy dotrze ona rzeczywiście do masowego czytelnika. Przecież nie będzie nieszczęścia, jeśli w najlepszych swych tytułach zostanie przechwycona przez węższy krąg inteligentnych czytelników, których i tak nie trzeba zachęcać do kupowania wartościowych książek sztucznym obniżaniem ceny. Tymczasem sprawa ta nie wygląda dobrze. Milcząco zgodzono się, że 75% nakładów Biblioteki Powszechnej nie dotrze do masowego czytelnika (z subskrybentami też nie jest sprawa prosta — przecież nie wiadomo, jaki procent spośród nich stanowią czytelnicy masowi) — a mimo to wydawnictwa do każdej pozycji dopłacają.

Zakładając, że do każdej pozycji Biblioteki Powszechnej wydawnictwo dopłaca jakąś tam ilość tysięcy złotych, trzeba sobie uświadomić, że ceny papieru i koszty drukarskie (bardzo wysokie!) zostały tak ustawione, iż na każdej prawie pozycji deficytowej w bilansie wydawnictwa Państwo zarabia w ostatecznym rachunku dość poważną kwotę. Z tego faktu nie zdają sobie sprawy publicyści, zabierający głos w sprawach upowszechnienia kultury, a przecież jest to problem o kapitalnym znaczeniu.

Tu leży źródło niemożności wydawania tanich serii naprawdę tanio, a jednocześnie z zyskiem dla wydawnictwa. Powodzenie tanich serii w krajach zachodnich (Anglia, Francja, NRF) tłumaczy się przede wszystkim inną kalkulacją. Posiadanie przez wydawnictwa własnych zakładów graficznych i równie skomplikowana jak jajko Kolumba zasada, że im większy nakład, tym taniej kosztuje produkcja arkusza książki, przynosi korzystne rezultaty zarówno dla instytucji wydawniczych, jak i dla wielotysięcznej rzeszy odbiorców tanich książek. U nas kalkulacja jest tak zbiurokratyzowana, że różnica 10 000 egzemplarzy w nakładzie książki wpływa minimalnie na koszt jej wykonania, a nakłady poniżej 10 000 egzemplarzy są z reguły deficytowe.

Sztywne, wysokie ceny za druk każdej pozycji bez względu na nakład, iście ferdydurkowska niemożność wykonywania dobrych matryc dla tytułów często wznawianych — oto niektóre z trybów machiny biurokratycznej, która utrudnia nawet najbardziej sensowne akcje upowszechniania kultury. Problem matryc wygląda dziś jak najbardziej autentyczny *circulus vitiosus*. Przecież przy zasadzie, że Biblioteka Powszechna przynosi głównie wznowienia, tytuły te powinny być drukowane z matryc, co wpłynęłoby decydująco na obniżenie kosztów drukarskich. Ale matryc (a ściślej odpowiedniej tektury na matryce) nie ma i w najbliższym czasie nie będzie pod dostatkiem. Plany wydawnicze ulegają w każdym roku poważnym cięciom, gdyż z powodu podwyższonych cen książek (przy walnej nieudolności personelu księgarń „Domu Książki") rynek nie może rzekomo wchłonąć dotychczasowej ilości tytułów. Pewna część książek mogłaby być tańsza, gdyby je drukowano z matryc, ale druk z matryc znacznej ilości tytułów spowodowałby przestoje linotypów i linotypistów, metrampaży, korektorów, kalkulatorów etc. — wobec tego lepiej każde wydanie za-

czynać *ab ovo*, obciążać każdy arkusz wydawanej po raz któryś z rzędu książki wszelkimi możliwymi kosztami, zużywać zupełnie niepotrzebnie drogie maszyny drukarskie, bo matrycowa kwadratura koła wyszła z orbity możliwości przemysłu poligraficznego...

Zagadnienie to nie wygląda wesoło, jednak mimo wszystko na pozycje Biblioteki Powszechnej powinny znaleźć się matryce. Wówczas może nawet cena 10 zł za tom dałaby się trochę obniżyć.

Szata zewnętrzna wydanych już tomów Biblioteki Powszechnej przedstawia się zupełnie zadowalająco. Dobry papier, estetyczna okładka (co prawda spotykam estetów, którym okładka zdecydowanie się nie podoba), a i same tytuły nie nasuwają większych zastrzeżeń. Miłą niespodzianką jest duże powodzenie Remarque'a. Można powiedzieć, że to swego rodzaju bestseller — zaobserwowano już sprzedaż tego tomu spod lady. Na przeciwległym krańcu stoi obecnie chyba *Żelazna kurtyna* Boguszewskiej. Kto wie, czy nie za wcześnie wydano tę pozycję w Bibliotece Powszechnej. Ale nie przesądzajmy sprawy — na to także chyba za wcześnie. Warto jednak zwrócić uwagę na powodzenie czy niepowodzenie poszczególnych tytułów, gdyż może to się okazać przydatne przy doborze tytułów na rok następny.

Andrzej Braun, wymieniwszy propozycje tytułowe na rok 1960, tak je rekomenduje:

„To nie ma być żadna lektura obowiązkowa, tak jak w szkole, czy też w jakimś sensie agitacyjno-propagandowa. To mają być książki czytane naprawdę dla przyjemności, za własne pieniądze".

Postulaty bardzo słuszne, szkoda tylko, że sam Braun nie bardzo liczy się z nimi — jego propozycje tylko częściowo zgodne są z powyższą rekomendacją, a przy tym nie wiadomo, dla jakiego czytelnika autor proponuje swoją listę. Dalsze wywody Brauna przynoszą różnych materii przemieszanie, co w pewnej mierze dezawuuje przytoczoną opinię o zaprezentowanych tytułach. Nie bardzo wiadomo, w imię czego Polacy mieliby zrezygnować z lektury Sienkiewicza, którego nie wyruguje i nie zastąpi ani *Dekameron*, ani bardzo już u nas spopularyzowany *Szwejk*. Propozycje Brauna obejmują tytuły z literatur Wschodu i Zachodu, utwory klasyczne rosyjskie, angielskie, francuskie, a nawet włoskie, a z literatury polskiej dwie antologie (współczesnej noweli i współczesnej poezji), *Przedwiośnie* i *Popiół i diament*. Nie ulega żadnej wątpliwości, że powieść Andrzejewskiego czy twórczość Żeromskiego należy popularyzować, lecz dla jakiego masowego odbiorcy przeznacza Braun Boccaccia? „Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba" — mówili już bardzo dawno ludzie światli. Braun jest trochę odmiennego zdania i uważa, iż do dawnej literatury, poza Żeromskiego, nie warto sięgać. Czyżby sądził, iż w naszym narodzie jest tak powszechna znajomość literatury klasycznej, że już nie trzeba jej przypominać? Wysokie wartości humanistyczne dostrzegł Braun tylko w obcej literaturze klasycznej, jednak mnie się wydaje, iż szeroki krąg naszych czytelników jeszcze długo będzie wolał czytać Prusa, sędziwego Kraszewskiego i innych klasyków pozytywizmu. Bo o próbie zlekceważenia dzieł Sienkiewicza nie warto dyskutować. Najpopularniejszy na świecie pisarz polski długo jeszcze będzie wywierał przemożny wpływ na własne społeczeństwo, a w tej chwili marzenia o rozwoju powszechnego czytelnictwa bez utworów Sienkiewicza należy chyba uznać za nierealne, tym bardziej że w kampanii oświatowej Sienkiewicz może oddać niewątpliwie największe usługi.

Jeżeli Biblioteka Powszechna ma stać się poważnym narzędziem (przepraszam za to okropne wyrażenie) w szerzeniu oświaty i zdobywaniu szerokich mas dla czytelnictwa, to — według mnie — propozycje tytułowe winny wyglądać nieco inaczej. W naszym piśmiennictwie dziewiętnastowiecznym można znaleźć wiele ciekawych książek, które warto przypomnieć szerokim kręgom czytelniczym.

Przy dwudziestu tytułach rocznie widzę jako program minimum Biblioteki Powszechnej: dziesięć książek polskich i dziesięć obcych. W części polskiej przynajmniej 7 pozycji powinna wypełnić literatura klasyczna,

gdyż z polskiej literatury współczesnej nie mamy za wiele tytułów do masowego upowszechniania (nie powinno się powtarzać błędów typu Hamery, Wilczka czy Boka), natomiast w części przekładowej można by dać więcej pozycji współczesnych. Dla ewentualnego zwiększenia ilości prenumeratorów nie wciskałbym do Biblioteki Powszechnej pozycji w rodzaju *Goyi* Feuchtwangera czy *Chrztu Polski* Dowiata — większą atrakcyjność widziałbym w organizowaniu np. kwartalnych losowań wśród prenumeratorów pewnej ilości cennych książek. Ale to już bardzo szczegółowe detale, nad którymi należałoby się zastanowić w jakiejś dyskusji, o ile Ministerstwo Kultury i Sztuki uzna ją za celową.

Tomasz Jodełko

W AUSTRII O POLSCE

Taki był właśnie cel mojej podróży do Austrii: zbadać, kto, co i kiedy napisał o Polsce. Przy czym nie chodziło mi o rzeczy odległe, powstałe przed pierwszą wojną światową, ale raczej o najnowsze, zrodzone w okresie ostatniego piętnastolecia. Nie interesowały mnie również wypowiedzi polityków, publicystów i dziennikarzy, zawarte w pismach ulotnych. Badania moje ograniczyłem do dziedziny literatury pięknej i o nich chciałbym tu przede wszystkim pomówić.

FRANZ TEODOR CSOKOR

Niewątpliwie jest to najbardziej zasłużony wobec kultury polskiej poeta, prozaik i dramatopisarz. Urodzony 6 września 1885 roku w Wiedniu, pochodzi ze starej rodziny austriackiej, której przodkowie ze strony ojca przywędrowali z Jugosławii, a ze strony matki — z Czech. Autor wielu wierszy, opowiadań i utworów scenicznych, słusznie może być dziś uważany za nestora literatury austriackiej, zaś jego droga życiowa i twórcza zarysowuje się wyjątkowo ciekawie i prostolinijnie. W r. 1933 na kongresie PEN-clubu w Dubrowniku wystąpił ostro przeciwko gwałceniu wolności słowa i myśli w Trzeciej Rzeszy. Nic też dziwnego, że kiedy w marcu 1938 Hitler sięgnął zaborczą dłonią po Austrię i dokonał Anschlussu, Csokor udał się na emigrację. Wybrał Polskę, gdzie miał (i ma dotychczas) wielu przyjaciół. Tutaj zastał go wybuch drugiej wojny światowej, którą przeżył jako cywil, uchodząc wraz z masami polskiej ludności z Warszawy do Lublina, a następnie przez Zaleszczyki do Rumunii, by w końcu wylądować we Włoszech. Z emigracji powrócił w r. 1946 i osiadł w swoim rodzinnym mieście — Wiedniu. Już od przeszło dziesięciu lat piastuje urząd prezesa PEN-clubu austriackiego, jest posiadaczem wielu nagród literackich i odznaczeń państwowych (m. in. dwu orderów polskich) za zasługi na polu zbliżenia kulturalnego między Austrią a Polską.

W r. 1936 z inicjatywy Csokora i w jego współprzekładzie i opracowaniu wystawiono w wiedeńskim Burgteatrze *Nieboską komedię* Zygmunta Krasińskiego, która stała się — jak świadczą zapiski prasowe z tego czasu — wydarzeniem artystycznym w skali europejskiej. W planach Burgteatru na rok 1960 przewidziano powtórną prezentację tego utworu, również w opracowaniu Franza Teodora Csokora. Przebywając po r. 1938 w Polsce, Csokor napisał dramat historyczny o królowej Jadwidze, który zamierzano wystawić na scenie a następnie sfilmować. Wybuch wojny przeszkodził zrealizowaniu obydwu zamysłów.

Wojna przeżyta w Polsce, ucieczka przez granicę rumuńską stały się tematem nowego utworu Csokora prozą, który ukazał się najpierw w Holandii pt. *Ein Zivilist im polnischen Krieg (Cywil w polskiej wojnie).* Niedawno Kurt Desch w Monachium wydał ją powtórnie, wraz ze wspomnieniami bałkańskimi pisarza, w książce pod wspólnym tytułem *Auf fremden Strassen (Na obcych drogach). Cywila w polskiej*

wojnie przełożono i wydano w Anglii *(The Civilian in Polish War)*, natomiast nie przetłumaczono i nie opublikowano do tej pory w Polsce. Muszę wyznać, iż kiedy Csokor ofiarowywał mi tę książkę w czasie wizyty w jego wiedeńskim mieszkaniu, odczuwałem coś w rodzaju wstydu, że żadne polskie wydawnictwo nie zainteresowało się jeszcze tą wzruszającą, pełną sympatii dla naszego kraju i narodu publikacją. Myślę, iż mamy obecnie doskonałą okazję po temu, by naprawić to zaniedbanie. Minęła właśnie dwudziesta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej i utwór Csokora, opisujący tragiczne wydarzenia wrześniowe w naszym kraju, stanowi jeszcze jeden ważki dokument historyczno-literacki. Tym cenniejszy, że spisany ręką sprawiedliwego, o czułym sercu, cudzoziemca.

GERDA HAGENAU

Spotkanie z Gerdą Hagenau miało dla mnie znaczenie szczególne. Oto bowiem w samym sercu Wiednia rozmawiałem z pisarką, która nie tylko świetnie włada polszczyzną, ale w dodatku urodzona jest w Łodzi (w której sam mieszkam już od lat dziesięciu). Przyznajcie, że niecodzienne to zdarzenie nie zostawiłoby nikogo, kto znalazłby się na moim miejscu, obojętnym.

Gerda Hagenau należy do młodej generacji pisarzy (rocznik 1920) i wydała do tej pory dwie rzeczy: zbiór opowiadań *Hinter goldenen Gittern (Za złotymi kratami)* oraz powieść *Lucyna Herz* (nie licząc rozsianych po czasopismach, lecz nie opublikowanych w osobnym tomiku utworów poetyckich). *Lucyna Herz* powstała — jak wyznaje sama autorka — z inspiracji wiersza Stanisława Jerzego Leca o tragicznym losie polskiej partyzantki. Przeżycia młodej dziewczyny, która chciała zostać pianistką i w tym celu wyjechała na studia do Paryża, jej powrót, po wybuchu wojny, przez Rosję do Polski, strata ukochanego, śmierć, dzieje wygnanego ojca, ukrywającej się matki — oto osnowa powieści. Utwór Gerdy Hagenau cechuje duże wyczucie polskiego klimatu (np. w opisie krajobrazu) i zajmująca narracja. Naturalnie nie mamy tu do czynienia z dziełem wybitnym. Ale jest to dobra, komunikatywna książka, która obcemu czytelnikowi ułatwia, przynajmniej w pewnej mierze, zrozumienie niektórych spraw polskich, ludzi i ich życia w kraju nad Wisłą. Powieść *Lucyna Herz* nie jest jedynym powodem naszego zainteresowania się pisarką i jej dziełem. Gerda Hagenau przygotowuje obecnie, na zamówienie Fischer-Verlag we Frankfurcie nad Menem, antologię współczesnej noweli polskiej. Tematem naszej rozmowy była głównie ta właśnie przygotowywana ostatnio praca. Co w ogóle wybrać do tłumaczenia? Jakich autorów? A które utwory Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Rudnickiego, Dygata?

Z tymi pytaniami zwraca się pani Gerda Hagenau do mnie. Wcześniej zwróciła się do wielu naszych pisarzy w kraju listownie. Niestety piękna tradycja odpisywania na listy upadła. Tylko niektórzy pośpieszyli z odpowiedzią i materiałami. A przecież od właściwego doboru tekstów zależy powodzenie tej książki na rynku austriackim i niemieckim. I trzeba by przyłożyć do tego ręki w naszym własnym interesie pisarskim i w interesie polskiej kultury.

Gerda Hagenau wyznaje: „Urodziłam się w Polsce, w Polsce chodziłam do szkół i spędziłam tam dzieciństwo i młodość. To mnie jakoś obliguje. Uważam sobie za obowiązek popularyzować literaturę polską wśród obcych czytelników. Jest to jak gdyby spłacanie długu zaciągniętego wobec waszego kraju. Zwłaszcza że czułam się tam dobrze i mile wspominam profesorów, którzy mnie uczyli".

W Gerdzie Hagenau pozyskaliśmy nowego przyjaciela i znawcę języka i literatury polskiej. Od nas w dużej mierze zależy, czy jej wiedza, zapał i entuzjazm wydadzą pełniejsze owoce w przyszłości.

ALEKSANDER LERNET-HOLENIA

Jak wielu Austriaków, również i Aleksander Lernet-Holenia, urodzony 21 października 1897 roku, jest pochodzenia mieszanego. Ojciec jego wywodzi się z Francji, matka — z zasiedziałej w Karyntii rodziny mieszczańskiej. Lernet-Holenia wiele podróżował po świecie, m. in. był w Polsce, a czas dłuższy przebywał w Ameryce Południowej. Pisze wiersze, dramaty, powieści i opowiadania. W r. 1926 otrzymał nagrodę im. Kleista, w r. 1951 — nagrodę miasta Wiednia. Wieloletni członek PEN-clubu, od paru lat jeden

z trzech głównych redaktorów miesięcznika *Forum*.

Aleksander Lernet-Holenia jest autorem powieści *Die Abenteuer eines jungen Herrn in Polen (Przygody młodego panicza w Polsce)*, która niedawno ukazała się ponownie w tzw. jubileuszowej serii książek u znanego wydawcy wiedeńskiego, Paula Zsolnaya. Utwór Holenii nie ma wysokich zamierzeń. W tej powieści, której akcja dzieje się w czasie pierwszej wojny światowej, nie chodzi o żadne skomplikowane problemy tego świata. Autor opowiada w niej, w sposób ciekawy, perypetie i przygody młodego oficera, Kellera, który na tyłach frontu dostaje się, w przebraniu dziewczyny, do majątku Lubieńskiego w Grochowie, pełni rolę służącej i popada w rozmaite, najczęściej przez niego samego zawinione, sytuacje, które i jemu, i otoczeniu dostarczają wiele uciechy, ale i nieco kłopotu. W utworze występuje kilka świetnie zarysowanych postaci, np. zarządca majątku Rutkowski i upadły szlachetka Zdzisław Zagórski, żyjący — jak sam powiada — „z odsetek bankowych", czyli nie wiadomo z czego.

Książka miała dobrą ocenę krytyki. Autor uchodzi w literaturze austriackiej za pisarza o wyróżniającej go plastyce słowa. *Przygody młodego panicza w Polsce* potwierdzałyby tę opinię. Powieść odznacza się pięknym, klarownym językiem, barwnością opisu i zwięzłością w charakteryzowaniu postaci.

O ile mi wiadomo, Aleksander Lernet-Holenia nie napisał nic więcej, co by miało jakikolwiek związek z naszym krajem. Ale już ten jeden utwór wystarczy, byśmy zwrócili uwagę na jego autora. Któreś z naszych wydawnictw winno zainteresować się *Przygodami młodego panicza w Polsce*.

MARTINA WIED

Niestety w czasie mego pobytu w Austrii nie mogłem spotkać się z Martiną Wied. Zmarła ona w r. 1956 przeżywszy lat 75. Urodzona 10 grudnia 1882 r. w Wiedniu w rodzinie adwokata, dra Józefa Schnabla, zaczęła publikować swoje utwory już jako uczennica gimnazjum (podobnie jak Hugo von Hofmannstahl) właśnie pod pseudonimem Martiny Wied, który następnie przybrała jako stałe nazwisko pisarskie.

Po studiach na uniwersytecie wiedeńskim (historia sztuki i filozofia) rozwinęła szeroką działalność literacką, wydając liczne tomy wierszy, dramaty i powieści. W r. 1924 otrzymała nagrodę Wiednia (wespół z Robertem Musilem i Richardem Billingerem). Po Anschlussie wyemigrowała do Anglii, gdzie w gimnazjum dla dziewcząt nauczała historii oraz języków francuskiego i niemieckiego. Do Wiednia powróciła w r. 1947. Na pięć lat przed śmiercią otrzymała państwową nagrodę literacką za najwybitniejszy swój utwór, 800-stronicową powieść *Die Geschichte eines reichen Jünglings (Historia bogatego młodzieńca)*, którą zaczęła pisać w r. 1928 w Zakopanem, ukończyła zaś dopiero w kwietniu 1943 r. w Glasgow. Bohaterem utworu jest młody student polski, Adam Leontiew, a akcja toczy się w Warszawie, Krakowie, Zakopanem oraz w małym miasteczku o symbolicznej nazwie Dymno. *Historia bogatego młodzieńca* to rozległa panorama lat międzywojennych, w której autorka odtwarza niepokój tamtego czasu i walkę człowieka pomiędzy dwiema tendencjami epoki: kapitalizmem i socjalizmem o zabarwieniu chrześcijańskim.

O powieści Martiny Wied, zupełnie w Polsce nie znanej, tak napisał jeden z wybitnych krytyków austriackich: „Oto mamy przed sobą książkę, którą zaliczyć trzeba do wielkich epopei dwudziestego wieku i która trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, co przecież nie zdarza się tak często. *Historia bogatego młodzieńca* była dla mnie historią Europy nie tylko w sensie symbolicznym".

Martina Wied jest autorką jeszcze innego, mniejszego utworu z bohaterem Polakiem: księgarzem krakowskim, zakochanym w tancerce wiedeńskiej. Wszelako księgarz ów odsuwa się od tancerki, a to dlatego, by nie zniszczyć związków małżeńskich. *Der Ehering* (1954) to ostatni przed śmiercią utwór Martiny Wied, która interesowała się Polską, pisała o niej z sympatią, zrozumieniem i niemałą znajomością rzeczy.

OTTO FORST DE BATTAGLIA

Starszemu pokoleniu pisarzy i historyków polskich nazwisko to jest dobrze znane. Otto Forst de Battaglia, ur. 21 września 1889 r. w Wiedniu, gdzie mieszka dotychczas, będąc tamże profeso-

rem uniwersytetu, pochodzi z rodziny polsko-węgierskiej, w której język polski, kultura i literatura polska otaczane były zawsze szczególnym sentymentem. Świadczy o tym dowodnie fakt, że Otto Forst de Battaglia mówi świetnie po polsku, równie dobrze włada polszczyzną jego syn Roger, a także uroczy dwunastoletni wnuczek.

Gruntowne wykształcenie i rozległe zainteresowania umożliwiły Battaglii napisanie szeregu dzieł z zakresu polityki, historii, ekonomii i literatury. Do dziś nie straciły znaczenia jego *Historie literatury francuskiej* (wyd. w r. 1925, 1928 i 1929), a z publikacji poświęconych historii Polski na specjalne wyróżnienie zasługuje pokaźnych rozmiarów rozprawa o Stanisławie Auguście Poniatowskim.

W jego bibliotece, liczącej trzynaście tysięcy książek, znajdują się również obfite zbiory polskich czasopism przedwojennych (*Pion, Wiadomości Literackie* i inne), pomnażane i wzbogacane zbiorami powojennych periodyków. Ma więc Otto Forst de Battaglia od lat stały kontakt z produkcją literacką Polski. Jest też dzisiaj w Austrii (i, być może, nie tylko w Austrii) jednym z najlepiej zorientowanych ludzi w historii literatury polskiej i historii Polski w ogóle. Toteż nie zdziwiłem się stwierdziwszy, że ze współpracy jego korzystają najwybitniejsze pisma austriackie, zachodnio-niemieckie, szwajcarskie, holenderskie. Czytałem na przykład jego esej o *Nocach i dniach* Marii Dąbrowskiej w zuryskiej *Die Tat*, który może stanowić przykład rzetelnej roboty krytycznej.

Battaglia pisze o kontaktach kulturalnych austriacko-polskich, o tematach polskich w literaturze niemieckiej, omawia najwybitniejsze zjawiska polskiej literatury, ogłasza recenzje książek i artykuły okolicznościowe o pisarzach polskich dawnych i obecnych.

Oczywiście nie wszystkie jego oceny i propozycje światopoglądowe są do przyjęcia, ale też nigdzie w tym, co o nas pisze, nie znalazłem rzeczy uwłaczających lub przykrych. Odnosi się on do kultury polskiej ze szczerym i głębokim zainteresowaniem, żeby nie powiedzieć — z miłością.

UWAGI KOŃCOWE

Pora na tzw. wnioski. Właściwie miałbym tylko jedną uwagę generalną. Otóż należy stwierdzić, że wysiłkom ludzi wyżej opisanych nie towarzyszy z naszej strony, po pierwsze: znajomość ich pracy i dorobku, a po wtóre: pomoc w ułatwianiu im tego, niełatwego przecież zadania. Uskarżamy się ciągle na to, że literatura nasza na Zachodzie jest za mało znana, a jednocześnie robimy niewiele, by dopomóc tym, którzy z własnej woli chcą ją popularyzować i rozpowszechniać. Prawda, attachat kulturalny naszej ambasady w Wiedniu pracuje nieźle, ale nie można spychać wszystkiego na barki jednego czy dwu pracowników. Nasze krajowe związki i instytucje literackie i kulturalne miałyby tu wdzięczne pole do inicjatywy. Niechże spróbują!

Jan Koprowski

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

Anglia

LONDON MAGAZINE (sierpień). Angielskie miesięczniki zgotowały nam iście wakacyjną niespodziankę: wcale się nie ukazały. Trwający sześć tygodni strajk drukarzy, „dyskusja" z drukarzami, jak się to delikatnie nazywa, zamroził numery gotowe do druku ku wielkiemu ubolewaniu szczycących się swą punktualnością wydawców. *Twentieth Century*, który nie zdołał już ukazać się w lipcu, wypuścił w sierpniu zeszycik objętości obecnych *Lettres Nouvelles*, po prostu jako *act de présence* dla uspokojenia stałych prenumeratorów. Przer-

wa spowodowała „korek" i dalsze zakłócenie rytmu; powrót do normy zapowiadany jest dopiero od października. Źle się dzieje, kiedy Anglicy zaczynają wątpić w swoje najbardziej istotne tytuły do chwały. John Lehmann z goryczą zauważa, że strajk „przypomniał nam, iż nie tylko w totalitarnych krajach życie intelektualne może być sparaliżowane a książki i periodyki uniedostępnione czytającej publiczności — a nawet zabite na dobre — na rozkaz kilku przywódców". Także z angielską poezją nienajlepiej; stagnacja i „konsolidacja" to jedyne wskaźniki dla lat pięćdziesiątych. Brak eksperymentów, które, chociaż zwykle zarzucane wpół drogi, były czynnikiem pobudzającym. Zamieszczone w numerze wiersze, z tego dwa przekłady z greckiego i niemieckiego oraz blade utwory Polki z pochodzenia, Zofii Ilińskiej, ilustrują zanik rodzimej inwencji. Natomiast proza (ulubioną formą prezentacji krótkie opowiadanie) bardziej urozmaicona; same nowe lub prawie nowe nazwiska. Pokazani pisarze nie mają więcej niż 25 lat. Są to Zygfryd Lenz, wybijający się pisarz zachodnio-niemicki, Colin Spencer, pisarz i malarz w jednej osobie, i najmłodsza z tego grona, Valery Avery, która mając lat szesnaście otrzymała nagrodę *Spectatora*. W *Sprawie miesiąca* zasłużony weteran poezji, Herbert Read, żywo zareagował na drukowaną w *Encounterze* prelekcję P.C. Snowa *Dwie kultury*. Żaden prawdziwy intelektualista nie jest wrogiem nauki, z nieufnością natomiast odnosi się do technologii, która eksploatuje zdobycze nauki dla celów materialnych. Deklarując się jako „intelektualny luddysta", Read oświadcza: „Tak jak Ruskin i Morris, Thoreau, Emerson, Lawrence i inni »ludzie uczuć«, dla których (Sir Charles Snow) nie ma nic prócz pogardy, wierzę, że rewolucja technologiczna jest klęską, która musi skończyć się eksterminacją ludzkości... Życie — żywotne źródło woli życia — nie zależy od komfortu czy nawet »zdrowia, pożywienia, oświaty«. Polega ono na zdolności zrozumienia, twórczej wyobraźni, a więc zdolności, które z braku używania ich w cywilizacji zmechanizowanej skazane są na śmierć". Rewolucja naukowa nie jest dość naukowa, jeżeli nie bierze tego pod uwagę. Numer uzupełnia szkic Malvina Seidena o teatrologii F. Madoxa Forda i ciekawy dział recenzji.

THE TWENTIETH CENTURY (sierpień). Sprawą młodzieży *(teenagers)*, ze szczególnym uwzględnieniem *teddy boys*, znajmują się artykuły Bryan Wilsona, socjologa, i małe studium młodzieżowej mody Colin MacInnesa, pisarza, który znajomość tego tematu zademonstrował w ostatniej swej książce pt. *Absolutni nowicjusze*. Zdaniem Wilsona młodzież, najbardziej żywotna i zarazem najbardziej wrażliwa część społeczeństwa, w największym stopniu ponosi nieprzewidziane koszty społecznego postępu. Po alienacji w stosunku do środków produkcji nastąpiła alienacja w stosunku do samej pracy i postępujący proces alienacji psychicznej. Etyka pracy ustąpiła miejsca etyce sukcesu. Nowy typ alienacji kieruje uwagę w kierunku rozrywek; udaremniona energia szuka zastępczego upustu, wyżycia się w nowości, sensacyjności, wulgarnych wybrykach z jednej, ucieczce od rzeczywistości z drugiej strony. Charakterystyczny dla tej postawy hedonistycznej jest stosunek do mody. Młodzież staje się najpoważniejszym odbiorcą mody, klientelą, która determinuje smak, sama będąc niedokształconą i pozbawioną smaku. Colin MacInnes daje zumiewającą w szczegółowym rozeznaniu ekspertyzę nowoczesnego dandysa (rodzaj żeński potraktowany jest tylko w ogólnej sylwetce). Wyrażona w cyfrach rewolucja ubraniowa *„teenagers"* idzie w setki milionów rocznie. Jest coś z lekka odrażającego w tej obsesji swoistej rewii mód, spędzaniu całych godzin u fryzjera i wydawaniu milionów funtów na kosmetyki, locjony po goleniu i pachnidła.

Na uwagę zasługuje artykuł Len Orzena o młodych pisarzach muzułmańskich z północnej Afryki, którzy, należąc równocześnie do swego narodu i do francuskiej cywilizacji, muszą rozwijać się pod tym podwójnym ciśnieniem. Na francuskiej scenie literackiej zarysowuje się już nowa szkoła pisarzy afrykańskich, szkoła buntu, chociaż nie nienawiści. Dzięki francuskiemu wykształceniu mogli oni dać głos narodowi milczącemu od czasów średniowiecza. Czterech z nich otrzymało francuskie nagrody literackie. Za najbardziej oryginalnego uchodzi Malek Haddart. Jego książka *La Dernière Impression* była tłumaczona na polski.

John Raymond z dużą indygnacją omawia obejmujący ostatnie dziesięcio-

lecie (1941—1950) zeszyt *Dictionary of National Biography*, założonego w 1882 panteonu brytyjskich wielkości. Kiedyś słownik biograficzny był prawdziwą chlubą swoich założycieli. Było to przedsięwzięcie całkowicie wolne od panegiryzmu i literackiego kumoterstwa. Dziś jest zupełnie inaczej. Niestety, zmarli nie mogą się bronić.

John Wain w poprzednim numerze zaczepił sprawę przeszczepiania na grunt angielski amerykańskiej mody łączenia jazzu z poezją i wyraził zdumienie, że reklamiarskie chwyty beatników zostały potraktowane na serio tak dalece, iż Royal Court udzielił im swej sceny. W bieżącym numerze obszernie na ten temat wypowiadają się „winowajcy", Christopher Logue i Charles Fox. Logue dowodzi, że unikanie eksperymentu prowadzi do dekadencji. W próżnię powstałą w angielskiej poezji na skutek zramolenia Pounda i Eliota, odcięcia Audena i Spendera oraz milczenia Barkera i Grahama weszła ugłaskana poezja pana Larkina *and Company*. Zażegnać tę klęskę może tylko związek przedmiotu z żywym doświadczeniem i zmiana techniki. Łączenie jazzu i poezji jest zaledwie w stadium skromnych początków, Logue widzi jednak w tym ogromne możliwości. Charles Fox, redaktor działu muzyki jazzowej i ludowej w *The Gramophone*, sam poeta, który ostatnio współpracował przy koordynacji muzycznej *Red Bird Dancing on Ivory* i *Jazzetry*, pisze o technice łączenia jazzu z poezją. Muzyka ma służyć tylko dla podkreślenia nastroju, nie ma własnej autonomiczności. Związek ten ma długie tradycje europejskie, sięgające chórów tragedii greckiej. W okresie renesansu muzyka usunęła poezję na plan drugi. Myśl ta jednak ciągle powraca, aby tylko wspomnieć Brechtowskie *Sprechsang*, Ramuz-Schoenberga *Pierrot Lunaire* i Strawińskiego *Histoire du Soldat*. *Red Bird Dancing on Ivory*, nadane w trzecim programie BBC i *Jazzetry* wystawiona w Royal Court Theatre kontynuują tę tradycję.

Sierpniowy ENCOUNTER pozwala sobie zaatakować BBC, „brytyjską mentalność w jej najlepszej postaci". Atakuje Henry Fairlie, cięty dziennikarz z *Daily Mail*, o którym R.H.S. Crossmann powiedział, że ma prawo pierwszeństwa do tytułu *„angry"*. Oryginalność jego polega na głoszeniu poglądu, że demokracja zamiast czynić życie bardziej demokratycznym, coraz bardziej ogranicza naszą wolność. Jest rzeczą fascynującą śledzić, jak BBC, rozwijając się niewidocznie niby rafa koralowa, stworzyło własne społeczeństwo, własny rytuał i styl. Henry Fairlie usiłuje zburzyć legendę o niezależności BBC i opierając się na cytatach z 500-stronicowej autobiografii twórcy brytyjskiego radia, Reitha, dowodzi, że w gruncie rzeczy BBC jest jednym z filarów brytyjskiego „Establishmentu". Rola jego polega na niwelowaniu wszelkich różnic za pomocą „łagodnej perswazji" i płukania mózgu w sposób niewidoczny. Właściwa misja BBC to „cierpliwe ścieranie kanciastych opinii, jak fale na wybrzeżu w czasie przypływu i odpływu kształtują skały i kamienie w gładkie, krągłe kamyczki...". Nie reprezentując żadnych interesów, rości sobie pretensje do bezinteresowności.

Interesująca *Chińska podróż*, reportaż z Chin Alfreda Fabre-Luce, kronikarza *Journal de la France*, którego nazwisko często spotykamy na łamach *N.R.F.* i *Le Monde*. W ostatnich czasach trasę tę przemierzyło wielu podróżników, usiłujących podpatrzyć budzącego się olbrzyma. Te próby, mimo że często przypominają powtarzanie tego samego rysunku, nakreślonego przez poprzedników, są ciągle fascynujące dla naszego europejskiego doświadczenia.

Colin MacInnes, o którym już była mowa, zamieszcza fragment końcowy mającej się niebawem ukazać książki *Absolutni nowicjusze*. Jest to pierwsze odbicie w prozie literackiej rozruchów rasistowskich, których bohaterami byli angielscy *„teddy boys"* w Notting Hill Gates rok temu. Jest to proza nie mniej „dokumentarna" niż drukowany w *Encounterze* w grudniu 1958 roku analityczny szkic Dana Jacobsona *After Notting Hill*. Znakomicie pokazane środowisko młodzieży, ich sposób bycia, a zwłaszcza język.

J. P. Taylor, profesor historii w Oxford, porusza sprawę przepisu, zakazującego korzystania z archiwów przed upływem pięćdziesięciu lat, co dotyczy nawet zbiorów prywatnych. Hiszpania nie pozwala na badanie dokumentów mających mniej niż sto lat, to samo Watykan. Z jaką jest to szkodą dla współczesnej nauki, nie trzeba wyjaśniać. — O tym, że dwadzieścia lat upłynęło już od wybuchu wojny, przypomina

Paul Ignotus szkicem wspomnieniowym *Na wygnaniu w Londynie*. Po drukowanym w numerze czerwcowym studium Caroliny Freud *(The Baetnik)* wykład samego wodza, Jacka Kerouaca, przeznaczony dla studentów nowojorskich. Z historycznych początków *beat generation* dowiadujemy się, że *On the Road* została napisana już w 1941 i mimo że jeden z wydawców ocenił ją jako dzieło na miarę Dostojewskiego, musiała czekać na swój moment. Dziś sprawa *beat* jest przedmiotem troski socjologów, co nie przeszkadza im, a może nawet pomaga w robieniu kariery w prasie, radiu i telewizji. Niestety, język, jakim to pokolenie zaznaczyło swoją odrębność, jest tylko dla wtajemniczonych. W dziale informacji V. S. Pritchet pisząc o przeróbce scenicznej *Ulissesa* Margaret Barkentin określa ją jako „najlepszą rzecz, jaką Londyn oglądał od czasu, kiedy teatr zaczął preparować książki na użytek sceny". Dyskusja nad artykułem Snowa *Dwie kultury* w pełnym toku. Głos zabierają takie asy, jak Bertrand Russell, Walter Allen, Dawid Riesman, Sir John Cockroft i in. Zagadnienie konkretyzuje się coraz bardziej na konieczności wprowadzania zmian w systemie nauczania. Jakie jednak mają być te zmiany, co dodać, a z czego zrezygnować, nikt nie potrafi określić.

at

Francja

Wrześniowy zeszyt NOUVELLE REVUE FRANÇAISE, gdyby nie data wydania, nie świadczyłby jeszcze o zakończeniu okresu kanikuły. Proza Alain Robbe-Grilleta *Klęska pod Reichenfels* (fragment nowej powieści *Labirynt)* jest dziwaczna i niezbyt ciekawa, wiersze Jean Laugiera (chyba debiut) tylko ładniutkie, Jouhandeau jak zwykle trochę zabawny i bardzo denerwujący. W pierwszej części zwracają jedynie uwagę rozważania Alfreda Fabre-Luce, głośnego prawicowego publicysty, ongiś kolaboranta, pt. *Nowy satelita*. Fabre-Luce dowodzi, że podbój przestrzeni międzyplanetarnych musi w efekcie zjednoczyć całą ludzkość, doprowadzić do zatarcia różnic i zaniknięcia waśni pomiędzy ludźmi, narodami, systemami społecznymi i obozami. Proces uniformizacji jest już dość zaawansowany — twierdzi — i na poparcie swoich twierdzeń przytacza różne, często zabawne, przykłady. Interesująca recenzja Jaccotteta o *Sztuce poetyckiej* Caillois. Wspaniałe przekłady trzech wierszy Williama Blake'a (tłumaczył Yves Denis).

Ciekawy numer PREUVES. Dobre opowiadanie Jean Bloch-Michela *Inne*, bardzo interesujące rozważania Georges Friedmanna o polityce rolnej Chruszczowa, żywy i zajmujący dziennik podróży do Stanów Jean Daniela. Ciekawy też, ale bardzo antypatyczny, fragment opowiadania Stephena Spendera *Pisarz zaangażowany*. Spender napisał to opowiadanie na kanwie spotkania Wschód-Zachód zorganizowanego w 1956 roku w Wenecji przez Société Européenne de Culture i sportretował w nim (a raczej skarykaturował) wybitniejszych uczestników tego spotkania: Sartre'a, Merleau-Ponty, Silonego, Iwaszkiewicza, Fiedina, Campagnola. Fragment opublikowany w *Preuves*, dotyczący Sartre'a i Merleau Ponty'ego, dowodzi, że szyderstwo jest łatwe, ale też, że nie każdy, jak niegdyś Vauvenargues, potrafi szydzić mądrze.

Nuda wieje z LA TABLE RONDE, gdzie poza jednym dobrym opowiadaniem południowo-amerykańskim (Julio Cortazar: *Circé*) nie ma dosłownie nic do czytania. Stwierdzam, że jest dużą przyjemnością dla recenzenta, gdy bardzo antypatyczne pismo jest w dodatku bardzo niedobre.

Z żalem to samo da się powiedzieć o MERCURE DE FRANCE, bo to pismo, na odmianę, jest bardzo sympatyczne. Niestety, coraz w nim mniej do czytania. W ostanim numerze interesujące słuchowisko Claude Aveline'a, poświęcone Petrus Borelowi, przyjacielowi Nervala, zapomnianemu romantykowi francuskiemu, pretensjonalny poemat Alain Bosqueta *Drugi Testament*

i wspominki o Paul-Jean Toulet. Szkoda, że tylko tyle.

Interesujący znów i bogaty jest wrześniowy zeszyt ESPRIT. Redakcja rozesłała tekst ankiety na temat demokracji, na którą odpowiedziało przeszło trzydziestu polityków, działaczy związkowych i naukowców. Pytania brzmiały: 1. Czy sądzi pan, że demokracja jest nie do pogodzenia z metodami rządzenia państwem współczesnym? 2. Czy uważa pan, że Francuzi żyją jeszcze w ustroju demokratycznym? 3. Co wydaje się panu zasadniczą podstawą demokracji? 4. Jakie widzi pan sposoby odrodzenia demokracji we Francji? Uwagę zwracają odpowiedzi Pierre Mendès-France'a, Huberta Beuve-Méry (redaktora naczelnego *Le Monde*), Edgara Morin, Pierre Lebruna (sekretarza C.G.T.), Davida Rousset, wreszcie Amerykanina, Nicholasa Wahla, profesora w Harvard. Ten ostatni stawia zaskakującą tezę, że demokracja francuska dlatego przeżywa ostatnio okres całkowitego załamania, że zawsze była demokracją deklaratywną, niejako intencjonalną, a nie wymagała od obywateli, na wzór anglosaskiej, prawdziwego, szerokiego uczestnictwa we władzy. Na treść numeru składają się ponadto artykuły członków ekipy redakcyjnej *Esprit*, m. in. Domenacha o definicjach demokracji i Brindillaca o demokracji w Stanach Zjednoczonych. Z przytoczonych przez Domenacha definicji warto zacytować jedną, której autorem jest prof. Lacroix: „Demokratą nie jest ten, co wiecznie przeciwstawia się władzy, ale ten, co zazdrośnie czuwa nad tym, aby władza polityczna nie przerodziła się nigdy w duchową".

Dwudziesty siódmy numer kwartalnika DIOGÈNE chyba słabszy od poprzedniego, omawianego w naszym przeglądzie. Amerykański profesor White snuje mętne rozważania na temat związków cywilizacji (czytaj kultury) z polityką zagraniczną, a Niemiec, Marius Schneider, rozprawia równie mgliście na trzydziestu wielkiego formatu stronach o duchu muzyki i narodzinach symbolu. Natomiast bardzo interesujący jest szkic socjologiczno-ekonomiczny Isnarda o roli, jaką uprawa latorośli winnej odegrała w kolonizowaniu Algeru, a także esej belgijskiego uczonego Van Egtena o nowych drogach ludzkiego poznania: automacji i cybernetyce. W sumie jednak numer dość jałowy.

Nie można tego powiedzieć o podwójnym zeszycie CRITIQUE za sierpień-wrzesień, którego plon jest tym razem niezwykle obfity. Najinteligentniejszy z krytyków francuskich, Roland Barthes („ja go nie rozumiem, pisał kiedyś z podziwem Mauriac, i nie jestem pewny, czy on sam siebie zawsze rozumie, ale to bardzo mądre, co on pisze"), analizuje w kapitalnym eseju sławną powieść Queneau *Zazie dans le métro*. Dowodzi, że nie jest ona ani tak błaha, ani tak okrutnie „seriozna", jak usiłowała wmawiać czytelnikom nieco zdezorientowana krytyka. Wyczerpujące studium Attala o angielskich siedemnastowiecznych poetach metafizykach ani zdawkowy artykuł Dune'a o twórczości Rotha nie budzą naszego entuzjazmu, ale już duże zainteresowanie budzi studium Roudauta o roli zamków feudalnych w „czarnej powieści" na przykładzie Walpole'a, Anny Radcliffe, Lewisa, Potockiego i Maturina. Mimo irytującej często maniery freudowskiej („zbudowanie zamku jest afirmacją męskości, że nie wspomnę już nawet o jego fallicznym kształcie" itp. bzdury) zawiera wiele interesujących spostrzeżeń. W następnym szkicu wybitny filozof francuski, Jean Wahl, w sposób niezwykle ugrzeczniony i niesłychanie kurtuazyjny, choć nie mniej perfidny, rozkłada dzieło innego wybitnego filozofa, Etienne Gilsona, z dziedziny estetyki pt: *Malarstwo i rzeczywistość*. Sytuacja o tyle pikantna, że obydwaj profesorowie widnieją na pierwszej stronie pisma jako członkowie kolegium redakcyjnego. Wnikliwy i głęboki, a także łatwo czytelny, co nie zawsze idzie u niego w parze, szkic Georges Bataille'a *Religia prehistoryczna* stanowi chyba *clou* numeru. Jest to o wiele więcej niż zapowiedziane w nagłówku omówienie pracy Johannèsa Maringera *Człowiek prehistoryczny i jego bogowie*, właściwie mały traktat filozoficzny o pochodzeniu religii. „W pośrodku naszej egzystencji — pisze Bataille — znajdujemy dziedzinę chaosu, ziejącą pustkę, przysłoniętą ekstatyczną gadaniną. Znajdujemy sztukę i znajdujemy poezję, znajdujemy także obfitość różnych religii. Ale nie ma człowieka, co by wiedział, czym jest sztuka. Czy poezja. Nie ma takiego, co by potrafił wy-

tłumaczyć, czym jest religia... Każdemu z nas wydaje się, że wie, ale przecież najwyższy czas uświadomić sobie wreszcie szczerze i po prostu tę tragiczną i komiczną zarazem prawdę: nikt nic o tym nie wie, absolutnie nic." Do nielicznych, którzy może jednak coś wiedzą, zalicza się Georges Bataille.

Doszedł nas, w momencie gdy oddajemy do druku ten przegląd prasy, pierwszy po letniej przerwie numer LETTRES NOUVELLES. Poświęcony jest prawie w całości pamięci młodo zmarłego pisarza, Jeana Reverzy'ego. (Jego opowiadanie *Straty* znajdą czytelnicy w następnym numerze *Twórczości.)* Umarł w wieku lat czterdziestu pięciu, ledwo rozpocząwszy swą karierę literacką, zdążywszy napisać trzy książki *(Le Passage, Place des Angoisses, Le Corridor)* i ogłosić kilka opowiadań. Pisarz monotematyczny, obsesjonalny, nie mógł wyzwolić się od myśli o śmierci, własnej śmierci — był lekarzem i wiedział, że jest śmiertelnie chory — i całe jego dzieło jest jak gdyby próbą zapisania, przekazania nam jakiejś tajemnej wiedzy o tym, co się z człowiekiem dzieje, gdy umiera. Przejmujący, surowy, pozbawiony wszelkiej literackiej kokieterii ton jego książek nie mógł zyskać mu szerokiego rozgłosu, chociaż, ku własnemu jego zdumieniu, *Le Passage* uzyskał w 1954 roku nagrodę Renaudota i co za tym idzie przeszło sto tysięcy czytelników. Ale w pamięci tych, co znali go bliżej lub mieli sposobność się z nim choćby pobieżnie zetknąć, zostawił ślad niezatarty. Piszą o tym w ostatnim numerze *Lettres Nouvelles* Maurice Nadeau, Charles Juliet i Jean Douassot, poza tym numer przynosi dwa ciekawe inedita Reverzy'ego. Wywiad z trzema młodymi powieściopisarzami, zapoczątkowujący kampanię prasową, która zawsze poprzedza przyznanie dorocznych nagród literackich, bardzo nieciekawy. Urocze są natomiast i prześlicznie przełożone (coś się jednak w tej Francji zmienia!) wiersze E. E. Cummingsa, amerykańskiego poety nie pierwszej już młodości (sześćdziesiąt pięć lat!). Wierszy tak świeżych, niby naiwnych, a po prostu mądrych, wierszy tak młodzieńczych dawno nie zdarzyło mi się czytać w kraju, gdzie gołowąsi debiutanci dosiadają Pegaza z sapaniem i stękaniem brzuchatych pięćdziesięciolatków.

jl

Niemcy

NEUE DEUTSCHE LITERATUR, Nr 8, sierpień. Na wstępie Erwin Strittmatter, przewodniczący Związku Pisarzy Niemieckich (NRD), publikuje uwagi o ostatnim zjeździe radzieckich pisarzy w Moskwie, w którym uczestniczył jako delegat swojego związku. Z prozy Anna Metze-Kirchberg drukuje fragment swojej powieści *Dzieciństwo biednych,* a Marta Weber nowelę *Moja prababka.*

Pismo drukuje wywiad z Anną Seghers, która opowiada o tematyce i sposobie pisania swojej najnowszej powieści *Decyzja.* Akcja książki, która dopiero co pojawiła się na rynku księgarskim, dzieje się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w latach 1947—1951. „Moim głównym zadaniem — wyjaśnia autorka — był zamiar pokazania, jak przełom, który dzieli ludzkość na dwa obozy, wywiera wpływ nawet na najbardziej prywatne, najintymniejsze sfery naszego życia: miłość, małżeństwo, zawód nie mogą ominąć wielkiej decyzji, podobnie jak polityka i gospodarka. Nikt nie może się uchylić, każdy staje przed pytaniem: po czyjej stronie, przeciwko komu jesteś? — To chciałam pokazać na przykładzie różnych losów ludzkich."

Fabuła powieści, dowiadujemy się, uwzględnia autentyzm wydarzeń i rozwoju życia we wspomnianym czasie, jednakże postacie, epizody są wymyślone. Pisarka rozpoczęła pracę nad książką w roku 1954, lecz choroba zmusiła ją do przerwania pisania, do którego powróciła dopiero w roku 1957. Autorka uważa powieść za pierwszy tom wielkiego cyklu. Na razie pracuje nad nowelą, której akcja toczy się na Antylach na Oceanie Atlantyckim.

Dużą część numeru zajmuje seria utworów pod tytułem *Rzeczywistość zachodnio-niemiecka.* Są to wiersze i krótkie nowele mniej znanych lub

prawie nieznanych autorów NRF młodszego pokolenia, którzy interesują się tematyką społeczną. Zeszyt zamykają recenzje bieżących nowości wydawniczych NRD, uwagi, glosy i notatki polemiczne.

MERKUR, Nr 139, wrzesień. Literaturę piękną reprezentują tylko wiersze utalentowanego poety Heinza Piontka oraz tłumaczona z angielskiego nowela Tani Blixen *Płaszcz*. Tomasz Malonado pisze o kryzysie pedagogiki i filozofii wychowania, a Martin Buber o pejzażach izraelskiego malarza, Leopolda Krakauera.

Ernst Jünger podejmuje wątpliwej wartości próbę rehabilitacji astrologii i mistycznego myślenia w artykule o tasiemcowej nazwie: *Czas wymierny i czas losu, z rozmyślań nieastrologa o astrologii*. Rozmyślania te zmierzają do tego, by zapewnić astrologii i „horoskopicznemu" myśleniu równe prawa z naukami ścisłymi. „Walka uczonego przeciw astrologii — pisze autor — podobna jest do ataku na wiatraki." Nauki ścisłe są wcieleniem logiki, konkretnej wiedzy, natomiast astrologia — wywodzi Jünger — uosobieniem abstrakcyjnej wiedzy i mądrości. Jünger jest przerażony olbrzymim rozwojem nauk przyrodniczych i postępem techniki, toteż szuka odpoczynku na łonie astrologii, jako że „horoskop jest symbolem zegara świata".

O wiele ciekawiej przedstawia się dział recenzyjny, w którym zabiera głos kilku znakomitych krytyków. O ile u nas istnieje skrupulatnie przestrzegany podział na recenzentów i krytyków, i ci ostatni niechętnie schodzą z wyżyn wielkiej krytyki na niziny bieżącej recenzji, o tyle w Niemczech teoretycy literatury, autorzy wielu dzieł i rozpraw, z przyjemnością urozmaicają sobie czas relacją o bieżących nowościach wydawniczych. Tym razem piszą więc Hermann Wein, Gerhard Hering i Curt Hohoff, recenzując nową monografię o Kafce (Emricha), utwory poety Gottfrieda Benna i kilka współczesnych powieści.

NEUE DEUTSCHE HEFTE, Nr 62, wrzesień. Podtytuł pisma brzmi: *Przyczynki do europejskiej teraźniejszości*. Tym razem redakcja idzie o wiele dalej, bo uzupełnia owe przyczynki relacjami z innych kontynentów. Walter Bauer drukuje reportaż o Kanadzie, jest też artykuł o sytuacji współczesnej literatury w Indiach, a amerykańską prozę reprezentuje nowela Trumana Capote. Mimo to nie zapomniano o Europie. Joachim Günther dzieli się wrażeniami z podróży po Jugosławii, a wiedeński krytyk teatralny publikuje szkic o świetnym i u nas zupełnie nieznanym aktorze i komediopisarzu austriackim, Ferdynandzie Raimundzie, który działał i tworzył w pierwszej połowie minionego stulecia.

Z esejów zachęca tytułem praca Volkmanna-Schlucka pod tytułem *Sztuka i inteligencja*. Jest to w gruncie rzeczy próba uchwycenia istoty sztuki abstrakcyjnej. Rzecz jest, prócz tytułu, bardzo niezrozumiała, najeżona dziwaczną terminologią i zawiłym rozumowaniem, przez które trzeba się przedzierać jak przez zasieki z drutu kolczastego.

Dział recenzyjny zawiera czternaście pozycji. W Polsce rozlegają się tu i ówdzie skargi, że przekłady z literatury obcej przytłaczają ilością nowości rodzime. W zachodnich Niemczech liczba obcych tytułów obejmuje ponad osiemdziesiąt procent wydawnictw beletrystycznych, co widać również w rubryce recenzji niniejszego pisma. Na jego pochwałę trzeba dodać, że artykuły krytyczne są na ogół krótkie, treściwe i jasne.

Numer zamykają wywody Ulricha Gregora: *Niemiecki film między Scyllą i Charybdą*. Zachodnio-niemieckiej produkcji kinematograficznej dostaje się tutaj ile wlezie. Autor mówi o „nieszczęśliwej skłonności niemieckich dramatów filmowych do wymyślonej i sztucznej tematyki albo do najbardziej płaskiej banalności" i kończy konkluzją: „Pseudo-głębia lub banalny konformizm — oto w rzeczywistości dwa bieguny, pomiędzy którymi jeszcze do dzisiaj zatacza się niemiecki film".

DER MONAT, Nr 131 i 132, sierpień, wrzesień. Szczególnie ciekawą pozycją jest szkic Ericha Hellera o Tomaszu Mannie, drukowany w obu kolejnych numerach pisma. Jest to rozdział z książki tego świetnego germanisty, wykładającego w Londynie, która ukazała się w Anglii pod tytułem *The Ironic German*, a w Niemczech pod tytułem *Thomas Mann, der ironische Deutsche*. Rzecz ma charakter fikcyjnego dialogu pomiędzy F. (Pytającym) i A. (Odpowia-

dającym), którzy konfrontują z sobą sprzeczne zdania o Mannie. Jeden z nich jest oponentem autora *Buddenbrooków*, drugi jego entuzjastą. Rozmowa dotyczy *Czarodziejskiej góry* i zwie się *Form als Mass und Übermass* (po polsku mniej więcej: *Forma jako umiar i nadużywanie miary)*. Malkontent jest przerażony stałą tendencją do niebywałego rozrastania się dzieł Manna, które pierwotnie z reguły były projektowane jako niewielkie opowiadania („Sześć masywnych tomów zamiast trzech nowel! Oto prawdziwa niemiecka skrupulatność! Od sumienności do pedanterii jest tylko jeden krok"), entuzjasta natomiast mówi tu o radości „nagłego odkrywania wielkich bogactw we wnętrzu skromnie wyglądającej idei lub uganiania się za niewielką myślą, która prowadzi do królewskiego labiryntu". W ten sposób ze starcia negacji i zachwytu autor usiłuje wypośrodkować prawdę o pisarzu.

Warto również zwrócić uwagę na artykuł Heinza Politzera *Franz Kafka i Albert Camus*. Autor wyprowadza różnice dzielące francuskiego pisarza od Kafki, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, że Kafka jest zjawiskiem niepowtarzalnym, które nie może być z wielu względów źródłem szkoły lub kierunku literackiego.

DIE KULTUR, Nr 139, wrzesień. W tym numerze czyta się świetnie artykuł H. Schirmbecka: *Rozdźwięk pomiędzy duchem a wiedzą*. „Zróbmy eksperyment myślowy — rozpoczyna autor — przypuśćmy, że Arystoteles lub Platon, Sofokles czy Eurypides zjawiliby się nagle na ziemi i rozpoczęli rozmowę ze swoimi kolegami z naszej teraźniejszości. Potoczyłaby się ona — jeśli pominiemy językowe trudności — dosyć łatwo. Albowiem Sartre, Jaspers, T. S. Eliot krzątają się w gruncie rzeczy wokół tych samych problemów, co ich koledzy po fachu sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Zupełnie inaczej miałaby się rzecz z Archimedesem: ten, gdyby się znalazł w tej samej sytuacji, musiałby wiele czasu spędzić na przestudiowaniu podręczników fizyki dla początkujących i bardziej zaawansowanych i zdobyć odpowiednią znajomość współczesnej matematyki, zanim by mógł wdać się w fachową rozmowę z Nielsem Bohrem lub Wernerem Heisenbergiem".

Innymi słowy: „Heisenberg wie w swojej dziedzinie o wiele więcej od Archimedesa, gdyż jest dziedzicem długiego procesu poznania natury, który znajduje uwieńczenie w atomistyce naszych dni. Jedno pokolenie mogło budować na doświadczeniach wszystkich poprzednich. W literaturze rzecz ma się inaczej. Pisarze, a zaliczam do nich i filozofów, formułują pewne zdania i mają określone idee o ludziach, o słusznym i niesłusznym działaniu, o pięknych i brzydkich rzeczach. Ich wiedza i ciekawość dotyczą wielkich praproblemów, które od dawna poruszały ludzi: szczęścia, moralności i sumienia oraz innych zagadek istnienia. Ale nie posunęli się oni w rozwiązaniu tych kwestii dalej od swoich antycznych kolegów. Problem Edypa jest dzisiaj tak samo palący i nie rozwiązany, jak za czasów Sofoklesa".

Diagnoza: „Jest to nienormalny stan rzeczy. Nagromadzona przez nauki przyrodnicze wiedza osiągnęła w ostatnim pięćdziesięcioleciu taką perfekcję, że możemy w kilkadziesiąt sekund zgasić wszelkie życie na tej planecie. Wiedza innego rodzaju, nazwałbym ją mądrością, pozostała tak niedoskonała i niewystarczająca, że nic nam nie może pomóc w ujarzmieniu rozbujałej wiedzy nauk przyrodniczych i w oddaniu jej na służbę ludzkości".

Wnioski: „W dawnych czasach zabijano potwory; nie możemy zniweczyć Minotaura naszych dni, techniki, musimy go ujarzmić, uczłowieczyć. Możemy to zrobić tylko z pomocą przewartościowania nie tylko moralnych, ale i estetycznych kategorii. Poeta, pisarz, ma tedy przed sobą wielkie zadanie...

Poeta atomu będzie musiał pośredniczyć pomiędzy nauką i mądrością. Przesłanki ku temu są prawie niewyczerpane; bowiem ujarzmienie świata tylko w sensie estetycznym staje się z każdym dniem coraz bardziej beznadziejnym przedsięwzięciem".

W numerze znajdujemy ciekawy przegląd wydarzeń kulturalnych i literackich w NRF.

rk

Stany Zjednoczone

Letni numer (3) kwartalnika THE WIRGINIA QUARTERLY REWIEW mało atrakcyjny i przeładowany materiałem nieliterackim. Eugene R. Black pisze o nowej ekonomicznej rewolucji, polegającej na finansowaniu krajów ekonomicznie nierozwiniętych, Karol Killpatrick, jeden z ludzi stanowiących dziennikarską obstawę vice-prezydenta Nixona w czasie jego moskiewskiej wizyty, dla równowagi — o ekonomicznej ofensywie Chruszczowa, Nathaniel Peffer wyraża nostalgię za dawnymi dobrymi czasami dyplomacji, a Harold S. Quinley pisze o polityce amerykańskiej w Chinach. Razem tworzy to jakąś całość w skali międzynarodowych zagadnień i jako lektura jest bardziej pożyteczne od tasiemcowego poematu Reeda Whittemore pt. *Chłopak z Jowy*. Prócz tego wybór wierszy Marka Van Dorena, Filipa Bootha, May Sarton, Patricii Gedicke i Barbary Howes. Ciekaw, ale bardzo specjalistyczne studium filologiczne Heleny H. Bacon *Sokrates uwieńczony* o stosunku Platona do poezji oraz dział książek omawiający kilka dosyć spóźnionych tytułów.

at

Włochy

Istnieje czy nie istnieje „kryzys powieści"? Pytanie to raz po raz wypływa na szpaltach zagranicznych czasopism. Szereg pisarzy włoskich odpowiada na nie w ostatnich NUOVI ARGUMENTI (maj-sierpień), które na ten temat rozpisały specjalną ankietę.

Charakterystyczne jest, że wszyscy uczestnicy ankiety odrzucają myśl o kryzysie powieści. Moravia uważa nawet, że powieść znajduje się w pełnym rozkwicie. Technika narracyjna zawsze podlegała kryzysowi, to jest przechodziła ewolucję. Faktem jest, że dzisiaj pisze się powieści inaczej niż dwieście lat temu, co przemawia za żywotnością tego gatunku. Porównywanie powieści z poematem epickim jest nonsensem, gdyż poemat epicki, który zastygł w konwencji i okopał się w tradycyjnych formach, musiał umrzeć właśnie dlatego, że nie przechodził kryzysu, a więc i ewolucji. I tak zresztą przetrwał z górą dwa tysiące lat, podczas gdy powieść liczy sobie zaledwie trzysta. Nie znaczy to jednak, że nie ma wcale kryzysu w sztuce, wynika on z alienacji artysty od rzeczywistości. Wyraża się to kompozycją dodekafonistyczną w muzyce i abstrakcjonizmem w malarstwie. Jeśli idzie o powieść, to zadały jej cios film i telewizja, które zwycięsko wypierają literaturę z dotychczasowych jej obszarów. Film i telewizja w skuteczniejszy i bezpośredniejszy sposób docierają do szerokich mas w postaci rozrywki. Ale ani film, ani telewizja nie mogą dać widzowi tego, co daje np. czytelnikowi Proust. Toteż powieść, która do niedawna była najpopularniejszym środkiem narracyjnym, musi znaleźć nowy sposób, aby zdobyć zainteresowanie. Jaki? W każnym razie — twierdzi autor *Rzymianki* — będzie to produkt przeznaczony dla elity.

Jaka więc będzie ta powieść? Czy *à la* Musil — eseistyczna, czy *à la* Hemingway — behawiorystyczna?

Na to pytanie ankiety Guido Piovene odpowiada, że lepiej pisać eseje niż powieści eseistyczne, w których tkanka czysto artystyczna, narracyjna staje się pleonazmem, zbędną ilustracją, zaś młody i wybijający się ostatnio pisarz, Pier Paolo Pasolini, zarzuca powieści eseistycznej chęć ominięcia trudności, jaką jest przełożenie eseju na język sztuki obrazującej, którą musi być powieść. Element ideologiczny i socjologiczny winien być pokazany w sposób funkcjonalny: w akcji osób, w ścieraniu się środowisk... A może będzie to antypowieść proponowana przez szkołę francuską?

I tu włoscy pisarze wykazują zastanawiającą solidarność odrzucając te propozycje.

Szkoła francuska, którą Emil Henriot nazywa *„école du regard"* budzi niechęć pisarzy włoskich głównie dlatego, że „odwraca się tyłem" do psychologii.

Carlo Cassola jest sam autorem dwóch zbiorków opowiadań, wydanych jeszcze przed wojną *(La visita, Alla periferia)*, pisanych metodą „obiektywu fotograficznego". Metoda ta (jak twierdzi inny uczestnik ankiety, Bessani) jest w stosunku do techniki Butora, Robbe-Grilleta i Natalie Sarraute prekursorska. Toteż tym ciekawsza jest wypowiedź Carla Cassoli. Pisze on, że trudno jest przekonać Włochów, iż Malraux, Sartre, Camus nie są wielkimi pisarzami. Wprost przykry jest ten infantylizm pewnych ludzi, którzy przekroczyli już zresztą sześćdziesiątkę, szukających wciąż „nowinek" z zagranicy, gotowych zawsze brać poważnie przelotne mody literackie. Jakże inaczej zachowuje się taki Pasternak, który dopiero niedawno zaznajomił się z Proustem, który jeszcze nie czytał Kafki i który nie przejmuje się brakiem lektury utworów Robbe-Grilleta. Pisarz powinien pisać to, co mu leży na sercu, i nie troszczyć się o resztę.

Wspomniany już Giorgio Bassani zastrzega się, że daleki jest od stawiania znaku równości: faszyzm — deugallizm, jednak uważa, że od zachowania we Włoszech demokracji w dużej mierze zależy, czy ominie je manieryzm Butora, Robbe-Grilleta i innych.

Italo Calvino zarzuca szkole francuskiej niekonsekwencję. Gdyż głosząc antypsychologizm stosuje w zakamuflowany sposób psychologię. I tak bohater *Le voyeur* Robbe-Grilleta jest paranoikiem, a *La jalousie* jest *par excellence* studium psychologicznym.

A to jest grzechem. Gdyż wszystko w powieści wolno wymyślić, jak mówi Tołstoj, poza psychologią. Przypomina to w swej wypowiedzi Elsa Morante, która twierdzi, że antypsychologizm powieści „wizualistycznej", propagowanej przez Robbe-Grilleta, jest iluzją. Nazwa powieści „wizualistycznej" pochodzi od tego, że szkoła francuska uważa oczy za zmysł najbardziej obiektywny. Dlatego też przedmiot przedstawiony jako rzeczywistość apercypowana przez oko jest najbliższy prawdy.

Moravia uważa, że ta metoda prowadzi do dehumanizacji powieści, w której świat ma zostać zobiektywizowany do stopnia, w jakim znajdował się przed stworzeniem człowieka. Ale słowo ma już w sobie treść ludzką, ustawia przedmiot w wymiarze ludzkim, pozbawiając go anonimowej obiektywności świata przedludzkiego czy pozaludzkiego. Oko zaś też dokonuje wyboru i wyraża sąd. Toteż „wizualizm" jako propozycja literacka nasuwa wiele wątpliwości. Rozumowanie wszystkich innych uczestników ankiety jest podobne i w konkluzji odrzuca jednogłośnie eksperyment francuski.

Inne pytania ankiety, jak sprawa powieści historycznej, sprawa realizmu socjalistycznego, użycia dialektu (we Włoszech ważne zagadnienie ze względu na istnienie licznych, bardzo między sobą różniących się dialektów), są mniej ciekawe. Jeśli idzie o realizm socjalistyczny, to tylko Pier Paolo Pasolini uważa go za możliwy do przyjęcia jako metoda, mimo że, jak dotąd, nie spełnił on pokładanych w nim nadziei. Wymowę ankiety osłabia jednak brak odpowiedzi tak wybitnych pisarzy, jak Vittorini czy Pratolini.

Nuovi Argumenti zamieszcza poza tym esej o Kongo Belgijskim i określa jego rolę w walce ludów afrykańskich o wyzwolenie narodowe, artykuł o Iranie obrazujący nędzę materialną tego kraju, znanego z bogactw naturalnych, oraz rozprawę historyczną na temat stosunku rządu Nittiego do problemu basenu adriatyckiego.

Miesięcznik TEMPO PRESENTE w numerze sierpniowym przynosi stały felieton Silonego pt. *Trudny dialog*. Opowiadanie Antonio Delfini *Misa Bovetti*, artykuł Vivaldiego na temat wystawy malarskiej futurystów sprzed pół wieku w związku z pięćdziesiątą rocznicą manifestu futurystów włoskich, artykuł Camilo José Cela o charakterze narodowym jego rodaków, Hiszpanów, wiersze Michele Parella: *Quarantena* i inne.

js

Sierpniowy numer NOWEGO MIRA otwiera nowela Niny Iwanter *Znowu sierpień*. Głównym wątkiem utworu są perypetie życiowe młodego chłopca, który „oblał" egzamin wstępny na uniwersytet i na własną rękę poszukuje swego miejsca w życiu. Nowela Niny Iwanter zapowiada się interesująco (zakończenie ukaże się w następnym numerze miesięcznika). Autorka usiłuje — częstokroć z dobrym skutkiem — dotrzeć do współczesnej tematyki społeczno-obyczajowej, do spraw, które nurtują dziś ludzi radzieckich.

W tym samym numerze znajdujemy przekład powieści Johna Waina *Spiesz się na dół*, która ukazała się w oryginale w 1953 roku.

Poezja reprezentowana jest przez nowe wiersze Aleksandra Prokofiewa i Stiepana Szczipaczowa oraz przekłady utworów poety ukraińskiego Petro Doroszko i poety ormiańskiego Maro Markariana (w tym jeden przekład pióra Anny Achmatowej).

W żywo zazwyczaj prowadzonym dziale reportażu i w dziale krytyki daje się tym razem wyraźnie odczuć posucha sezonu ogórkowego. Niemniej jednak warto odnotować *Kilka słów o realizmie u nas i na Zachodzie* znakomitego pisarza i krytyka, Wiktora Szkłowskiego. Są to wnikliwe uwagi na temat podłoża filozoficznego i warsztatu pisarskiego współczesnych wybitnych twórców zachodnio-europejskich i radzieckich. Najwięcej miejsca poświęca Szkłowski Hemingwayowi i Szołochowowi.

W przeglądzie bibliograficznym znajdujemy sporo krótkich recenzji oryginalnych i przekładowych radzieckich nowości wydawniczych. Wśród nich zwraca uwagę wyjątkowo przychylna recenzja książki Jerzego Giżyckiego *Z szachami przez wieki i kraje*, podkreślająca zarówno literackie walory dzieła, jak i znakomitą szatę graficzną. Przedmowę do rosyjskiego przekładu napisał znany szachista radziecki, Bronsztajn.

OKTIABR przynosi artykuł wstępny naszego niedawnego gościa, Lwa Szejnina, *Człowiek i prawo*, gdzie autor w obszernym i popartym erudycją prawniczą wywodzie uzasadnia konieczność udzielenia przestępcy niezbędnego kredytu zaufania. Jest to — zdaniem Szejnina — jeden z podstawowych warunków skutecznej walki z przestępczością.

W dziale prozy miesięcznik kontynuuje druk *Orlego stepu* Michaiła Bubiennowa, utworu nie wyrastającego ponad przeciętność, o którym wzmiakowaliśmy w poprzednim przeglądzie.

Z utworów poetyckich godne odnotowania są niewątpliwie liryki Aleksandra Prokofiewa, który przeżywa ostatnio okres wzmożonej aktywności twórczej. Miesięcznik rozpoczął także publikację dłuższego poematu Michaiła Łukonina *Wyznanie miłości*, który omówimy pokrótce po ukazaniu się całości.

W dziale poświęconym zagadnieniom sztuki na uwagę zasługuje studium Olgi Knipper-Czechowej *Role czechowowskie*.

Dużo ciekawej prozy przynosi tym razem sierpniowy numer miesięcznika ZNAMIA. W pierwszym rzędzie wymienić tu należy nowelę utalentowanego Jurija Nagibina *Pawlik*. Jest to historia młodego oficera, prowadzącego na froncie audycje propagandowe w języku niemieckim, który ginie przedzierając się z „kotła". Całość stanowi niezmiernie interesujące studium psychologiczne. Warto przy okazji zaznaczyć, że jest to kierunek, ku któremu zdecydowanie grawituje ostatnio nowela radziecka. Julian Siemionow zamieszcza w ostatnim numerze miesięcznika opowiadanie o tematyce morskiej *Sztorm o sile ośmiu stopni*, wyróżniające się zwartą kompozycją i oszczędnym operowaniem środkami wyrazu. *Znamia* przynosi także opowiadanie Ma Fyn *A nie mówiłem!*, poświęcone gospodarczym i społecznym przeobrażeniom wsi chińskiej.

W dziale poezji znajdujemy poemat Grigorija Pożeniana *Życie ludzi żywych* oraz dwa liryki niewątpliwie utalentowanego Jurija Lewitanskiego.

Sierpniowa MOSKWA, podobnie jak *Znamia*, nie przynoszą niemal wcale pozycji literacko-krytycznych — symptom okresu wakacyjnego. Powstałe w ten sposób luki wypełnia przeważnie proza. Miesięcznik publikuje kolejny fragment powieści Lwa Owałowa *Zadanie partyjne*, bardzo przeciętną powieść o tematyce współczesnej, sportowe opowiadanie Wadima Biełocerkowskiego

Na kółku oraz — w dziale literatury przekładowej — *Małego księcia* A. de Saint-Exupéry. Ten ostatni utwór poprzedzony jest entuzjastyczną przedmową Wiery Smirnowej, która podkreśla „zadziwiającą czystość tej smutnej bajki". Na marginesie warto zaznaczyć, że w przekładzie rosyjskim ukazały się także *Nocny lot* i *Ziemia ludzi*, a *Mały książę* został ponadto wydany w oryginale i włączony do lektury szkolnej.

W ostatnim numerze Leningradzkiej NEWY znajdujemy pierwszą część powieści Dymitra Jeremina *Rodzina* o współczesnej tematyce obyczajowej. Należy ona do tego typu utworów, które nie odznaczają się wprawdzie specjalnymi walorami artystycznymi, ale zawierają szereg trafnych obserwacji socjologicznych i wprowadzają nas w krąg problemów aktualnych dla przeciętnego człowieka radzieckiego. Znacznie ciekawszą lekturą są zamieszczone w miesięczniku utwory nowelistyczne, z których na wyróżnienie zasługuje opowiadanie Siergieja Sniegowa *Skrucha* oraz *Lato Duni* Georgija Popowa. Jak już wielokrotnie podkreślała krytyka, zmiany na lepsze we współczesnej prozie radzieckiej dają się zaobserwować przede wszystkim w nowelistyce. Powieść — jak dotychczas — wyraźnie pozostaje w tyle.

Ostatni numer TEATRU przynosi nową sztukę autora *Tani*, Aleksieja Arbuzowa, zatytułowaną *Północ (Dwienadcatyj czas)*. Jest to chyba najciekawsza pozycja dramaturgiczna bieżącego roku, która wzbudziła w Związku Radzieckim ogólne zainteresowanie. Akcja sztuki rozgrywa się w 1928 roku w Leningradzie, w okresie likwidacji NEP-u. Ostateczna zagłada kapitalizmu w ZSRR — temat wykorzystany niejednokrotnie przez licznych pisarzy — został ukazany przez Arbuzowa w całym swym tragikomicznym blasku. Napięta do ostatnich granic akcja, znakomite dialogi oraz doskonale zarysowane charaktery — oto zalety tej sztuki, która z pewnością wejdzie do żelaznego współczesnego repertuaru radzieckiego.

zf

STYP PROSI NA STYPĘ

Pisaliśmy już w *Twórczości* o smutnym pogrzebie zgotowanym naszej literaturze przez Encyklopedię Plejady wydawaną przez Gallimarda. Nie pisaliśmy o tym obszerniej, wychodząc z założenia, że powinniśmy rzecz pozostawić pismom bardziej kompetentnym, takim np., jak *Przegląd Humanistyczny*. Ale w ostatnim numerze tego poważnego kwartalnika wyczytaliśmy słowa pochwały i zadowolenia, jakimi Kr. Styp skwitował Encyklopedię Plejady. Trzeba nam więc do tego tematu powrócić.

Encyklopedia Plejady nie jest zwyczajną, obiegową encyklopedią, ale ma ambicję, aby na wzór osiemnastowiecznej stanowić coś w rodzaju summy współczesnej wiedzy o świecie. Pierwszy jej tom, wydobywający z mroku zapomnienia wszystkie możliwe literatury starożytne, pisane, mówione, prymitywne i wykształcone, birmańską, eskimoską, starochińską, oceaniczną, aby nie wspomnieć już o aleksandryjskiej czy babilońskiej — stanowił wielki ewenement naukowy, rokujący jak najlepiej ambitnemu wydawnictwu. Niestety, drugi tom *Historii Literatur*, poświęcony literaturom zachodnim, ściągnął nas z wyżyn nadziei na twardy padół rzeczywistości. I któż mógł przypuszczać, że w erze tak bujnego rozwoju wszelkich nauk, w erze, kiedy specjalizacja doprowadziła do tego, że Einstein i Heidegger nie mieli sobie nic do powiedzenia podczas wspólnej kolacji, bo nie mieli żadnego wspólnego języka, trud encyklopedystów potknie się o prościutkie historie ubogich krewnych, literatur słowiańskich.

Sprawozdawca *Przeglądu Humanistycznego* chwali wydawcę za odwagę zamieszczenia szkicu pana Goriély'ego o literaturze Polski Ludowej, mimo że mógł on budzić sprzeciwy kół reakcyjnych. Nie wspomina natomiast, jakim kosztem to się stało. Otóż wydawcy encyklopedii znaleźli iście salomonowe wyjście, aby pogodzić w tym tomie współpracę dwóch „specjalistów" literatury polskiej, których udało im się znaleźć, reakcjonisty Cyryla Wilczkowskiego i „postępowca" Beniamina Goriély'ego. Kosztem oczywiście, salomonową tradycją, dziecka, czyli literatury polskiej. Otóż ni mniej, ni więcej, przepołowiono ją i podzielono na dwie odrębne literatury, literaturę polską i literaturę Polski Ludowej, tak samo wyodrębnione typograficznie, jak norweska i niemiecka. Sam już ten obłędny zabieg redakcyjny jest wystarczającym powodem do dyskwalifikacji takiej historii literatury, nie wspominając o tym, że powtarza się w odniesieniu do wszystkich literatur słowiańskich. Bowiem specjaliści wynalezieni przez Gallimarda są uniwersalni i tak jak pan Wilczkowski okazuje się wybitnym znawcą wszystkich literatur słowiańskich — ale tylko do 1939 roku, a w wypadku rosyjskiej do czasów rewolucji 1917 roku — tak pan Goriély okazuje się chodzącą (niestety nie piszącą) encyklopedią wiedzy o literaturze wszystkich demokracji ludowych, jakby wiedza jego była nieodłącznie z przekonaniami związana. (Przekonania te nie są zresztą takie nieugię-

te: kokietując burżuazyjnych odbiorców encyklopedii, Goriély pisze np., że pisarze starszego pokolenia „kolaborują z reżimem"!) Nic w końcu dziwnego, że wiedza obydwu uczonych, podzielona przez mianownik wszystkich literatur, jakimi się zajmują, okazuje się nader niewystarczająca. Ale Francuzom to wystarcza. Mieli ambicje dać nowe, wspaniałe opracowania literatur, o których nikt nigdy nie słyszał i nie wiadomo, czy w ogóle istniały, ale pofatygować się, aby sprawdzić, jak wyglądają w tym dziele opracowania jakichś tam literatur słowiańskich, to nazbyt wiele. Że są na poziomie podręcznika szkoły powszechnej, bynajmniej ich nie martwi. Ale nas chyba powinno. Nie. My w sumie — jak pisze Kr. Styp — powinniśmy być zadowoleni. I zachłystuje się, że pan Wilczkowski wyżej stawia Sienkiewicza od Prusa, a w *Rodzinie Połanieckich* i *Bez dogmatu* ceni wnikliwy obraz górnych warstw społeczeństwa polskiego. No rzeczywiście. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie stawiał wyżej albo nie docenił.

Zresztą kompilacyjka pana Wilczkowskiego, choć rozpaczliwie banalna i schematyczna, nie zawiera żadnych wołających o pomstę grzechów i w takim Laroussie byłaby zupełnie na miejscu. No, ale Plejada miała chyba inne założenia. Co ważniejsza, Francuzi zaczęli — poniewczasie — zdawać sobie z tego sprawę. Gdy mówiłem o tym z redaktorem naczelnym tego wydawnictwa, Raymondem Queneau, o mało pod biurko nie wlazł ze wstydu, przyznając, że sygnały takie dotarły do niego i z innych, nie słowiańskich nawet krajów. W końcu jest chyba w Polsce paru specjalistów, którzy podjęliby się dla takiego celu napisania syntetycznego, ale nowego, odkrywczego szkicu o historii naszej literatury, nie kalecząc jej i nie przecinając w połowie ostatnich lat rozwoju. Niech się recenzent *Przeglądu* nie obawia, żadne „reakcyjne ugrupowania" nie śmiałyby nawet pisnąć słowa protestu, że literaturę polską potraktowano jako jedną organiczną całość, bo nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że można ją dzielić na literaturę polską i literaturę Polski Ludowej.

Miast zaprotestować tymczasem, najpoważniejszy polski organ polonistyczny nie tylko sankcjonuje pogrzeb, ale jeszcze gromkim głosem Kr. Stypa zaprasza nas na stypę.

jl

JEAN BOURRILLY O SŁOWACKIM

Jean Bourrilly, profesor jednego z liceów marsylijskich, zetknął się podczas ostatniej wojny, jako jeniec w Oflagu, z Polakami. Zachwycony Mickiewiczem i Słowackim, których muzyka poetycka oczarowała go, zanim jeszcze poznał treść utworów, prof. Bourrilly nauczył się po polsku i zaczął rozczytywać się w naszych romantykach. Zostawszy w 1945 roku dyrektorem Instytutu Francuskiego w Krakowie, postawił sobie cel konkretny, główne zadanie życia: pracę nad Juliuszem Słowackim. Ogłosił wprawdzie po powrocie do kraju dwie prace na temat Mickiewicza *(Mickiewicz a Francja* oraz *O sonetach Mickiewicza)*, lecz przede wszystkim pracował nad obszernym dziełem o młodości Słowackiego oraz nad przekładami *Mindowego, Anhellego, Balladyny* i poetyckich opowieści Juliusza. W Grenoble, w przepięknej edycji firmy Roissart, z ilustracjami, ukazał się niedawno *Anhelli*. Od kilku lat pełnił Bourrilly funkcje *attaché* kulturalnego Ambasady Francuskiej w Warszawie.

Dnia 17 września odbyło się w PEN-clubie w Warszawie, pod przewodnictwem Jana Parandowskiego, zebranie literackie, na którym Bourrilly mówił o swej pracy nad Słowackim. Bardzo interesujące wywody francuskiego estetyka dały nowe i oryginalne oświetlenie wielu problemów. Bourrilly uważa poezję Słowackiego za wybitne zjawisko o europejskim znaczeniu. Na razie zajął się pierwszym okresem w dziejach poetyckiej myśli Słowackiego, jego młodością, którą rozciąga aż do wydania *Kordiana*. Już w tym momencie zarysowują się, zdaniem prof. Bourrilly, pewne zasadnicze cechy twórczej osobowości Słowackiego. Krystalizuje się jego postawa osobista i narodowa. Zdaniem francuskiego badacza, charakteryzuje młodego Słowackiego przede wszystkim nadzwyczajna siła wyobraźni, do której wszystko przemawia i którą ożywiają wszelkie fakty zewnętrzne. Z dru-

giej strony Słowacki ma dar „obiektywizowania“ swych przeżyć, przeobrażania ich w tematy twórcze, w dzieła sztuki. Można mówić u młodego Słowackiego o „sprowadzaniu wszelkich zjawisk do świata estetyki (*„reduction à l'estetique“*).

Bourrilly czytał następnie przełożone przez siebie fragmenty *Mindowego, Bieleckiego, Żmii, Dumy o Wacławie Rzewuskim, Balladyny* i *Anhellego*. Oklaski zebranych raz po raz przerywały lekturę.

Dyskusja, która się potem rozwinęła, świadczyła o głębokim wzruszeniu i oczarowaniu słuchaczy. Jan Parandowski stwierdził na wstępie, że w przekładach francuskich Bourrilly'ego utwory naszego poety jakby jeszcze rozszerzyły swe perspektywy i nabrały nowego wdzięku! Maria Dąbrowska zwróciła uwagę, w głębokim swym i pięknym przemówieniu, że u nas zarówno Mickiewicz, jak i Słowacki, „obrośli w skojarzenia“ „emocjonalne“, od których nie łatwo nam się uwolnić. Słuchanie francuskiego przekładu pozwoliło zobaczyć te utwory jakby w „stanie czystym“, na nowo. Uleczyć nas to może z kompleksu narodowej niższości, w który — jak z wielką przenikliwością zauważyła autorka *Geniuszu sierocego* — coraz mocniej zapadamy.

Jerzy Zagórski mówił o technicznych zagadnieniach poetyckiego przekładu, o „przetłumaczalności“. Jerzy Zawieyski, Julian Przyboś, Ludwik Hieronim Morstin stwierdzali, że tylko prawdziwy poeta, jakim jest Jean Bourrilly, i tylko człowiek, który zna tak dobrze każdy odcień języka, może dać naprawdę twórczy przekład. Artur Sandaur zauważył, że „biały“ wiersz, jakim Bourrilly niejednokrotnie zastępuje rymowane kadencje naszego poety, jest — rzecz ciekawa — całkowicie „adekwatny“.

Bourrilly opowiadał zebranym, jak powstaje jego przekład — jak cierpliwie całymi godzinami, znając na pamięć wiersz oryginalny, dopasowuje do jego kształtu — tekst francuski. Zasługuje na uwagę fakt, że dialogi i monologi teatralne, szczególnie sceny z Grabcem, odznaczają się niezwykłą „soczystością“, poczuciem sceny i dowcipem.

Nowy znakomity tłumacz i badacz poezji Słowackiego przejmuje więc godnie dziedzictwo po Paul Cazinie. Należałoby więcej uwagi poświęcić pracy tłumacza, nadać jej szerszy rozgłos w polskim społeczeństwie, dla którego postać Jean Bourrilly'ego jest zbyt mało znana.

W. N.

„MICKIEWICZ-BLÄTTER“

W Heidelbergu ukazuje się od trzech lat niezwykły miesięcznik. Jest to pismo literacko-naukowe, redagowane i wydawane przez niemieckiego pisarza z NRF, Dra Hermanna Buddensiega, a noszące znamienny tytuł *Mickiewicz-Blätter*, czyli *Kartki Mickiewiczowskie*. Zrodzone z entuzjazmu dla polskości i głębokiego zainteresowania naszą kulturą, pismo Dra Buddensiega zajmuje się nie tylko sprawami mickiewiczowskimi, ale i innymi wielkimi polskimi romantykami, a nawet i literaturą współczesną.

Mam przed sobą najnowszy, X-ty, zeszyt tego pisma, liczący 80 stron druku, a poświęcony Juliuszowi Słowackiemu z okazji 150 rocznicy jego urodzin. Dr Buddensieg zaznacza w końcowych notach, że rocznica Słowackiego obchodzona będzie 4 września 1959 roku — nie tylko w Polsce. Zresztą już w zeszytach VI — IX drukowały *Mickiewicz-Blätter* przekład *Anhellego*, opracowany przez C. A. von Pentza, a w zeszycie IX (z 1958) przekłady liryków dokonane przez Dra Buddensiega. Obecnie heidelberskie czasopismo przynosi cytaty z listów i wspomnień Aleksandry Bécu, Al. Chodźki, A. E. Odyńca, J. B. Zaleskiego, Teofila i Eustachego Januszewskich, Eglantyny Pattey, Antoniego Wodzińskiego, Zygmunta Krasińskiego oraz matki poety. Wyjątki te dają pewne (choć dla cudzoziemca może trochę jednostronne) pojęcie o życiu i osobowości autora *Anhellego*.

Ilustracją twórczości są drukowane w tym zeszycie wiersze Słowackiego z różnych okresów, m.in. fragment *W Szwajcarii, W sztambuchu Marii Wodzińskiej, Rozłączeni, Przeklęta, Do Warszawy, Niechaj mię Zośka..., Testament mój* i inne. Wiersze Słowackiego z ostatniego okresu jego życia ukazały się tu po raz pierwszy po niemiecku. Tłumaczenia są pieczołowicie opracowane; niekiedy celowo (i po głębokim namyśle) zrezygno-

wano z rymu, który w poezji niemieckiej nie odgrywa takiej roli, jak w polskiej. Buddensieg przytacza zdanie Novalisa, wedle którego tłumacz poezji powinien być „poetą poetów".

W związku z tymi sprawami drukują *Mickiewicz-Blätter* uwagi Fryderyka Schillera na temat wolnego tłumaczenia drugiej księgi *Eneidy* oraz rzecz Fryderyka Stolberga *Uber unsere Sprache* (1810), m. in. o „służebnej" roli rytmu Co sądzą poeci o przekładaniu poezji? Już poprzednio drukował Buddensieg na ten temat wypowiedzi Herdera, Goethego, Novalisa, A. W. Schlegla, Schleiermachera i innych.

Słowacki nie wyrugował jednak w tym zeszycie innych naszych poetów. Czytamy m. in. przekłady *Reduty Ordona* (Eustachego Świeżawskiego), fragment *Pana Tadeusza* (spowiedź i śmierć Ks. Robaka) w tłumaczeniu Buddensiega, mniejsze wiersze w przekładzie Pentza.

Buddensieg kontynuuje w *Mickiewicz-Blätter* druk swego tłumaczenia *Nieboskiej komedii* Krasińskiego, dając tu sceny drugą, trzecią, czwartą i piątą III aktu. Z poetów współczesnych otrzymuje czytelnik niemiecki: Tuwima w przekładzie Karla Dedeciusa, *Cierpienie* Słonimskiego, *Z ognia i popiołu* Jastruna i jego *Znaki czasu*.

W tym samym numerze *Mickiewicz-Blätter* znajdujemy esej redaktora, opisujący jego wrażenia z podróży do Polski, odbytej na zaproszenie naszego PEN-clubu. Autor rozprawia się tu bardzo gorąco z argumentami antypolskiej propagandy i starymi uprzedzeniami. Ilse Thiemm recenzuje w *Mickiewicz-Blätter* tom nowej liryki polskiej, wydany w Monachium w wydawnictwie Carla Hansera przez Karola Dedeciusa pt. *Lekcja ciszy*. Georg Schneider omawia entuzjastycznie przekład *Wzlotu* Iwaszkiewicza, który wyszedł w K. Harrer-Verlag w Monachium. Recenzent nazywa utwór Iwaszkiewicza „jednym z rzadkich dokumentów ludzkich naszego stulecia". Jako dodatek do *Mickiewicz-Blätter* ukaże się niebawem tom polskich poetów poległych podczas ostatniej wojny pt. *Świecące groby*.

Mickiewicz-Blätter jest organem Stowarzyszenia im. Mickiewicza, założonego w 1956 roku. Honorowym przewodniczącym jest Ernst Rowohlt, wydawca w Hamburgu, przewodniczącym dr H. Buddensieg. Należą tu m. in. Kasimir Edschmid, wiceprezes niemieckiego PEN-clubu, Leonard Frank, znany pisarz monachijski, prof. Redslob z Berlina, Rudolf Al. Schröder, przewodniczący niemieckiego Stowarzyszenia Bibliofilów, Johannes Tralow, prezydent ośrodka PEN-clubu „Ost und West" i inni.

Rzecz charakterystyczna, że już w tym numerze *Mickiewicz-Blätter*, wydanym w połowie sierpnia br., znalazła się wzmianka o zakończeniu kongresu PEN-clubów w Heidelbergu, 25 lipca 1959 r., oraz o rozmowach odbytych przy tej okazji przez dr. Buddensiega z polskimi pisarzami: Marią Dąbrowską, Janem Parandowskim, Ireną Parandowską, Wojciechem Natansonem, Kazimierzem Wierzyńskim i Wacławem Solskim.

By dać pełny obraz treści tego numeru, warto jeszcze wspomnieć o wydrukowaniu przekładu tajnego raportu policji carskiej do W. Ks. Konstantego w sprawie oddziaływania Mickiewicza na młodzież oraz o liście George Sand do Mickiewcza, gdzie znalazły się słowa zachwytu na temat *Konfederatów barskich*.

W. N.

TYSIĄCLECIE WZAJEMNOŚCI

W *Kierunkach* zamieścił rektor Tadeusz Lehr-Spławiński bardzo interesujący artykuł na temat tysiąclecia polsko-czeskiej wzajemności kulturalnej. Pisałem na ten temat kilkakrotnie (m.in. w krakowskiej jeszcze *Twórczości*), dużo czytałem już podczas wojny. Ale krakowski uczony przynosi fakty nowe i oświetlenia przekonywające. „Pierwsza fala wpływów czeskich na kształtowanie się życia kulturalnego w Polsce — stwierdza prof. Lehr-Spławiński — związana z przeszczepieniem chrześcijaństwa do Polski za czeskim pośrednictwem, pozostawiła w naszym języku silny osad, który trwa w nim po dziś dzień w niewiele chyba uszczuplonej postaci." Mianowicie „wśród wyrazów używanych przez nasz język... dla oznaczenia spraw i osób związanych z religią i Kościołem ogromna większość — z górą 70 procent — ma formę zgodną z językiem czeskim, mimo że są one przeważnie oparte etymologicznie na podstawach łacińskich i greckich".

„Wpływy czeskie trwały nadal w ciągu całego średniowiecza... W czasie, kiedy w Polsce zaczęły się dopiero pojawiać nieśmiałe próby wprowadzania języka ojczystego do piśmiennictwa w po-

staci przekładów Biblii czy psałterza oraz spisywania nielicznych kazań w żywym języku, Czechy przeżywały w wiekach XIII — XV okres bujnego już rozkwitu piśmiennictwa nie tylko religijnego, ale i świeckiego, które nie mogło pozostać bez wpływu na podnoszący się ruch umysłowy w Polsce." Wpływ języka czeskiego uderza nawet w *Bogurodzicy*. Pewna ilość czechizmów, wtenczas wprowadzonych, pozostała do dziś: np. forma „hańba" lub „hardy", gdzie mamy spółgłoskę czeską „h" zamiast polskiego „g", czy słowa „okrutny", „masarz", „śmiertelny", „obywatel".

„Największe nasilenie wpływów czeskich przypada, zdaje się, na wieki XV i pierwszą połowę XVI-go, kiedy język czeski przenikał do Polski nie tylko drogą literacką, ale także przez napływ uczonych i pisarzy czeskich, częściowo usiłujących propagować w Polsce prądy reform religijnych, krzewiących się w Czechach w dobie Jana Husa, a częściowo zwalczających je i uchodzących przed ich uciskiem za granicę... Z drugiej strony dwór królewski w Pradze za Karola IV i następców stanowił ważne centrum poloru i życia towarzyskiego w Europie środkowej i wywierał duży urok na wyższe sfery szlachty polskiej." Górnicki stwierdzał w *Dworzaninie polskim*, że „u dworu takiego mowcę chwalono, który w swą rzecz najwięcej czeszczyzny mieszał", choć jego zdaniem „język czeski jest piękny, ale jakby trochę pieszczący, a mężczyźnie mało przystojny". Nie oparli się temu urokowi ani Rej, ani Orzechowski, ani Seklucjan czy Malecki. Natomiast emigranci polityczni i religijni, Bracia Czescy, którzy osiedli w Polsce po 1620 roku (po klęsce pod Białą Górą), nie wywarli, zdaniem prof. Lehr-Spławińskiego, większego wpływu na społeczeństwo polskie, choć byli wśród nich ludzie tej miary, co Jan Amos Komensky, filozof i uczony-pedagog.

Na przełomie XVIII i XIX wieku zaczyna się proces odwrotny. Twórcy nowej literatury czeskiej zwrócili się ku literaturze polskiej. Z polskiego materiału językowego najwięcej korzystali: Puchmajer, Jan Kolar, Hanka, Jungman i Polacky. Wtedy to weszły na trwałe do języka czeskiego liczne słowa polskie (np. *vyraz, pristojny, vyrok, přiroda* itd.). Zagadnienie tych zapożyczeń nie zostało jednak dotychczas należycie zbadane naukowo. Faktem jest, że monumentalny słownik Józefa Jungmana z lat 1834—1839 wzorował się pod wielu względami na słowniku naszego Lindego. Zaczerpnął też z Lindego wiele materiału leksykalnego, którym starał się zapełniać luki wywołane wielowiekową stagnacją. Wyrazy zapożyczone z Lindego oznaczał Jungman z całą lojalnością — literką L.

Zdaniem prof. Lehr-Spławińskiego wpływ języka polskiego na czeski trwa nadal. Czesi dużo, jak wiadomo, tłumaczą z polskiej literatury klasycznej i współczesnej. Ostatnio ukazała się *Monachomachia* Krasickiego, a w przedmowie przypomniano pietyzm Puchmajera dla tego dzieła. Ukazują się też po czesku Prus i Żeromski. Rozwój wzajemnych oddziaływań, wymiany i współpracy nie został jeszcze zbadany dostatecznie. Warto przypomnieć prace prof. Stanisława Kota, entuzjastycznie oceniającego wpływy czeskie w poezji staropolskiej.

W. N.

UNIWERSYTECKA WIEDZA O LITERATURZE I KRYTYKA

To, o czym będzie tutaj mowa, dotyczy stosunków niemieckich, ale warto się i u nas zastanowić nad tym problemem, oczywiście pod kątem widzenia naszych warunków.

W sierpniu 1958 roku odbył się w Hamburgu kongres germanistów. Jeden z wybitnych znawców przedmiotu, Rudolf Walter Leonhardt, chciał poprzedzić ów kongres cyklem artykułów o stanie germanistyki w Niemczech zachodnich. W tym celu zwrócił się do kilku znanych germanistów z prośbą, aby się wypowiedzieli na ten niewdzięczny i dosyć kłopotliwy temat. Trzech ordynariuszy germanistyki odmówiło, a czwarty germanista, docent, który prosił, aby przemilczano jego nazwisko,, odpisał: „Być może, gdybym nie miał rodziny, podjąłbym się próby *à la* Winkelried. Niech mi pan wierzy, że moje obawy nie są przesadne".

Skończyło się na tym, że sam Leonhardt musiał wstąpić w szranki dyskusji. Napisał trzy artykuły o sytuacji germanistyki w dzisiejszych Niemczech zachodnich, które wywołały burzę sprzeciwów. „Zaciekłe protesty — jak pisał później autor — popłynęły jednak ze sfer uniwersyteckiej germanistyki, przede wszystkim ze strony drugiego i trzeciego garnituru. Ordynariusze za-

chowali się w większości *fair*." Artykuły Leonhardta ukazały się potem w serii prac o współczesnej kulturze, wydawanych przez Artemis-Verlag w Zurychu. Tytuł książeczki brzmiał: *Grzech pierworodny germanistyki*, podtytuł — *Projekty ożywienia świadomości literackiej w Republice Związkowej*.

„To jest pamflet — charakteryzuje na wstępie autor swoją broszurkę. — Cnotami pamfletu są nie skrupulatność i umiarkowana sprawiedliwość, lecz aktualność i celność."

A oto kłopoty germanistyki:

1. Brak wykładowców. Na uniwersytecie bońskim na 1160 studentów germanistyki przypada siedmiu etatowych pracowników naukowych. Proporcja wykładowców i studentów wynosi 1:150, podczas gdy w Anglii wynosi 1:20.

2. Zastraszający tradycjonalizm. Germanistyka pachnie naftaliną, nic się w niej od stuleci nie zmieniło. „Podstawy germanistyki — pisze autor — pochodzą z czasów pierwszego parowozu, są zatem nieco przestarzałe w epoce odrzutowców, przy tym germanistyka nie posiada cech wielkiej tradycji. Jest to powodem wielu braków i niepokojów."

3. Całkowite zaniedbanie wiedzy o literaturze obcej. „Można być promowanym, uznanym przez państwo i akademie germanistą, nie mając najmniejszego pojęcia o literaturze francuskiej, angielskiej, włoskiej i hiszpańskiej. Kto jednak nie zna obcych języków (i literatur!), nic nie wie o własnej literaturze, jak powiedział Goethe."

4. Całkowity brak zainteresowania współczesną literaturą niemiecką. Uniwersyteccy pracownicy naukowi są jedynie historykami literatury i pozostawiają badanie żywego ruchu literackiego bądź krytykom, bądź przyszłym pokoleniom uczonych. „Współczesna literatura — wywodzi Leonhardt — i krytyka literacka, szkoła i wyższa szkoła muszą znaleźć jakąś formę (a najlepiej kilka form) współpracy. Tutaj niemiecki związek germanistów ma do spełnienia wdzięczne zadanie."

5. Klanowość i przestarzały sposób uzupełniania kadr. „Zawód profesora uniwersytetu cierpi na skutek tego, że nikt nie może go wykonywać, jeśli nie przepracował w nim dwudziestu lat, jeśli nie wspinał się grzecznie stopień po stopniu w górę, a niejeden, choć jest do tego powołany, nie dociera do celu." Każdy musi przejść przez tradycyjny młyn: asystenturę, habilitację, docenturę, nadzwyczajną profesurę i ordynariat. Są dzisiaj, powiada Leonhardt, pisarze, którzy mogliby z powodzeniem i dużym pożytkiem prowadzić katedry literatury współczesnej, ale mają oni drogę do uniwersytetu zamkniętą.

Lonhardt zaleca następujące środki terapii: 1. Powiększenie ilości katedr. 2. Zwiększenie ilości audytoriów, instytutów, seminariów, środków pomocniczych itp. 3. Zreorganizowanie sposobu uzupełniania kadr wykładowców. 4. Współpracę nauki uniwersyteckiej z krytyką i pisarzami.

r

GYÖRGY BÖLÖNI
(1882—1959)

W początkach września br. odszedł nestor węgierskich literatów. Sędziwy wiekiem, należał do najbardziej ruchliwych — nawet wśród pisarzy o wiele od niego młodszych. Nie tak dawno w ramach umowy o wymianie kulturalnej odwiedził Rumunię, a przy tym Siedmiogród, strony swego dzieciństwa i młodości Ady'ego. Poprzednio był na zjeździe literatów radzieckich. Żywo śledził rozwój życia literackiego i nie skąpił swych spostrzeżeń, dzieląc się wieloletnim doświadczeniem z młodszym pokoleniem.

Należał do tej grupy literatów, którzy po wypadkach 1919 roku wybrali sobie miejsce pracy poza granicami kraju. Była to spora gwardia radykalnych i socjalistycznych rewolucjonistów. Siedzibą ich działań politycznych lub pracy literackiej były: Moskwa, Wiedeń, Berlin, Paryż. Pisali dla węgierskiego proletariatu znajdującego się na emigracji. Ich pisma w niewielkim stopniu docierały do kraju.

Bölöni przebywał w Wiedniu, w Berlinie, ale na stałe osiadł w Paryżu. 23 lipca 1937 roku odwiedziłem go w redakcji *Le Figaro*. Rozgrzewał się jak ludzie ostrożni i eksponowani: wolno. Gdy jednak w naszej rozmowie połączył nas zachwyt nad poezją Adyego, stał się serdeczny i przyjacielski. Ofiarował mi swoje wielkie dzieło: *Az igazi Ady (Prawdziwy Ady)* z dedykacją: „Koledze Tiborowi Csorba z wielką miłością". Na emigracji powstała jego druga interesująca książka, o Mihály Táncsicsu, nauczycielu, bohaterze Wiosny Ludów.

Bölöni był najlepszym znawcą życia i twórczości największego nowoczesnego poety węgierskiego, Endre Ady'ego.

Należę do pokolenia, które czytało Ady'ego w ukryciu, pod ławką w szkole. Jego poezja pobudzała naszą świadomość. Ale gdy nas przyłapywano na czytaniu Ady'ego, groziło obniżenie stopnia nie tylko z literatury, ale i ze sprawowania. Upartych wyznawców tego rewolucyjnego poety usuwano nawet ze szkoły.

W owych czasach mało egzemplarzy *Prawdziwego Ady'ego* dostało się na Węgry. Tym cenniejszy jest mój egzemplarz. Bölöniemu zawdzięczam, że zbliżył mnie do autora książek: *Syn Goga Magoga, Adamie, gdzie jesteś* czy *Chciałbym, żeby mnie kochano.*

„Przywiązała mnie do niego ziemia, którą nas wydała, i szkoła — pisał Bölöni. — Na ławki tej szkoły dostałem się co prawda później od niego, ale duch ucznia Ady'ego straszył tam jeszcze. Byłem przy nim w Paryżu, gdy spadła na niego tragiczna choroba. Byłem świadkiem jego miłości do Ledy, jego kryzysów i walk, tak jak w późniejszych czasach jego tryumfów. W dobie Ady'ego byłem nie tylko jego dobrym przyjacielem, lecz również pisarzem, dziennikarzem i towarzyszem walki." — I w samej rzeczy aż po dzień dzisiejszy nikt nie znał lepiej od Bölöniego paryskich lat rewolucyjnego poety.

Niezamaskowaną prawdę o Ady'm, który tak silnie zaważył na życiu duchowym Węgier, Bölöni przedstawiał męskim stylem i swoim autorytetem umacniał jego pozycję. Wszystkie pisma tego silnego człowieka, występującego w obronie prawdy, świadczyły zawsze o jego wyraźnej, rewolucyjnej indywidualności. Jego działalność dziennikarska, krytyczna, eseistyczna — odznacza się właśnie tymi cechami: bojowością i siłą. W książce o Ady'm występują one w całej pełni.

Ludowe Węgry były tą prawdziwą ojczyzną, o którą walczył i o której marzył. Los nie szczędził mu uznania i najwyższych odznaczeń. Otrzymał nagrodę im. Kossutha, został posłem do parlamentu, ambasadorem, prezesem Rady Literackiej, redaktorem pisma literackiego *Élet és Irodalom (Życie i Literatura),* reorganizatorem węgierskiego PEN-clubu.

Pióro wypadło z ręki bojowego i niezłomnego pisarza. Strata dla literatury wielka. Spełnił swoje zadanie do końca, jemu przypadło w udziale doczekać zwycięstwa swoich ideałów. Wytrwałą pracą, nieustanną walką i siłą talentu spełnił obowiązek przyjęty na siebie. Zawdzięczamy mu niezmiernie wiele, zajmuje w uczuciach ludzkich równie czcigodne miejsce, jak w literaturze.

Tibor Csorba

NIEODPOWIEDZIALNE WYROKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W czerwcowym numerze *Twórczości*, który dotarł do mnie z powakacyjnym opóźnieniem, ukazał się artykuł pana Lecha Budreckiego pt. *Początek Ulissesa*, gdzie autor stwierdza, że w moim przekładzie *Dublińczyków* zrobiłam „wszystko, co tylko było można, żeby zatuszować Joyce'a".

Z wielkim trudem próbuję wejść w meritum nader ogólnikowo sformułowanych zarzutów pana Budreckiego, aczkolwiek nie zwlekając odpowiedziałam na jego apel i ze zrozumiałym zainteresowaniem porównałam w wersji angielskiej i polskiej wspomniany przez niego pierwszy akapit opowiadania pt. *Two gallants*. Mówiąc nawiasem, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tylko jakieś *wishful thinking* tej czy innej natury kazało mu dostrzec w tekście angielskim rzeczy, o których pisze, a które prawdopodobnie tylko jakiś kongeniusz nie tyle Joyce'a, ile pana Budreckiego potrafiłby oddać po polsku tak, by go zadowolić. Jeśli chodzi o moją „awersję" do Joyce'owskich powtórzeń, to akurat w tym akapicie, który według pana Budreckiego ma być jej „pięknym przykładem", nie ma po angielsku ani jednego powtórzenia prócz dwukrotnie użytego słowa *„streets"* — ulice. Dlaczego wyrażenia *„shuttered streets"* nie mogłam przetłumaczyć dosłownie i dlaczego aliteracja w przekładzie, który nie zamierza i nie powinien być parafrazą poetycką, musiała zginąć — jest chyba dosyć jasne. Zresztą dyskusja na ten temat byłaby bezprzedmiotowa, gdyż pan Budrecki wypowiada swoje impresje w sposób, jak na moje możliwości intelektualne, zbyt subtelny. Znacznie mniej subtelności wykazuje dokonana na marginesie ocena przekładu, i to tylko skłoniło mnie do zabrania głosu.

Jeżeli krytyk uważa, że tłumacz zrobił „wszystko, co mógł", żeby Joyce w polskiej wersji nie był Joyce'em, czyli mówiąc prościej nie ma pojęcia o literackim tłumaczeniu, to powinien, zdawałoby się, na poparcie tej bądź co bądź ciężkokalibrowej opinii znaleźć jakiś odpowiednio ciężkokalibrowy argument zamiast olśniewać czytelnika trzykropkami i niedopowiedzeniami, których merytorycznej wartości nikt sprawdzić nie może, a które są wprawdzie najłatwiejszą, od dawna wypróbowaną i najefektowniejszą metodą krytyczną, ale nienajlepiej licującą z twórczym charakterem i tytułem pisma, w jakim się ukazały. Krytyka mniej subiektywna i prorocza w tonie byłaby nie tylko właściwsza, ale także elegantsza, *more gallant* — że zapożyczę wyrażenia z tytułu wyżej wymienionej noweli — bo dawałaby ofierze agresji możność użycia jakiejś szlachetniejszej broni, zamiast zmuszać do wysuwania żądła.

Cóż można odpowiedzieć na nieodwołalne wyroki pana Budreckiego? Jakim arcybłyskotliwym powiedzonkiem podważyć arcyważkie spostrzeżenia (uwaga na aliterację i repetycje, panie Joyce'ologu, proszę mi wierzyć, że łatwiej je stosować w tekście oryginalnym niż w przekładzie) o zabijaniu stylu autora i awersji do powtórzeń? Można tylko stwierdzić, co też niniejszym czynię: krytyka pana Budreckiego w rzeczonym wypadku niewiele miała wspólnego z galanterią. Z twórczością także nie.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Kalina Wojciechowska

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Dygasiński Adolf — *NA WARSZAWSKIM BRUKU. Na pańskim dworze. Von Molken. Głód i miłość. Na warszawskim bruku.* Obwoluta i opracowanie graficzne: Irena Stankiewicz. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 461, 3 nl.

Orzeszkowa Eliza — *Pamiętnik Wacławy.* Ze wspomnień młodej panny. Tom I/II. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. (Biblioteka Powszechna). Warszawa, „Czytelnik", 1959; tom I, str. 507, 3 nl; tom II, str. 416, 8 nl.

Klasycy literatury obcej

Andersen — *Baśnie.* Tłumaczyli: Stefania Beylin, Jarosław Iwaszkiewicz. Wstęp i redakcja Jarosława Iwaszkiewicza. Przypisy opracowała Anna Staniewska. Okładkę i stronę tytułową projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie II; tom I str. 606, 2 nl; tom II str. 614, 2 nl.

Bédier Józef — *Dzieje Tristana i Izoldy.* Tłumaczył Tadeusz Żeleński (Boy). Obwolutę i okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959; str. 156, 4 nl.

Goethe Jan Wolfgang — *Powinowactwa z wyboru.* Przełożyła Wanda Markowska. Posłowie Tomasza Manna przełożył Jan Błoński. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959; str. 335, 1 nl.

Hardy Tomasz — *Burmistrz Casterbridge.* Przełożyła Ewa Kołaczkowska. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 437, 3 nl.

Rabelais — *Gargantua i Pantagruel.* Przełożył i przypisami opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Wstępem opatrzył Mieczysław Brahmer. Obwolutę i okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy 1959, wydanie IV; tom I str. 608, 4 nl; tom II str. 451, 3 nl.

Sue Eugeniusz — *Tajemnice Paryża.* Przekład anonimowy, przejrzała i poprawiła Zofia Wasitowa. Warszawa, „Iskry", 1959, tom I str. 323, 5 nl; tom II str. 378, 6 nl.

Zola Emil — *ROUGON-MACQUARTOWIE.* Historia naturalna i społeczna rodziny za drugiego cesarstwa. *Germinal.* Przełożyła Krystyna Dolatowska. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 430, 2 nl.

— *ROUGON-MACQUARTOWIE.* Historia naturalna i społeczna rodziny za drugiego cesarstwa. *Radość życia.* Przełożyła Maria Hulewiczowa. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 298, 2 nl.

Poezja, dramat

Bursewicz Józef — *Kroki we mgle.* Okładkę projektował Józef Skoracki. (Szczecińska Biblioteczka Debiutów). Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 48, 4 nl.

Choromański Michał — *Cztery sztuki bez znaczenia.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 493, 3 nl.

Dobrowolski Stanisław Ryszard — *A jeśli komu droga.* Wiersze i pieśni. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959; str. 57, 3 nl.

Dzierżanowski Andrzej — *Podróże nocą.* Okładkę projektował Józef Skoracki. (Szczecińska Biblioteczka Debiutów). Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 46, 2 nl.

Eluard Paul — *Wiersze.* Redagował Adam Ważyk. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 160, 4 nl.

Grabowski Ryszard — *Kay.* Okładkę projektował Józef Skoracki. (Szczecińska Biblioteczka Debiutów). Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 50, 2 nl.

Herbert Edwin — *Antykwariat liryczny.* Okładkę projektowała Irena Jarzyńska. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 72, 4 nl.

Kwiatkowski Remigiusz — *Parasol noś i przy pogodzie.* Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 265, 3nl.

Liskowacki Ryszard — *Lądy bez tajemnic.* Okładkę projektował Józef Skoracki. (Szczecińska Biblioteczka Debiutantów). Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 56, 4 nl.

Mao Tse-tung — *Szesnaście wierszy.* Przełożyli: A. Braun, J. Hartwig, W. Jabłoński, T. Kubiak, A. Mandalian, A. Międzyrzecki, O. Wojtasiewicz, W. Wirpsza, W. Woroszylski. Opracowanie graficzne: Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 32, 4 nl.

Morawski Zdzisław B. — *Pejzaż myśli. Wiersze.* Okładkę projektowała Izabela Olejnik. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 55, 3 nl.

Raszka Helena — *Okruchy bursztynu.* Okładkę projektował Józef Skoracki. (Szczecińska Biblioteczka Debiutów). Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 52, 4 nl.

Rymkiewicz Aleksander — *Poematy i wiersze.* Tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 307, 1 nl.

Sadowska Barbara — *Zerwane druty.* Okładkę projektował Jerzy Cherka. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 99, 1 nl.

Skolimowski Jerzy — *Siekiera i niebo.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 85, 3 nl.

Proza

Afanasjew Jerzy — *Mucha i anioł.* Obwoluta i okładka Janusza Stannego. Ilustracje Karola Baranieckiego i Kazimierza Wiśniaka. (Biblioteka Stańczyka). Warszawa, „Iskry", 1959; str. 243, 5 nl.

Baar Jindřich S. — *Ksiądz Gołąbek.* Przełożyła Jadwiga Bułakowska. Przedmowę napisał Andrzej Piotrowski. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Zbigniew Trzebiński. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 429, 3 nl.

Boguszewska Helena — *Żelazna kurtyna.* Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. (Biblioteka Powszechna). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 260, 4 nl.

Daninos Pierre — *Notatnik majora W. Marmaduke'a Thompsona. Major Thompson odkrywa Francję.* Przełożył Zygmunt Szymański. Ilustrował Walter Goetz. (Biblioteka Stańczyka). Obwolutę i okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 158, 2 nl.

Faulkner William — *Absalomie, Absalomie...* Przełożyła Zofia Kierszys. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. (Powieści XX wieku). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 528, 4 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Dziewczęta z Nowolipek.* Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. (Biblioteka Powszechna). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie IX; str. 279, 9 nl.

Karczewska Wanda — *Czarne konie.* Obwolutę projektowała Maria Wieczorek-Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 290, 2 nl.

Księga papugi. Spolszczyły i opracowały: Wanda Markowska i Anna Milska. Obwolutę, okładkę i ilustracje opracował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 218, 2 nl.

Kwitka-Osnowianienko G. — *Pan Chalawski.* Tłumaczył Jerzy Brzęczkowski. Obwolutę, kartę tytułową i inicjały projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 303, 1 nl.

Lagerlöf Selma — *Legendy Chrystusowe.* Przełożyła Maria Zarębina. Opracowanie graficzne: Tadeusz Michaluk. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 199, 5 nl.

Lewis Sinclair — *Elmer Gantry.* Przełożył Adam Kaska. Okładkę projektował Maciej Hibner. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 514, 2 nl.

Morcinek Gustaw — *Czarna Julka.* Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 332, 4 nl.

Parandowski Jan — *Niebo w płomieniach.* Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. (Biblioteka Powszechna). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie VI; str. 247, 1 nl.

Pilniak Borys — *Sobowtóry.* Przełożył Władysław Broniewski. Wstępem opatrzył Seweryn Pollak. Obwolutę i okładkę projektowała Zofia Juszczyk-Sadowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 283, 1 nl.

Remarque Erich Maria — *Czas życia i czas śmierci.* Przełożył Juliusz Stroynowski. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. Rysunek na okładce Aleksandra Stefanowskiego. (Biblioteka Powszechna). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 413, 3 nl.

Traven B. — *Trozas.* Przełożyła Teresa Jętkiewicz. Okładkę i stronę tytułową projektował Jan Młodożeniec, Warszawa, „Iskry", 1959; str. 307, 1 nl.

Trąba Wojtek (Antoni Balawajder) — *Gawędy.* Opracował i wstępem opatrzył Józef Bińczak. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Przerywniki wykonał Andrzej Radziejowski. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1959, wydanie I; str. 118, 2 nl.

Weisenborn Günther — *Furia.* Przełożyła Maria Kłos-Gwizdalska. Okładkę projektowała Krystyna Dąbrowska. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 292, 4 nl.

Werfel Franz — *Czterdzieści dni Musa Dah.* Tłumaczył Jacek Frühling. Wiersze przełożył Robert Stiller. Obwoluta i tłoczenia: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 880, 4 nl.

Wiktor Jan — *Miłość wśród płonących wzgórz.* Tom II. Opracowanie graficzne: Tadeusz Grabiański. Zdjęcie na obwolucie: Hanna Falkowska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1959, wydanie I; str. 414, 2 nl.

Zambrzycki Władysław — *Kwatera bożych pomyleńców.* Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 306, 2 nl.

Reportaże

Burzyński Roman — *Długonosy pije zieloną herbatę.* Pamiętnik z podróży do Chin. Obwolutę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 121, 3 nl.

Listy, pamiętniki, wspomnienia

Dończyk Franciszek — *Stalag XI A. Altengrabow.* Okładkę projektował Ryszard Gachowski. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1959, wydanie I; str. 350, 2 nl.

Godlewski Stefan — *Warszawa.* Rysunki Stanisława Noakowskiego. Wyboru i reprodukcji rysunków dokonał Czesław Olszewski. Tłoczenia i obwolutę projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 117, 3 nl.

Mazurkiewicz Michał — *Karabiny maszynowe naprzód.* Okładkę i stronę tytułową projektował Antoni Boratyński. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1959, wydanie I; str. 120, 2 nl.

Satyra

Piechal Marian — *Diabeł za skórą.* Ilustrował Jerzy Flisak. (Biblioteka Satyry). Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 135, 1 nl.

Słobodnik Włodzimierz — *Bez figowego listka.* Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Rysunek na okładce Mai Berezowskiej. (Biblioteka Satyry). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 197, 3 nl.

Krytyka, esej

Skwarczyńska Stefania — *Leona Schillera trzy opracowania teatralne „Nieboskiej komedii" w dziejach jej inscenizacji w Polsce.* Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Pax", 1959, wydanie I; str. 616, 4 nl.

LITERATURA DLA DZIECI

Aksakow Siergiej — *Czerwony kwiatuszek.* Tłumaczył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Ilustrowała Anna Sienkiewicz-Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 38, 2 nl.

Bahdaj Adam — *Droga przez góry.* Ilustrował Mieczysław Majewski. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 316, 4 nl.

Bajki ludów nadbałtyckich. Przełożyła z rosyjskiego Jadwiga Kopeć. Ilustrował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 184, 4 nl.

Bobińska Helena — *O kotku góralu.* Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; str. 37, 3 nl.

Broniewska Janina — *Historia Toczonego Dziadka i Malowanej Babki.* Ilustrował Czesław Wielhorski. Okładkę projektowała Olga Siemaszkowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie IV; str. 115, 1 nl.

Brzechwa Jan — *Kaczka dziwaczka.* Ilustrował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; 8 knl.

— *Brzechwa dzieciom.* Ilustrował J. M. Szancer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie IV; str. 133, 1 nl.

Burnett F. H. — *Mała księżniczka.* Przełożyła Wacława Komarnicka. Ilustrował Antoni Uniechowski. Warszawa, Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 218, 2 nl.

Collodi C. — *Pinokio.* Przygody drewnianego pajaca. Tłumaczyła z włoskiego Zofia Jachimecka. Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 141, 3 nl.

Desselberger Jerzy — *Ptasie gniazda.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 6 knl.

— *Ptasi kalendarz.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 8 knl.

— *Ptaki przy karmniku.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 8 knl.

— *Ptasi zegar. Warszawa,* „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 8 knl.

Dobkiewiczowa Kornelia — *Miedziana lampa. Baśnie i opowieści o śląskim Skarbniku.* Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 157, 3 nl.

Fiedler Arkady — *Zdobywamy Amazonkę.* Materiał fotograficzny autora. Okładkę opracowała Anna Włoczewska. Wyklejkę projektowała Halina Gutsche. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; str. 195, 5 nl.

Gajdar Arkady — *Trzy opowiadanie.* Tłumaczyli: A. Watt i M. Górska. Ilustrowali: Leonia Janecka i Konstanty M. Sopoćko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 74, 2 nl.

Grey Owl-Szara Sowa — *Pielgrzymi puszczy.* Tłumaczył z języka angielskiego Aleksander Dobrot. Ilustracje autora. Okładkę, wyklejkę i stronę tytułową projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 225, 3 nl.

Hertz Benedykt — *Taś taś.* Ilustrował Józef Czerwiński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie VIII; str. 29, 3 nl.

Hoffmann E.T.A. — *Dziadek do orzechów.* Ilustrował Jan Marcin Szancer. Na podstawie tłumaczenia Józefa Kramsztyka opracowała Krystyna Kuliczkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie V; str. 76, 4 nl.

Hopp Zinken — *Zaczarowana kreda.* Spolszczył Józef Głebułtowicz. Ilustrowali Hanna i Gabriel Rechowiczowie. Warszawa „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 118, 2 nl.

Jabłoński Tadeusz — *Północny trakt Warszawy.* O Żoliborzu, Marymoncie i Bielanach. Okładkę i kartę tytułową projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 134, 2 nl.

Janczarski Czesław — *Cztery małe krasnoludki.* Ilustrowała Halina Gutsche. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 6 knl.

Kędziorzyna Maria — *Wędrówki Szyszkowego Dziadka.* Ilustrowała W. Kwiatkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie VI; str. 60, 6 nl.

Kon Feliks — *Pod sztandarem rewolucji.* Zebrał, przetłumaczył, wstępem i przypisami opatrzył Rafał Gerber. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 233, 3 nl.

Konopnicka Maria — *O krasnoludkach i sierotce Marysi.* Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie VI (XXI);

Kossak Zofia — *Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata.* Ilustrował Adam Kilian. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 8 knl.

Kudliński Tadeusz — *Rumieńce wolności.* Ilustrował Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 313, 3 nl.

Leśmian Bolesław — *Klechdy polskie.* Opracowała graficznie Danuta Rewkiewicz-Niemirska. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 272, 4 nl.

— *Klechdy sezamowe.* Ilustrował Jan Lenica. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie III; str. 208, 4 nl.

Lindgren Astrid — *Rasmus i włóczęga.* Tłumaczyła Irena Szuch-Wyszomirska. Ilustrowała Maria Orłowska-Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 198, 2 nl.

Makuszyński Kornel — *Skrzydlaty chłopiec.* Ilustrował Zbigniew Piotrowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 207, 1 nl.

Markowska W. i Milska A. — *Baśnie z bliska i z daleka.* Ilustrowała Irena Kuczborska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 189, 1 nl.

Montgomery Lucy Maud — *Dolina tęczy.* Tłumaczyła z języka angielskiego Janina Zawisza Krasucka. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 244, 4 nl.

— *Wymarzony dom Ani.* Tłumaczył z języka angielskiego Stefan Fedyński. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 276, 4 nl.

Nałkowska Zofia — *Mój ojciec.* Ilustrował Marek Rudnicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; str. 63, 1 nl.

Niewiadomski Stanisław — *O kurku Czupurku.* Ilustrował Ignacy Witz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 29, 3 nl.

Niziurski Edmund — *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa.* Ilustrował Bohdan Rutenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 314, 4 nl.

Ożogowska Hanna — *Tajemnica zielonej pieczęci.* Ilustrował Gwidon Miklaszewski. Okładkę projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 325, 3 nl.

Porazińska Janina — *Maciuś Skowronek.* Ilustrowała Anna Kopczyńska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie IV; str. 75, 5 nl.

Przez stulecia. Opowiadania z historii Polski. Zebrali i opracowali Stanisław

Aleksandrzak, Marian Wadecki. Tom I i II. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II (rozszerzone); tom I str. 458, 2 nl; tom II str. 563, 1 nl.

Spykman E. C. — *Cytryna i gwiazda.* Tłumaczyła Irena Tuwim. Ilustrowała Maria Orłowska-Gabryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia" 1959, wydanie I; str. 186, 2 nl.

Stevenson Robert Louis — *Dziedzic na Ballantrae.* Gawęda zimowa. Przełożył Józef Birkenmajer. Okładka i ilustracje Stanisława Töpfera. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 293, 3 nl.

Szelburg-Zarembina Ewa — *Mały Afrykańczyk.* Ilustrowała Maria Mackiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; 16 knl.

Szermentowski E. — *Powieść niedługo napiszę prześliczną.* Młode lata Henryka Sienkiewicza. Okładkę i kartę tytułową projektował Leopold Buczkowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 280, 4 nl.

Szuchowa S. i Zdzitowiecka H. — *Od wiosny do wiosny.* Ilustrował Jerzy Heintze. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 150, 2 nl.

Terlikowska Maria — *Dzień Agatki.* Ilustrowała Janina Krzemińska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; 6 knl.

Tuwim Julian — *Słoń Trąbalski.* Ilustrował Ignacy Witz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie VI, str. 46, 2 nl.

Umiński Władysław — *Flibustierowie.* Ilustrował Mieczysław Kościelniak. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie VI; str. 253, 3 nl.

Żukrowski Wojciech — *Poszukiwacze skarbów.* Ilustrował Tadeusz Przypkowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie IV; str. 115, 3 nl.

SZTUKA

Teatr

Dobrowolski Tadeusz — *Sztuka Krakowa.* Obwolutę z reprodukcją figurki z ołtarza Wita Stwosza w kościele Mariackim oraz okładkę i wyklejkę projektowała Zofia Darowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959, wydanie II; str. 580, 4 nl.

Macierakowski Jerzy, Natanson Wojciech — *Mieczysława Ćwiklińska.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 89, 3 nl, 16 knl.

Nicoll Allardyce — *Dzieje teatru.* Tłumaczył Antoni Dębnicki. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959; str. 327, 1 nl.

FILOZOFIA

Dawson Christopher — *Postęp i religia.* Studium historyczne. Przełożył Henryk Bednarek. Przedmowę napisał Aleksander Rogalski. Okładkę projektowała Irena Kauzikówna. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 277, 3 nl.

Gilson Etienne — *Chrystianizm a filozofia.* Przełożył Andrzej Więckowski. Opracowanie graficzne: Irena Kauzikówna. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 93, 3 nl.

Krokiewicz Adam — *Moralność Homera i etyka Hezjoda.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 276, 4 nl.

Bibliografia utworów Mikołaja Gogola. Opracowała Danuta Rymsza-Zalewska. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 30, 2 nl.

RÓŻNE

Banach Andrzej — *Polska książka ilustrowana. 1800—1900.* Układ graficzny: Andrzej Banach i Paweł Zembrzuski. Wybór ilustracji: Andrzej Banach. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 508, 4 nl.

Bije już walki godzina. Zbiór materiałów z okazji 40-lecia KPP. Wyboru dokonali i opracowali: Bożena Krzywobłodzka i Mieczysław Zawadzki. Okładkę projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 221, 3 nl.

Bobińska Helena — *Maria Curie-Skłodowska.* Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie IV; str. 52, 4 nl.

BYDGOSZCZ. Historia. Kultura. Życie gospodarcze. Praca zbiorowa wydana staraniem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Okładka i obwoluta Zygmunta Kotlarczyka. Przerywniki Józefa Kotlarczyka. Gdynia, Wydawnictwo Morskie, 1959, wydanie I; str. 447, 1 nl.

Cieślak Tadeusz — *Przeciw pruskiej przemocy.* Walka o ziemię na Pomorzu na przełomie XIX i XX wieku. Okładkę projektowała Hanna Balicka-Fribesowa. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1959, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Keller Werner — *A jednak Pismo Święte ma rację.* Przełożył Janusz Koczołowski. Okładkę, obwolutę i stronę tytułową projektował Zygfryd Gardzielewski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 403, 1 nl.

Klafkowski Alfons — *Granica polsko-niemiecka a konkordaty z lat 1929 i 1933.* Obwolutę i okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1959, wydanie I; str. 486; 2 nl.

Lex — *Z paragrafem za pan brat.* Okładkę i rysunki projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 409, 3 nl.

Lord Russel of Liverpool — *Pod biczem swastyki.* Krótka historia hitlerowskich zbrodni wojennych. Z angielskiego tłumaczył i uzupełnienia do polskiego przekładu opracował Stanisław A. Majewski. Przedmowę napisał Józef Giebułtowicz. Obwolutę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie III; str. 308, 4 nl.

Piskor Aleksander — *Siedem ekscelencji i jedna dama.* Projekt okładki Al. Stefanowskiego. Projekt obwoluty T. Cieślewskiego. Rysunki i fotografie reprodukowane z ilustracji I wydania książki Warszawa 1939. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1959, wydanie I; str. 322, 2 nl.

Putek Józef — *Miłościwi panowie i krnąbrni poddani.* Szkice z dziejów poddaństwa, pańszczyzny i innych form ucisku społecznego na dawnym pograniczu śląsko-polskim. Obwolutę projektowała Barbara Szczerbińska. Okładkę Aleksander Haupt. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 447, 3 nl.

Scena młodzieżowa Nr 5. Okładkę i kartę tytułową projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 410, 2 nl.

Straszewska Maria — *Czasopisma literackie w Królestwie Polskim w latach 1832—1848.* Część druga. (1840—1848). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1959, wydanie I; str. 372, 4 nl.

Wańkowicz Melchior — *Na tropach Smętka.* Opracowanie graficzne, fotomontaże, dobór materiału ilustracyjnego Mieczysława Bermana. Rysunki Karola Ferstera. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 440, 4 nl.

Z piosenką jest mi wesoło. Wyboru dokonał: Zbigniew Adrjański. Okładkę projektował Jan Sliwiński. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 141, 3 nl. (Biblioteka Zarzewia).

W poprzednim numerze:

Zbigniew Herbert: Mona Liza. Apollo i Marsjasz. Czarna róża. W pracowni — *Maria Dąbrowska:* Szczęśliwa istota — *Jan Prokop:* Anioł i Jakub — *Tadeusz Różewicz:* Przerwany egzamin — *Paul Valéry:* Pytia (przełożył *Roman Kołoniecki)* — *Halina Micińska:* Pod Górą Królowej Bony — *Adam Grzymała-Siedlecki:* Nasz baron — *William Blake:* Wagabunda. Tygrys (przełożył *Roman Klewin)* — *Leszek Kołakowski:* Kapłan i błazen.

Książka miesiąca: *Ryszard Zengel:* Były znowu wakacje.

Archiwum: Listy niemieckie Witkacego do Romana i Stefanii Jaworskich (teksty niemieckie przełożyła *Stefania Jaworska).*

Wśród książek: *Zbigniew Bieńkowski:* Przypomnienie metarealisty — *Michał Głowiński:* Bibliografia do czytania — *Włodzimierz Maciąg:* Teraźniejszość Kazimierza Brandysa — *Henryk Bereza:* Jak pisze Mach. — *Henryk Bereza:* Szansa zwycięstwa — *Eustachy Czekalski:* Wielki świat Galicji — *Janusz Sławiński:* Nowe opowiadania Kazimierza Truchanowskiego — *Danuta Danek:* „Marionetki".

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* O dobrej woli — *Roman Kołoniecki:* O Pawle Valéry — *Paweł Hertz:* Widmo kiczu — *Wojciech Natanson:* O współczesnej wyobraźni — *rk:* Czas powieściowy — Przegląd zagraniczny.

Noty

Książki nadesłane

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—
Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5613/c z dnia 25.9.59 r.
Nakład 4.400 egz. Druk ukończono w listopadzie 1959 r. W-72

038403

ena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Paweł Beylin — Krytyka i metoda · Jarosław Iwaszkiewicz — O „Nieboskiej" · Piotr Lachmann — Wiersze · Jean Reverzy — Straty · Maria Szczepowska — Tańcówka